



archiwum *wolności*

Europy Karpat

TOM 3

PRZEMYSŁ 2025

archiwum wolności



Biblioteka
Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego
Tom VIII

archiwum wolności



archiwum wolności

EUROPY KARPAT

Przemyśl 2025

Wydawca:
Przemyskie Towarzystwo Kulturalne
Wybrzeże Marszałka Józefa Piłsudskiego 1, 37-700 Przemyśl
[email: towarzystwo.kulturalne@op.pl](mailto:towarzystwo.kulturalne@op.pl)

www: ptk-przemysl.pl
<https://archiwumwolnosci.pl/>

Redakcja

Redaktor naczelny: Marek Kuchciński
Zespół: Jacek Borzęcki, Janusz Czarski, Lucie Szymanowska,
Adam Pęziół, Waldemar Wigłusz
Sekretarz redakcji: Anna Pragłowska

Opracowanie graficzne i skład: Anna Pragłowska

© Przemyskie Towarzystwo Kulturalne

ISBN 978-83-964565-7-1

Zdjęcie na okładce: Kampania wyborcza do Parlamentu - czerwiec 89'.
Dziedziniec kościoła Św. Trójcy w Przemyślu (fot. Jan Jarosz).

Druk:
BONUS LIBER
ul. 17 Pułku Piechoty 7, Rzeszów

SPIS TREŚCI

– Od Redakcji.....	1
– Galeria gości i rozmówców.....	4

CZĘŚĆ I - Archiwum Wolności Europy Karpat

– Ludzie Wolności - panel XXXX Forum „Europa Karpat” z udziałem: Ryszarda Terleckiego, Bogusława Sonika, Inny Kuley, Jana Malickiego, Denisa Bilunova, Sergeia Guliaeva.....	8
– Robert Fielding - rozmawia Marek Kuchciński.....	20
– Přemysl Sobotka - rozmawia Lucie Szymanowska.....	80
– Alexander Tomský - rozmawia Lucie Szymanowska.....	84
– Emanuelis Zingeris - rozmawia Jacek Borzęcki.....	102

Polacy ze Wschodu. Rozmowy o pamięci i tożsamości – rozmawia Jacek Borzęcki:.....	109
---	-----

– Teresa Bagińska-Żurawska	110
– Czesław Blicharski	116
– Eugeniusz Cydzik	122
– Zofia Garczyńska	130
– Janusz Horoszkiewicz	134
– Stefan Kuriata	146
– Bolesław Opalek	154
– Emilia i Czesław Poźniak	158

CZĘŚĆ II - Ziemia Przemyska i region

– Zygmunt Błaż - rozmawia Adam Pęziół.....	172
– Błażej Krajewski - rozmawia Jacek Borzęcki.....	206

Przemyskie uroczystości 45. rocznicy podpisania Porozumień Sierpniowych i powstania NSZZ „Solidarność”:	217
--	-----

– Fragmenty wystąpień gości uroczystości 45. lecia NSZZ "Solidarność".....	218
– Katalog wystawy „45 lat «Solidarności». Województwo przemyskie 1980– 1990”.....	231

OD REDAKCJI

Szanowni Państwo,

trzeci tom Archiwum Wolności jest kontynuacją dokumentowania i zbierania opracowań, relacji, wspomnień i rozmów będących świadectwami ludzi - uczestników wydarzeń, w których brali udział lub uważnie je obserwowali, a które nie powinny pójść w zapomnienie. Żyli oni i działali w warunkach niecodziennych, często ekstremalnych na terenie państw obozu sowieckiego, a idea wolności i praw obywatelskich towarzyszyła im przez całe życie. Cechą wyróżniającą wszystkie dotychczasowe tomy jest ciągłość wspomnień autorów od ich młodości do wieku dojrzałego w czasach współczesnych, co umożliwia spojrzenie syntetyczne na minione dziesięciolecia przez samych uczestników.

Tom podzielony jest na kilka części. W części pierwszej zamieszczamy teksty i wypowiedzi autorów z Europy Środkowo-Wschodniej (Litwa, Białoruś, Rosja, Czechy, Polska) i USA, z którymi współpracujemy, z niektórymi od wielu lat, wspólnie omawiając przyszłość Europy oraz procesy geopolityczne zachodzące w świecie. Otwiera ją stenogram dyskusji panelowej pt. Ludzie Wolności, odbytej podczas 40. Konferencji "Europa Karpat", która miała miejsce w Karpaczu na Forum Ekonomicznym 3 września 2025 roku. Wśród mówców, oprócz przedstawicieli Polski i opozycji białoruskiej, byli także reprezentanci współczesnej emigracji rosyjskiej mieszkający w różnych państwach Europy. Następny tekst to rozmowa „biograficzna” z Bobem Fieldingiem, Amerykaninem, który w latach 70. współpracował z emigracją rosyjską w USA, a następnie od roku 1982 z podziemną Solidarnością w Polsce. Po 1989 roku już jako pracownik Biura Zagranicznego Komisji Krajowej NSZZ Solidarność, razem z amerykańskimi związkami zawodowymi AFL-CIO i OBWE rozwijał działalność na rzecz tworzenia warunków do funkcjonowania systemów demokratycznych i społeczeństwa obywatelskiego w prawie wszystkich krajach postsowieckich obszaru europejskiego, w Azji Środkowej i na Bliskim Wschodzie. Aż do 2018 roku wspierał na tym obszarze organizowanie się wolnych związków zawodowych i zajmował obserwacją wyborów parlamentarnych i prezydenckich.

Następne teksty to rozmowy z wielokrotnymi bywalcami konferencji "Europa Karpat". Ze znanym politykiem Premyslem Sobotką, (byłym przewodniczącym czeskiego Senatu) odbudowywaliśmy po 2015 roku współpracę parlamentarną w Grupie Wyszehradzkiej, nadając jej nową jakość wyrażającą się współpracą w ramach Trójmorza, rozwojem infrastruktury północ-południe Europy (Via Carpathia), czy skutecznym zablokowaniem nielegalnej

imigracji do naszych państw. Z kolei Aleksandr Tomsky to intelektualista konserwatywny mieszkający w Pradze, pisarz związany ze środowiskiem Rogera Scrutona, a jego rodzinne korzenie sięgają do Medyki koło Przemyśla. Kolejnym materiałem jest rozmowa z Emanuelisem Zingerisem litewskim posłem, zasiadającym w Seimasie nieprzerwanie od 1990 roku. W drugiej dekadzie obecnego wieku wyróżnił się on m.in. inicjatywą powołania w parlamencie litewskim Komisji ds. Konstytucji 3 Maja, co przesądziło, że współczesne państwo litewskie przyjęło dziedzictwo Rzeczypospolitej Obojga Narodów jako korzenie również swojej państwowości. Wszyscy wymienieni byli przed Jesienią Narodów (1989) działaczami opozycji antykomunistycznej, a następnie zaangażowanymi w procesy umocnienia demokracji, wolności obywatelskich i budowania suwerennych państw – swoich ojczyzn.

W części drugiej prezentujemy rozmowy z Polakami ze wschodnich terytoriów dawniej Rzeczypospolitej, których rodziny stały się poddanymi Związku Sowieckiego i obiektem ludobójczego terroru w wyniku najpierw rewolucji bolszewickiej, a później sowieckiej aneksji wschodnich terenów Polski w czasie II Wojny Światowej. Ich wspomnienia są świadectwem ogromnych dramatów, jakie przeżywały miliony naszych Rodaków. Ta karta dziejów narodu polskiego wciąż wymaga pełnego i rzetelnego jej zapisania.

Część trzecia Archiwum to kolejne rozmowy z uczestnikami wydarzeń społecznych i politycznych ostatnich 50 lat z Podkarpacia i Ziemi Przemyskiej. Każda z tych postaci posiada niezwykle bogatą biografię.

Tom zamyka obszerne sprawozdanie z uroczystości 45. rocznicy powstania Solidarności na terenie byłego województwa przemyskiego. To był niezwykle kolorowy czas wolności, który trwał od 30 sierpnia 1980 roku do 13 grudnia 1981 roku, kiedy w Polsce władze komunistyczne wprowadziły stan wojenny aresztując tysiące działaczy Solidarności. Przez następne lata, aż do 1989 roku Solidarność, jak i cała opozycja polityczna działała w warunkach konspiracji bez przerwy dążąc do odzyskania podstawowych praw obywatelskich, przywrócenia demokracji i niepodległości Polski. O dziejach tych zmagania z systemem totalitarnym opowiada opublikowany katalog wystawy przygotowanej specjalnie na tę okoliczność przez Przemyskie Towarzystwo Kulturalne przy współpracy NSZZ Solidarność Regionu Ziemia Przemyska oraz Instytutu Pamięci Narodowej.

Zebrane w III tomie materiały, podobnie jak w dwóch tomach poprzednich przedstawiają niezwykle barwne i bogate dzieje uczestników wydarzeń, różne ich drogi polityczne, które splatając się i przecinając tworzą gęstwinę powiązań charakterystycznych dla narodów Europy Środkowej i Wschodniej. Z tego powodu celowo obok siebie umieszczone są materiały opisujące kwestie lokalne, regionalne, krajowe i międzynarodowe, umożliwiając porównywalne spojrzenia z każdej wymienionej perspektywy na podobne sprawy. Zachęcają one do wniosków niosących nadzieję – ze względu na inicjatywy i pomysłowość indywidualną uczestników wydarzeń, ale i wniosków związanych z wielkimi wyzwaniami: odbu-

dową suwerennego państwa polskiego, jego równomiernego rozwoju oraz instytucji organizujących życie obywateli, a także budową podmiotowości politycznej całego regionu środkowoeuropejskiego. Wydarzenia polityczne z ostatnich miesięcy świadczą o tym, że rozpoczęta w Magdalence w 1988 roku i przy okrągłym stole transformacja trwa bez końca. W międzynarodowym otoczeniu widać wyraźnie zatrzymanie procesów demokratycznych, obalanie rządów metodami niedemokratycznymi, wpływanie sił zewnętrznych na procesy wyborcze w krajach i ambicje imperialne naszych sąsiadów na wschodzie i na zachodzie. Zmusza to nas do ciągłego przypominania, że wolności, praw obywateli i suwerenności państwa trzeba bronić bez przerwy i w każdym miejscu.

Redakcja

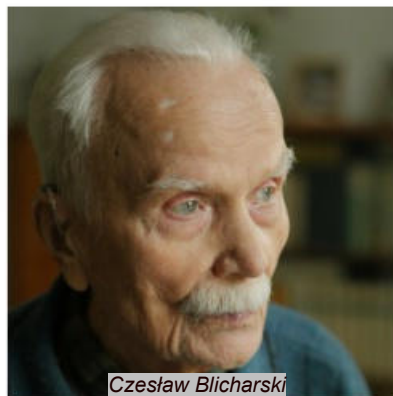
GALERIA GOŚCI I ROZMÓWCÓW



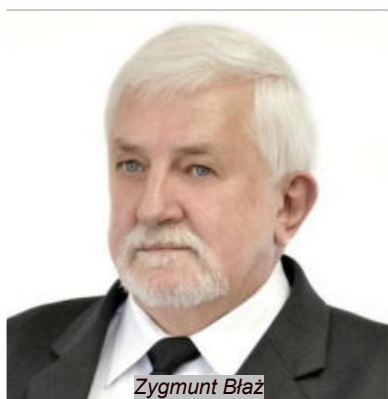
Teresa Bagińska-Żurawska



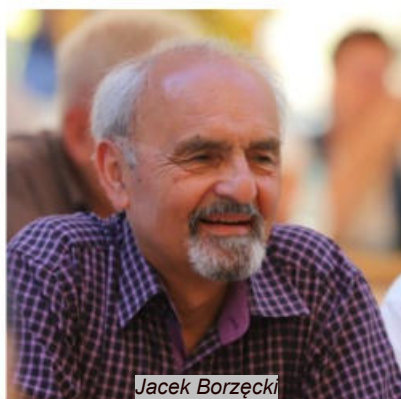
Denis Bilunov



Czesław Blicharski



Zygmunt Błaż



Jacek Borzęcki



Eugeniusz Cydzik



Robert Fielding



Sergei Guliaev



Janusz Horoszkiewicz



Błażej Krajewski



Marek Kuchciński



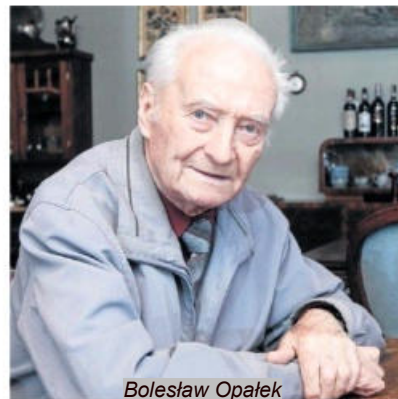
Inna Kuley



Stefan Kuriata



Jan Malicki



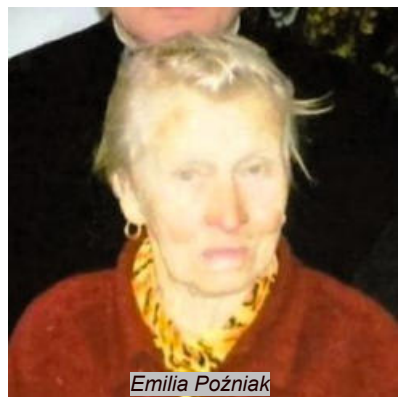
Bolesław Opalek



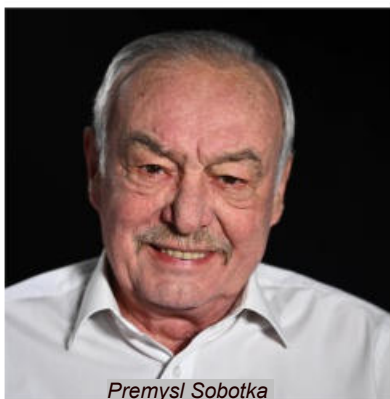
Adam Pęzion



Zofia Garczyńska



Emilia Poźniak



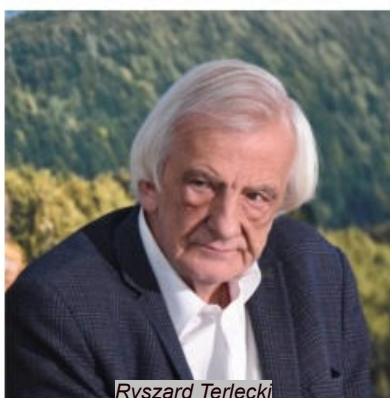
Premysł Sobotka



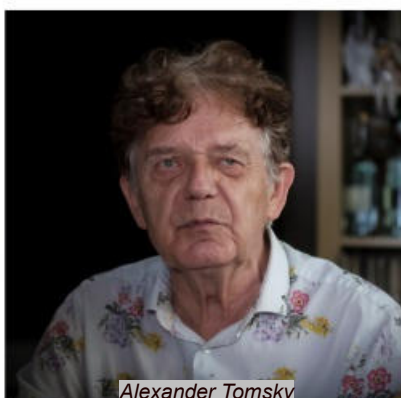
Bogusław Sonik



Lucie Szymanowska



Ryszard Terlecki



Alexander Tomsy



Emanuelis Zingeris

CZĘŚĆ I

Archiwum Wolności Europy Karpat

LUDZIE WOLNOŚCI

Historia i walka o wolność w Europie Środkowo-Wschodniej



Od lewej: Ryszard Terlecki, Bogusław Sonik, Denis Bilunov, Inna Kuley, Jan Malicki, Sergei Guliaev,
(fot. ze zbiorów PTK)

XXXX Forum „Europa Karpat”, 2-4 września 2025 roku, Karpacz - panel współorganizowany przez Przemyskie Towarzystwo Kulturalne.

Jednym z celów panelu było przekazanie obecnym pokoleniom podejścia i marzeń ludzi zaangażowanych w obronę wolności, głównych postaci różnych narodów, które walczyły z dyktaturą komunistyczną i jej współczesnymi formami. Inspiracje, wyzwania i znaczenie wolności w życiu społecznym. Pojęcie wolności ewoluuje. Wolność w rozumieniu historycznym różni się od współczesnych interpretacji. Wolność nie jest dana raz na zawsze – wymaga stałej troski, zaangażowania i refleksji.

Moderator: prof. Ryszard Terlecki, poseł na Sejm RP

Szanowni Państwo, pozwolę sobie przywitać panelistów tego spotkania. Obok mnie siedzi **Bogusław Sonik**, który reprezentuje Stowarzyszenie Maj 77, był poseł na Sejm i europoseł, wybitny polityk, był jednym z liderów opozycji antykomunistycznej w latach 70-80. Pani **Inna Kuley** z Białorusi, koordynator Szkoły Edukacji Obywatelskiej WUB, pan **Denis Bilunov** z Praskiego Towarzystwa Współpracy Międzynarodowej, pan **Jan Malicki**, dyrektor Studium Europy Wschodniej, Uniwersytet Warszawski, pan **Sergei Guliaev** z Rosji, współzałożyciel organizacji Europejski Petersburg.

Szanowni Państwo, to jest panel, można powiedzieć, historyczno-wspomnieniowy, bo rozmawiamy o ludziach wolności Europy Środkowo-Wschodniej, o ludziach wolności, którzy niosą za sobą tradycję walki o wolność naszych narodów i o wolność i niepodległość naszych państw. Przypomnijmy, że druga połowa dwudziestego wieku to był czas po zakończonej drugiej wojnie światowej bardzo wytężonej i ofiarnej walki o wolność w naszym regionie. Walczyli o nią naprzód partyzanci na Litwie, w Polsce, w Rumunii, wierząc, że konflikt między Zachodem a Związkiem Sowieckim doprowadzi do sprawiedliwego pokoju. Od zakończenia wojny przez pół wieku emigranci polityczni, którzy znaleźli się w wolnym świecie, upominali się o wolność swoich narodów i o wolność swoich państw. To było ponad czterdzieści lat ciężkiej politycznej pracy, nie zawsze po odzyskaniu niepodległości docenionej. Potem przyszły eksplozje buntu: powstanie na Węgrzech w 1956 roku, praska wiosna w Czechosłowacji w 1968 roku, może spokojniejsza, ale przecież też ofiarna, choćby przypomnijmy Jana Palacha. I znów można wymieniać w tym gronie też Polskę, z racji 1970 roku i późniejszych wydarzeń w 1980 roku, kiedy powstała „Solidarność”. No i wreszcie finał, jak się nam wszystkim wydawało, finał, czyli upadek Związku Sowieckiego, Jesień Narodów i wybiecie się na niepodległość wszystkich państw naszego regionu, w tym także państw, które były wcześniej okupowane przez Związek Sowiecki i nie miały nawet tych pozorów suwerenności, jaką miały tak zwane kraje demokracji ludowej. Chciałbym zacząć tę rozmowę od pytania, jak Państwa zdaniem dziś oceniana jest ta historia, to świadectwo, doświadczenie walki o niepodległość, jak ta walka przeszła do naszej tradycji, do naszej najnowszej historii? No i jakie dziś wrażenie mają jej uczestnicy? Jak zostali potraktowani ci z tamtych powstańczych i partyzanckich lat, którzy już odeszli lub jeszcze żyją i ci, którzy znacznie później przyczynili się do naszej wolności w 1989 roku, a potem w 1991 roku, kiedy rozpadł się Związek Sowiecki, a zimna wojna zakończyła się zwycięstwem wolnego świata, zwycięstwem, jak się okazało, często gorzkim i chwilowym. Będę prosił o wypowiedź w takiej kolejności, jak Państwo tu siedzą, więc poproszę naprzód Bogusława Sonika.

Bogusław Sonik. Myślę, że Ludzie Wolności to ludzie, którym zazwyczaj przyszło płacić ogromną cenę za swoją odwagę. Bo życie za murem zniewolenia, niewoli wymagało niezwyklej odwagi i stawiania oporu, różnego rodzaju oporu. Nasze pokolenie miało wezwanie do stawiania oporu, pokazując odwagę i odrzucając wszechobecne kłamstwa. Taka była nasza rzeczywistość, pokolenia urodzonego w latach 50. Dorastaliśmy w połowie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w poczuciu ogólnej beznadziejności i bez specjalnych perspektyw zmiany instytucjonalnej w kraju, w którym żyliśmy, w którym było zakłamanie życie publiczne, była zakłamaną szkoła. Jedyną oazą wolności stawała się rodzina, gdzie był przekaz bezpośredni opowieści o tym, co naprawdę jest w życiu ważne i co było ważne w życiu naszych rodzin, gdzie wielu naszych dziadków czy ojców musiało płacić często więzieniem czy nawet życiem. Chodzi o opór wobec totalitaryzmu narzuconego po 45 roku. Więc to pokazywało, jak ważne było, jak ważna była formacja. Oczywiście mieliśmy oparcie w Kościele, mieliśmy później już wolne rozgłoszenie nadające z zachodniej Europy, stopniowo dostęp do prasy emigracyjnej i narastało przekonanie, że należy nam się jakieś przeżycie pokoleniowe, czyli wspólne wystąpienie i umiejętność życia takiego w tych czasach zakłamania, żeby móc sobie samemu spojrzeć w oczy co rano, prawda? Nie idąc na kompromisy, którymi byliśmy kuszeni.



Od lewej: Bogusław Sonik, Denis Bilunow, Inna Kuley (fot. ze zbiorów PTK)

Ja studiowałem prawo i u mnie ani w liceum, ani na roku pierwszym, drugim, trzecim nikt specjalnie się nie angażował w przybudówki komunistyczne czy tam tzw. socjalistyczne, ale już pod koniec roku czwartego, bo wtedy prawo miało cztery lata, nagle zaczynał się wysyp przystępowania do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, do robienia karier. Więc stanęliśmy w oporze. W zamian za to dostaliśmy niezwykłą przygodę bycia razem. Po prostu przyjaźń, która złączyła nas na lata, w zasadzie do teraz i przekonanie, że zawsze możemy na siebie liczyć, niezależnie od sytuacji. A jeszcze się nam tak przydarzyło, że historia przyznała nam rację, bo Solidarność wybuchła w 80 roku i była jakby odpowiedzią na nasze oczekiwania i przekonania, że należy nam się ta wolna Polska, prawda? Chociaż przez tę chwilę kilkunastu miesięcy, bo później nastąpiła kontynuacja oporu.

Gdy dzisiaj patrzę na młodzież, to są zupełnie inne wyzwania dotyczące wolności. To zniewolenie dzisiaj jest zupełnie inne, bo to jest zglobalizowana, globalna sieć, która zniewala indywidualność, zniechęca do samodzielności, do myślenia, poddaje gotowe recepty i w tej mierze to pokolenie staje się bezradne wobec rzeczywistości i czuje, akceptuje taką w sumie wygodę życia. No bo co by nie powiedzieć o tym, czy udało się nam tę wolność odzyskać całkiem, czy nie, to żyjemy jednak w kraju wolnym, w kraju, który ma problemy, jakie mają różne inne demokracje, z nasileniem może nienawiści, która przebiła się do życia publicznego na tyle, że zniewala po prostu totalnie i jakby oducza myślenia, oducza samodzielności, wyznacza granice, wyznacza z kim nie można rozmawiać, z kim należy utrzymywać stosunki, a kim gardzić. No i w tym wszystkim jest bardzo trudno odnaleźć się, nie dać się złamać i podporządkować takiej poprawności myślenia narzucanej przez w dużej mierze domorośłe, ale silne elity, które zawłaszczyły sporą część przestrzeni publicznej, i które w znacznym stopniu wygrywają walkę o to, komu pozwala się funkcjonować publicznie, a komu się nie pozwala, prawda? I kogo odrzucamy.

To są oczywiście problemy wolności. W dużej mierze ludzie wolni naprawdę, to byli ludzie samotni po prostu, którzy w dużej mierze stawiali opór wobec zła. Bez żadnych perspektyw. Szli do więzień jak w Rosji, jak w Rumunii, Bułgarii, na Ukrainie. Płacili życiem za to. No i my mając to doświadczenie, to mamy jakiś dług wobec tych ludzi, żeby nie dać się w żadnej mierze zniewolić kłamstwu i być sobą i być odważnym w życiu publicznym, mając na uwadze to, czym płacili nasi często bliscy przodkowie.

Ryszard Terlecki. Zwróć się teraz do pana, który przyjechał do nas z Czech. Nie wiem, czy Pan wie, że obecny rząd w Polsce skasował właśnie przedmiot w szkole traktujący między innymi o ludziach wolności. To *Historia i teraźniejszość*, przedmiot, który był przez parę lat w ostatniej klasie szkoły średniej, który objaśniał rzeczywistość polityczną ostatnich kilkudziesięciu lat. Chciałem spytać, jak w Czechach tradycja Aleksandra Dubczeka, Jana Palacha, Karty 77, potem Aksamitnej rewolucji, jak ona dziś rezonuje w społeczeństwie, w szkole, w przestrzeni publicznej?

Denis Bilunov. W swoim wystąpieniu chciałbym podzielić się osobistym doświadczeniem walki o wolność. Choć mieszkam w Pradze od pięciu lat i jestem członkiem The Prague Society, pochodzę z Rosji, skąd wyjechałem w 2015 roku. Moje powiązania z czeską historią są pośrednie, ale mój przyjaciel i współpracownik Martin Pauloš, jeden z najbliższych współpracowników Václava Havla i sygnatariusz Karty 77, razem ze mną napisał ważny artykuł dotyczący walki o demokratyczne zmiany w Rosji. Dlatego czuję się związany z czeską tradycją.

W Rosji w latach 2005–2015 brałem udział w ruchu opozycyjnym, m.in. byłem pierwszym dyrektorem wykonawczym ogólnorosyjskiego ruchu „Solidarność”. Zanim użyliśmy tej nazwy, spotkaliśmy się z Lechem Wałęsą w Gdańsku i uzyskaliśmy jego zgodę – było to dla nas inspirujące doświadczenie. Działalność polityczna naszej „Solidarności” pomogła zorganizować masowe protesty w latach 2011–2013, które objęły cały kraj, jednak szczególnie żywo były odczuwalne w Moskwie. Żywiliśmy wtedy nadzieję na zmiany, sądziliśmy, że ten moment może być przełomowy. Niestety okoliczności potoczyły się inaczej. Kulminacją była kampania wyborcza do władz stołecznych Moskwy w 2013 roku, kiedy Aleksiej Nawalny rywalizował z kandydatem władz Siergiejem Sobianinem (jest nadal burmistrzem Moskwy). Nawalny miał realną szansę na sukces, ale dzięki fałszerstwom zwycięstwo zapewniono protegowanemu Kremla. Władze wyraźnie rozumiały problem – spadała popularność Putina i partii „Jedna Rosja”. Moim zdaniem był to jeden z głównych powodów krymskiej awantury z 2014 roku – tzw. „mała zwycięska wojna” gwałtownie podniosła ranking Putina i całkowicie zmieniła sytuację polityczną. W lutym 2015 roku zamordowano Borysa Niemcowa, jednego z liderów „Solidarności”. Po tych wydarzeniach postanowiłem opuścić Rosję.

Przypadkowo znalazłem się w Pradze podczas pandemii korona wirusa i ostatecznie zostałem tu na dłużej. Uważam, że miałem szczęście – Praga stała się ważnym centrum antyputinowskiej emigracji. W 2022 roku założyliśmy Praski Rosyjski Komitet Antywojenny i zorganizowaliśmy ruch wolontariuszy pomagających ukraińskim uchodźcom. Codziennie do Pragi przyjeżdżały pociągi z kobietami i dziećmi, często w rozpaczy i z minimalnym bagażem. Nasi wolontariusze czekali na nich na dworcu, aby pomóc zorientować się i rozwiązać pierwsze problemy. Dzięki prywatnym inicjatywom Rosjan mieszkających w Czechach powstało centrum edukacyjne dla dzieci, niemal od zera zbudowano hostel na siedemdziesiąt osób, powstała także agencja pośrednictwa pracy itd. Był to imponujący ruch wolontariacki. Łączna liczba Rosjan w Czechach to około czterdzieści tysięcy, połowa z nich mieszka w Pradze. 26 marca 2022 roku w centrum Pragi odbył się wielotysięczny protest – około pięciu tysięcy Rosjan zebrało się na Rynku Staromiejskim, skandując: „Putin to wróg! Chwała Ukrainie!” Wtedy wiele osób miało nadzieję. Nawiązałem kontakt z sympatykami z innych krajów Europy. Stworzyliśmy nieformalną sieć Free Russians Network i liczyliśmy

na to, że we współpracy z różnymi organizacjami rosyjskiej opozycji na emigracji uda się stworzyć duży instytut alternatywnej reprezentacji. Współpracowałem zarówno z Kongresem Deputowanych Ludowych (przewodniczący Ilya Ponomarew) w Warszawie, jak i z Antywojennym Komitetem Michaiła Chodorkowskiego oraz strukturami Aleksieja Nawalnego. Oczywiście istniały między nimi różnice, ale udawało mi się utrzymywać kontakt ze wszystkimi.

Pomagali nam także europejscy politycy, w szczególności eurodeputowany Andrius Kubilius, który później został Europejskim Komisarzem ds. Obrony i Przestrzeni Kosmicznej. Odbłyły się wspólne spotkania i wydarzenia w Berlinie i Brukseli. Jednak obecnie obserwujemy spadek aktywności wszędzie. Wiele osób odczuwa rozczarowanie. Mówię tu zwłaszcza o Czechach, którzy wydają się tej jesieni poprzeć opozycję pod wodzą Andreja Babiša w wyborach. Większość chce dystansować się od wojny. Mówią, że „to nie nasza wojna” – to obecnie popularne przekonanie. Ale mimo to z Putinem trzeba będzie sobie jakoś poradzić, on nie zamierza się wycofać. Powstaje ogromne pytanie: jak dokładnie rozwiązać ten problem?

Na szczęście są ludzie nieustępliwi, przekonani, że prawdziwa wolność w całej Europie nadejdzie dopiero po pokonaniu reżimu putinowskiego, są oni i w Polsce – a to długa i trudna praca. Uważam, że walka zajmie co najmniej dziesięć lat. Wydaje mi się ważne wspomnieć o doświadczeniach kubańskiej diaspory na Florydzie, którą znam osobiście; starsi przedstawiciele opozycji zdołali tam stworzyć silną i wpływową wspólnotę. My także powinniśmy pójść tą drogą. Na świecie żyje około półtora miliona Rosjan, którzy nie uznają Putina. Mogą oni stać się alternatywnym ośrodkiem „rosyjskości”, dowodząc, że kultura i język rosyjski nie należą do dyktatora. Przy wsparciu krajów zachodnich, w tym Polski, ta alternatywa może zyskać polityczny wymiar. To jedno z głównych zadań. Jednak tendencje pogarszają się, a fala aktywności dawno przeminęła. Konieczne są nowe, niestandardowe podejścia i pomysłowość. Mógłbym o tym opowiedzieć więcej, ale czas jest ograniczony, więc na tym zakończę.

Jakie jest moje stanowisko, moja pozycja? Mieszkam w Pradze od pięciu lat, jestem częścią wspomnianego stowarzyszenia, ale pochodzę z Rosji. Także nie przynależę do pokolenia rewolucji błękitnej i ruchu '68, ale Martin Paulus, który podpisał Kartę 77 - tak. A z nim wspólnie napisaliśmy bardzo ważny artykuł dotyczący tego, jak wprowadzać zmiany demokratyczne w Rosji. I dlatego czuję się połączony i powiązany z tradycją czeską. Chciałbym skupić się na moim zrozumieniu tego, czym jest walka o wolność. Chciałbym odwołać się do doświadczeń osobistych z przeszłości. Wcześniej w Rosji, pomiędzy 2005 a 2015 rokiem działałem w opozycji rosyjskiej. Przez kilka lat byłem też dyrektorem wykonawczym, pierwszym w ruchu rosyjskiego Solidarności. Przyjechaliśmy do Gdańska, by poprosić o zgodę Wałęsy na przyjęcie tej nazwy, który był jednym z założycieli Solidarności. I to było doskonale doświadczenie. A później, już w roku 2011-13, kiedy wielkie masowe protesty miały miejsce w Rosji, szczególnie w Moskwie, to byłem jednym z organizatorów tych protestów. Mieliliśmy iluzję, wiele nadziei. Był to naszym zdaniem moment, który mógł wszystko zmienić. Niestety, ze względu na wiele okoliczności straciliśmy tę siłę.

Ryszard Terlecki. Dziękuję bardzo. To jest ważny głos odnoszący się do trudnej sytuacji w samej Rosji i do sytuacji rosyjskiej emigracji. Kiedy słuchamy pana, to nie wiem,

czy wszyscy mamy świadomość tego, co zachodziło wcale w tak nieodległej przeszłości, bo przedostatni prezydent Rzeczypospolitej na uchodźstwie, podpisał z kierownictwem emigracji czeskiej umowę o federacji polsko-czeskiej, a sporządzono tą umowę w czterdziestą rocznicę podpisania układu między premierem generałem Sikorskim a premierem Benešem, jeszcze w trakcie, w czasie II wojny światowej, gdzie zostało ustalone, że federacja powstanie, ale nie zgodzili się na to Sowieci.

Ale teraz mamy przed sobą Białoruś. To dla mnie osobiście bardzo poruszające, bo przyznam się, należałem do tych polityków Prawa i Sprawiedliwości, którzy pierwsi rozpoczęli dialog z Białorusią wtedy, kiedy to było możliwe jeszcze, czyli przed wyborami w 2020 roku, które potem wywołały ogromne demonstracje i ogromne protesty na Białorusi. Chciałem Panią zapytać, jak białoruska opozycja odnosi się do faktu, że przecież Białoruś była jednym z uczestników demontażu Związku Sowieckiego, właściwie jedną z tych trzech najważniejszych republik, które przesądziły o końcu Sowietów? Jak dziś Białoruś pamięta o tamtych czasach, o tamtym wydarzeniu, które zmieniło losy świata?

Inna Kuley. Dziękuję za pytanie. Szanowni Państwo, drodzy przyjaciele! Pochodzę z kraju, który nie odzyskał wolności, ale ma ludzi wolności, którzy nadal walczą o wolność. W historii znamy takie przykłady. Dla mnie ludzie wolności to jest naród białoruski, który jak feniks powstaje z popiołu, walczy o wolność i ją wywalczy. Ja wierzę w to. Pamiętamy, kiedy razem z Polakami, z Litwinami walczyliśmy z Krzyżakami i wygraliśmy. Pamiętamy te czasy, kiedy w wieku dziewiętnastym pod sztandarami za waszą i naszą wolność też Białorusini stali w szeregach wojskowych i możemy wymieniać imiona bohaterów. Ale dla mnie ludzie, którzy nie zostawili tego marzenia, tej walki, to są ludzie wolności. To prawda Panie Marszałku, że bardzo krótki był ten czas, który był po odzyskaniu niepodległości, po rozpadzie Związku Radzieckiego.

Urodziłam się w Związku Radzieckim i do lat osiemdziesiątych myślałam, że to jest super kraj, że to jest cudowne życie, bo taka propaganda kierowana była do nas w przedszkolu, w szkole i myśleliśmy, że gdzieś tam w Stanach Zjednoczonych jest ciężkie życie, a Polska jest wrogiem nie wiadomo jakim, bo cały czas myśli o tym, jak odzyskać ziemie kresowe i cały nasz kraj. Ale później, kiedy już dorosłam, to poznawałam historię, której nie było w naszych podręcznikach. I z tej historii wiemy, że wolność i wolny kraj, to nie jest ten kraj, który był w Związku Radzieckim i nie jest ten obecny. Co u nas dzieje się teraz? Po wyborach w 2020 roku ludzie, którzy chcieli odzyskać wolność wyszli na ulice i tam było dużo kobiet. Na pewno Państwo pamiętacie, jak to na ulicach były kobiety, które stały z kwiatami i które pokojowo chciały, żeby nastąpiła prawda i sprawiedliwość. Pamiętam kobietę, która trzymała w rękach list, na którym było napisane "Chcę sprawiedliwych wyborów" i nic więcej, nic nie było. Tam nie było mowy o dyktatorze, ale było napisane co każdy chciał, żeby były sprawiedliwe wybory, żebyśmy mogli odzyskać prezydenta, którego wybrał naród. Państwo wiecie, że prezydentem elektem jest Swietłana Cichanouska, która po podliczeniu głosów jest prezydentem Białorusi, ale nie może nim być dziś, bo po tych wyborach zaczęła się katastrofa. My znamy ludzi, którzy stracili życie. To na przykład Aleś Puszkin, malarz i pisarz, który umarł zakatowany w więzieniu. Także Witold Szurek, katolik, bardzo kochający swój kraj człowiek, też był zabity, zakatowany w więzieniu. Siedzi w więzieniu Andrzej Poczobut, który też walczył jako dziennikarz za wolność w białoruskim kraju i tysiąc pięciuset ludzi teraz siedzi w więzieniu. Aleksander Łukaszenka do dzisiejsze-

go dnia odbiera nam wolność.

Ale ja wierzę, że jesteśmy Feniksem i jak trawa przez asfalt, rośnie nowe pokolenie, które podejmie walkę o wolność. Mówili, że internet dzieli ludzi, ale Białorusinów internet łączy, bo dzięki niemu możemy zobaczyć, co dzieje się w innych krajach, jak wygląda normalne życie, możemy mieć przyjaciół przez kilometry, przez oceany itd. Dlatego dzisiejsza sytuacja jest katastrofą na Białorusi, która po rozpadzie Związku Radzieckiego miała szansę stać się niepodległym krajem, ale wierzę, że wywalczymy ją razem z przyjaciółmi.



Inna Kuley, Jan Malicki (fot. ze zbiorów PTK)

Ryszard Terlecki. Dziękuję. Bardzo dziękuję. Ja pamiętam tamte czasy, właśnie kiedy jeździliśmy na Białoruś. Pamiętam spotkanie w wielkim hotelu koło pałacu prezydenta. Spotkanie z liderami opozycji. Reżim Łukaszenki, na to pozwolił, że przywódcy partii i opozycyjnych organizacji, trudno powiedzieć, na ile one były legalne, ale jakoś funkcjonowały, mogli się z nami spotkać. Tamte czasy oczywiście już są daleko za nami...

Inna Kuley. Byłam na tym spotkaniu i pamiętam Pana.

Ryszard Terlecki. W pewnym stopniu wobec sytuacji na Białorusi byliśmy bezradni. Mówiłem w tamtych czasach, że trzeba kupić Łukaszenkę i wydaje mi się, że Łukaszenko był do kupienia, tylko Polska nie miała takich pieniędzy. Gdyby Amerykanie wtedy na to wpadli, to być może Białoruś byłaby po innej stronie. No, ale stało się tak, jak się stało. No to teraz pytajmy pana Guliaeva. Jak Pan ocenia wpływ tego, co się działo w drugiej połowie XX wieku, tych wszystkich prób odzyskania niepodległości i odbudowania suwerennych państw? Jak to się przekłada dziś na rzeczywistość Europy Środkowo-Wschodniej i na nasze, wielu z nas marzenia o tym, żeby budować silną współpracę środkowoeuropejską, która zrównoważyłaby zagrożenie ze strony Rosji, ale też stanowiłaby pewną jakby przeciwwagę dla dążeń do dominacji niemieckiej nad Europą.

Sergei Guliaev. *Gen wolności.* Sergei Guliaev, polityk, pisarz, współzałożyciel ruchu „Europejski Petersburg”, przewodniczący Komisji Obrony Kongresu Deputowanych Ludo-

wych: „Jedynym sposobem na powrót narodu rosyjskiego do cywilizowanej wspólnoty narodów jest zmuszenie go do demokracji”.

Chciałbym serdecznie podziękować obecnemu tutaj panu ministrowi Zbigniemu Rau. Dzięki jego decyzji ja i kilkudziesięciu innych Rosjan – deputowanych ludowych, którzy wystąpili przeciwko wojnie – otrzymaliśmy wizy humanitarne do Polski. Miałem ogromne szczęście. W czasie, gdy do mojego mieszkania wtargnęło kilkunastu policjantów i prokuratorów, udało mi się dotrzeć do granicy, aby zdążyć wyjechać z kraju, zanim zakończyła się rewizja i ogłoszono mnie poszukiwanym. Teraz powinienem już trzeci rok siedzieć w rosyjskim więzieniu, skazany na karę do 15 lat pozbawienia wolności. Ale przemawiam przed wami na 40. posiedzeniu Klubu „Europa Karpat” w ramach Forum Ekonomicznego w Karpaczu na panelu o symbolicznej nazwie „Ludzie wolni”!

Dziękuję panu, panie ministrze Zbigniewie Rau, oraz wszystkim pańskim kolegom z Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej za tę możliwość bycia na wolności i mówienia dzisiaj o wolności. Chciałbym podziękować Pańskim kolegom w Niemczech za to, że tysiące moich towarzyszy i przyjaciół mogło uzyskać ochronę humanitarną w krajach Europy i może kontynuować walkę z putinowskim faszyzmem. Jednak nie wszyscy mieli tyle szczęścia, co ja i moi koledzy z emigracji. Mój przyjaciel, historyk i publicysta Aleksander Skobow, dysydent jeszcze z czasów radzieckich, został ponownie skazany, tym razem przez reżim Putina, na 16 lat łagrów. Otrzymał polską wizę humanitarną, ale nie zdążył z niej skorzystać, gdy jechał do Polski na Kongres Deputowanych Ludowych. Mój przyjaciel Aleksiej Nawalny – najwybitniejszy rosyjski polityk ostatniej dekady – został zabity na rozkaz Putina w więzieniu za kołem polarnym. Gorinow, Berkowicz, Barysznikow, Bonczler, Buyanowa – lekarze, reżyserzy, deputowani, uczniowie i nauczyciele – ludzie, którzy nie uciekali się do przemocy i nie nawoływali do niej, stali się ofiarami bezprawia państwowego, są ścigani na podstawie artykułów politycznych – za słowa, za opinie, za wystąpienia przeciwko wojnie na Ukrainie. Dzisiaj na listach organizacji praw człowieka „Memorial” znajduje się ponad półtora tysiąca nazwisk więźniów politycznych, pozbawionych wolności za przekonania i za to, że mieli sumienie i odwagę, by nie milczeć.

W 1968 roku tylko siedem osób w całym ZSRR wyszło na Plac Czerwony w proteście przeciwko wkroczeniu wojsk radzieckich do Pragi, a praska gazeta napisała wówczas: „... To co najmniej siedem powodów, dla których nigdy nie będziemy mogli nienawidzić Rosjan”. Dzisiaj takich powodów są tysiące. Ludzie, którzy sprzeciwiają się agresywnej polityce Putina, państwowemu faszyzmowi, świadomie zapłacili za to swoją przyszłością, a niektórzy nawet życiem. Chciałbym dziś, korzystając z okazji, przypomnieć o nich tutaj, na tym reprezentacyjnym międzynarodowym forum. Obecni są tu członkowie polskiego rządu, posłowie polskiego parlamentu, dyplomaci, a to jest apel do was, do pełnomocnych przedstawicieli waszych krajów – nie ignorujcie tych Rosjan, nie wymieniajcie ich losów na korzyści ekonomiczne i jałmużnę od Putina.

Ważne jest, aby nie zapominać, że wraz z tysiącami rosyjskich więźniów politycznych w rosyjskich więzieniach i obozach przebywają obecnie tysiące Ukraińców, porwanych, deportowanych, wywiezionych z okupowanych obszarów Ukrainy, aresztowanych pod sfabrykowanymi zarzutami. Żyją oni w jeszcze gorszych warunkach niż Rosjanie, są systematycznie torturowani, poddawani przemocy i znęcaniu się, a wielu z nich już zginęło, nie

doczekawszy wymiany i wolności. Uratowanie wszystkich tych ludzi, a także powrót do ojczyzny deportowanych, a dokładniej porwanych ukraińskich dzieci, powinno być kluczowym warunkiem wszelkich negocjacji z dyktatorem. Co więcej, ta ważna misja humanitarna polegająca na uwolnieniu niewinnych ludzi – ukraińskich jeńców i cywilów, rosyjskich dysydentów z putinowskich więzień i obozów koncentracyjnych – może w ogóle wykraczać poza ramy negocjacji pokojowych i stać się odrębną stałą misją wspólnoty europejskiej, mającą na celu przywrócenie sprawiedliwości i prawa. Nie wiem, jak to będzie wyglądało i w jakiej formie powinno się odbyć – trybunał w Hadze czy komisja parlamentarna w Unii Europejskiej, nie mnie to decydować. Wydaje mi się jednak, że kwestia ta wymaga uwagi na szczeblu międzypaństwowym i zapewnienia wsparcia prawnego dla środków nacisku na Kreml.

Rosja przeżywa straszne czasy. Na tle najkrwawszej od czasów II wojny światowej tragedii, która pochłonęła milion ofiar ludzkich, ludzie nie wychodzą na ulice z protestami, tłum milczy. Rosja jest zastraszona represjami, strachem przed prześladowaniami za słowa i myśli. Tylko kilka tysięcy bohaterów próbuje ocalić honor kraju, sprzeciwiając się faszystowskiej okupacji Ukrainy. Nawet w epoce breżniewowskiej reakcji w kraju nie było tak wielu dysydentów i osób o odmiennych poglądach za kratkami. Rosja cofa się do lat 30. ubiegłego wieku – czasów masowych represji, samowoli i bezprawia.

Tak się złożyło, że kilka pokoleń mojej rodziny w XX wieku zostało zmiażdżonych przez represje i prześladowania. Według standardów państwa radzieckiego i rosyjskiego jestem dziedzicznym wrogiem ludu. Mój pradziadek został rozstrzelany przez bolszewików w 1921 roku jako członek białej gwardii. Jego syn i mój dziadek podczas Wielkiego Terroru został aresztowany przez NKWD w 1937 roku w trakcie „operacji polskiej” wraz z prawie 200 000 polskich obywateli ZSRR. Wśród 111 tysięcy skazanych na rozstrzelanie Polaków był również mój dziadek. Został rozstrzelany, uznany za szpiega tak zwanej Polskiej Organizacji Wojskowej. Był Białorusinem, a cała jego wina polegała na tym, że ci, z którymi się przyjaźnił i razem pracował na budowie, byli Polakami. Moja babcia, jako żona wroga ludu, nie została przyjęta do pracy nawet jako sprzątaczką na poczcie. Moja mama przez całe dzieciństwo i młodość nosiła piętno „wroga ludu” – „córkę wroga ludu”, nie mogła uzyskać wyższego wykształcenia ani normalnej pracy. A teraz rosyjskie państwo dosięgło mnie – zostałem uznany za agenta zagranicznego. To współczesny eufemizm starego pojęcia – wróg ludu. Wychodzi na to, że jestem wrogiem z czwartego pokolenia. W rzeczywistości nie jestem wrogiem swojego narodu. Jestem wrogiem rosyjskiego totalitarnego państwa, jestem wrogiem faszystowskiego reżimu Putina – tego całkowicie kłamliwego, skorumpowanego i agresywnego nowotworu złośliwego na ciele naszego kraju.

Poświęciłem prawie 20 lat służbie w wojsku, broniąc interesów kraju, w tym dwa lata na wojnie. Byłem wśród likwidatorów awarii w Czarnobylu. Szczerze broniłem interesów moich wyborców w parlamencie Petersburga, nie kradłem, nie rabowałem, nie grabiłem swojego kraju, jak robi to Putin, nie przejmowałem przedsiębiorstw i nie wsadzałem przeciwników do więzień. Nie zajmowałem cudzych terytoriów, nie zabijałem setek tysięcy ludzi dla własnych ambicji i utrzymania władzy. Staralem się być uczciwym człowiekiem i tego uczyłem swoje dzieci. Który z nas jest zatem wrogiem narodu?

Cieszę się, że moja rodzina ma kontynuację w moich dzieciach i wnukach, że gen wolności i wolnomyślicielstwa, który w cudowny sposób przekazali mi moi przodkowie, będzie kontynuowany przez moich potomków. Rozumiem jednak, że życie w dzisiejszej

Rosji z cechami, które w nich wychowałem, nie będzie łatwe dla moich dzieci i mogą one z łatwością powtórzyć los mój oraz naszych dziadków i pradiadków.

Dzisiejsza rosyjska opozycja jest rozbita i słaba jak nigdy dotąd w najnowszej historii. Wydaje mi się jednak, że wraz z moimi towarzyszami z ruchu oporu wykonujemy jedną ważną misję: zachowujemy w sobie gen wolności, gen tych nielicznych wolnych ludzi, których przodkowie zdołali przetrwać straszny XX wiek w historii Rosji. Spoczywa na nas historyczna odpowiedzialność za przywrócenie wolności w Rosji.

Wojna Rosji z Ukrainą i tak prędzej czy później się skończy. Wierzę, że ta wojna zakończy się zwycięstwem Ukrainy. A właściwie nie wierzę, ale wiem i rozumiem to jako człowiek wojskowy. Putin nie ma szans na podbój dużego europejskiego państwa, dysponującego regularną armią, poważnym potencjałem mobilizacyjnym, które ponadto jest wspierane bronią, finansowo i moralnie przez całą Europę i świat! Wraz z zakończeniem wojny nieuchronnie skończy się również władza Putina. Wtedy będziemy musieli wrócić do domu i zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby zbudować nowe relacje między władzą a społeczeństwem, stworzyć system kontroli i równowagi, aby żadne grupy ani klany nigdy więcej nie mogły uzurpować sobie władzy w kraju. Właściwie nie trzeba tu niczego wymyślać. System ten nazywa się demokracją. Ale demokracja nie jest darem z góry, to poważna i ogromna praca dla całego społeczeństwa, pozbycie się genu imperializmu i wielkości, resentymentu i cierpień związanych z przeszłością. Mojżesz przez 40 lat prowadził Żydów przez pustynię, aby pozbyli się pamięci o niewoli. Dla Rosjan ta droga również nie będzie krótka i łatwa.

Występując kiedyś na Forum Wolnej Rosji w Wilnie, nazwałem tę drogę „przymusem demokracji”. To moje zdanie było potem przez długi czas wykorzystywane przez rosyjskich propagandystów jako rodzaj straszydła i przerażającej wizji we wszystkich państwowych kanałach telewizyjnych: zobaczcie, do czego wzywają ci wyrzutki – do dyktatury demokracji! Do przymusu!

Do dziś jestem przekonany, że naród rosyjski musi przejść drogę przymusu do demokracji. Drogę wyzdrowienia z faszyzmu i agresji, wytrzeźwienia z putinowskiej propagandy, drogę powrotu do rodziny narodów europejskich. Nauczyć się szanować prawa i wolności – zarówno swoje, jak i sąsiadów, nauczyć się żyć w pokoju, uznawać nienaruszalność granic osobistych i granic państwowych. Nie mnożyć wrogów, być uczciwym i sprawiedliwym, w końcu po prostu nie brudzić w windzie i nie rzucać śmieci na ulicę. Wydają się to proste postulaty, ale jak daleko od nich odeszliśmy w tej putinowskiej mgłę i potwornym odurzeniu propagandą. I tę trudną drogę my, przedstawiciele rosyjskiej opozycji, będziemy musieli przebyć razem z naszym narodem, kiedy wrócimy do Rosji. Już teraz robimy wszystko, co w naszej mocy, aby nasz głos z emigracji był słyszalny. Jeszcze raz dziękujemy naszym polskim i niemieckim przyjaciółom za to, że pomagacie nam przetrwać i wytrwać na naszej trudnej drodze, nabrać sił, aby powrócić do Rosji i zmienić ją w kraj otwarty, demokratyczny i przyjazny sąsiadom. Dziękujemy!

Ryszard Terlecki. Bardzo dziękuję. Tak, nadzieja umiera ostatnia. Przed godziną, podczas poprzedniego panelu, słuchaliśmy tutaj dyskusji, której wnioski były dość pesymistyczne, jeżeli chodzi o Rosję. To znaczy, że ani nie można liczyć na społeczeństwo rosyjskie, żeby się otrząsnęło z tego pewnego bezwładu, w którym akceptuje wojnę na Ukrainie, ani nie można się spodziewać jakiś przetasowań we władzy, które by zmierzały do

nawiązania normalnych partnerskich relacji z resztą świata. Rosja wciąż chce być imperium. Profesor Jan Malicki, specjalista od polityki wschodniej: mamy dramatycznie mało czasu. Czy mógłbyś profesorze podsumować nasze wypowiedzi?

Jan Malicki. Trochę mnie ratujesz, ponieważ danie mi teraz głosu do własnej wypowiedzi doprowadziłoby do katastrofy, bo już nic nie da się mądrego powiedzieć, po tych wypowiedziach. Ale wszystkim bardzo serdecznie gratuluję. Wypowiedź pana Guliejewa zapamiętam nadal patrząc на российский демократию. Ja myślę, że gdybym miał podsumowywać, powiedziałbym w ten sposób, nawiązując troszkę także do wypowiedzi mojej znakomitej sąsiadki. Sto lat temu wielki przywódca Polski, wtedy jeszcze naczelnik państwa, później marszałek Piłsudski powiedział tak do Polaków narzekających na trudy walki: „bo wam wydawało się, że wolność będzie kosztowała jedną kroplę potu i dwie krople krwi”. A to nieprawda! I tu nawiązuję do hasła opisującego ten panel, że o wolność trzeba dbać i o wolność trzeba stale zabiegać. A jeśli wolności nie ma, to te drogi muszą być albo drogami przymusu, albo długiej walki. Moja sąsiadka wspomniała, że Związek Sowiecki rozpadł się na terytorium Republiki Białoruskiej, ale Białorusini wolności nie odzyskali. Wspomniana została wojna na Ukrainie. Tu powiem jeszcze jedno, nawiązując do marszałka Piłsudskiego. Troszkę to jest tak z Białorusinami i troszkę również z Ukraińcami, że jeśli wolność kosztuje bardzo wiele i wymaga wielu ofiar i wiele poświęceń, to jest niezwykle ceniona. Kraje bałtyckie Estończycy, Łotysze czy Litwini, którzy latami walczyli o tę wolność i położyli wielkie, wielkie ofiary, nigdy nie mieli wątpliwości, że stał się cud boski, kiedy nagle po rozpadzie Związku Sowieckiego mogli wrócić do swoich państw. W sensie prawnym to, jak wiedzą Państwo, nawet na przykład w przypadku litewskim, ale chyba i w trzech krajach nie było to ani odzyskiwanie niepodległości, ani tworzenie państwa, tylko przywrócenie! Przywrócenie państwa, które było okupowane - taką formułę prawną zastosowano.

Dlaczego wymieniłem Białorusinów i Ukraińców? Otóż w 1991 roku w Wiskulach, białoruskiej części puszczy białowieskiej ósmego grudnia rozwiązano Związek Sowiecki. I Białorusinom i Ukraińcom wydawało się, że po prostu przyszła wolność i my ją mamy. Następnie okazało się, że nie, że nie wystarczy na papierze mieć wolne i niepodległe państwo ukraińskie, bo przyszła wojna i przyszli ci, którzy nie uznają wolnej i niepodległej Ukrainy, Białorusi i innych państw. I oto teraz, formalnie rzecz biorąc od 2014 roku, trwa przecież wojna, prawdziwa wojna o niepodległość. I dopiero, kiedy ta wojna się zakończy, nikt nie będzie miał na Ukrainie wątpliwości, że oto mamy wolność. Nie którą nam ktoś dał podpisując papier, ale tę, którą my sobie wywalczyliśmy.

Jak będzie z Białorusinami? Oby nie było wojny... Zacząłem już mówić jak Białorusin, bo każdy na Białorusi zna takie hasło: żeby tylko wojny nie było. To powodowało zresztą, że na Białorusi latami nie było w ogóle oporu, aż do czasu, kiedy wyrosło nowe pokolenie, które po pierwsze zaczęło się wstydzić, że ma za prezydenta takiego prostego człowieka, a po wtóre, że na to trzecie pokolenie przestało już działać hasło przestrochu wojennego o wojnie.

Zatem konkludując, zaczęliśmy mówić o doświadczeniach w tym panelu, o doświadczeniach osobistych, o własnych. Jak widzieliśmy, przeszliśmy przez doświadczenia rosyjskiej emigracji wolnościowej w Europie, która jakby to śmiesznie nie zabrzmiało, największe skupisko ma w Pradze i w Berlinie, przez ocenę co czeka Rosję? Jak w istocie

archiwum wolności

przymusić Rosję do tego, żeby się stała demokratyczna? Ale tu nawiążę do słów pana marszałka, że bez Ameryki nikt z nas nie zdoła do niczego Rosji przymusić. No i ta zagadka wojny, o trudniku wojny, o której mówiono i zagadka Białorusi, o której wspomniała pani Inna. Ostatnie zdanie. Zgadzam się z opisem tego panelu. Wolność to jest coś, o co trzeba stale dbać, pielęgnować i zabiegać zarówno w sensie osobistym, jak i w sensie społecznym, jak i w sensie państwowym i w sensie niepodległości.

Ryszard Terlecki. Masz rację, Profesorze. Dodałbym do tego jeszcze, że za wolność zwykle trzeba płacić krwią. Szanowni Państwo, wyczerpaliśmy czas. Więc bardzo dziękuję Państwu i bardzo dziękuję przede wszystkim panelistom.



Od lewej: Denis Bilunov, Ryszard Terlecki, Sergei Guliaev (fot. ze zbiorów PTK)



Uczestnicy panelu Ludzie Wolności (fot. ze zbiorów PTK)

ROBERT FIELDING



(fot. M. Olejnik, ze zbiorów Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego)

Fielding Robert (Encyklopedia Solidarności)

ur. 9 IV 1952 w Bostonie, Massachusetts (USA). Absolwent Middlebury College w Middlebury (Vermont), kierunek filologia rosyjska (BA 1981). 1973-1975 pracownik w stanowym szpitalu psychiatrycznym w Waltham w Massachusetts; 1975-1976 tłumacz sądowy w Suffolk County Superior Court w Bostonie w Massachusetts; 1976-1982 nauczyciel języka angielskiego dla dorosłych żydowskich uchodźców ze ZSRR w Combined Jewish Philanthropies w Bostonie; 1981-1982 nauczyciel j. angielskiego w Belmont Public Schools w Belmont w Massachusetts. I-X 1982 członek Support of Solidarity w Bostonie, założonej przez Stanisława Barańczaka. 1 XI 1982 – 1983 w ramach wymiany pomiędzy University of Florida w Gainesville a Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu student filologii polskiej UAM i 1982–1984 lektor języka angielskiego w Instytucie Filologii Angielskiej. 1982-1984 współpracownik Janusza Pałubickiego i struktur podziemnych Solidarności w Poznaniu. 1 V 1983 zatrzymany podczas demonstracji ulicznej w Poznaniu, następnie dwukrotnie przesłuchiwany przez SB. 1983-1988 jeździł na Zachód: do Paryża (kontakt z Miroslawem Chojeckim, Zbigniewem Praskim) i Niemiec (do Stanisława Jałowieckiego z RWE w Monachium i Leszka Szarugi w Berlinie Zachodnim): współorganizator przerzutów sprzętu, wydawnictw emigracyjnych, pieniędzy, przekazywał dokumenty i informacje ośrodkom na Zachodzie o sytuacji w Polsce i w strukturach konspiracyjnych „S” (szerokie kontakty z placówkami dyplomatycznymi USA,

Wielkiej Brytanii). 1984-1989 lektor języka angielskiego w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. 1985-1989 współpracownik podziemnych struktur „S” Śląska Opolskiego (Jana Całki, Wojciecha Podhajeckiego z NZS, duszpasterza akademickiego o. Józefa Czapłaka SJ, w Namysłowie i Młyńskim Stawie Wiesława Molińskiego). 1985-1989 pomagał w wydawaniu podziemnego pisma „Solidarność Opolska”. W 1988 współorganizator w WSP w Opolu nielegalnego Komitetu Organizacyjnego „S”. 1986-1989 współpracownik Solidarności Polsko-Czechosłowackiej we Wrocławiu (Mirostaw Jasiński, Jarosław Broda) i w Warszawie (m.in. Adam Michnik, Jacek Kuroń). W V i VIII 1988 wyjeżdżał do Budapesztu na spotkania z działaczami węgierskiej opozycji demokratycznej, organizator ich przyjazdu 25-28 VIII 1988 na Międzynarodową Konferencję Praw Człowieka zorganizowaną w kościele św. Maksymiliana Kolbe w Krakowie Mistrzejowicach; współpracownik Solidarności Polsko-Węgierskiej w Warszawie – 1989 (W. Maziarski, Z. Romaszewski). IV-VI 1989 współpracownik Opolskiego KO „S”. W 1989 członek KZ na WSP w Opolu. 1 X 1989 – IX 1997 pracownik Działu Zagranicznego KKW/KK w Gdańsku odpowiedzialny za kontakty z Ameryką Północną w tym z centralą AFL-CIO w USA oraz równocześnie tłumacz Lecha Wałęsy (m.in. 15 IX 1990 w czasie wizyty Ronalda Reagana w Gdańsku) i Solidarności, tłumacz i opiekun w Polsce Lane'a Kirklanda, szefa AFL-CIO. 17 III 1990 współorganizator spotkania Wacława Hawla i L. Wałęsy w Karkonoszach. Współpracownik OBWE: współorganizator obserwacji wyborów parlamentarnych w Rosji (1993), Mołdawii (1994), Kazachstanie (1994), Ukrainie (1994) i w 1995 wysłany na Białoruś. W 1994 stażysta (przez 6 mies.) w Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych w Brukseli wysłany przez KK „S”. 1995-1996 współpracownik Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych, Międzynarodowej Organizacji Pracy w Genewie (w 1996 przez miesiąc w biurze MOP w Budapeszcie) i 1996-1997 Public Services International tamże (misje w Armenii, Azerbejdżanie, Gruzji i Ukrainie). X 1997 – 2017 pracownik Solidarity Center AFL-CIO w USA: w II 2001 dyr. programu SC AFL-CIO na Białorusi, następnie w 2001 aresztowany przez białorską KGB i deportowany do Polski z zakazem wjazdu na 5 lat; 2002–2007 kierownik programów S.C. m.in. na Ukrainie, w Mołdawii i Gruzji; w 2004 organizator przyjazdów polskich polityków w tym L. Wałęsy i działaczy „S” w czasie pomarańczowej rewolucji na Ukrainie; od 2008 kierownik programu amerykańskiego CS w Gruzji, Kirgistanie (skąd w 2014 został wydalony), Iraku (2016-2018). Od 2018 na emeryturze.

Odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności (2016).

Od 1982/1983 – 26 X 1984 – 14 XI 1989 rozpracowywany przez Wydz. II KW MO/WUSW w Poznaniu/Wydz. II WUSW w Opolu, od 14 XI 1989 przez Wydz. II WUSW w Gdańsku w ramach KE/SOS krypt. Bob.

Grzegorz Majchrzak, Łukasz Sołtysik

Robert John Fielding „Bob”

Rozmowa biograficzna. Moje zaangażowanie w rozwój związków zawodowych i obronę wolności obywatelskich w Europie Środkowej i Wschodniej.

(nagranie marzec-kwiecień 2025 z udziałem: Marek Kuchciński, Maciej Łopiński)

1. Początki amerykańskie

- **Marek Kuchcinski:** Jesteś Amerykaninem i takie masz obywatelstwo?

- **Robert Bob Fielding:** Urodziłem się 9 kwietnia 1952 roku, w Bostonie, w stanie Massachusetts (USA), jestem Amerykaninem irlandzkiego pochodzenia: mam kartę stałego pobytu w Polsce, którą otrzymałem za czasów Leszka Kaczyńskiego.

- **Opowiedz o początkach Twoich zainteresowań polityką i Europą Środkowowschodnią.**

- Jestem absolwentem Middlebury College w Middlebury w stanie Vermont w USA. To są czteroletnie studia, odpowiednik polskiego licencjatu. Studiowałem w latach 1970-73 i 1980-81 filologię rosyjską (BA 1981). Ta przerwa była spowodowana tym, że nie byłem przekonany czy to jest właściwy dla mnie kierunek. I po trzecim roku przerwałem studia, ale ojciec przekonał mnie żebym poszedł na letnią szkołę języka. Ten College był znany w Stanach z nauki różnych języków. Polityka nigdy mnie specjalnie nie interesowała, może bardziej ludzie i ich sprawy. Ciągłe szukałem swojego miejsca. Ale na tym letnim kursie w 1973 roku poznałem jednego z dysydentów, który dopiero co przyjechał z Sowietów. Nazywał się Jurij Glazow, był jednym z tych, których Sowietci wypuścili po negocjacjach senatora Edwarda Teda Kennedy'ego, który na prośbę Żydów amerykańskich negocjował z Breżniewem sprawę wypuszczenia dysydentów i Żydów w zamian m.in. za zboże, kukurydzę itp., bo tam był głód, kołchozy nie pracowały dobrze. Senator Kennedy jest wujkiem obecnego ministra w rządzie Trumpa, jest bratem Johna Kennedy'ego i Roberta, najmłodszym z tych braci. Najstarszy zginął w czasie drugiej wojny światowej, a Johna dopadli w zamachu w 1963 roku. Ten Rosjanin Glazow pracował w Boston College, jezuickiej uczelni i przez niego poznałem wszystkich dysydentów, którzy przyjeżdżali wtedy do Stanów, a byli w łagrach, więzieniach i szpitalach psychiatrycznych. Na przykład, Aleksander Jesienin-Woltyn, wybitny matematyk i poeta, syn Sergieja Jesienina został zamknięty w szpitalu, bo sędzia sowiecki doszedł do wniosku, że musi być szalony, jeśli jest przeciwko Związkowi Radzieckiemu. On pracował także w Boston University. Potem poznałem Pawła Litwinowa, syna czy wnuka Maksima Litwinowa, ministra spraw zagranicznych za czasów Stalina. Oni wszyscy byli związani z ruchem Andrieja Sacharowa, który był na zesłaniu w mieście Gorki. Jego żona, Jelena Boner była Żydówką i dzięki Tedowi Kennedy'emu udało się sprowadzić jej syna Alioszę do Stanów, ale wypuścili go bez żony. Ja go znałem, znałem ich wszystkich, ponad dziesięciu, ale większość już nie żyje. Żyje tylko Litwinow i wdowa po Juriju Glazowie. Jesienin-Woltyn zmarł, zmarł Naumkażanow, redaktor czasopisma, które wydawał z

Żydami paryskimi. Był jeszcze lekarz ginekolog, Anatolij Primak, z którym zaprzyjaźniłem się. Każdy z nich był związany z jakimś uniwersytetem.

- To było środowisko ludzi sprzeciwiających się systemowi komunistycznemu w Związku Sowieckim, ale głównie działacze ruchu obrony praw człowieka skupieni wokół takich postaci, jak Andriej Sacharow, bo byli tam jeszcze tacy jak Aleksander Sołżenicyn, który został wydalony z Sowietów w latach 70., czy Władimir Bukowski – Polak z pochodzenia.

- Tak, ja miałem kontakt z ludźmi związanymi z Sacharowem. Była jeszcze Galina, wdowa po poecie o nazwisku Ilia Gabaj, którego twórczości komuniści nie akceptowali, więc wydawał samizdaty. Ona przyjechała do Stanów sama z synem i z małą córką, bo on zginął. Cały czas był zamykany w różnych więzieniach i któregoś razu Sowietci wpadli na rewizję do nich o 6 rano, mieszkali w bloku na którymś piętrze, rewidują i nagle mówią do żony: „niech Pani zobaczy na dół, bo tam mąż czeka...” A on leżał na chodniku. Do dzisiaj oni mówią, że wyskoczył i zabił się, ale wszyscy są przekonani, że sami wyrzucili go przez okno i zabili. Poznałem tę wdowę, to było bardzo trudne przeżycie. Przez te 6-7 lat trzymałem się z tymi dysydentami, z ich rodzinami i przeżywałem z nimi dramatyczne sytuacje, chociaż nie znałem ich współpracowników, kolegów w Związku Sowieckim, którzy nadal tam byli i cały czas byli zamykani, bici, straszne rzeczy działy się. Ja wtedy trochę mieszkalem u ojca pod Bostonem i pracowałem w Bostonie.

- Właśnie, skąd miałeś pieniądze, przecież studia były płatne?

- Różne rzeczy robiłem, pracowałem w różnych miejscach. Przez półtora roku pracowałem w szpitalu psychiatrycznym w latach 1973-75...

- Przypominam sobie z tamtych lat film „Lot nad kukułczym gniazdem”, fantastyczny film ze sceną, kiedy ludzie podporządkowani dyktatorskim zapędom pielęgniarzki-despotki, wypłynęli łodzią na środek jeziora – symbolizującego wolność i nie wiedzieli co z nią zrobić, łódź zaczęła kręcić się w kółko. A także o niedostosowanych do życia w szablono- ułożonym współczesnym świecie, bo ten wielki Indianin po wyrwaniu umywalki z korzeniami, poszedł w ciemną noc wolności.... Trochę przypominało mi to powtórkę z buntu młodych lat 60, tylko tym razem działo się to w szpitalu psychiatrycznym, przypominającym trochę życie w komunizmie. Całe nasze życie w systemie totalitarnym związane było z marzeniami o wolności – politycznej, praw człowieka, obywatela, wewnętrznej, światopoglądowej...

- Tak, ale ten Indianin sygnalizował także nierozstrzygnięte problemy rasowe... Malowałem też budynki, mieszkania, potem byłem tłumaczem sądowym dla Suffolk County Courts, Massachusetts w latach 1975-76. W końcu znalazłem pracę, która mi odpowiadała. To był czas, kiedy Kennedy drugi raz załatwił przyjazd Żydów rosyjskich do Stanów. Powstała wtedy żydowska organizacja filantropijna zajmująca się tymi dysydentami, która ogłosiła w gazecie, że szukają tłumacza. Od razu pojechałem tam i dowiedziałem się, że godzinę wcześniej już przyjęli kogoś innego. Ale podczas rozmowy z dziewczyną w tej firmie, ona mówi, że szukają doświadczonych nauczycieli języka angielskiego dla obcokrajowców i pyta

mnie czy mam takie doświadczenie. Ja odpowiedziałem – oczywiście i zaczynam mówić o tych dysydentach, że już ich uczyłem angielskiego i ich dzieci. A oni wszyscy byli profesorami, oprócz tego ginekologa, dlatego sam chętnie też uczyłem się od nich. I choć miałem już trzy lata nauki rosyjskiego zaliczone, to te kontakty były bardzo cenne, oni intelektualnie byli bardzo mocni. Trzymali się razem i ktokolwiek do nich przyjeżdżał, z Nowego Yorku i innych miejsc, to zawsze mnie zapraszali jako tłumacza. Mówili głównie po rosyjsku, ja tłumaczyłem, a pili tyle, że już myślałem, że zostanę alkoholikiem. Więc opowiadam tej pani, że jestem tłumaczem od wszystkiego. To było trochę na wyrost, ale ona mnie zatrudniła jako nauczyciela języka angielskiego dla nowych przybyszów, dorosłych żydowskich uchodźców z Sowieckiego Sojuza. To nie byli dysydenci, tylko Żydzi. Pracowałem więc dla Zjednoczonych Filantropii Żydowskich - Combined Jewish Philanthropies of Boston (1976-81). Oni dostawali od rządu amerykańskiego pieniądze, żeby zaopiekować się tymi Żydami, którzy nic nie mieli. I ci dorośli, od 18 roku życia mieli kursy języka angielskiego. W taki sposób pracowałem dla rządu amerykańskiego przez cztery lata. Zostałem zatrudniony pod jednym warunkiem: nikt z tych moich studentów żydowskich nie mógł wiedzieć, że znam język rosyjski. Bo oni mieli tylko 9 miesięcy, żeby nauczyć się języka angielskiego i przygotować do życia w Stanach. Oni często rozmawiali między sobą po rosyjsku, a ja musiałem trzymać język za zębami, żeby się nie śmiać, że wszystko rozumiem. Pracowałem także jako nauczyciel angielskiego w Belmont Public Schools w Massachusetts w latach 1981-82. Ale obiecałem rodzicom, że skończę studia, więc słowa dotrzymałem, skończyłem pierwszy stopień studiów. To były studia płatne, szkoła prywatna, więc potrzebne były pieniądze. Miałem w planach zrobić studia magisterskie, ale nie wyszło.

- Kiedy wróciłeś na studia i w jakich okolicznościach?

- Wróciłem na studia w 1980 roku, na ostatnie dwa semestry, żeby dostać dyplom ukończenia filologii rosyjskiej. Do Middlebury College pojechałem wiosną. Pierwszy miesiąc, styczeń, tym się charakteryzował, że mogłeś uczyć się czegokolwiek na tej uczelni w instytucie rosyjskim. I poszedłem do wicedyrektorki instytutu, żeby skonsultować które zajęcia wybrać - znam ją do dzisiaj, nazywa się Aleksandra Beyker, rosyjskiego pochodzenia, ma 87 lat, jej mąż był rektorem, już nie żyje. I przyłączyłem się do kursu dla studentów z drugiego roku. W pierwszym dniu byłem przerażony, bo oni wszyscy mówili płynnie po rosyjsku. W ciągu mojej siedmioletniej nieobecności poziom zajęć podniósł się do tego stopnia, że mówiono już biegle po rosyjsku! I kiedy na zajęciach dostaliśmy teksty do przeczytania, to były fragmenty książek, ja poprosiłem o dzień zwłoki, bo musiałem się przygotować. A ta dyrektorka mówi – dobrze, ale będziesz czytał pierwszy, a inni będą Cię poprawiać. Następnego dnia nie pamiętam co mówiłem, bo byłem przestraszony, mokry od potu, czerwony na buzi, ale coś mówiłem. I nagle ona mówi – dziękuję, spasiba. A ja myślałem, że tyle błędów zrobiłem, że to koniec. Nikt nic nie mówił, więc pomyślałem, że tak źle było, że wszyscy patrzą na mnie żałośnie. Dyrektorka powiedziała: - chcę Cię zobaczyć o 14.00 w moim biurze. Byłem przekonany, że wyśle mnie do domu, bo się nie nadaję. Wszedłem, zamknęła drzwi, rozmawiamy po angielsku, a ona pyta mnie: - czy nie uważasz, że to jest dziwne, że nikt Cię nie poprawiał? Ja słucham zdziwiony, a ona mówi: - nie zrobiłeś żadnego błędu! A oni niewiele zrozumieli, bo tak szybko gadałeś. I wtedy zapytała mnie - gdzie Ty byłeś przez te lata? Czy byłeś w Związku Radzieckim? Ja mówię -

w życiu nie byłem. A ona mówi: - Ty lepiej mówisz, niż wszyscy studenci na naszej uczelni i lepiej niż wszyscy profesorowie – oprócz mnie - ona była rodowitą Rosjanką. Ja zacząłem jej tłumaczyć kogo znam i z kim spotykam się od lat, tych wszystkich dysydentów, to trochę jej wyjaśniło.

- Ci dysydenci, zarówno polityczni, jak i Żydzi, to był świat zamknięty. Jak szybko adaptowali się do nowych warunków, bo przecież przybyli do USA z kraju od pokoleń cięmiężonego?

- To często przypominało horror, bo oni czuli się bardzo winni, że wyjechali i zostawili innych, którzy siedzieli w więzieniu. Często płakali, bo zostawili także swoje rodziny, rodziców, rodzeństwo. Nie chcieli być bohaterami, ale trochę im brakowało tego, że nikt nie zwraca na nich uwagi, poza kilkoma osobami na uniwersytetach, gdzie pracowali i jakimś politykiem interesującym się sprawami sowieckimi. Oni pracowali w Middlebury College, w Harvard University, w Boston University, Columbia, University of Pennsylvania i innych uniwersytetach na wschodnim wybrzeżu USA. Byli to dysydenci rosyjscy i żydowscy. Dzięki nim, w latach 1973-82 poznałem działalność ruchu na rzecz praw człowieka w ZSRS.

- W tamtym czasie poznałeś też Stanisława Barańczaka? Bo także mieszkał w Stanach chyba od lat 70.

- Przez dziewczynę poznaną w Moskwie, więc posłuchaj, bo wszystkie wątki, które opowiadam są ważne, powiązane ze sobą. Jak już wróciłem na ten College, to miałem już prawie 7 lat praktyki mówienia po rosyjsku, dzięki tym dysydentom i równolegle zostałem dobrym nauczycielem angielskiego dla żydowskich imigrantów. Middlebury College miał program wymiany ze Związkiem Radzieckim, wysyłali 10 studentów na semestr do Moskwy, a dostawali podczas letnich kursów języka rosyjskiego ubeka, który uczył rosyjskiego. Więc gdy skończyłem przedostatni semestr, to powinienem był pojechać na ostatni do Moskwy. Ale już wszystko było obsadzone i musiałem czekać. Pojechałem tam dopiero w 1981 roku. Mieszkałem w ogromnym domu studentów dla białych. Inny akademik był dla czarnych, chociaż byli tam też Wietnamczycy. I jeden z moich przyjaciół, amerykańskich studentów, zaczął spotykać się z pewną kobietą, Bułgarką. Byli w tym akademiku studenci z Anglii, Czechosłowacji, Polski, całej Europy. I powiedział mi, żebym nikomu nie mówił, bo ona ma męża, który jest milicjonerem bułgarskim. Któregoś wieczora ktoś słyszał nas śpiewających Beatlesów. Ja umiałem kilka akordów na gitarze, a ona była zaproszona przez inne dziewczyny z Polski na urodziny. W jednym pokoju mieszkało ich 5. I ta Bułgarka pyta je czy może wziąć swego chłopaka, Amerykanina i jego przyjaciela, bo oni śpiewają Beatlesów. I tak miałem pierwsze spotkanie z polskimi studentkami. Nie było na czym siedzieć, tylko łóżka, nie było żadnego alkoholu, nikt nie palił. Te Polki siedziały na łóżkach, a my na podłodze i próbowaliśmy coś śpiewać, gdy nagle o 11 wieczorem słyszymy stukanie w drzwi, ja myślę, że to KGB i koniec z nami, a tu jakiś facet podchodzi do nas, jego kolana były na wysokości naszych twarzy i zaczął pieprzyć nam co my tu robimy, że nie mamy prawa tu być. A ja myślałem, że on żartuje, mówię – stary, siadaj, ale on stawia się i mnie lekko kopnął. Ja wstałem i mówię: - Stary, ja wiem, kto Ciebie uczył, ale ty nie wiesz kto mnie uczył, więc może wyjdziemy na korytarz? I daję Ci słowo, że jak będę wygrywał, to

zabiję Ciebie. Mówię to po rusku. Kolega Amerykanin mówi żebyśmy wychodzili, bo dziewczyny zaczynają się bać. Wyszliśmy, a wiesz kto to był ten Ruski? Eugeniusz Czykwin – zasłużony artysta sowieckiego sojuza, wielki poeta białoruski. Był kilka razy w kontraktowym Sejmie i potem także z listy komunistycznej. Następnego dnia zostałem wezwany do rektora akademika, razem z moim profesorem ze Stanów, który pyta mnie: - co Ty wczoraj zrobiłeś? Ja mówię – nic, miałem do czynienia z KGB-owcem i powiedziałem mu, że jak będzie mnie kopał, to go zabiję. A ten dyrektor mówi, że to był Polak i zaczyna mnie opierniczać żebym więcej tego nie robił.

- Eugeniusz Czykwin, prawosławny, bardziej chyba dziennikarz i poseł, niż poeta. Został wybrany do Sejmu komunistycznego w roku 1985, tym samym, w którym mnie aresztowano w trakcie kampanii wyborczej do sejmu PRL. W Sejmie III RP, w 2001 roku byliśmy razem w komisji ds. mniejszości narodowych. Ale wróćmy do Barańczaka, dotarłeś do niego poprzez ludzi poznanych w Moskwie, czy w związku z okolicznościami Twego tam pobytu?

- Można powiedzieć, że przez Moskwę i dysydentów. Ja z jedną z tych Polek zacząłem się spotykać, miała na imię Bernadetta i potem, już po powrocie do Stanów, załatwiałem jej lekarstwa dla rodziny w Polsce, a to było związane z włączeniem się w działalność podziemnej Solidarności, ale o tym potem. Wtedy, w 1981 roku jechałem z Moskwy do Stanów pociągiem przez Warszawę, tam była zmiana składów, ale z wagonu nie mogłem wyjść i dalej do Czechosłowacji. Miałem stamtąd wywieźć dokumenty związane z edukacją pewnej Czeszki, która była moją studentką angielskiego na kursach z Żydami w Stanach. Uciekła w latach 70. z Czechosłowacji i nie mogła się zatrudnić, bo nie miała dokumentów, że skończyła nawet średnią szkołę. Pracowała na Harvardzie i gdy wróciłem, spytałem ją, czy zna jakiegoś Polaka, który nie jest na stypendium rządowym, PRL-owskim, a który pracuje na Harvardzie. Ona mówi: - Znam jednego i on jest nasz. – Co to znaczy? – On dysydent polski. I to był Stanisław Barańczak. I poznała mnie z Barańczakiem w Harvard University. On wykładał kilka lat na uniwersytecie literaturę, sławistykę. Harvard trzymał przez 4 lata miejsce dla niego, bo był zaproszony jeszcze w 1976 roku, ale ponieważ był jednym z założycieli KOR, wyrzucili go z Uniwersytetu Poznańskiego, żonę pracującą na polonistyce także wywalili z pracy, stracili mieszkanie i mieszkali u jego mamy. Przez 4 lata trzymali go nie wypuszczając z Polski. Gdy go poznawałem, w 1981 roku, nie miałem pojęcia kto to jest. Przez dwa miesiące jeździłem do niego do biura, raz w tygodniu, żeby mi wyjaśnił co się dzieje w Polsce. Wtedy był I Zjazd Solidarności. I on mi próbował tłumaczyć, co tam się dzieje.

W grudniu 1981 roku w Bostonie spadł ogromny śnieg, ja mieszkalem u ojca i pomagałem mu w odśnieżaniu posesji i trochę się pochorowałem, dostałem zapalenia płuc. To było 12 grudnia. Kaszlałem, leżałem umierający w kuchni, ojciec gotował kolację, miał włączony telewizor. I nagle zaczęli przerywać program informując, że coś złego dzieje się w Polsce. 12 grudnia u nas była godzina 18.00, sześć godzin różnicy, a stan wojenny był wprowadzony 13 grudnia. Nie bardzo wiadomo co tam się działo, ale po godzinie takich przerywanych informacji, wziąłem telefon, zadzwoniłem do Stanisława i pytam: - czy wiesz co się dzieje w Twoim kraju? On mówi: - nie. Ja: - nie masz włączonego radia czy telewizora? Włącz i zadzwoń do wszystkich Twoich... I zaczynam mu mówić, co widziałem, a on: - O

Boże, O Boże! Następnego rana w niedzielę, wy macie gazety weekendowe, a u nas jest także niedzielna duża gazeta, śnieg jeszcze padał, ja wziąłem dużą gazetę, strzepuję śnieg, a tam na pierwszej stronie twarz Barańczaka i krótki opis kim on jest. Ja sobie myślę: - ja pierniczę, kim on jest! On dał pierwsze komentarze w Ameryce o stanie wojennym! Waszego czasu to była 3 rano 13 grudnia i to wydrukowali!

W następną sobotę 19 grudnia, byłem u polskiego lekarza, który pracował w Stanach już 30 lat, po leki na serce, o które prosiła mnie poznana w Moskwie Bernadetta, bo nie było ich w Polsce. I wieczorem przyjeżdżam do jego domu, otwiera żona, przeprasza, że mąż musiał pojechać z nagłą wizytą, ale zaraz poda mi wiadomość od niego napisaną na kartce. Poszła po nią, ja stoję w przedpokoju, a obok jakiś Polak ciągle wydzwaniał gdzieś przez telefon stacjonarny, bo wtedy takie były i kłął, bo nie mógł załatwić sprawy. Chodziło o to, żeby ktoś z mediów przyjechał na demonstrację następnego rana, bo w samym środku Bostonu był protest przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Po kilku takich nieudanych próbach ja mu mówię po angielsku, żeby nie dziwił się osobom odbierającym telefony, bo on dobrze mówi po angielsku, choć ma akcent niezbyt wyraźny, ale z jakiegoś innego powodu oni nie wykazują zainteresowania i nie mogą przyjechać na tą manifestację. Zaproponowałem, że spróbuję dowiedzieć się. Miałem kolegę ze studiów, którego ojciec był jednym z najbardziej znanych dyskdykcejków w Bostonie i zrobiliśmy u niego imprezę po zakończeniu ostatniego roku studiów. Wtedy były jeszcze książki telefoniczne, więc zadzwoniłem na informację, wiedziałem jak facet się nazywa, na jakiej ulicy mieszka i telefonistka podała mi numer, dzwonię i słyszę głos tego znanego didżeja, ojca mojego kolegi. Ja mówię: - słuchaj, tu Bob Fielding, z synem chodziliśmy do szkoły... A on mówi: - ja pamiętam, Ty miałeś pracować następnego ranka, ale byłeś tak zalany, że rzygnąłeś przez okno. Ja mu zacząłem mówić o co chodzi, a on mówi, że serce mu pęka, tak chciałby pomóc, ale niestety, prawie jednocześnie jest inne wydarzenie. Polacy robią akcję o 12.00, ale o 13.00 przyjedzie żona Alioszy, syna Jeleny Boner, żony Sacharowa. I wszyscy dziennikarze boją się, że jeśli będą na polskiej demonstracji, to nie zdążą na ten przyjazd. A wszyscy chcą zrobić zdjęcie, bo ta historia przypomina Doktora Żywago, polityczna miłość rozdzielona przez Sowietów, najgorszych na świecie. I on prawie płakał, że tak jest. Ja to tłumaczę temu facetowi, że nie mogą być z tego innego powodu. Ten gość mówi, że musi wyjść do drugiego pokoju, gdzie odbywa się posiedzenie komitetu organizacyjnego tej demonstracji. Ja nie wiedziałem, że Staszek tam był, bo bym wszedł i załatwił sprawę szybciej. Ale powiedziałem temu facetowi, że mam pomysł: - zaprosicie tego ruskiego dysydenta, którego żona ma przyjechać godzinę po waszej demonstracji, żeby on wystąpił pierwszy i on weźmie ze sobą wszystkich dziennikarzy. A on: - ale jak pierwszy, będzie przecież senator, będzie gubernator... Ja mówię: - daj mu pierwszemu wystąpić, to wtedy dziennikarze za nim przyjadą, to jest 10 minut jazdy z lotniska i jeszcze spokojnie wypije kawę. A on mówi: - jest 20.00 w sobotę, jak zdążymy to załatwić, gdzie go znajdziemy? A ja mówię, że go znam, tego Alioszę, - on był synem z pierwszego małżeństwa Jeleny Boner, mam jego telefon. I on poszedł do tego pokoju, wyszedł z dwoma profesorami, jeden z MIT, drugi z Harvardu, Polacy, starsi faceci, zaczęliśmy rozmawiać, jak to zrobimy, ja mówię: - pojedźmy do niego, mam samochód. - Ale przecież jest bardzo dużo śniegu na ulicach, godzina 21.00! - Spróbujmy przynajmniej, zadzwonię do niego dla pewności. Dzwonię, on odbiera: - Bob, musisz natychmiast do mnie przyjechać! Bo ja nie wiem czy ona mnie zechce! Dwa lata jesteśmy bez kontaktów. A ja pytam: - czy mogę przyjechać z przyjaciółmi? Ok. Do małego garbusa wrzuciłem tych

profesorów i jedziemy do niego, on pozdrawia, od razu prowadzi do kuchni, miał pół litra, rozlewa, pijemy i cały czas pyta: - Czy ona mnie zechce? Zmieniłem się, nie jestem tym samym chłopakiem, jestem politykiem... Bo on głodował, jeździł do każdego senatora w całych Stanach, żeby wpłynęli na Sowietów, żeby wypuścili jego żonę. Jak jeździł, to też głodował przed ambasadą Związku Sowieckiego w Waszyngtonie. Niesamowity gość. Po pierwszej butelce, Aliosza wyjął drugą, a profesorowie wciąż słuchają, bo to naprawdę była sytuacja dramatyczna, facet płakał, bał się, zaczyna ich pytać, pyta mnie: - czy ona mnie zechce? Ja mówię: Aliosza, skąd ja mogę wiedzieć? Spytaj ich, oni są starsi, mają więcej doświadczenia. Oni też mówią, jeśli kochała, to nadal kocha. Wypiliśmy trzecią butelkę i ja mówię, że profesorowie mają do Ciebie prośbę. I tak się stało: przywiozłem go na tę demonstrację, on wystąpił pierwszy, potem wszedł do mojego samochodu i odwiozłem go na lotnisko, a wszyscy dziennikarze za nami. Jak on spotkał się z żoną, ja wróciłem na tę demonstrację i wszyscy dziennikarze zjechali ze mną, a ja używałem Stanisława jako mówcę, w każdej stacji przedstawiałem go.

Kilka dni potem dzwonił do mnie Barańczak: - Wszyscy chcą Ci podziękować za przywiezienie tego Ruska z dziennikarzami. I organizatorzy tej demonstracji zaprosili mnie na spotkanie u polskiego dziennikarza i tam był Barańczak, który mówi: - To było świetne, co zrobiłeś! I potem Stanisław mówi mi, że tworzą organizację pomocy w Bostonie i czy nie chciałbym im pomóc. Najpierw to miała być pomoc dla rodzin ofiar stanu wojennego, internowanych, zabitych, aresztowanych, a druga część tej działalności to informowanie amerykańskich polityków o kłamstwach wychodzących z PRL. - Zakładamy w Bostonie organizację pomocy podziemnym strukturom i ofiarom stanu wojennego i chcielibyśmy, żebyś był naszym facetem od prasy, radia i telewizji. Świetnie to zrobiłeś! A było tak, że jak Aliosza spotkał już żonę, to poprosił mnie żebym dziennikarzom powiedział, że ona jest w złym stanie i nie może teraz rozmawiać, jutro spotka się z dziennikarzami. Tak im powiedziałem i że wracam na tę demonstrację, a oni wszyscy za mną. I jak wróciłem, to oni pytają z kim mają rozmawiać, więc ja ich do Barańczaka i przez godzinę on odpowiadał różnym dziennikarzom na pytania. Dlatego Staszek mi zaproponował, żebym przyłączył się do nich do obsługi dziennikarzy. I to robiłem cały 1982 rok do przyjazdu do Polski.

Tak więc poznałem Stanisława Barańczaka niejako dwukrotnie przez sowieckich dysydentów, najpierw we wrześniu 1981 roku, był wtedy profesorem na Uniwersytecie Harvard, Cambridge, Massachusetts w USA. A potem, w okresie stanu wojennego, także przez tych sowieckich dysydentów wciągnął mnie do tworzącej się w Bostonie organizacji Support of Solidarity, popierającej podziemną Solidarność. Pracowałem z nimi od stycznia 1982 roku do 1 listopada 1982 r., czyli do mojego wyjazdu do Polski.

- Po przyjeździe do Polski nawiązałeś kontakty z różnymi środowiskami podziemnej Solidarności, współpracowałeś ze Zbyszkiem Romaszewskim na tzw. kierunku węgierskim...

- To było później. Najpierw był Janusz Pałubicki w Poznaniu, później Opole i Władek Frasyniuk. Poznałem też ludzi z Warszawy z podziemnych struktur i stamtąd znam Zbyszka Bujaka. Ale polsko-węgierska Solidarność została dużo później założona, niż polsko-czechosłowacka. Byłem w Budapeszcie w 1988 roku dwa razy, w maju i sierpniu.

- Te kontakty organizował Zbyszek Romaszewski i Wojciech Maziarski? Na czym polegały?

- Oni nawiązywali kontakty z tamtejszą ówczesną opozycją, wtedy już działało Węgierskie Forum Demokratyczne (MDF), które potem przekształciło się w FIDESZ. A w Polsce w 1988 roku była organizowana Konferencja Praw Człowieka w Krakowie i chcieli zaprosić Węgrów.

- A Twoje pierwsze kontakty z ludźmi z Czechosłowacji?

- Ja tylko zakładałem różne ogniwa tej organizacji polsko-czechosłowackiej na Dolnym Śląsku i w Opolu. Nie jeździłem tam, bo nie mogłem dostać wizy, ale znałem Polaków, którzy byli w tej organizacji: Jana Lityńskiego, Zbyszka Bujaka, Zbigniewa Janasa, ludzi z Karty 77, którzy spotykali się z Havlem na granicy. Dopóki nie wprowadzono stanu wojennego, bo jak ten stan komuniści wprowadzili, to zamknęli granicę, żeby ta polska zaraza nie przeszła do Czechosłowacji. Z Czechosłowacji nikt nie przyjeżdżał, bo oni siedzieli w więzieniu. Wasi też siedzieli przez pewien czas. Drugie ich pokolenie, młodsze, było infekowane przez "Solidarność".

2. W Polsce od 1982

- W roku 1982 i 83 byłeś studentem języka polskiego na uniwersytecie w Poznaniu. Jak do tego doszło?

- Do Poznania przyjechałem w 1982 roku studiować język polski na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w ramach współpracy z Uniwersytetem Florydy w Gainesville na Florydzie. Wcześniej Barańczak powiedział mi, że anglistyka w Poznaniu ma wielu cudzoziemców. Szefem jej jest prof. Jacek Fisiak, późniejszy rektor, który szuka wykładowców z angielskiego. Dzwoniłem do niego jeszcze przed stanem wojennym. Rozmawialiśmy po angielsku, bo nie znałem polskiego i on powiedział mi, że jest już za późno, bo nauka już trwa dwa miesiące, nie ma wolnych miejsc i żebym skontaktował się za rok, to załatwi sprawę. I tak się stało. Ale przyjeżdżając jako student polonistyki, zostałem jednocześnie wykładowcą angielskiego na Uniwersytecie w Poznaniu przez dwa lata, za darmo i byłem dobry, bo Fisiak od razu dał mi studentów z 4 i 5 roku. W drugim roku nie uczyłem się już polskiego. Fisiak powiedział mi, że nie ma pieniędzy na zapłatę, ale może załatwić mi łóżko w akademiku, jednak będę musiał uczyć prywatnie. Ja chciałem zostać, bo już byłem zaangażowany w sprawy podziemne, ale Fisiak o tym nie wiedział.

- Twoje zaangażowanie w działalność podziemną związane było z bostońskim komitetem poparcia "Solidarności"?

- Nie do końca, bo główny kontakt z podziemiem nawiązałem przez siostrę Barańczaka i jej męża. Oni byli związani z dominikanami w Poznaniu i chodziłem tam z nimi. Przyjeżdżając do Polski miałem dwie walizki. Jedna to były rzeczy od Staszka dla tej rodziny, a druga walizka była moja. Bywałem u nich bardzo często. Siostra Staszka nazywa się Małgorzata

Musierowicz, pisze książki dla dzieci i młodzieży. Jej mąż Bogusław był architektem i artystą. I oni poznali mnie z ojcem Honoriuszem, który zginął w wypadku samochodowym, gdzie nie było żadnych samochodów, piękna pogoda, niedziela... Wszyscy są przekonani, że zabiła go esbecja, bo on wspierał podziemne struktury.

- Ojciec Honoriusz Kowalczyk, zginął w wypadku samochodowym w 1983 roku, do dzisiaj nie są wyjaśnione okoliczności tej śmierci. Ale wróćmy do chronologii. Byłeś studentem polonistyki poznańskiej w roku 1982-83. Co było potem?

- Studentem z Florydy. W 1983 i 84 Fisiak korzystał z moich usług wykładowcy i dał mi łóżko w akademiku, a ja musiałem żyć z prywatnych lekcji j. angielskiego, co podziemne struktury Solidarności mi załatwiły u kogoś, kto miał pieniądze. Po dwóch latach Fisiak powiedział mi - baj, baj, bo esbecy już mnie namierzali.

- I przeniosłeś się do Opolą w 1984 roku? Dlaczego do Opolą?

- Tak, na pierwszym roku był chłopak amerykański, który chodził z przyszłą dentystką, ona była z Gdańska. On wykładał w Opolu w 1983 i 84 roku i powiedział mi, że jest będzie miejsce pracy na WSP (Wyższej Szkole Pedagogicznej), bo on wraca do Stanów. W Opolu była wtedy taka sytuacja, że stary rektor odszedł, nie było jeszcze nowego, a obowiązki pełnił szef anglistyki, który chciał ściągnąć do Opolą jak najwięcej wykładowców z krajów anglojęzycznych. Więc pojechałem tam i on mnie zatrudnił. Pracowałem tam 5 lat. W Opolu za pośrednictwem dominikanów trafiłem do ojca Ludwika Wiśniewskiego we Wrocławiu. A za jego pośrednictwem poznałem Władka Frasyńniuka i innych – Józefa Piniora, Barbarę Labudę, oprócz Kornela Morawieckiego, bo ukrywał się. Ja już wtedy byłem kurierem dla Janusza Pałubickiego z Poznania. Zawsze jeździłem pociągiem z Poznania do Berlina. Do Berlina miałem opłacony bilet, ale jeśli miałem jechać dalej, np. do Paryża, to musiałem jechać stopem z braku pieniędzy.

- To opowiedz o swej działalności i współpracy z podziemną Solidarnością. Z kim miałeś kontakty?

- Miałem kontakty z różnymi miastami, także z Warszawą. Po przyjeździe do Polski w listopadzie 1982 roku dzięki kontaktom z ojcami dominikanami w Poznaniu, poznanymi przez siostrę Barańczaka Małgorzatę i jej męża Bolesława Musierowicza, poznałem ludzi z podziemnej Solidarności w Poznaniu i zacząłem współpracować z podziemnymi strukturami z szefem NSZZ Solidarność Wielkopolski Januszem Pałubickim. Potem z podziemnymi strukturami Solidarności na Dolnym Śląsku: we Wrocławiu z Władysławem Frasyńniukiem dzięki dominikaninowi ojcu Ludwikowi Wiśniewskiemu, w Opolu z Janem Całką. Na Górnym Śląsku miałem kontakt w Gliwicach z Marią i Michałem Lutym, w Małopolsce, na Mazowszu z Jackiem Kuroniem, Janem Lityńskim, Adamem Michnikiem, Zofią i Zbigniewem Romaszewskimi, w Przemyślu z Tobą, Marku. Ta współpraca rozwijała się do relegalizacji NSZZ Solidarność w 1989 roku. Byłem kurierem dla tych organizacji na Zachód, wywożąc informacje z Polski i wwożąc je do Polski, załatwiałem przerzut sprzętu poligraficznego do Polski z Francji, m.in. przez Mirka Chojeckiego, z Niemiec przez Stanisława

Jałowieckiego z Radio Wolna Europa i Leszka Szarugę z Berlina.

- Amerykanin kurierem podziemnej Solidarności! Na czym to polegało? Nie było przecież internetu, trzeba było jeździć przez granicę samochodem lub pociągiem, bo samolot to wtedy była rzadkość? Chyba pomagał Ci w tym status wykładowcy angielskiego w uczelniach polskich?

- Trochę tak. Kontakty zagraniczne organizowałem najczęściej jeżdżąc pociągami do Berlina Zachodniego z Poznania. Stamtąd kilka razy jeździłem do Paryża stopem i z powrotem do Berlina Zachodniego. Raz jechałem z Berlina do Moguncji. Jeździłem stopem, bo nie miałem pieniędzy. W Polsce przez siedem lat (1982-1989) zarabiałem tylko średnią krajową pensję, która na czarnym rynku wynosiła 29.00 dolarów.

Raz, na prośbę Janusza Pałubickiego, pojechałem do Berlina po skaner do podsłuchiwania milicyjnych radiowych rozmów, żeby ludzie w podziemiu mogli wcześniej wiedzieć, że SB wykryła miejsce podziemnego druku i wcześniej informować ludzi pracujących przy tym druku, żeby jak najszybciej wiali stamtąd i choć sprzęt drukarski był konfiskowany, to ludzie nie byli aresztowani. Spakowałem skaner w pudełku z proszkiem do prania, który w PRL był tylko na kartki i tak przewiozłem go do Polski.

Innym razem miałem wyjazd do Moguncji, stopem z Berlina Zachodniego, gdzie załatwiłem starą maszynę do pisania. Przywiozłem ją do Opola i na tej maszynie była pisana podziemna gazeta NSZZ "Solidarność" Śląska Opolskiego przez 4 lata, w lesie u leśniczego Wiesława Malińskiego w Młyńskich Stawach. To było ważne, bo SB nie była w stanie zidentyfikować tej maszyny, bo nie mieli próbki pisma na papierze.

Jeden z moich wyjazdów był związany z kontaktem z Radio Wolna Europa w Monachium. Pojechałem stopem z Berlina do Paryża, do Zbyszka Praskiego z NSZZ Solidarność w Opolu, który z rodziną mieszkał w Paryżu. Zbyszek był aresztowany w 1982 roku i zmuszony do emigracji. SB zagroziła, że jego syn, który był kaleką po wypadku kolejowym w Opolu, zostałby sam, bo powiedzieli Zbyszkowi, że nigdy nie wyjdzie z więzienia, a jego żona nigdzie nie znajdzie pracy, więc syn zakończy swoje życie w zakładzie PRL-owskim, gdzie nie było żadnej opieki. Powiedzieli mu, żeby wyjechał z kraju i z rodziną znaleźli się w Paryżu. On znał Stanisława Jałowieckiego, byłego przewodniczącego Solidarności w Opolu, który pracował w Radio Wolna Europa w Monachium. Zbyszek miał małą ciężarówkę i odwiózł mnie do Monachium. Dostaliśmy 6 używanych maszyn poligraficznych od Jałowieckiego i przewieźliśmy je do Leszka Szarugi do Berlina Zachodniego, który później załatwił ich przerzut do Polski.

- Ale raz złapali Cię i zabrali jakiś list?

- Zatrzymywali mnie chyba trzy razy. Raz w Poznaniu, 1 maja 1983 roku zomowcy mnie złapali, gdy fotografowałem jak ZOMO i MO wrzucali ludzi do bud milicyjnych podczas nielegalnej demonstracji w obronie Solidarności. Byłem też dwa razy przesłuchiwany przez SB w Poznaniu. Poinformowałem Konsulat USA w Poznaniu o tym zatrzymaniu i dwóch przesłuchaniach. Ale też raz mnie zatrzymali na granicy. Wiozłem do IDEE w USA mikrofilm z nazwiskami niedawno aresztowanych w Polsce ludzi z Solidarności, a od IDEE do Polski listę nazwisk do weryfikacji przez podziemną Solidarność. W 1988 roku dwa razy,

w maju i sierpniu, byłem wysłany przez Zbigniewa i Zofię Romaszewskich do Buda-pesztu na Węgry, na spotkanie z demokratycznymi działaczami węgierskimi, żeby zaprosić ich i pomóc im wybrać ludzi do węgierskiej delegacji na nielegalną Międzynarodową Konferencję Praw Człowieka zorganizowaną w sierpniu 1988 r. przez polsko- węgierską Solidarność i NSZZ Solidarność w Mistrzejowicach w kościele ks. Jancarza.

- Znałem księdza Kazimierza Jancarza, on wtedy, w połowie lat 80. był proboszczem w Nowej Hucie w Mistrzejowicach, a nawet kimś więcej, bo skupiał ludzi Solidarności z całej Polski południowej. Współpracowaliśmy z nim w latach 80. podczas organizowanej przez księdza Stanisława Bartmińskiego z Krasiczyna pomocy rolników dla robotników z Nowej Huty i Śląska. Ale jak to było z Czechami? Z Opolą miałeś bliżej do nich niż na Węgry.

- W 1989 roku założyłem organizację polsko-czechosłowackiej Solidarności w Opolu, razem z Mirkiem Jasińskim i Jarosławem Brodą z Wrocławia oraz z Adamem Michnikiem i Jackiem Kuroniem. Także w roku 1989 zorganizowałem założenie Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Organizowaliśmy ją w kościele jezuitów w Opolu u ks. Józefa Czapłaka.

- W Encyklopedii Solidarności przy Twoim biogramie mowa jest m.in., że 17 III 1990 organizowałeś spotkanie Waława Hawla i Lecha Wałęsy w Karkonoszach. Czy możesz podać jakieś szczegóły tego spotkania? Już wtedy nie trzeba było utrzymywać warunków konspiracyjnych.

-

3. Jak poznaliśmy się?

- Zastanawiam się jak myśmy się poznali? To był tamten czas?

- Chyba w 1986 roku. Stefan Makowiecki, którego poznałem jeszcze w Poznaniu na uniwersytecie, już pracował na KUL. Bywałem u Ciebie w Przemyśle kilka razy, także na "Strychu", czyli w Twoim niezależnym klubie dyskusyjnym, który organizowałeś na strychu swojego domu. Raz prosiłeś mnie, żebym coś opowiedział o amerykańskiej polityce. W 1988 roku byłem na spotkaniu ze Scrutonem. Ja przyjeżdżałem z Opolą, gdzie na WSP pracowałem w latach 1984-89.

- Czy pamiętasz Polsko-Brytyjską konferencję obywatelską w Krasiczynie w 1990 roku, z udziałem Rogera Scrutona? Było wielu polityków i intelektualistów oraz związkowców z Wielkiej Brytanii i Polski. Z brytyjskiej strony byli m.in. posłowie Izby Gmin – Antony Coombs, Julian Brazier, Henry Bellingham, z trzech chyba partii: konserwatystów, partii pracy i demokratów, byli politologowie i filozofowie jak Roger Scruton, David Regan i Zbigniew Pełczyński, byli samorządowcy, związkowcy i ekologowie. Z Polski byli senatorowie Jan Musiał i Andrzej Machalski, był Zdzisław Najder i Jacek Bartyzel. Ty też brałeś w niej udział. Słuchając wspomnień o Twoich przeżyciach, to wtedy w Polsce nastąpił rzeczywiście wieloletni czas spokoju, kiedy można było spokojnie omawiać

różne formy działalności publicznej i debatować jak je praktycznie wdrażać. Rozmawialiśmy zarówno o rządach prawa, o państwie, o gospodarce, samorządach, partiach politycznych i wyborach, o związkach zawodowych, o ekologii i politykach lokalnych. Ale także o szansach i zagrożeniach jednoczącej się Europy. I już wtedy Roger Scruton przestrzegał przed Unią Europejską w wydaniu... obecnym, że to będzie koniec państw narodowych. David Regan podobnie, przedstawiał liczne argumenty przeciwko federalizacji Europy. My, wtedy marzący o wyzwoleniu się z komuny i złaknieni powrotu do normalnego świata, nie bardzo rozumieliśmy te przestrogi, a dzisiaj wydają się one tak oczywiste...

- Pamiętam, to była ciekawa konferencja, bo różne dziedziny były omawiane. Ja długo rozmawiałem z Najderem, który wtedy kierował ogólnopolskim Komitetem Obywatelskim.



*Zdzisław Najder (po lewej) i Robert Fielding. Polsko-Brytyjska Konferencja Obywatelska, Krasieczyn 1990 rok.
(fot. z archiwum Marka Kuchcińskiego)*

- Zdzisława Najdera poznałem na początku lat 90, chyba przez Komitet Obywatelski, działający wtedy jeszcze przy Lechu Wałęsie. On był sekretarzem tego Komitetu. Bywał na spotkaniach naszego środowiska w Przemyślu. Współpracowaliśmy do początku XXI wieku, przy różnych okazjach związanych np. z Berdyczowem, gdzie zabiegał o utworzenie muzeum Conrada w klasztorze ojców karmelitów, czy z Lwowem, gdzie w 2003 roku odsłanialiśmy tablicę Zbigniewa Herberta na domu, w którym poeta mieszkał. Te różne inicjatywy były świetnie wspierane przez Rudego, Krzyśka Sawickiego, ówczesnego Kon-

sula Generalnego we Lwowie. Ale Stefana Makowieckiego i Martę Sienicką poznałeś wcześniej? Oni byli jednymi z głównych inspiratorów powstania w połowie lat 80. naszego środowiska kultury niezależnej nazwanego potem Strychem Kulturalnym. Oboje angliści, Marta specjalistka od literatury amerykańskiej, Stefan od angielskiej..

- Stefana poznałem czwartego dnia mojego pobytu w Polsce, w Poznaniu, dokąd przyjechałem 1 listopada 1982 roku. Jeszcze był stan wojenny, Wałęsa siedział w więzieniu. Nie wiedziałem, że 1 listopada jest świętem w Polsce. Przyjechałem, dotarłem do akademika, gdzie miałem mieć nocleg, na dole na dyżurce siedziały dwie babki, chyba całkiem pijane, to był horror, nie miały dla mnie żadnych informacji o noclegu, ale znalazłem jakiegoś studenta, u którego zostawiłem rzeczy. Miałem 500 dolarów od przyjaciółki mojej ciotki, Polki, która miała 40 lat i podawała te pieniądze swojej siostrze, więc chciałem jak najszybciej przekazać je. Pojechałem pociągiem do Warszawy, był już późny wieczór, ciemno, masa żołnierzy w pociągu i myślałem że jest jakaś bitwa, bo wszędzie płonęły światła na polach. A to był 1 listopada i z pociągu widać było masę światła na mijanych cmentarzach. Po powrocie do Poznania, 4 listopada, dostałem jakiś pokój w akademiku i od razu zgłosiłem się na anglistykę. Rozmawiałem z Fisiakiem i innymi ludźmi z tej anglistyki, i potem chciałem coś zjeść w bufecie studenckim. Poszedłem, widzę ogromną kolejkę, stanąłem w niej i pytam faceta przede mną, czy zna angielski. To był Stefan. On pytał mnie kim ja jestem, powiedział, że też tam pracuje. Potem pytam go, co mam wziąć do jedzenia? On uśmiechnął się i odpowiedział: - weźmiesz co dadzą. On wziął pierwszy i poszedł zająć nam miejsce. Ja wziąłem jakieś flaki, wydawało mi się, że to glisty pływające w sracze. Przychodzę do Stefana, siadam i chcę jeść, a on złapał mnie za rękę i mówi: - nie jedz tego, bo to jest niejadalne. Patrzę na niego, czy to jakiś dziwak? Też kupił to jedzenie i nie będzie jadł? A on bierze kurtkę, wyciąga z niej małe buteleczki przypraw i 5 minut pracował nad tym jedzeniem i potem mówi: - spróbuj. Było pyszne, od razu polubiłem faceta, bo było niemożliwe, żeby esbecja podstawiała mi faceta do kolejki w barze.

- A Martę jak poznałeś? To było chyba później? Ona współpracowała z nami w wydawaniu poza cenzurą kwartalniku „Strych Kulturalny” jako Miss redakcji.

- Marta była wtedy w Stanach Zjednoczonych na stypendium i została tam po wybuchu stanu wojennego. Zaczęła występować w Wolnej Europie, trzymała się z Barańczakiem, Miłoszem, bała się wrócić, Oczywiście straciła pracę na uniwersytecie w Poznaniu, a wcześniej pracowali tam razem ze Stefanem na anglistyce. W Stanach, wyszła tam za męża, ale z tego małżeństwa nic nie wyszło. Jak wróciła do Polski, Stefan pracował na KUL.

- Wtedy i ja ich poznałem, przez Krzysztofa Sawickiego, „Rudego”, który pracował wówczas w wydawnictwie KUL, mieszkał z żoną Elżbietą w małym pokoiku w akademiku kulowskim, a ja wyszedłem z więzienia jesienią 1985 roku i przyjechałem na KUL zorientować się czy mogę zdawać z opóźnieniem egzaminy, bo jeszcze studiowałem historię sztuki – 11 lat! To był koniec roku 1985. A ponadto Rudemu urodził się syn Lech i miały być chrzciny. Wtedy poznałem najpierw Stefana, a jakiś czas potem Martę. I od słowa do słowa zaprosiłem ich na Strych do Przemyśla. Jej odebrano właśnie docenturę z przyczyn politycznych. Na Strychu opowiadała o emigracyjnych kompleksach polskich

a'la Redliński, a on o antyutopii w literaturze. Wtedy zainteresowałem się twórczością Huxleya, Stefan nawet chyba przywiózł na spotkanie kilka egzemplarzy wydanej w podziemiu przedwojennej powieści „Nowy wspaniały świat”, bo Orwella znałem już wcześniej z podziemnych wydawnictw – „Rok 1984” i „Folwark zwierzęcy”. Tak więc środowisko Strychu formowało się poprzez takie różne spotkania i znajomości, które nawiązywałem w znacznej mierze dzięki Krzyškowi Rudemu. Ty bywałeś na Strychu, tylko nie pamiętam kiedy mieliśmy spotkanie z Tobą o polityce amerykańskiej.

- Ja też nie pamiętam, ale mówiłem o zaangażowaniu Amerykanów w walkę z komuną nie tylko w Polsce. Znałem to z obu stron, bo z dysydentami rosyjskimi pracowałem wiele lat...

- I potem był rok 1989, to był rok wyborów czerwcowych i działania komitetów obywatelskich. Całe nasze środowisko "Strychu" zaangażowało się w ten ruch. Czy Ty angażowałeś się w tę działalność?

- Tak. Początkiem 1989 roku zostałem oddelegowany przez Jana Całka, przewodniczącego NSZZ Solidarność Śląska Opolskiego do Komitetu Obywatelskiego Solidarność w Warszawie celem wyboru kandydatów do okręgu Śląska Opolskiego w wyborach czerwcowych w 1989 roku.

4. W Komisji Krajowej Solidarności 1989-1997

- Wiele spraw wtedy działo się jednocześnie. Ten czas pokrywa się także ze zmianą pracy przez Ciebie. Od 1989 roku zacząłeś pracę w Komisji Krajowej. Jak tam trafiłeś?

- Już nie pamiętam, kiedy to było w 88., albo 89 roku, na jakimś spotkaniu ludzi z Solidarności był tam Janusz Onyszkiewicz, był rzecznikiem Solidarności. I on mówi tak do mnie: - Ty pracujesz dla nas bezpłatnie prawie 7 lat, ale teraz wszystko się zmieni, Związek będzie działał legalnie. Czy chciałbyś pracować dla nas za pieniądze? Ja pytam – gdzie? On mówi: - w Gdańsku, u mnie. Jestem rzecznikiem prasowym dla całego związku, byłbyś moim zastępcą, zajmowałbyś się cudzoziemcami. Ja powiedziałem: - OK! To było zaraz po Magdalence, trwał jeszcze Okrągły Stół, były różne podstoliki. I gdy zostało ustalone, że będą wybory 4 czerwca i założony został Komitet Obywatelski, którego centrala była w Warszawie, to Całka, szef Solidarności Śląska Opolskiego organizował tam komitet obywatelski, którego szefem został jego przyjaciel Kazimierz Kobiałko. Długo zastanawiałem się nad propozycją Janusza Onyszkiewicza, kilka miesięcy. I cały czas także pracowałem dla Całka. Któregoś dnia siedzimy w Opolu i Całka mówi, że trzeba jechać do Warszawy, bo opolszczyzna jest prowincjonalnym ośrodkiem, nie ma mocnych nazwisk na listę wyborczą i może kogoś uda się ściągnąć przez główny Komitet Obywatelski. Więc wysłał mnie. Pojechałem i wybrałem. Wybrałem dwóch: jednego do Sejmu – Stefana Kozłowskiego, ekologa, który był potem ministrem w rządzie Jana Olszewskiego i bratem Krzysztofa, który był ministrem spraw wewnętrznych we wcześniejszym rządzie Tadeusza Mazowieckiego i jednego do Senatu – Edmunda Osmańczyka. W tym Komitecie niewiele znanych nazwisk zostało, bo ci, którzy byli blisko wybrali najbardziej znanych. Ja znałem ich wszystkich,

Henryka Wójca, Jacka Kuronia i tak dalej i oni mówili: - musisz się spieszyć, bo znanych nazwisk mamy tylko garstkę, wchodź i szukaj. Więc uznałem, że warto zaprosić Omańczyka, bo on pisał o Śląsku Opolskim, o Związku Polaków w Niemczech, więc wśród opolan jest znany. On był już starszym panem, ale byłem przekonany, że jak będzie startował tam, to wygra z każdym, nawet najbardziej liberalnym komuchem. I gdy rozmawiałem z nim w Warszawie, od razu powiedziałem, że mówię w imieniu Solidarności Śląska Opolskiego i tamtego komitetu obywatelskiego i zaproponowałem mu od razu kandydowanie do Senatu. A on tak się wzruszył, zaczął tak płakać, że sam byłem pod dużym wrażeniem tej chwili. I dopytywał mnie wielokrotnie, czy naprawdę oni to już zaklepal. Ja go okłamałem i powiedziałem - tak. Wiedziałem, że problem będę miał nie z nim, tylko z ludźmi z opolszczyzny. Wtedy szefem komitetu Obywatelskiego był Kazik Kobiałko, jeden z 9 założycieli Unii Demokratycznej, no i był Janusz Całka, szef Solidarności opolskiej, a wcześniej szef struktur podziemnych. Na szczęście udało mi się ich przekonać.

- W moim województwie przemyskim, było trochę podobnie z doborem kandydatów, choć jednego tylko mieliśmy z centrali, właśnie Janusza Onyszkiewicza. Odbyło się to podobnie jak w Twoim przypadku. Do Warszawy, był kwiecień 1989, pojechał w imieniu tworzącego się Komitetu Obywatelskiego województwa przemyskiego jeden z działaczy Solidarności, który był mózgiem struktur podziemnych, Stanisław Żółkiewicz, jednocześnie prezes założonego kilka miesięcy wcześniej Stowarzyszenia Pamięci Orłów Przemyskich. I opowiadał, że będąc w Warszawie szybko zorientował się, że centrala będzie chciała rzucić w teren różnych swoich działaczy warszawskich, różnych spadochroniarzy. Dlatego uznając Janusza Onyszkiewicza za ważnego człowieka w Solidarności zaproponował mu kandydowanie z przemyskiej listy do Sejmu. Jak wrócił, zaakceptowaliśmy ten wybór. Byłem wtedy w kilkunastoosobowym Komitecie Obywatelskim. Drugiego kandydata do sejmu i obu do senatu już wybieraliśmy z grona lokalnego. Onyszkiewicz wносił dużo ożywczej energii do kampanii, za nim przyjeżdżały ekipy dziennikarzy, telewizyjne z całego świata. Z jego wystąpień płynęła wizja szerokiego ruchu, ogarniającego nie tylko Polskę. Nam, ludziom ze strychowego środowiska pasowało to, bo od lat mieliśmy kontakty międzynarodowe rozwinięte - właśnie z ludźmi niezależnymi, Ludźmi Wolności - można by dziś powiedzieć. I chociaż potem nasze drogi polityczne z Januszem rozeszły się, to wspominam bardzo pozytywnie tamten czas, także z perspektywy rozwoju środowiska obywatelskiego - ludzie mieli energię, było dużo młodych, kampania wyborcza była wręcz festiwalem różnych akcji, pomysłów, happeningów, wszystko było robione społecznie i pro publico bono. A czy Ty brałeś udział w kampanii wyborczej?

- Bezpośrednio nie, ale pomagałem w niektórych akcjach. Na przykład, w organizacji dużego spotkania ludzi Solidarności na uczelni w Opolu. Odbyło się ono po dużym spotkaniu z Mieczysławem Rakowskim, którego komuchy zaprosiły do Opola, chociaż nie był kandydatem stamtąd. I jak oni to zrobili, to ja wkurzyłem się i poszedłem do szefa Solidarności i mówię: - Stary, załatwię Michnika, który kandydował z Katowic, nie z Opola, żeby tu przyjechał jako przeciwwaga dla Rakowskiego. To wydarzenie odbyło się w auli, którą 20 lat wcześniej bracia Kowalczykowie chcieli wysadzić. W tym czasie założyłem już na uczelni nową komisję zakładową Solidarności, trwały przygotowania do zjazdu regionalnego i proponowano mi, żebym zgodził się zostać wiceprzewodniczącym odpowiedzialnym za

kontakty z zagranicą i młodzieżą. To było przed wyborami czerwcowymi, ale Solidarność już była zalegalizowana. Wahalem się przez cztery miesiące, jednak odmówiłem, bo już wstępnie obiecałem pracować u Onyszkiewicza. Przewodniczącym tej komisji został ostatecznie stary przewodniczący, on był z ZSL, ale był zasłużony, bo przez okres stanu wojennego i podziemia przechował całe archiwum Solidarności. Komuchy tego szukały w całym mieście, a on to trzymał. Był fizykiem. I przyszedł do Całki i powiedział: - Panie Januszu, mam prezent dla Pana - całe archiwum Zarządu Regionu Solidarności, szukali go, ale nie znaleźli. I ten fizyk, profesor, nazywał się Jan Hofman, został przewodniczącym Komisji Zakładowej Solidarności na uczelni. Ja byłem w zarządzie, ale z tego powodu były zgrzyty. Pewnego dnia Jan Hofman został wezwany do rektora, który mu zarzucił, że komisja wybrała mnie nielegalnie do władz, bo jako cudzoziemiec nie mogę uczestniczyć w Związku. Dał mu też przy okazji kopertę z materiałami esbeckimi na mój temat, że rzekomo sypiam z moimi studentkami i w zamian daję im piątki. Ja mu odrzekłem, żeby to sprawdził, bo na tej uczelni, odkąd tutaj pracuję dałem dotąd tylko jedną piątkę, a dostała ją lata temu dziewczyna, która jest teraz profesorem na tej uczelni. Postępował tak, jak opisał to rektor, inny wykładowca ze starego komunistycznego układu, ale już o tym nie mówmy. Więc wyjaśniło się. Ale wracam do Rakowskiego, w międzyczasie ustaliłem z Janem Hofmanem, że zaprosimy Michnika jako przeciwwagę do Rakowskiego, bo jak puścilibyśmy samego Rakowskiego do auli, to trzeba będzie ją wysadzić w powietrze, drugi raz, jak bracia Kowalczykowie. Przewodniczący Jan Hofman mówi: - pójdziemy do rektora razem. Przyszliśmy, rektor zbladł i mocno się przestraszył, ale głównie na mój widok. I mówi: - skąd ten Fielding się wziął? A Hofman odpowiada, że jest w naszej polskiej Solidarności. I był chyba przygotowany na taki przebieg rozmowy, bo wyciągnął Statut Związku i czyta rektorowi, że każdy, kto pracuje na terenie PRL, bo jeszcze mieliśmy PRL, ma prawo należeć do związku. Rektor mówi, okej, w takim razie zrobię kawę. Dał nam kawę, mimo tego, że esbecja mu powiedziała kim ja jestem, bo Kiszcak był ministrem spraw wewnętrznych. Ale jak rektor zaczął nam dawać kawę, to Hofman mówi: - myśmy tu Zbyszek przyszli, bo Bob ma coś do Ciebie. I ja zacząłem mówić, nie chciałem robić wykładu, ale powiedziałem mniej więcej, że we wszystkich normalnie funkcjonujących demokracjach na świecie jest wolny dostęp dla wszystkich konkurentów politycznych do różnych kanałów telewizyjnych, do radia, gazet i na spotkania z miejscowymi w salach. Musi być równość. Więc niedawno w auli uczelni wystąpił pan premier Rakowski. Gdy to powiedziałem, to twarz rektora zamarła, zrobiła się biała, wiedział, że coś będzie... pyta: - I co? Ja mówię, że nie wiem, jak to wyglądało, bo na tym nie byłem i bardzo żałuję. Ale żeby nikt nie mógł powiedzieć, że Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Opolu nie jest demokratyczna, to powinna dopuścić wszystkich z różnych stron politycznych w Polsce, na równych warunkach dostępu do pracowników, studentów, rodzin, ktokolwiek był w tej auli. Więc jak był pan Rakowski, to świetnie, żałuję, że mnie nie było, ale uważam, że powinni być także przedstawiciele innych ugrupowań. A rektor pyta: - czy chcesz, żebym zgodził się na to, żeby w auli występował ktoś z kandydujących ze strony Solidarności? Ja: - dokładnie tak. On mówi: - będzie ciężko, bo będą demonstracje, będzie bijatyka. Ja mówię: - nie będzie problemu, bo NZS będzie wszystko pilnował, żadna milicja nie jest potrzebna. On mówi: - dobrze, kogo proponujecie? Ja mówię: - Adama Michnika... A on zbladł i siadł z tą kawą w ręce, która trochę mu się rozlała. Hofman starał się nie śmiać. - A kto go zaprosi? Ja: - można powiedzieć, że już jest zaproszony. On: - na pewno przez Ciebie? Ja: - można tak powiedzieć, ale konsultowałem to

z innymi, np. z panem profesorem tu siedzącym, który jest szefem komisji zakładowej Solidarności. On: - a o czym będzie mówił? Ja: - będzie mówił o tym, co chce i będzie odpowiadał na pytania. Bo Rakowski jak był, a to jest inteligentny gość, to na pewno powiedział kilka słów o swojej partii, zachęcał do głosowania i pewnie były do niego pytania. A czy były rozruchy? Czy solidaruchy przyszli, żeby go atakować? Nie, więc tak też będzie i tu, bo nie sędzę, żeby komuniści przyszli rozbijać spotkanie z Adamem Michnikiem. I rektor się zgodził! Ja nie mogłem tam być, ale Adaś przyjechał i to był hit! Przez tydzień ludzie opowiadali o tym spotkaniu.

W czasie wyborów byłem także konsultantem zarządu regionu i komitetu obywatelskiego w sprawach organizacji jak największej liczby spotkań, gdzie i kogo zaprosić.

- W książce "Strych" Marta Olejnik podaje, że poprzez Ciebie poznałem też Jarosława Kaczyńskiego, w Warszawie podczas jakiejś konferencji, zdaje się na Politechnice, ja kojarzę ten moment, ale przez mgłę, nie bardzo pamiętam...

- Ja też, ale to było spotkanie na Politechnice pod koniec 1989 roku, albo na początku 1990. Jarek siedział przy stoliku, pił piwo i podeszliśmy do niego razem, wtedy zaprosiłeś go do Przemyśla.

5. Rozmowa Trzech - z udziałem Macieja Łopińskiego

- Kiedy poznaliście się?

- **MŁ:** w 1988, albo 89 roku, w podziemiu nie znaliśmy się. Ja wtedy byłem chyba redaktorem naczelnym Tygodnika Gdańskiego i do zjazdu regionalnego w Gdańsku byłem członkiem Tymczasowego Zarządu Regionu, tego, który wyszedł z podziemia po strajkach w stoczni w 1988 roku...

- **RF:** I po listopadowej debacie Alfreda Miodowicza z Lechem Wałęsą, który zmiażdżył tego z OPZZ i komuniści już wiedzieli, że mają z głowy wybory. Ja wtedy zjawiłem się w Gdańsku do pracy.

- **MŁ:** W Gdańsku to była wtedy dwuwładza, z jednej strony był Jacek Merkel z MKO, a z drugiej podziemna struktura regionalna z Borsukiem, do której ja należałem. Był Bogdan Lis, Bogdan Borusewicz, Aleksander Hal, który potem się wycofał, Krzysztof Dowgiałło, Lech Kaczyński i ja.

- **RF:** Na początku października przyjechałem do Gdańska do pracy. Było posiedzenie Komisji Krajowej. Poszedłem do Onyszkiewicza i mówię, zgłaszam się do pracy. A on mówi: - Bob, trochę spóźniłeś się, bo dzisiaj mam zamiar podać się do dymisji jako rzecznik prasowy. Pytam - dlaczego? On mówi: - mieszkam w Warszawie, jestem posłem z Przemyśla i muszę jeździć do Gdańska. Z żoną w ogóle nie widuję się. I Janusz mówi: - idziemy do góry, podczas przerwy w obradach (Komisja Krajowa była na III piętrze), bo muszę znaleźć Tobie pracę. Wchodzimy do Bogdana Lisa, który był szefem biura zagranicznego Solidarności. Ja tam wchodzę, siedzi Bronisław Geremek, Andrzej Wielowiej-

ski, każdy mówi: - cześć Bob, cześć Bob, a Lis pyta kto to jest Bob? Janusz Onyszkiewicz mówi: - ja dzisiaj składam rezygnację z rzecznika prasowego Solidarności. Wszyscy rzucili się na niego: - co Ty? Jesteś chory? Nie możesz tego zrobić! Co my będziemy robić bez Ciebie? I zaczęli, oprócz Geremka i Wielowiejskiego, rzucać wyrazy niekoniecznie dopuszczalne w polskich obyczajach. Onyszkiewicz tłumaczy im swoją sytuację: - jestem złym mężem, złym posłem, złym rzecznikiem, więc muszę coś wybrać, muszę poświęcić się posłowaniu. I mówi do Lisa: - znajdź Bobowi pracę. A Lis: - A kim on jest? A oni: - Ty nie znasz Boba? Lis mówi: - nie. Ale jedyne wolne miejsce mam na Amerykę Północną. Ja mówię - to świetnie, jestem Amerykaninem. Lis - Co? Ty? Czy jesteś z rodziny polskiej? Kiedy wyjechałeś? Ja mówię: - latem zeszłego roku. Lis: Na co? Na winobranie, czy pilnować podziemnych struktur? A czy Ty w ogóle znasz angielski? Inni wybuchają śmiechem i mówią: - on jest urodzonym Amerykaninem! Bogdan Lis nie załapał - Ale kiedy Twoi rodzice wyjechali stąd? Ja odpowiadam: - jestem irlandzkiego pochodzenia. A Lis: - i znasz polski? Ja: - A w jakim języku kurza twarz teraz mówimy? Na to Lis: - to dobrze, przyjeżdżaj. I tak zostałem pracownikiem Związku. Byłem odpowiedzialny za kontakty w Ameryce Północnej tylko z tego powodu, że znałem język angielski lepiej niż wszyscy. Dwa lata później zająłem się także wschodem Europy.

- Kto tam pracował, kto był szefem tego biura?

- RF: rzeczywistym dyrektorem, znającym się najlepiej na tych sprawach była Anna Fotyga. Ona nie miała do mnie zaufania, chyba do nikogo nie miała zaufania...

- MŁ: Nie przesadzaj...

- RF: Może z wyjątkiem Ciebie...

- MŁ: Ja byłem z nią zaprzyjaźniony od lat. Ona pracowała tam od początku, także w podziemnych strukturach. Bogdan Lis w związku odpowiadał za kontakty zagraniczne jeszcze od 1980 roku i Anka zaczęła z nim współpracować jeszcze w podziemiu.

- RF: Połowa tych pracowników była z Ruchu Młodej Polski, rekomendowani jeszcze przez Aleksandra Hala. Anna miała lecieć razem z Leszkiem do Smoleńska, w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Jak ją spotykam, to ciągle o tym wspomina...

- Jak długo tam pracowałeś?

- RF: 8 lat. Przez pierwszych 15 miesięcy mojej pracy, Wałęsa jeszcze był, naprzeciwno siedział szef działu prawnego Leszek Kaczyński. Widziałem się z nim kilka razy dziennie. On był numer 2 w Związku, ale faktycznie to nim kierował. Jak przyjeżdżali zagraniczni goście, to ja byłem tłumaczem Lecha Wałęsy, a jak go nie było, to Leszek ich przyjmował, a ja byłem jego tłumaczem. Wschodem zająłem się dwa lata od przyjęcia do pracy w Biurze Zagranicznym dlatego, że mówiłem biegle po rosyjsku i najlepiej spośród wszystkich innych pracowników Biura. Byłem także odpowiedzialny za kontakty z amerykańskimi związkami zawodowymi z Lane Kirklandem na czele, który w latach 1979-1995 był przewodniczącym centrali America Federation of Labor-Congress of Industrial Organizations (AFL-CIO). Oni

wspierali podziemną Solidarność także finansowo.

- **MŁ:** Pracowaliśmy w jednym budynku, tylko na innych piętrach. Komisja Krajowa była na drugim i trzecim piętrze, region gdański z Bogdanem Borusewiczem na pierwszym i ja tam pracowałem.

- **RF:** Majątek Związku nie był duży, komuchy wtedy jeszcze nic nie oddały. A w latach 80., latach podziemia, to wszystko było objęte konspiracją. Pamiętam takie zdarzenie: dostałem informację od Janusza Pałubickiego, że mam się u niego pojawić. Przychodzę do niego, on już jest ubrany, wychodzimy, kluczymy żeby zgubić ogon. I on mówi, co mamy zrobić...

- Po wyborach czerwcowych 1989 roku, w następnym roku 1990 mieliśmy wiosną samorządowe i jesienią wybory prezydenta Polski. W samorządach dominowały jeszcze komitety obywatelskie, przynajmniej w południowo-wschodniej Polsce, np. w Przemyśle z KO wybrano 35 radnych na 36. Natomiast porozmawiajmy o wyborach prezydenta Polski, które odbyły się jesienią w dwóch turach: 25 listopada i 9 grudnia. Wygrał Lech Wałęsa, ja byłem przedstawicielem jego sztabu na województwo przemyskie, z rekomendacji szefa przemyskiej Solidarności Marka Kamińskiego. Dwa razy w tygodniu musiałem być w Gdańsku na odprawach, latałem samolotem, jakimś Jakiem czy Antkiem na śmigła, z przesiadką w Warszawie – Rzeszów-Warszawa, Warszawa-Gdańsk, 2 godziny narady i z powrotem. Samoloty tak huczały, że cały dzień miałem głowę pełną szumu, co utrudniało kontakt. Wszystkim dowodził Jacek Merkel, często był z Lechem Wałęsą jego rzecznik Andrzej Drzycimski. W Gdańsku czasem miałem chwilę, żeby porozmawiać z Przemkiem Gosiewskim i Małgością Gosiewską, bo oboje pracowali w sztabie Wałęsy...

- **MŁ:** w obie kampanie angażowaliśmy się wszyscy. Ja np. jeździłem na spotkania, zachęcałem do głosowania na naszych kandydatów. Podobnie było z wyborami prezydenckimi, popieraliśmy Lecha Wałęsę. On miał pretensję do Jacka Merkla, który był szefem sztabu wyborczego, że nie wygrał w pierwszej turze.

- Tak, Jacek Merkel często bywał na spotkaniach z łącznikami terenowymi sztabu. Tam zresztą mocno był zaangażowany Przemek Gosiewski, ja go już wcześniej znałem i Małgościa, taka dziewczyna z pazurem...

- **RF:** Ona wtedy nie była jeszcze Gosiewska, potem wzięli ślub, byłem ich świadkiem. Ale Przemek tam był za przyczyną Leszka Kaczyńskiego, był jego studentem.

- **MŁ:** Leszek miał dwóch takich energicznych studentów: Przemka i Grzegorza Biereckiego, który potem został senatorem.

- Jak odebraliście wyniki pierwszej tury i fakt, że do drugiej wszedł Lech Wałęsa i Stan Tymiński, a nie Mazowiecki?

- **RF:** dla mnie najważniejsze było, żeby wygrał Wałęsa. Później tłumaczyłem wszystkim dlaczego Mazowiecki tak źle wypadł. Bo ludzie, którzy mu robili kampanię wyborczą nie mieli kontaktu ze zwykłymi ludźmi, pracownikami zakładów w wielu różnych mniejszych

miejsowościach. Oni organizowali mu wiece w dużych miastach i na uczelniach, gdzie kto przychodził? Pracownicy i studenci. Czasem to były muzea. A więc kampania trochę ode-
rwana od ludzi.

- W przemyskim było podobnie, Mazowiecki rzadko tam przyjeżdżał, a jego kampania organizowana była w środowiskach, które uważały się za elity, dziś powiedzielibyśmy pseudoelity, nie mieli kontaktu z narodem. Ale główną przyczyną porażki był zawód, że jego rząd nie dokonał gruntownych zmian w Polsce, a jeśli coś robił to połowicznie, np. dekomunizację. Dlatego przegonił go Tymiński, co było dla nas dużym zaskoczeniem, nawet szokiem.

- RF: Pierwszym problemem Mazowieckiego było to, że podczas jego rządów wprowadzono zmiany gospodarcze, wymyślone przez Balcerowicza, które uderzyły głównie w pracowników i ludzi biednych. Nagle pojawił się milion bezrobotnych, padały zakłady pracy. Pamiętam do dzisiaj, jak Polacy, którzy nie mieli nic, chodzili na bazy, gdzie z Ukrainy przyjeżdżali ludzie i sprzedawali rzeczy codziennego użytku, które były dziesięć razy tańsze niż w polskich sklepach. I dla tych Polaków, którzy pracowali w upadających zakładach to był koszmar. Moja pensja w 1982 roku w Polsce wynosiła 5700 zł, to na czarnym rynku to było 29 dolarów. A za Mazowieckiego średnia pensja to było 98 tysięcy złotych i też 29 dolarów! To był przeciętny zarobek wszystkich Polaków! Wszystko padało, Związek Radziecki padał, nie było dobrze funkcjonującego rynku, nie było surowców.

- MŁ: - A Solidarność popierała plan Balcerowicza.

- RF: przede wszystkim Wałęsa. Bez jego wsparcia nic by nie wyszło. Wiele razy byłem na jego wiecach, kiedy Lech prowadził kampanię, to pytałem delegacje międzynarodowe, amerykańskie czy chcą zobaczyć Lecha Wałęsę w akcji, brałem ich, siedziałem za nimi i tłumaczyłem co Wałęsa mówi i co mówią ludzie. Zazwyczaj było 500-600 ludzi, on stał przed nimi, a oni krzyczeli na niego, klęli, darli się czasem niesamowicie, że zdradził ich, że tak źle nie było nawet w PRL, bo wtedy nie umierali z głodu! Że Balcerowicz temu jest winny, a Wałęsa go broni! Ci Amerykanie słuchają tych ludzi, patrzą na mnie i mówią: - oni go zabiją! Ja sam byłem przerażony, bo nigdy nie widziałem go w akcji z takimi tłumami. Widziałem, jak go atakowali na Komisji Krajowej, ale tam swoi atakowali swojego - nie ma problemu. A tu Wałęsa musiał przekonać ich, żeby głosowali na niego jako prezydenta. Powiedziałem tylko Amerykanom, że teraz nie możemy wyjść, czekamy do końca. W końcu Wałęsa patrzy na zegarek i mówi: - ja bardzo Państwa przepraszam, próbowałem odpowiadać na Państwa pytania tyle ile mogłem, naprawdę uczciwie, nie znam wszystkich szczegółów, słuchałem Państwa, ale muszę jechać, mam dwie godziny jazdy tam czekają na mnie też, kilka tysięcy ludzi. Ale pozwólcie, że zrobię szybki sondaż. Jeśli jesteście mniej więcej za tym, co ja mówiłem, proszę podnieść ręce. Byłem przekonany, że nikt nie podniesie ręki, a podnieśli wszyscy...Amerykanie byli zaszokowani, pytali: - Fielding, czy Ty nam dobrze to tłumaczyłeś?

- Komuna miała dobrze rozbudowane kadry, które były ciągle szkolone na każdym poziomie. My takich szkoleń w pierwszych latach 90. nie robiliśmy z powodu braków

organizacyjnych, potem z powodu ciągłych sporów, które wprowadzały niestabilność systemu partyjnego i stąd z każdym kolejnymi wyborami do polityki wchodził coraz mniej ideowi. Ale komuniści spotykając się z ludźmi mieli swoje metody. Na przykład, jeszcze za komuny, lektorzy partii jeździli do zakładów pracy, tam robotnicy wtykali im ile weszło, jeśli byli niezadowoleni, ci kiwali głowami, zapisywali jakieś notatki, robili wrażenie uważnych słuchaczy. Potem szli do swoich komitetów partyjnych i robili dalej to samo co wcześniej, a robotnicy rozchodzili się ze spotkań podbudowani odwagą, że partyjnym nawtykali i potem szli do wyborów i na nich głosowali. Takie sprawdzone metody rozmowy z dużą grupą ludzi były praktykowane.

- RF: Wałęsa jednak miał talent, on rozmawiał z tłumami w zakładach pracy i na uniwersytetach, rozmawiał z ludźmi przewyższającymi go pewnie inteligencją, wykształceniem, wiedzą o świecie, którzy nieraz chcieli go ośmieszyć, zadawali trudne pytania, a potem głosowali na niego. Bo wierzyli, że on ich nie zdradzi.

- Czy tamte czasy nie przypominają wam czasów współczesnych pod pewnymi względami? Co chwilę w III RP pojawiali się dziwni politycy, którzy szybko zdobywali popularność głosząc niekonwencjonalne hasła jak Tymiński, partia X, Palikot, Petru, Korwin-Mikke, teraz wyskoczył Hołownia, Braun i Mentzen. Niektórzy z nich byli zupełnie antysystemowi. Czerwoni przepoczwarzali się z komunistów w liberałów wciągając Platformę w kręgi lewicowo-postkomunistyczne: Leszek Miller, Cimoszewicz, Rosati, Napieralski. Tusk poszedł w tamtą stronę drogą nienawiści nieskrywanej już od przegranej z Lechem Kaczyńskim wyborów prezydenckich w 2005 roku i od tamtej pory polaryzacja rosła, spory polityczne były coraz bardziej wulgarne, niemerytoryczne, a liberalno-postkomunistyczne media popularyzujące taki język nas obarczały zaniżaniem poziomu – czysta hipokryzja. Po stronie naszej, obozu patriotycznego jednak takiego zaniżania poziomu debaty publicznej nie było, liczył się program, wartości, nie tylko teatralna umiejętność wywoływania wrażenia.

- MŁ: w każdych wyborach pojawiał się taki Tymiński...

- RF: Tymiński moim zdaniem był montowany przez ubecję, albo tak psychicznie chory, że oszukał wszystkich, że nie jest psychiczny. Ta jego czarna teczka, to było niesamowite! Ja oglądałem w telewizji te walki i uważałem, że to bardzo niedobrze dla Polski, że Mazowiecki nie wszedł do drugiej tury.

- Opisz swą pracę w Komisji Krajowej. Czy były jakieś szczególne momenty, jakieś anegdoty?

- RF: W pracy w Gdańsku, założyłem też komisję zakładową związków zawodowych w Komisji Krajowej Solidarności. Ale Wałęsa zabronił jej tworzenia. To było na początku mojej pracy, byłem jeszcze członkiem komisji zakładowej na opolskiej WSP. I poszedłem do Anki Fotygi, mówię jej przy innych pracownikach, że chciałbym zmienić swoje członkostwo w komisji zakładowej z Opola na Gdańsk, a tu nastąpił wybuch śmiechu! Nie wiem o co chodzi, a ona mówi do mnie: Bobie, nie ma takiej komisji zakładowej wśród pracowników

Solidarności. Ja mówię: - czy ja dobrze słyszę? Ona: - dobrze słyszysz i lepiej żebyś o tym nie mówił. I potem powiedziała mi na osobności, że jeszcze w roku 1980, to dział poligrafii przestał pracować żądając podwyżek. I Wałęsa zwolnił wszystkich z pracy. Ja powiedziałem, ok. Jak Wałęsa został prezydentem, byłem na kursie w Harwardzie, gdzie Borsuk mnie wysłał i nie byłem na zjeździe, kiedy wybierano szefa Solidarności. Byłem przekonany, że wygra Kaczyński, może Borusewicz, ale wygrał Krzaklewski! To był rok 1991. Więc wróciłem do pracy, znałem trochę Mariana, ale nie za bardzo. Wróciłem i myślę, że może założymy teraz związek zawodowy, bo Lecha już nie ma, a Kaczyńscy poszli z Wałęsą do Warszawy, bo Leszek też był przeciwko. No i założyliśmy komisję zakładową nie pytając Mariana, a ja zostałem przewodniczącym tej komisji.

- Czy były jakieś awantury w związku z tym?

- RF: Czasem były, bo ja starałem się bronić pracowników. Na przykład był kłopot z jednym z kierowców. On miał zgodę na to, że samochodem może jeździć do swojego domu na noc, ale nie może korzystać z niego prywatnie. A on to robił i rozbił samochód. No i Marian chciał go wyrzucić. Ale przyszła do mnie delegacja pracowników w jego obronie. Ja mówię, słuchajcie, czy on był pijany? I na ich twarzach widzę, że tak. Więc mówię, że nie będę bronił kogoś, kto mógł zabić innego człowieka. Ja mam szczęście, że w Stanach jeździłem czasem po pijaku, ale nie miałem żadnego wypadku. Nie byłem święty. Ale mówię do Mariana, że można by tego kierowcę wysłać na leczenie dla alkoholików, wysłać do psychologów i może nie wyrzucać od razu, ale trzeba zapłacić za to leczenie. A Marian do mnie zaczął kląć, myślałem, że mnie samego zwolni z pracy. Ale ten kierowca sam powiedział, że nie będzie się leczył, więc został zwolniony.

- MŁ: Ja pracowałem cały czas z Borusewiczem w Zarządzie Regionu. Jeździliśmy po zakładach pracy i popieraliśmy Plan Balcerowicza... Teraz to wstyd jak cholera... Bo firmy padały, a my mówiliśmy, że jedynym wyjściem jest ten plan. Borsuk też to robił, wszyscy, prawie cała Solidarność popierała Plan Balcerowicza.

- W Przemysłu w tamtym czasie szefem Solidarności był Marek Kamiński, a jego szwagier Jan Musiał był senatorem OKP, potem PC. I organizowaliśmy cyklicznie otwarte spotkania dyskusyjne już w Towarzystwie Kulturalnym, tzw. Otwarte Forum Obywatelskie, na których Marek Kamiński atakował mocno Plan Balcerowicza, sejm, senat, ładował w nich jak w bęben za Balcerowicza, za zdradę Solidarności. To były czasy rządów Mazowieckiego.

- RF: bo wiesz, to był eksperyment, pamiętam do dzisiaj, już nie wiem, ile razy miałem do czynienia z Jeffrey'm Sachs'em i on był tym głównym zachodnim doradcą, który wspierał pomysł Balcerowicza...

- MŁ: a dwa lata temu powiedział, że się pomylił...

- RF: nie tylko w tym zresztą. Ale przecież na świecie nikt nie miał doświadczenia w przejściu od państwowej gospodarki do wolnego rynku, tego nigdzie nie było, no może gdzieś tam w jaskiniach kiedyś, ale nie mamy dokumentów. I moim zdaniem Balcerowicz był bardzo dobrym studentem zachodnich gospodarek, wiedział dokładnie jak one działają

i miał dookoła siebie grupę w SGH z którą współpracował. On zresztą był wcześniej komuchem?

- **MŁ:** W latach 70. opracowywał dla Komitetu Centralnego PZPR różne materiały ekonomiczne. Oni oczywiście wtedy nie potraktowali tego serio, ale on już chyba w 1978 roku opracował pierwszy dokument dotyczący przekształceń. Jeszcze nie było mowy o powszechnej prywatyzacji w tym dokumencie, ale były proponowane zmiany, które miały doprowadzić do gospodarki rynkowej.

- **Bob,** już w latach 90. miałeś rozbudowane kontakty z międzynarodowymi związkami zawodowymi. Jak do tego doszło?

- **RF:** Przede wszystkim z amerykańskimi, gdzie potem zostałem zatrudniony przez związki zawodowe AFL-CIO i w Instytucie Wolnych Związków Zawodowych, Free Trade Union Institute. On powstał, gdy Reagan był prezydentem i zachęcił Kongres amerykański, żeby założyli Fundusz na Rzecz Rozwoju Demokracji w krajach niedemokratycznych, także tych postkomunistycznych. I ten Fundusz do dzisiaj działa. Zebrał grupę senatorów i z Izby Niższej, z obu partii, demokratycznej i republikańskiej, sam był republikaninem i powiedział



II Krajowy Zjazd NSZZ "Solidarność", Gdańsk 1990 r. Od lewej: Andrzej Wyczawski, Lech Kaczyński, Robert Fielding, Lane Kirkland - przewodniczący AFL-CIO (American Federation of Labor - Congress of Industrial Organizations). Fot. Jan Jarosz, z archiwum A. Wyczawskiego.

im, żeby utworzyli nowy fundusz, rząd da pieniądze, niech zgłoszą takich kongresmenów, którzy będą dbali naprawdę o prawa człowieka, o wolności obywatelskie, o przedsiębiorców, którzy chcą pracować uczciwie w państwach niedemokratycznych. To był przełom lat 70. i 80. I pod wpływem rozmowy z papieżem, Janem Pawłem II doszedł do tego jak pomóc

ludziom tutaj, Polsce i jej sąsiadom. Ci kongresmeni powołali radę nadzorczą tego funduszu, zebrali profesorów, prawników, dziennikarzy, znanych działaczy amerykańskich na rzecz praw człowieka. To była duża grupa, rada nadzorcza. Kongres nad tym czuwał, prezydent już nie miał na to wpływu. I zaczęto zastanawiać się kogo wspierać. Zwrócili uwagę na Międzynarodową Organizację Pracy, założoną dawno, po zakończeniu I wojny światowej, która analizowała wówczas narody państw objętych tą wojną i jej skutki na społeczeństwa, w trzech grupach: politycy, pracodawcy i pracownicy zachęceni do wstępowania do związków zawodowych. Za tym zainteresowaniem stało oczekiwanie popierania pewnej stabilizacji, bo tuż po wojnie czasy były trudne, a więc, żeby nie było strajków, zwalniania z pracy. Za Reagana utworzono też dwa instytuty, jeden pod egidą partii demokratycznej, drugi pod egidą partii republikańskiej, związkami zawodowymi zajmował się Lane Kirkland z utworzonym Instytutem Wolnych Związków Zawodowych. Pracodawcy także mieli swoją niezależną organizację. Więc ten Fundusz na Rzecz Rozwoju Demokracji był rozdzielany na te cztery grupy.

National Endowment for Democracy (NED) to organizacja pozarządowa w Stanach Zjednoczonych założona w 1983 roku z celem promowania demokracji na świecie i przeciwdziałania wpływom komunistycznym za granicą, poprzez promowanie instytucji politycznych i gospodarczych, takich jak partie polityczne, grupy biznesowe, związki zawodowe i wolne rynki. NED jest fundacją udzielającą dotacji, która rozdziela fundusze na prywatne organizacje pozarządowe w celu promowania demokracji za granicą w około 90 krajach. Połowa finansowania NED jest przydzielana corocznie czterem głównym organizacjom amerykańskim: Amerykańskiemu Centrum Międzynarodowej Solidarności Pracy (związanemu z AFL-CIO), Centrum Międzynarodowego Przedsiębiorstwa Prywatnego (stowarzyszonemu z USCC), Narodowemu Demokratycznemu Instytutowi Spraw Międzynarodowych (związanemu z Partią Demokratyczną) oraz Międzynarodowemu Instytutowi Republikańskiemu (wcześniej znanemu jako Narodowy Republikański Instytut Spraw Międzynarodowych i powiązanemu z Partią Republikańską) – za: wikipedia.

Ty poznałeś Briana Mefforda i Chrisa Holzena, którzy kierowali Międzynarodowym Instytutem Republikańskim IRI na Ukrainie i oni prowadzili szkolenia o działaniu demokracji w normalnych krajach. W stanie wojennym, to ten Instytut Wolnych Związków Zawodowych finansował działanie brukselskiego biura, które faktycznie było biurem spraw zagranicznych podziemnej Solidarności: Jerzy Milewski, różni ludzie tam pracowali. To były pieniądze od rządu amerykańskiego i szły jako wsparcie dla podziemnych struktur. Jerzy Urban cały czas wtedy mówił, że Solidarność utrzymywana jest z pieniędzy Zachodu. Ale ja wtedy nie miałem z nimi kontaktu.

Zostałem zatrudniony w 1997 roku przez ten Instytut Wolnych Związków Zawodowych. Oni mnie znali, bo przez 8 lat współpracowałem z nimi jako pracownik Komisji Krajowej Solidarności. W ciągu tych 8 lat byłem wysyłany z Krajówki na różne spotkania międzynarodowe jako człowiek od Solidarności. To były spotkania w Międzynarodowej Organizacji Pracy (MOP), w Federacji Wolnych Związków Zawodowych, jeszcze wtedy była Chrześcijańska Federacja Związków Zawodowych. Wszystkie te organizacje miały siedzibę w Belgii.

- Czym różniły się te związkowe struktury międzynarodowe?

- **MŁ:** Były dwie duże międzynarodowe federacje związków zawodowych: MKWZZ (Międzynarodowa Federacja Wolnych Związków Zawodowych) i Światowa Federacja Związków Zawodowych, w której zostały państwa postkomunistyczne i trzeciego świata...

- **RF:** Była jeszcze jedna, mała organizacja wolnych związków zawodowych, która powstała dzięki papieżowi Leonowi XIII, który ogłosił w 1891 roku encyklikę *Rerum novarum* poświęconą sprawom pracy. Wtedy powstawały socjalistyczne związki zawodowe niszczone przez pracodawców. I ten papież nie był przeciwko temu, ale uważał, że wiele osób nie wchodzi do nich z powodów ideologicznych. A ponieważ w Biblii jest wiele miejsca poświęcone temu, że nie można ludzi eksploatować, więc napisał encyklikę. To był prawie apel do chrześcijańskich pracodawców, żeby traktowali normalnie swoich pracowników, że godność jest wartością, co oznacza, że ci pracownicy mają pracować uczciwie i mają być uczciwie opłacani, bo mają te same prawa jak inni obywatele. Dlatego nie można przeszkadzać w zakładaniu związków zawodowych. Potem Jan Paweł II napisał *Laborem exercens*, encyklikę o ludziach pracy. Dlatego zaczęły też powstawać związki zawodowe o charakterze chrześcijańskim, które powołały swoją federację chrześcijańskich związków zawodowych. I Solidarność podziemna jako jedyna organizacja na Świecie była członkiem MKWZZ, która była jakby socjaldemokratyczna i jednocześnie katolickich związków zawodowych.

- **A z amerykańskimi związkami, kiedy zacząłeś współpracę?**

- **RF:** Cały czas współpracowałem. Oni mieli różne programy na różne kraje, a ponieważ ja wiedziałem co się dzieje na Węgrzech, W Czechach, na Słowacji, w krajach bałtyckich, więc byłem prawie bezpłatnym doradcą dla nich i często bywałem w składzie delegacji wolnych związków zawodowych do tych krajów, oddelegowany przez Mariana Krzaklewskiego. A, jak mówiłem, miałem kłopoty z opłacaniem czynszu i utrzymaniem się za pensję w Komisji Krajowej, to zastanawiałem się nad ofertą pracy dla amerykańskich związków zawodowych. Ale decyzję podjąłem dopiero w 1997 roku, po zwycięstwie Solidarności w wyborach parlamentarnych, gdy już wiedziałem, że całe kierownictwo władz Solidarności będzie albo w Senacie, albo w Sejmie, albo ministrami, a więc będzie pracować w Warszawie. I tak było, został tylko Marian. Więc także rola biura zagranicznego zmniejszyła się, bo większość spraw powędrowała za ludźmi do Warszawy. I zgodziłem się na ofertę amerykańską, na pracę w Instytucie Wolnych Związków Zawodowych - Free Trade Union Institute.

6. Na Misjach od 1993

- **Wróćmy do czasów Twojej pracy w Komisji Krajowej Solidarności. Brałeś udział w wielu misjach obserwujących wybory w Rosji (1993), Mołdawii (1994), Kazachstanie (1994), Ukrainie (1994), Białorusi (1995). Można zrozumieć, że dzięki Krajówce nawiązałeś kontakty z organizacjami międzynarodowymi działającymi na rzecz obrony praw człowieka i wolnych wyborów w różnych państwach na świecie?**

- **RF:** Nie tylko. Wynajmowałem się podczas urlopów do różnych międzynarodowych organizacji. Bardzo często pracowałem dla OBWE - Organizacji Bezpieczeństwa i Współpra-

cy w Europie, jako obserwator lub organizator obserwacji wyborów w różnych krajach, głównie postradzieckich. Najpierw pojechałem do Rosji w 1993 roku, na wybory parlamentarne. W tamtym czasie OBWE utworzyła tutaj w Warszawie swoje Biuro Do Spraw Demokratycznych Instytucji i Praw Człowieka. I z tego biura zadzwonił do Komisji Krajowej facet, bo telefonów komórkowych nie było jeszcze i poprosił o rozmowę ze mną. Przedstawił się i z amerykańskim akcentem mówi, że jest wicedyrektorem biura OBWE w Warszawie i żeby do niego przyjechał. Ja mówię, że pracuję w Komisji Krajowej w Gdańsku, to jest trochę daleko i dlaczego miałbym do niego przyjechać. – Bo chciałbym, żeby Pan pojechał ze mną do Rosji, bo tam mamy zorganizować obserwację wyborów parlamentarnych. Ja mówię: - to życzę powodzenia. Ale on był uparty i mówi, że od wielu osób ze Stanów i z Polski wie, że jestem w Solidarności odpowiedzialny za wschód i znam rosyjski. Ja mówię, że pracuję w biurze zagranicznym i nie mogę się zwolnić tak na gębę. Wtedy dyrektorem biura zagranicznego po Bogdanie Lisie był Gienek Polmański górnik ze Śląska, jego brat był w Sejmie. No i Gienek zgodził się, ja pojechałem pociągiem. Ten Amerykanin siedzi w swoim biurze, opowiedział mi krótką historię powstania tego biura. – I co mamy tam robić, pytam? - Pomóc nam, bo słyszałem, że znasz od wielu lat dysydentów sowieckich w Stanach, zajmujesz się w Solidarności kontaktami ze Wschodem, to pomóż nam zrozumieć mentalność tych sowietów. I pojechaliśmy.

Byłem w Rosji trzy tygodnie, pomagałem i dostałem trzy tysiące dolarów! To był prawie roczny dochód z mojej dotychczasowej pracy! Im spodobało się to, co robiłem w Rosji. Tłumaczyłem tego Amerykanina, gdy miał spotkania z centralną komisją wyborczą, trzeba było organizować spotkania z różnymi partiami i kandydatami tych partii. Byłem też odpowiedzialny za szukanie tłumaczy dla grup obserwatorów, które będą przyjeżdżać na wybory i które będą mówić w różnych językach: angielskim, francuskim, hiszpańskim itd. Zacząłem więc łączyć po różnych miejscach, uniwersytetach, wydziałach w Moskwie. Czasami zgadzali się być takimi tłumaczami pracownicy, czasami musiałem brać studentów z czwartego lub piątego roku studiów. Głównym szefem tej delegacji był Włoch i najczęściej z nim byłem.

- To był rok 1993, z Polski wyjeżdżali ostatni żołnierze okupacyjnych wojsk rosyjskich, Wałęsa był prezydentem. Jakie wydarzenia zapamiętałeś najmocniej z tamtego okresu, co robiliście?

- To był grudzień, ale wcześniej jeszcze przygotowywaliśmy się do obserwowania tych wyborów i jeździli na spotkania do różnych partii. Sugerowałem szefowi, temu Włochowi, żeby spotkać się także z tzw. nowymi związkami, które nie są ze starej konfederacji Związku Radzieckiego. I to było żałosne. Bo choć partia komunistyczna Związku Sowieckiego jakby już nie istniała, ale przetrwała w tych związkach komunistycznych. To byli działacze Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii ZSRR, W ten sposób chciałem mu pokazać, że demokracja w Rosji głębokich korzeni nie ma. On nie chciał temu wierzyć. Zrozumiał dopiero po rozmowach z tymi politykami, że oni mają słabe pozycje. Żyrinowski nie przyszedł wtedy na spotkanie. Te spotkania odbywały się w różnych miejscach. Stare partie komunistyczne miały swoje duże luksusowe siedziby. A im bardziej prozachodnia partia, tym mieli mniej pieniędzy na działalność i nie mieli biur. Ale mówili cały czas, że jak w Polsce się udało, to i nam musi się udać. Nie mówili o Czechosłowacji, gdzie Havel już był

prezydentem, czy o Węgrzech, tylko mówili o Polsce. Chociaż chwalili kraje bałtyckie za to, że powstały jeszcze przed końcem ZSRR i oderwały się od komunistów, ale generalnie panowało przekonanie, że „ruski naród – głupi naród”.

- Potem byłeś w Kijowie, na Ukrainie, pierwszy raz w 1994 roku?

- Tak, pojechałem tam w delegacji OBWE. Pojechaliśmy na spotkanie z przewodniczącym Centralnej Komisji Wyborczej Ukrainy. Widać było, że to jest stary, cwany komuch, miał 65-70 lat. Wchodzimy do niego do gabinetu, jest godzina 9.30, od razu na stół stawia flaszki koniaku i zaczyna rozlewać. Ja mu mówię, że jeśli już, to dopiero podczas kolacji. Ten Włoch nie wiedział co robić, bo widział, że komuch jest niezadowolony. Ja mówię do komucha: - Wie Pan co, kiedyś pracowałem w szpitalu psychiatrycznym i odwiedzałem alkoholików. I nie chcę skończyć w waszym szpitalu dla alkoholików, czy Pan mnie rozumie? Facet był oburzony! Ja: - reprezentuję organizację międzynarodową, która czuwa nad prawidłowością przebiegu wyborów i albo będziemy współpracować, albo nie. Ja byłem tylko wynajętym tłumaczem, ale wiedziałem, jak należy z tymi komuchami rozmawiać, bo Włoch był cały przestraszony, że to już koniec rozmowy. Ja mu mówię, że to jest stary komuch z KGB i ten komuch to słyszał i chyba zrozumiał, bo nazwę wymawiałem wyraźnie i powoli. Ale pyta: - O czym będziemy rozmawiać? Ja mu podaję dwie strony papieru i mówię, że to są nasze żądania. Jeśli nie zostaną spełnione, to OBWE nie przyjedzie na wybory. Mówię mu m.in., że sami znajdziemy sobie hotele do zamieszkania. On mówi: - Tak u nas nie działajecie. Ja mówię: - My jesteśmy z innego świata, jeśli wy chcecie nas kontrolować jak KGB, to proszę bardzo, ale wtedy nikt nie uzna tych wyborów za demokratyczne i nikt z zachodu nie będzie chciał z wami rozmawiać. Ten Włoch denerwował się strasznie, że ja rozmawiam, a on nie wie o czym. Wyszliśmy do hotelu pakować się. Ale zanim wyjechaliśmy z Kijowa, przywieźli naszą listę, gdzie wszędzie było napisane: zgoda, zgoda, zgoda, zgoda.

- Co tam było?

- Że sami będziemy wybierać swoich tłumaczy, sami wybierać hotele, sami decydować z jakimi wyborcami i gdzie chcemy rozmawiać, do jakich komisji obwodowych jechać. Włoch był w szoku. Gdy wróciliśmy do Warszawy, szef tego Biura OBWE pyta o szczegóły misji, ja mu opowiadam, dałem tą listę, a on tak się śmiał, że nie mógł przestać: - Ile godzin rozmawialiście? - Dwie, a on: - To zgnoiłes komucha! - Tak. - Stary, to jesteś dobry! Będziemy korzystać z Twoich usług.

Współpraca z tym Włochem, szefem Biura OBWE układała się dobrze, więc zabrał mnie na kolejną misję, chyba do Mołdawii, a następnie do Kazachstanu. I tam dopiero było trudno z komuchami...

- Mołdawia, to był rok 1994? Tam w lutym odbywało się referendum w sprawie połączenia z Rumunią. Czy pamiętasz jakieś wydarzenia z misji do Mołdawii? Bo wtedy był tam chyba niewielki procent głosów nieważnych. My na Mołdawię z polską misją obserwatorów, odrębną od OBWE, organizowaną przez PIS, jechaliśmy chyba w 2005 roku, zaraz po wyborach na Ukrainie, także na wybory parlamentarne. Sytuacja tam niewiele różniła się od tej na Ukrainie. Niby było kilka komitetów partyjnych, ale jakoś

wszystkie podobnie skrojone. To było lato, ciepło, kraj właściwie bez lasów, stepy. Było dużo arbuzów...

- Wtedy już młodzież wyjechała z Mołdawii i komuniści wygrywali wszystkie wybory. A w 1994 roku to była misja związana z referendum niepodległościowym Mołdawii. Oni wtedy nie zgodzili się na połączenie z Rumunią, ale mieli też problem z Naddniestrzem. Obecna szefowa, prezydent Mołdawii - nie do wiary, jak to się stało, że Rosjanie jeszcze jej nie zabili - jest twarda, mówi do ruskich: - Oddajcie nam Transnistrię, Naddniestrze i wtedy pogadamy. W tej okupowanej przez Ruskich części, stała cała 14 armia, której dowódcą był generał Lebied. To był skansen Związku Sowieckiego. W tym Naddniestrzu wybory nie odbywały się. Dniestr był granicą. Były tylko trzy wioski po drugiej stronie rzeki, w których były wybory. Miałem w swoim biurze mołdawskim jednego francuskiego dyplomate, młodego, który znał rosyjski i szwajcarskiego kapitana armii, który był naszym kierowcą. I pewnego razu pojechaliśmy do tych trzech wiosek tego Naddniestrza. Żeby wyjechać z Mołdawii musieliśmy przejechać most, ale od razu podchodzą do nas żołnierze z tzw. Armii Transnistrii, ubrani po cywilnemu, z automatami, wyglądający na prawdziwych bandytów i zaczynają grozić nam, że nie mamy prawa wjeżdżać na ten most. A my musieliśmy przejechać przez most, potem przez kawałek okupowanego terytorium, żeby dojechać do tych trzech wiosek, które jednak zdecydowały się głosować w wyborach.

- W Kazachstanie z misją byłeś potem, w 1995 roku? Wtedy chyba zakładał tam naszą ambasadę Krzysiek Rudy Sawicki, z Markiem Maluchnikiem. Pracowali w stolicy, w Ałmaty.

- Ja nie miałem z nimi do czynienia, Amerykanie mieli nas pod kontrolą. Ówczesny ambasador Stanów w Kazachstanie, został później doradcą wiceprezydenta Ala Gore'a. Ja byłem tam z Amerykanką z Bostonu, miała na imię Elizabeth, dziwna baba, pracowała tutaj w OBWE w Warszawie. Więc robiliśmy tam to samo, co w innych krajach: przyjechaliśmy tydzień przed wyborami, spotykamy się, szukamy tłumaczy dla obserwatorów. Wysyłałiśmy ludzi po całym Kazachstanie, to jest ogromne terytorium, ale sytuacja była gorsza niż w Rosji. Po zakończeniu wyborów, zwołałem konferencję prasową w Ałmaty dla wszystkich organizacji obserwacyjnych zagranicznych, że Stanów, byli demokraci i republikanie, 20 organizacji z różnych krajów, żeby przedstawić mediom kazachskim opinię tych obserwatorów i przedstawić ludziom ile jest przekrętów. I występują jeden za drugim: wybory niedemokratyczne, zła, zerowa organizacja, wielu mówiło, że na pewno władze nie chciały, żeby tam odbyły się prawdziwe wybory, głosy bardzo krytyczne, mówiące prawdę. I nagle pojawił się ambasador amerykański i pyta: - Where is Fielding? Ja mówię: O, cześć witamy na konferencji prasowej... A on zareagował bardzo nerwowo, od razu wszedł na scenę, po drodze szepnął coś na ucho niektórym i każdy z obserwatorów, który był tam za pieniądze, szybko wstali i wychodzili. A on, przy tej Amerykance, mojej współpracownicy powiedział, że odbierze mi paszport amerykański i nie będę jeździł już w ogóle. I odszedł, ja wzruszyłem ramionami, on wyglądał jakby kipiał z gniewu. Elizabeth była w szoku.

To jeszcze nie wszystko, przechodzimy do hotelu, gdy nagle jesteśmy wezwani do szefa Centralnej Komisji Wyborczej Kazachstanu. Przyszliśmy tam, on siadł naprzeciwko i robi nam awanturę, że - Jesteście wrogami naszego kraju i tak dalej. I co pewien czas dzwonił

telefon, chyba od prezydenta Nazarabajewa, mówili po kazachsku, ten szef komisji siedział skulony, jak małe dziecko, słyszałem tylko krzyk w słuchawce z drugiej strony. A w przerwach między telefonami szef nas beszta. Elizabeth siedzi spanikowana, a ja nie daję za wygraną i mówię – Proszę Pana, albo zaprosiliście nas obserwować, albo nie. My byliśmy obserwatorami w wielu krajach, mamy doświadczenie i nikt nie kłamał. Więc jak jest fałszerstwo, to co mamy powiedzieć? Cały czas widać było, że on jest przestraszony i cały czas próbował nam grozić. Elizabeth mówi: - On nas zabije, a ja: - Raczej nie on, ale wywiozą nas gdzieś daleko i znajdą w jakichś grobach za 10 lat. Masz się jednak trzymać w garści! Ten szef komisji cały czas perorował, że Kazachstan opuści OBWE i tak dalej. W pewnym momencie wpadłem na pomysł i mówię do niego: - Wie Pan co, oni mówili prawdę, te wybory były katastrofą, ale nikt z nas nie spodziewał się, że wszystko wyjdzie dobrze, bo Wyście tego w życiu nie robili, nie macie doświadczenia, ale moim zdaniem pierwsza próba nie wypadła tak źle. To źle wygląda, kiedy obserwatorzy porównują Was z Niemcami, Francją – co wg mnie jest niezbyt sprawiedliwe. A ten szef, nagle sam siadł do telefonu i zaczyna gadać. Wraca, siada i nagle oferuje nam herbatkę. Ja uprzedziłem Elizabeth, żeby nie piła tej herbatki, bo może być zatruta. I mówię dalej do niego: - W innych państwach postkomunistycznych na początku też było podobnie. Ale teraz już jest inaczej, OBWE obserwuje i nie ma żadnych uwag. Więc ja mam pomysł. Mam kontakty w Polsce i załatwię, żeby Pan z całą Centralną Komisją Wyborczą pojechał do Polski, na dwa tygodnie przed następnymi wyborami. Będziecie chodzić od Centralnej Komisji aż do obwodowych i zobaczycie, jak są wybory przeprowadzane. I to będzie dobre przygotowanie na następną okazję. On poszedł do tego telefonu, gada 5 minut, wraca – koniak, prezenty, najlepszy przyjaciel. Elizabeth mówi: - Ty nie masz prawa takich rzeczy mówić! A ja: - Chcesz stąd wyjść żywa czy nie?

Pojechaliśmy do hotelu i nagle telefon z ambasady amerykańskiej. Jesteśmy zaproszeni do domu ambasadora na lunch. Jego żona była szefową amerykańskiej Agencji na Rzecz Rozwoju Demokracji i inicjowała różne programy. Przyjeżdżamy tam, ja myślałem, że teraz to on mnie zabije, a on mówi: - Bardzo Pana przepraszam, zbyt mocno reagowałem na wczorajsze Pańskie działania, ale my próbujemy przekonać tych Kazachów, żeby oddali broń nuklearną Rosji, bo teraz ona jest tutaj i mogą ją sprzedać niewiadomo komu. I bałem się, że ta konferencja może przeszkodzić nam w tych negocjacjach, ale przesadziłem chyba i przepraszam za to. A jego żona pyta, czy chciałbym zostać szefem jakiejś organizacji, którą wspierają itd. Następnego dnia jest telefon z Warszawy, z biura OBWE od amerykańskiego szefa, ja mówię do Elżbiety – Chodź tutaj i słuchaj. A on mówi: - Nawrzucałeś im tam nieźle! Ale co im powiedziałeś? Ja referuję mu co powiedziałem, a on odpowiada, że dwie godziny wcześniej oni chcieli wychodzić z OBWE, a teraz chcą przyjechać do Polski na przygotowanie u nas wyborów. Chwalili Ciebie - mówi - od a do z. Elizabeth siedzi obok dumna, a ja choć nie jestem pracownikiem OBWE, to dostaję pochwały. Następnego dnia u ambasadora mieliśmy jeszcze taką kurtuazyjną rozmowę o wyborach i o Polsce. Później próbował przekonać mnie żebym pracował dla Funduszu na Rzecz Rozwoju Demokracji. To był rok 1994. On był w Partii Demokratycznej i dwa lata później został głównym doradcą do spraw bezpieczeństwa Ala Gore'a. On sam przekonał Nazarabajewa, żeby oddał broń atomową Rosji i do dzisiaj, przynajmniej, Rosja tych bomb nikomu nie dała. Mają jej mnóstwo, bo i ukraińską, ale trzymają sami.

- Tak więc do 1994 roku byłeś w grupie obserwatorów wyborów w Rosji, Na Ukrainie, w Mołdawii i w Kazachstanie. Co było dalej?

- W 1995 roku, już w biurze warszawskim OBWE nie było tego Amerykanina, bo był zaangażowany w Jugosławii i we wszystkich gazetach na pierwszych stronach była informacja, że doprowadził do zakończenia wojny w byłej Jugosławii. Na zdjęciach było trzech szefów państw walczących, którzy mieli podpisać pokój, a on stoi za jednym z nich i pokazuje mu gdzie ma się podpisać. To niesamowite zdjęcia. On miał być szefem delegacji na Ukrainę, ale ja nim zostałem, bo jego żona Niemka miała w tym czasie wypadek samochodowy i była w szpitalu, więc nie przyjechał.

- W 1995 roku pojechałeś na Białoruś, najbliżej Polski, ale chyba najtrudniej?

- Nie byłem tam długo, zadzwonili z OBWE, żebym pojechał i napisał raport odpowiadając na jedno pytanie: czy na Białorusi odbędą się normalne demokratyczne wybory. Pojechałem tam, jeździłem wszędzie, rozmawiałem ze wszystkimi. Dostałem się do trzeciej osoby w rządzie Łukaszenki, który był wybrany w 1994 roku i jest do dzisiaj. Nazywał się Włodzimierz Zamiatalin i był zastępcą szefa administracji prezydenta. I napisałem raport odpowiadając w tytule na postawione pytanie: - Nie będzie wyborów demokratycznych na Białorusi. Zamiatalin nie miał nic przeciwko temu, żebym spisywał co mówi. On po prostu wyłożył Mein Kampf po radziecku: że Rosja ma zjednoczyć wszystkie państwa słowiańskie, żeby przywrócić pełne prawo słowiańskich narodów pod jednym kierownictwem Rosji. Nie wiem, czy on był Rosjaninem, czy Białorusinem. Próbowałem go przekonać, że nie każdy naród słowiański chciałby tak. Ale on mówił jak karabin maszynowy, wyuczonym jednoznacznym tekstem. Zamiatalin mówił nie o przyszłości Białorusi, ale o Rosji. Mój raport nigdy nie był publikowany i oficjalnie omawiany. Zablokowała go Rosja.

7. Praca w AFL-CIO

- W Dziale Zagranicznym Komisji Krajowej NSZZ Solidarność pracowałeś od 1 października 1989 r., do września 1997 r, później przez następne 20 lat dla Amerykańskich Związków Zawodowych AFL-CIO wspierając tworzenie wolnych związków zawodowych w państwach powstałych po rozpadzie Związku Sowieckiego.

- Nie tylko tam, także w byłej Jugosławii, Iraku w Kurdystanie. To była Solidarity Center AFL-CIO, która uczyła ludzi pracy w nowych krajach postsowieckich, postjugosławiańskich i w Kurdystanie, w Iraku o ich prawach pracowniczych. Także o międzynarodowych organizacjach MOP, EKZZ, MKWZZ (później MKZZ) oraz o tym w jaki sposób demokratyczne związki zawodowe pracują w demokratycznych krajach, gdzie gospodarka jest głównie prywatna i system wielopartyjny.

- Wymieńmy te państwa po kolei. Najpierw była Gruzja, potem Ukraina, potem Białoruś...

- Tam byłem krótko w 2001 roku, bo KGB mnie aresztowało i wyrzuciło z zakazem powrotu przez 5 lat.

- Następnie Kazachstan czy Kirgistan?

- Kirgistan, w 2014 roku i też wyrzucili mnie po miesiącu. Potem Ukraina drugi raz, potem dwa razy Gruzja, ale pierwszy program obejmował Gruzję, Armenię i Azerbejdżan, a drugim razem to był program tylko gruziński. Wszystko w ramach Programu Centrum Solidarności. Potem byłem na Bałkanach, ale też krótko: trzy miesiące w Serbii, trzy miesiące w Bośni i trzy miesiące w Albanii. I potem wysłali mnie do Iraku, do Kurdystanu, do Arbilu. Byłem tam dwa lata i potem poszedłem na emeryturę, mając 66 lat.

- Więc najpierw, w roku 1997 pojechałeś do Gruzji? I to już był program Centrum Solidarności?

- Tak. Byłem tam, kiedy zrobiono zamach na Eduarda Szewardnadze w 1998 roku, próbowali go zabić i prawie im udało się. W całej Gruzji nie było prądu prócz Batumi od czasu do czasu i Tibilisi.

- Przyjechałeś tam, żeby pomagać w organizacji wolnych związków zawodowych?

- Tak, ale po jakimś czasie rozszerzyłem ten program na sąsiednie państwa, bo mówiłem moim szefom, że nie ma żadnych wolnych związków zawodowych ani w Armenii, ani w Azerbejdżanie, a w Gruzji szczytki. Więc zróbmy coś takiego, że będę próbował dogadać się ze starymi związkami, żeby dali mi możliwość kontaktu z młodymi pracownikami w Gruzji. Ale przy okazji zróbmy coś, żeby Ormianie i Azerzy z tych starych, fałszywych związków spotykali się, bo oni nie rozmawiają ze sobą. A jeśli zostaną zaproszeni przez szefa gruzińskich starych związków, gorszych niż OPZZ, to przynajmniej będą widzieć się ze sobą i zrozumieją, że mają wspólne problemy nie tylko z pracownikami, bo cała ta gospodarka radziecka nie działała. Była korupcja, gangi, okropne sprawy.

- Te spotkania odbywały się w Gruzji?

- Cały program, ściągnąłem też Polaków, żeby z nimi rozmawiali. Oczywiście w Gruzji byli przestraszeni i podejrzewali, że przyjechałem, żeby przewrócić stary system związkowy, ale tłumaczyłem im, że chodzi o to, że w państwach zachodnich mamy do czynienia z inną gospodarką (nie ma centralnie kierowanej gospodarki państwowej), a tutejsze związki nie wiedzą, jak współpracować z biznesem i nie wiedzą jak w systemie demokratycznym można mieć do czynienia z wieloma partiami politycznymi.

- Kto z Polaków przyjeżdżał tam, do Gruzji?

- Ludzie z Solidarności. Różni, w zależności od szczebla. Na początku udało mi się przywieźć z Armenii i Azerbejdżanu czterech najważniejszych ludzi starych związków do czterech najważniejszych Gruzinów na zamknięte spotkanie. Ściągnąłem wtedy rzecznika prasowego Solidarności, gdy szefem już był Marian Krzaklewski i Andrzeja Adamczyka, który był szefem działu zagranicznego chyba przez dwie dekady, a wcześniej rzecznikiem prasowym Solidarności regionu katowickiego i do Gdańska do Krajówki przyjechał razem

z Marianem. Do Gruzji najpierw on sam przyjechał. Po półtora roku dowiedziałem się, że trwa dziki strajk nauczycieli w Kutaisi, drugim największym mieście w centralnej Gruzji, gdzie jest lotnisko. Kierowała nim kobieta, matematyczka, niesamowita głowa, która zorganizowała strajki nauczycieli w kilku szkołach. Po prostu nie przychodzili do pracy. Protest dotyczył wszystkiego, od tego jak są mianowani, jak traktowani, że nie mają wypłacanych pensji. To był rok 1997-98. Pojechałem do nich, żeby zorientować się o co chodzi. I oni mówili jak Polacy za pierwszych lat Solidarności. Ale tam już nie było jednolitego państwa, był chaos. I oni chcieli zmian, bo chociaż nie było już nauczanej historii Związku Radzieckiego, to jednak pozostałości pozostały. Oni nie chcieli uczyć się rosyjskiego, ale powstawał nowy problem, że ci nauczyciele rosyjskiego także tracili pracę. Starałem się jakoś im pomóc, ale zmieniły się wtedy plany i moje szefostwo po dwóch latach skierowało mnie na Ukrainę.

- I tam też podejmowałeś działania w imieniu wolnych związków zawodowych?

- W imieniu Centrum Solidarności, gdzie byłem zatrudniony, które zostało utworzone przez Konfederację Związków ALF CIO. Solidarność, to słowo było znane w Stanach od dawna, było hasłem dla pierwotnych związków w XIX wieku: „Solidarność na zawsze – Solidarity forever”, to słowa piosenki, którą znają wszyscy związkowcy na całym świecie. W Polsce przejęliście to słowo do nazwania swojego związku. I szefostwo tego Centrum dzwoniło do mnie z Waszyngtonu, bo miałem być szefem ich nowego programu w Kijowie, już mieli tam biuro, dostali grant na kilka lat i chcieli żebym je prowadził. Tam Mychajło Wołyniec miał już wolny związek zawodowy, było z kim współpracować. To Centrum było finansowane przez Narodowy Fundusz na Rzecz Demokracji (NED), który dostawał pieniądze z Kongresu.

- Jakie były Twoje pierwsze dni w nowej pracy, w Centrum Solidarności, jakie pierwsze wrażenia – po wielu latach spędzonych w państwach postkomunistycznych?

- Gdy zostałem zatrudniony w tym Centrum w Waszyngtonie, prawie przez dwa tygodnie nikt na mnie nie zwracał uwagi. I nagle zostaję wezwany do dyrektora, miał na imię Paul, który pyta: - Co Ty tu robisz? Chodzisz po biurach, gadasz z ludźmi, zajmujesz im czas. Odpowiedziałem: - Ja pracuję tutaj, ale nie mam konkretnego przydziału, nawet biurka, więc chodzę i poznaję działanie biura. I pytam: - czy nadal mam jechać do Azerbejdżanu? On: - Oczywiście, planujemy wysłać misję do Azerbejdżanu. Ja: - Ale z którą organizacją mam tam pracować? On - Powstał tam nowy, demokratyczny, niezależny związek pracowników przemysłu naftowego. Patrząc na niego, to było w październiku 1997 i mówię: - Powtórz mi to. I on powtórzył, a ja mówię: - Paul, zdziwisz się, więc usiądź i nie wstawaj. Otóż liderzy tego związku od maja siedzą w więzieniu, inni byli bici, nikt z członków tego związku nie może znaleźć pracy w swoim kraju, trudno coś będzie zrobić w Azerbejdżanie. Ten Paul był zaskoczony: - Więc musimy oddać pieniądze do NED. Ja go powstrzymuję: - Nie oddawaj pieniędzy do NED, ja napiszę nowy program, który obejmie Azerbejdżan i kraje sąsiednie – Armenię i Gruzję. Ale zarządzanie tym programem będzie w Gruzji. Na pewno uda się tam założyć biuro, oni będą zadowoleni, wszyscy nie najlepiej się znoszą, ale Gruzini będą neutralni wobec Azerbejdżanu i Armenii. On pyta: - A jak to zrobisz? Ja: - Znam te kraje,

byłem już tam, przygotowałem raport o sytuacji związków tych krajach, rozmawiałem ze wszystkimi i wiem jaka jest sytuacja. I napisałem nowy program, z głowy. I on to zaakceptował, dał Kongresowi, Kongres zaklepał i pojechałem do Gruzji. To był rok 1997.

Ale minęło półtora roku, był już nowy szef Centrum, miał na imię Harry, który mówi do mnie: - Bob, musisz jechać na Ukrainę, tam jest 40 milionów ludzi, dasz sobie radę, znasz ludzi z wolnych związków zawodowych, które tam już działają i przygotujemy duży program, który będziesz realizował.

A ja chciałem jeszcze pozostać w Gruzji, bo nawiązałem kontakt z tym nauczycielskim związkiem, więc odpowiadałem mu, że nie mogę ich zostawić i toczyliśmy długo spór. W międzyczasie dowiedziałem się, że jednak, jeśli nie przyjmę propozycji pracy na Ukrainie, to oni znajdą tam kogoś, a program dla państw kaukaskich wygasza. Ok, więc zgodziłem się i gdy szef Harry zadzwonił, od razu zapytałem go, kiedy mam jechać na Ukrainę? I znalazłem się na Ukrainie, był rok 1998. Ale to nie trwało długo.

- W jakich latach pracowałeś na Ukrainie?

- Dłużej pierwszy raz od 2001 do stycznia 2008 roku. Drugi raz, od 2014, jak wyrzucili mnie z Kirgistanu, byłem tam jeszcze ze dwa lata.

- Prezydentem Ukrainy na przełomie wieków był Leonid Kuczma.

- Tak, Wtedy zabili Georgia Gongadze, ukraińskiego dziennikarza z portalu Ukraińska Prawda, w 2000 roku. Ostatecznie Amerykanie nie dostali pieniędzy na ten ukraiński program, ale ja już tam zostałem, na krótko wróciłem do Gruzji, żeby zamknąć biuro. W roku 2001 wysłali mnie na Białoruś. Podczas tych 2,5 lat w Gruzji, widziałem, że stary szef związków zawodowych był członkiem mafii zgromadzonej dookoła prezydenta Szewardnadzego. Udawał, że mnie lubi, ale nie miał do mnie żadnego zaufania i miał powód, ponieważ wymusiłem na nim dostęp do młodszych działaczy w zakładach pracy, bo inaczej będzie miał za niedługo 80-90 letnich liderów, którzy nie wiedzą czym jest związek zawodowy i jeśli jakieś delegacje z zagranicy przyjadą, to nie będą chciały z nimi współpracować. Dał mi te kontakty, a ja znalazłem młodego działacza, który potem w sposób demokratyczny wysadził tego starego z fotela i sam został szefem związków i jest chyba do dziś.

- Eduard Szewardnadze był prezydentem w latach 1995-2003, po nim został Micheil Saakaszwili...

- W czasie Rewolucji Róż. Mnie tam wtedy nie było, ale znałem Saakaszwilego, jeszcze jako członka parlamentu. Dodam jeszcze, że jak wysłali mnie na Ukrainę, to okazało się, że nie ma pieniędzy na ten program i musiałem wrócić do Gruzji. To było możliwe, bo wcześniej przekonałem mojego szefa Harry'ego, żeby nie zamykał biura gruzińskiego.

- Miałeś już wcześniej kontakty z działaczami na Ukrainie, kogo tam znałeś oprócz Wołynca?

- Na Ukrainie wcześniej bywałem, bo kilka razy wysyłała mnie tam Solidarność i Wołyńiec

już był szefem związku górniczego, który założył jeszcze w 1989 roku. Wtedy istniał jeszcze Związek Radziecki i górnicy organizowali się w czterech republikach sowieckich: Rosji, Ukrainie, Kazachstanie i na Białorusi. gdzie jednak węgla nie było, ale były złoża soli potasu, którą wydobywali w Soligorsku do produkcji nawozów. I tam, zanim Stanisław Szuszkiewicz z Białorusi, razem z Borysem Jelcynem z Rosji i Leonidem Krawczukiem z Ukrainy podpisał decyzję o likwidacji ZSRR, 8 grudnia 1991 roku, w Białowieży na Białorusi – już działały dwa nowe związki. Razem z Szuszkiewiczem powiedzieli starym związkom zawodowym, że nastąpią zmiany demokratyczne i Związek Sowietki rozpadnie się. Szuszkiewicz był fizykiem, właściwie dysydentem i studził ten zapal, bo wiedział, że to może być sprowokowane i mogą przegrać, gdy Sowietci wyślą czołgi. To wszystko było kierowane przez Moskwę, czego potwierdzeniem był pucz w Moskwie przeciwko Jelcynowi.



Od lewej: Ryszard Terlecki, Robert Fielding, poseł Urszula Rusecka, Michał Wołyniec - szef związków zawodowych na Ukrainie, Marek Kuchciński; 2023 r. (fot. z archiwum M. Kuchcińskiego)

- Wróćmy na Ukrainę, kogo tam poznałeś?

- Pierwszego poznałem starszego Władysława Czarnowiła, ojca Ruchu, ale to było jeszcze w latach 80. W latach 90. jeździłem tam kilka razy jako przedstawiciel Solidarności. Raz, w 1995 lub 94 roku, pracowałem jeszcze dla Solidarności, pojechałem z delegacją trzech wiceprzewodniczących Związku: Longin Komołowski, Kazimierz Janiak i Jacek Rybicki na konferencję, którą Amerykanie zorganizowali na Ukrainie, dużą imprezę na rzecz konstytucjonalizmu. Zaprosili Solidarność, bo byli pod wrażeniem, że ten związek sam napisał projekt konstytucji. I tam przyjechał ze Stanów właśnie Brian Mefford, przyszły szef Chrisa Holzena, który potem prowadził ukraiński program Republikanów, w Międzynarodowym Instytucie Republikańskim. On był prawnikiem.

Chrisa i Briana, których poznałem w 2004 roku, ja poznałem w listopadzie 2002 roku, kiedy tam przyjechałem drugi raz. I ten Amerykanin bardzo dobrze znał ukraiński, bo był pochodzenia ukraińskiego. Myśmy znali się wcześniej ze Stanów i jak tylko przyjechalśmy, to on umówił się ze mną na długą rozmowę, żeby wyjaśnić co tam będzie się działo. I poprosił mnie, żebym odebrał z lotniska amerykańskiego związkowca. Faceta odebrałem, miał na imię Georg, zawiozłem do hotelu, mieliśmy do oficjalnej kolacji dwie godziny, więc zapytałem go, czy chce zobaczyć jak Ukraina naprawdę wygląda. On nie miał bladego pojęcia o tym i mówi – oczywiście. I jedziemy do college'u, prawie uniwersytetu języków obcych. On pyta po co tam jedziemy? Ja: - Załatwię, że będziesz mógł przemawiać do studentów i studentek angielskiego. Pojechaliśmy, portierem był jakiś stary dziad wyglądający na byłego żołnierza, który pyta: - A wy kuda? Ja odpowiedziałem: Dyrektor. - A wy kto? - Iz amerykańskiego pasolstwa. Facet salutuje i prowadzi nas do góry do pani dyrektor, po drodze opowiadając jak kocha Amerykę i jak nienawidzi ruskich. Pani dyrektor patrzy na nas, a ja mówię, że ten chłopak jest profesorem języka angielskiego dla obco-krajowców w jednym z najlepszych amerykańskich uniwersytetów, jest związkowcem i chciałby zobaczyć, jak uczycie młodych ludzi języka angielskiego, bo amerykańska ambasada zainteresowana jest zainwestowaniem pieniędzy w waszej uczelni. Ona była zachwycona tą informacją, pieniądze z ambasady amerykańskiej... Nie sprawdzali naszych paszportów. Ona szybko wyszła znaleźć nauczycielkę prowadzącą, jak mówiła, najlepszą klasę w college'u. Idziemy do sali, tam są studenci 20-letni, około trzydziestu. Siadamy z tyłu i tłumaczę mu o czym rozmawiają ci studenci. Prowadząca nauczycielka zaprasza teraz tego Amerykanina związkowca, przyszywanego profesora. On mówił po angielsku, ja tłumaczyłem wtedy, gdy widziałem, że nie rozumieją, a więc pyta, czy wiedzą co to są związki zawodowe, jak powstają, co robią? Oni nic, ja tłumaczę po rusku, a oni wszyscy podnieśli ręce w górę – są członkami związku zawodowego, odprowadzają 1% składki członkowskiej. A to przecież są studenci, nie pracujący! Amerykanin zaskoczony, nie rozumie, a oni mówią z dumą, że są członkami związku zawodowego. Więc tak wyglądała rzeczywistość związkowa w sowieckim systemie. On mówi, że to nie jest możliwe, bo studenci nie mogą być członkami związków zawodowych. A ja mówię do niego: - Witamy w postkomunistycznym systemie. On był przerażony! Oczywiście wszyscy zrobili sobie z nim zdjęcie, a jedna dziewczyna podchodzi i mówi: - Mój ojciec zakochany jest w Stanach Zjednoczonych. I zaprosiła nas do domu. Było zimno, jechaliśmy starym sowieckim, niebezpiecznym tramwajem. Amerykanin jest pod wrażeniem, mówi: - Stary to jest nadal komunistyczny kraj! Ja mówię: - Welcome in the Soviet Union. Idziemy do niej, oni nie mieli telefonów, nawet w domu, a więc brak kontaktów ze światem. Wchodzimy, wita nas jej matka, wychodzi tato, prosi o pokazanie paszportów, potem całował nas:

- Dzięki Bogu jesteście, chodźcie do mojej sypialni. Wchodzimy, a tam na całej ścianie ogromna mapa Stanów Zjednoczonych. On słuchał co wieczór Głosu Ameryki, Radio Swoboda, nienawidził Sowietów i mówi: - Mam szczęście, że nigdy mnie nie wywalili z pracy i nie wiedzieli co mam w domu. Znał całą amerykańską historię i mówił, że jedyny błąd to była Jałta: - Należało ruskim powiedzieć, żeby siedzieli w Rosji, a reszta ma być wolna.

Ledwie zdążyliśmy na tą uroczystą kolację. Ten Georg mówi, że teraz może napisać książkę o Ukrainie – to jest chaos polityczny i wielki nieporządek! Bo jeśli studenci płacą składki do związku zawodowego nauczycieli, to jest coś nie do przyjęcia. Wtedy też poznałem szefa starych związków zawodowych na Ukrainie, Grigorija... Jego szef, Stojan cały czas walczył,

żeby nie mógł realizować programów na Ukrainie.

- Jak dużą strukturę założyłeś w Gruzji i na Ukrainie? Z jakimi związkami współpracowałeś?

- Ostatecznie nie dostali tego grantu na Ukrainę i musiałem zlikwidować 5 biur, w tym wyposażenie, sprzęt biurowy, lampy, telefony. Większość tych rzeczy dałem Wołyńcowi. Był jeszcze drugi związek, mały – VOST. Oni mówili, że są prawdziwymi związkami, ale chrześcijańskimi. Jednak mieli organizację i członków w nie więcej niż w trzech obwodach Ukrainy.

Prawdziwy, poważny związek to był nowy związek górników, który powstał w 1989 roku, kiedy górnicy w 4 republikach jeszcze Związku Sowieckiego, gdzie było górnictwo, zorganizowali nowe związki zawodowe, demokratyczne. Najpierw ruszyli górnicy w Rosji, jednocześnie na Ukrainie, potem na Białorusi i dalej w Kazachstanie, chociaż tam najsłabiej. Gorbaczow zamiast zagrozić, że ich zamknie, jeśli nie wrócą do starych związków, to zaczął z nimi rozmawiać, czym wkurzył stare radzieckie związki. Więc, gdy rozwiązał się Związek Radziecki i zaczęły powstawać nowe państwa, równocześnie powstawały w nich nowe związki zawodowe. Przewodniczący tej wolnej konfederacji związków zawodowych na Białorusi, Jaroszczuk, obecnie kończy drugi rok w więzieniu, a pozostało mu jeszcze dwa lata. Rozmawiałem z jednym z jego wiceów, który wyszedł po dwóch latach i mieszka w Niemczech, dokąd wypuścili go po wyjściu z więzienia. Te związki są prawie zlikwidowane. W Kazachstanie one prawie nie istniały, niby coś tam jest, ale Nazarabajew je skutecznie osłabia.

- W którym roku pojechałeś na Białoruś?

- Przestałem pracować dla NSZZ Solidarność w 1997 roku, po wyborach parlamentarnych, ale przedtem bywałem nie jeden raz z delegacjami Solidarności na Białorusi, w Ukrainie, ale to była praca dla "Solidarności".

- Tak, potem byłeś w Gruzji 1997-98, potem na Ukrainie, krótko i potem na Białorusi?

- Na Białorusi jeszcze krócej, bo w lutym 2001 r., przyjechałem tam jako dyrektor programu Centrum Solidarności, a w maju już mnie wyrzucili. Byłem rejestrowany tam w trzech ministerstwach: pracy, spraw zagranicznych i chyba na policji. Więc byłem tam legalnie, nic nie robiłem przeciwko nim, ale nie miałem nic wspólnego ze starymi białoruskimi rządowymi związkami zawodowymi, które były gorsze od OPZZ, nie tylko dlatego, że były sowieckie, ale ich szef, Gonczaryk kandydował na prezydenta przeciwko Łukaszence. To był rok 2001. Ja tam byłem trzy miesiące, w czwartym mnie zamknęli, KGB aresztowało w hotelu, właściwie bez powodu. W tamtym czasie bywałem w Grodnie i prowadziłem kilka seminariów o związkach zawodowych. Nowe związki nienawidziły zarówno Łukaszenki, jak i szefa tych starych związków, Gonczaryka, bo był aparaczką komunistycznym. Więc w Grodnie miałem wykłady w piątek i w sobotę rano brałem w hotelu prysznic, bo miałem zaplanowane spotkanie z kimś z tych nowych związków, o 10.00, przed odjazdem pociągiem do Mińska. I nagle słyszę z łazienki, że ktoś uderza z całej mocy w drzwi.

Pomyślałem najpierw, że to jakiś wybuch czy pożar w hotelu. Wychodzę spod prysznica, okryty tylko ręcznikiem, otwieram drzwi, a tam pięciu KGB-owców i facetka, pokazują legitymacje i wchodzi do pokoju. Ja im mówię, że dokończę prysznic, a oni mogą przeszukiwać pokój beze mnie. Ok, wróciłem do łazienki, ubrałem się, wyszedłem i oni mówią, że jedziemy do komendy. Ja na to, że nie chcę tam jechać, a oni zagrozili, że wezwą zomowców, bo odmawiam pójścia z nimi. Więc zabrałem swoje rzeczy, odwieźli mnie do tej komendy i byłem tam 8 godzin. Próbowali zmusić mnie do podpisania, że jestem zaangażowany w politykę na Białorusi, że chcę przewrócić rząd itd. Ja po trzech godzinach przestałem z nimi rozmawiać i za każdym razem, jak do mnie się odzywali, zaczynałem śpiewać hymn Związku Radzieckiego. Chcieli mi wmówić, że chcę wpłynąć na wybory, które odbywały się tam w 2001 roku. Ja wtedy niczego takiego nie robiłem, bo prowadziłem szkolenia nt organizacji związków zawodowych. Więc zawieźli mnie na dworzec centralny w Grodnie, kupiłem bilet do Kuźnicy deportowali mnie do Polski, z zakazem wjazdu na Białoruś na 5 lat. To było w sobotę wieczorem. Rzecznik prasowy Mariana Krzaklewskiego z Solidarności miał gdzieś ślub. I potem przyjechałem do Stefana Makowieckiego do Poznania.

- W roku 2002 wróciłeś na Ukrainę?

- Tak, dopiero za Amerykanów. Byłem tam wysłany przez nowego szefa Centrum Solidarności, żeby otworzyć na nowo program edukacyjny dla działaczy związkowych. Miałem tam pojechać na tydzień. Potem przyjechała jedna dziewczyna z Waszyngtonu. I co wieczór spotykaliśmy się z Wołyncem na kolacji, żeby zrozumiała, co tam się dzieje. Wołyniec już wtedy stworzył całą konfederację wolnych związków zawodowych, nie tylko górników, ale i nauczycieli, służby zdrowia, pracowników różnych zakładów. Po ukraińsku to była Konfederacja Wilnych Prospilok Ukrainy. Powstała jeszcze w latach 90. i gromadziła już dziesiątki tysięcy członków. Raz próbowaliśmy spotkać się ze starymi związkami, ale odmówili, twierdząc, że wiedzą co mają robić.

- Na czym polegała Twoja praca na Ukrainie?

- To były przede wszystkim konsultacje z tymi związkami, ale też miałem utrzymywać dobre stosunki z ministerstwem pracy, żeby zrozumieli, że robię coś, co ma być pomocne dla rozwoju demokracji i gospodarki ukraińskiej. Związki zawodowe w tej pomocy odgrywały dużą rolę, ale musiałem dostać glegt, od ministerstwa pracy, że popiera ten program, że legalnie ten program realizujemy na Ukrainie, że jestem cudzoziemcem, który działa na rzecz rozwoju demokracji na Ukrainie i jest finansowany przez Kongres amerykański. A stare związki robiły wszystko, żebym nie był zarejestrowany. Walka trwała cały rok, w końcu powiedziałem w tym ministerstwie: - Słuchajcie, ja pracuję z waszym przeciwnikiem, który ma 5% tego, co wy macie. Ja mogę resztę czasu wam poświęcić, tylko dajcie mi kogokolwiek czegoś nauczyć. Nie chcieli, bali się, bo wszyscy mieli po 65-70 lat, byli z centralnego komitetu, tzw. przywódcy związkowi i bali się, że zrobię im przewrót i zbuntuję ich członków, gdy dowiedzą się, że związek zawodowy ma bronić praw pracowników.

- W jakim czasie to działało się? Ile lat tam byłeś?

- Od listopada 2002 do stycznia 2008 roku. I z tego powodu, jak Juszczenko zrobił Pomarańczową Rewolucję, wtedy Ty tam przyjechałeś, był Jarosław Kaczyński...

- **Więc od początku obserwowałeś tę Pomarańczową Rewolucję?**

- To były strajki, które spowodowały powtórkę drugiej tury wyborów.

- **Chyba były jakieś przygotowania?**

- Nie było żadnych przygotowań, bo cała rewolucja zrodziła się w wyniku protestu ludzi, którzy doskonale wiedzieli, że Juszczenko wygrał wybory z Janukowyczem. I oni to sami zorganizowali. Wołyniec był tam, jego ludzie, wszyscy popierali Juszczenkę. Chris i Brian obserwowali te wybory, pierwszą i drugą turę, jako przedstawiciele Instytutu Republikańskiego i przekazywali wraz z innymi obserwatorami, że to była falsyfikacja głosowania, że w centralnej komisji wyborczej dodali głosy, żeby wygrał Janukowycz, człowiek Putina. Bo tuż przed wyborami przyjechał Putin do ówczesnego premiera Janukowycza i razem odebrali paradę wojskową. A wyglądało to tak, że wojsko paradyjące oddawało honory nie Janukowyczowi, tylko Putinowi, który był tak zadowolony, widać to na filmach z tej parady, że był przekonany, że jego człowiek będzie rządził w Ukrainie i to będzie koniec drogi Ukrainy do Unii Europejskiej i NATO.

- **No to wspomnijmy tamten czas, rok 2004. Ja przyjechałem z delegacją parlamentarną, to było przed wyborami, przed Pomarańczową Rewolucją, Ty już tam byłeś...**

- Było zimno, jak cholera...

- **Muszę sprawdzić czy to była delegacja Zgromadzenia Parlamentarnego Polski i Ukrainy, czy delegacja Prawa i Sprawiedliwości w związku z przygotowaniem naszej licznej grupy, bo ostatecznie liczącej ponad 3-tysiące obserwatorów.**

- Ty przyjechałeś, był Jarosław Kaczyński, on przyjechał z Komorowskim. Różni tam przyjeżdżali z Polski, ale Ty byłeś w większej delegacji. Zapoznałem Ciebie wtedy z ambasadorem Czech, nazywał się Karol Sztzynder, w piwiarni przy Kreszczatiku. Byli też Kris i Brian, szef i zastępca Instytutu Republikańskiego, który teraz Trump rozwiązał. Demokratów chyba nie zdążyliśmy spotkać. Z tobą było kilka osób, trzy, cztery, duża grupa. Ale Ty nie byłeś z Jarosławem Kaczyńskim. Bo Jarek przyjechał z Bronisławem Komorowskim i byli na tej dużej scenie Majdanu...

- **Próbuję przypomnieć sobie w jakiej delegacji byłem. To było Zgromadzenie Narodowe polsko-ukraińskie i byłem chyba z Elżbieta Kruk, lubelskim posłem z PIS.**

- Pamiętam, że przyjechałeś i mieliśmy spotkanie w pubie, przy Majdanie, jedna uliczka od, niego, na samym Kreszczatiku. Piliśmy piwo z ambasadorem Czech, Karolem Sztzynderem, który był wcześniej ambasadorem w Polsce, zmarł w ubiegłym roku. Ja ściągnąłem Wołyńca, żebyście mogli porozmawiać z kimś, kto wie, co naprawdę się dzieje, on był posłem i szefem związku.

Z Polski mnóstwo ludzi przyjeżdżało wtedy na Ukrainę, bardzo dużo delegacji, Wołyniec był zajęty tymi polskimi delegacjami jak nikt. Ja miałem biuro swoje koło banku, niedaleko administracji prezydenta, nad tą główną sceną z Majdanem. Tam bardzo często odbywały się wiece, zwykle przedostatnim mówcą, późnym wieczorem była Julia Tymoszenko. Mówiła bez kartki, rozgrzewała ludzi, których było około miliona. Po niej na końcu występował Juszczenko, ale czytał z kartki, bo był chory, usiłowano go otłuścić. I pewnego dnia po wystąpieniu Juszczenki i odśpiewaniu hymnu ona wzięła mikrofon i mówi: - Idziemy, pokażemy im! Idziemy do administracji prezydenta!

Ja byłem tam na tym wiecu i od razu poszedłem do mojego biura, żeby to wszystko widzieć z okien. Było nas tam chyba ze sto osób i oni wisieli w oknach, żeby to wszystko widzieć. Byliśmy 300 metrów od wejścia do prezydenta. Zatem byłem trochę zaangażowany w to. Często bywałem na Majdanie, przyjeżdżali ludzie z Polski, chodzili po stojących tam namiotach, ja im wiele rzeczy tłumaczyłem, co się dzieje.

Pewnego dnia ktoś dzwoni do mnie, odebrałem i słyszę: - Czy rozmawiam z Bobem Fieldingiem? Ja mówię: - Tak, kto mówi? - Wiktor Juszczenko. I pyta: - Czy Pan pracował dla Lecha Wałęsy? Odpowiedziałem, że tak. - Czy Pan jest w stanie przywieźć go jutro rano, bo jutro rano mają do nas strzelać! Odpowiedziałem, że zrobię wszystko, co będę mógł. Ja wtedy nie dzwoniłem do ambasadora Polski w Kijowie, ale zadzwoniłem do Bogdana Lisa, powiedziałem mu to wszystko i mówię: - Bogdan, znajdź go! - A co mam mu powiedzieć? - Że tu są 2 miliony ludzi, jutro będą do nich strzelać! Lech jeszcze do takiego tłumy nie przemawiał, więc przyjedzie. Pół godziny później dzwoni do mnie Lis i mówi - Słuchaj, to nie było łatwe, ale przekonałem go. - A dlaczego nie było łatwe? - Bo miał z całą rodziną wyjeżdżać do Portugalii na tydzień, był już w Krakowie na lotnisku. Przekonałem go, żeby puścił rodzinę, a sam, żeby przyjechał. I 15 minut później dzwoni do mnie ambasador Jacek Kluczkowski, którego dobrze znałem i pyta podejrzliwie: - Czy Ty słyszałeś, kto ma tutaj przyjechać? - Tak, słyszałem. - K... mać, mam nadzieję, że nie miałaś z tym nic wspólnego, bo czy wiesz, jak ja się czuję? Dzwonili do niego z ukraińskiego MSZ, że w polskim radiu słyszeli, że jutro ma tam być Wałęsa, a on, ambasador, nie miał o tym pojęcia. Zaczęli do niego dzwonić od premiera, prezydenta kraju, co się dzieje? I on nie wiedział, co ma mówić. Ja go okłamałem, że nie miałem nic wspólnego z tym przyjazdem. On tak mnie opieprzył, że myślałem, że już do Polski nie wrócę.

Następnego rana czekam przed wejściem na tę scenę na Majdanie, gdzie Lech będzie przemawiał i powoli schodzą się wszyscy gdańszczanie. Jest Wałęsa i pyta: - Gdzie mam iść? - Do góry po schodach. Ja tam nie chciałem iść, żeby nie oskarżali mnie potem, że mam coś z tym wspólnego. Ale wzięli mnie siłą - jesteś nasz i już! I stałem tuż za Lechem. To był niesamowity tłum, jeszcze takiego nie widziałem. Niektórzy ludzie dali mu kwiaty, ja stoję za nim, więc podał mi kwiaty i zaczął gadać. Pięknie gadał. Nagle mówi: Muszę iść na rozmowę z waszym prezydentem, a tu gwizdy i krzyki: - Nie rób tego! On zaśmiał się i powiedział: Słuchajcie, ja Was nie zdradzę, nie bójcie się. Miałem o wiele większych i groźniejszych przeciwników niż Wasz prezydent. Ja tu zostawiam mojego przedstawiciela Zbyszka Bujaka.

Wiesz, sytuacja była niezwykła, bo był ambasador, a tu Lech, zwykły obywatel, przemawia jak prezydent do ludzi i zostawia swojego przedstawiciela, też zwykłego obywatela. Zszedł ze sceny żegnany oklaskami. Już więcej z nim się nie widziałem. Ale później, w Gdańsku, pytałem go co było dalej, co mówił Janukowyczowi i Kucznie? A on: - Powiedziałem im

wprost, że przegrali politycznie i mogą przegrać z krwią na rękach i gdziekolwiek ukryją się, to ich znajdą i zabiją. Albo mogą być mądrymi, zaakceptować przegraną i jeszcze raz w przyszłości ubiegać się o prezydenturę czy premierostwo, przestrzegać prawa demokratycznego, a wówczas cały świat uzna ich za państwo demokratyczne. I oni to kupili, przynajmniej Kuczma. Janukowycz nie chciał, ale musiał. Taka była moja rola w tej rewolucji, trochę pomogłem. Sprawę załatwił Wałęsa.

- Po tym, jak Wałęsa przekonał Kuczmę i Janukowycza do rozmów, oficjalnymi negocjatorami zostali Kwaśniewski i Adamkus, prezydenci Polski i Litwy. Janukowycz kilka lat potem został premierem, a następnie prezydentem do kolejnego chyba Majdanu w 2014 roku. A Ty na Ukrainie pracowałeś do 2008 roku i cały czas zajmowałeś się związkami zawodowymi?

- Próbowałem docierać do starych związków, ale uniemożliwiono mi. Więc prowadziłem spotkania wyjaśniając ludziom, także młodym, żeby wstępowali do prawdziwych związków. Jednocześnie trzeba pamiętać, że gdy zostałem wyrzucony z Białorusi w 2001 r., to prezydent Bush nałożył sankcje z tego powodu.

- Jesteśmy po wizycie Wałęsy na Majdanie. Wcześniej odbyły się dwie tury wyborów prezydenckich na Ukrainie, pierwsza w październiku, do drugiej przeszło dwóch kandydatów z najwyższym wynikiem: Juszczenko i Janukowycz i odbyła się ona 9 grudnia 2004 roku. Co było dalej?

- Musieli powtórzyć wybory. Ale dzisiaj, 10 kwietnia 2025 roku zadzwonił do mnie Wołyniec, który oprócz tego, że przewodniczy Wolnym Związkom Zawodowym, jest także deputowanym w parlamencie ukraińskim w bloku Julii Timoszenko, że aresztowali na Ukrainie wiceprzewodniczącego starych związków zawodowych i jeszcze kilka osób, prawdopodobnie w sprawie korupcyjnej. Oni nadal mają ten wielki majątek związkowy, jak OPZZ.

- 20 lat po Pomarańczowej Rewolucji? Dlaczego ich zostawiono?

- Dla Juszczenki związki nie były priorytetem.

- Wróćmy do Pomarańczowej rewolucji.

- Wracając do tamtych czasów, to przekonałem moich szefów, żeby wydali pieniądze na sprowadzenie z Gruzji i z Białorusi związkowców jako obserwatorów drugiej tury wyborów na Ukrainie, tej powtórzonej.

- Byłeś tam także podczas pierwszej tury, czy masz jakieś wspomnienia z tych październikowych wyborów?

- W pierwszej turze wyborów, współpracowałem z Międzynarodowym Instytutem Republikańskim Chrisa i oni poprosili, żebym wtedy przemawiał kilka razy do ich obserwatorów, bo miałem duże doświadczenie.

- Jakich instrukcji im udzielałeś?

- Przede wszystkim, najpierw mają dokładnie zapoznać się z kodeksem wyborczym i mieć jego kopie ze sobą. Mają też prawo zakwestionować wszystko: - Jeśli jakiś milicjant czy ubek zaczepi cię, od razu spisuj jego numery, on się przestraszy i da ci spokój. Nie możecie się bać, macie pełne prawa, jesteście zarejestrowani w Centralnej Komisji Wyborczej i możecie wszędzie wchodzić. Nie możecie tylko dotykać sprzętu, kart wyborczych, ale możecie zadawać wszystkim pytania. Takie rzeczy mówiłem, także żeby tam być pół godziny wcześniej, zanim zamkną pustą urnę przygotowując się do głosowania, żeby sprawdzić, że ta urna jest rzeczywiście pusta, a także przypilnować czy wszyscy członkowie komisji są i czy wszyscy podpisali wspólnie kartę potwierdzającą, że byli przy sprawdzeniu urny, żeby ktoś potem nie zakwestionował tego sprawdzenia.

- Ilu obserwatorów z Białorusi i Gruzji przyjechało?

- Po ośmiu z każdego państwa. I pytaliśmy Wołyńca, gdzie on radzi wysłać tych obserwatorów, gdzie mogą być największe fałszerstwa. On mówi: - Stary, największe g... jest tam skąd pochodzę, obwód doniecki. Więc tam wysłałem Białorusinów, a Gruzinów trzymałem przy sobie, w stolicy i objechaliśmy kilka miast dookoła Kijowa.

- Czy spotkałeś obserwatorów z innych państw? Z Polski w pierwszej turze, 31 października 2004 r. samo Prawo i Sprawiedliwość zorganizowało wyjazd kilkuset osób, a w drugiej, powtórzonej 26 grudnia, ponad trzy tysiące obserwatorów. Mieliśmy drugą po rosyjskiej liczebną delegację, więcej ludzi niż cała reszta Europy. Wysyłaliśmy ich wszędzie: Do Mariupola, do Ługańska, Do Odessy. Przez Lwów jechały pociągi na wschód, czasem przez dwa dni, jak opowiadał mi jeden z kolegów obserwatorów, Janek Sołek z Przeworska, działacz opozycji i Solidarności. Przez Lwów przerzuciliśmy kilkuset obserwatorów, koordynowałem tą akcją z ówczesnym konsulem generalnym RP we Lwowie Wiesławem Osuchowskim. Ja sam byłem na Zakarpaciu z senator Anną Kurską, matką Jacka. Bardzo dzielna kobieta. Na granicy obwodów lwowskiego i zakarpackiego w Turce, wieczorem, godz. około 20.00, zamknięto szlaban i nie przepuszczano ludzi. Stała tam cała grupa z długimi pałami. A my spieszyliśmy do komisji obwodowych w wioskach górskich i pani senator wyszła z autobusu i do nich po rosyjsku zaczęła mówić podniesionym głosem. Awantura była tęga, przepuścili nas, gdy zaczęliśmy grozić nie międzynarodowymi konsekwencjami, ale interwencją władz z Kijowa.

- Oczywiście spotykałem obserwatorów z wielu krajów, także z Polski. Ale ja stałem z boku, nie angażowałem się bezpośrednio w działania obserwatorów. Instruowałem tylko Gruzinów, żeby robili swoje, bo oni wiedzą, jak Rosjanie mogą oszukiwać.

- Jaka atmosfera panowała w tamtym czasie w Kijowie i na Ukrainie?

- Dominowało przekonanie, że w końcu mamy demokratyczne wybory. I chyba nigdy dotąd nie było tylu obserwatorów zagranicznych i swoich wszędzie, w każdej komisji. Dotyczyło to nawet tych, którzy popierali Janukowycza, oni także mówili: - Dobrze, że są obser-

watorzy. Ludzie byli pełni nadziei, że to jest pierwszy poważny krok, że idziemy w dobrą stronę do demokracji, bo wolne, niezafałszowane wybory otwierały do niej drzwi. W tych komisjach było wiadomo kto jest od kogo: z partii Janukowycza, od Timoszenko, od Juszczenki, od Moroza, tego socjalisty itd. Ja uczulałem Białorusinów, podobnie jak Wołyńców, żeby zwracali uwagę, jakie są między nimi relacje i żeby robili notatki. I byłem zdziwiony, że wśród członków komisji nie było z reguły żadnej nienawiści. A trzeba pamiętać, że w kampanii ludzie Janukowycza rozdawali kiełbaski, podobnie jak w Polsce w 1989 roku ludzie Stokłosa, jedyne spoza Solidarności, który wszedł do Senatu. Na Majdanie ludzie stali całymi dniami w minusowych temperaturach, byli prowokowani, ale nie dali się. Policja stała się neutralna, po tym, jak Wałęsa przekonał Janukowycza i Kuczmę, a szef tej policji, gen. Bielyj uciekł do Rosji.

- Druga tura powtórzona to był czas Świąt Bożego Narodzenia w kościele rzymskokatolickim i wigilię spędzałem we Lwowie na dworcu kolejowym razem z konsulem Osuchowskim i kardynałem greckokatolickim Husarem oraz kilkuset obserwatorami. Nie udało mi się wrócić do domu w Przemyślu, zostałem we Lwowie i potem jechaliśmy na Zakarpacie. Inni jechali na Wołyń, na Podole. Jeszcze inni dwa dni wcześniej pociągami pojechali dalej na wschód. Wśród nich byli m.in. Mariusz Kamiński, który z kilkudziesięcioosobową grupą warszawską jechał do Mariupola, czy Janek Sołek z koleżeństwem podkarpackim, ale o tym już mówiłem. Przypominam te wydarzenia, żebyśmy mieli orientację o skali zainteresowania i pomocy ze strony państw sąsiednich w akcji organizowania ruchu obserwatorów, a więc w akcji na rzecz demokracji. Czy przypominasz sobie jakieś inne wydarzenia związane z podobnymi działaniami w tamtym czasie na Ukrainie?

- Były duże akcje. Centralna Komisja Wyborcza była wręcz obleżona przez ludzi. Ogromny plac przed wejściem do tej Komisji wypełniony tysiącami protestujących wobec ogłoszenia wyników drugiej tury. Chris i Brian z Demokratycznego Instytutu Amerykańskiego, a także ja co wieczór dzieliliśmy się zadaniami ucząc zachowania w tych komisjach wyborczych, instruowaliśmy związkowców. Byłem zapraszany do wszystkich ambasad Unii Europejskiej na wszystkie imprezy w Kijowie, znałem ludzi z OBWE i łatwiej mi było organizować wspólne ich spotkania w celu podziału pracy, koordynacji i wysyłania ludzi wszędzie tam, gdzie komisje nie były obsadzone. Na początku pytano mnie wielokrotnie na jakiej podstawie ja koordynuję te działania...

- Tak, pamiętam te wątpliwości. Ale z polskiej strony nie było wątpliwości, my korzystaliśmy z informacji zbieranych przez Ciebie, dokąd trzeba wysłać ludzi.

- Więc ta koordynacja była niezła. Chris i Brian mieli wiedzę, gdzie były największe problemy i tam wysyłaliśmy najlepszych obserwatorów. W jakimś momencie Centralna Komisja Wyborcza zaprosiła przedstawicieli obserwatorów na spotkanie informacyjne na temat wyborów. Ja przychodzę, oni patrzą na mnie, znają już mnie i jeden z nich pyta: - Co Pan tu robi? Żeby tu być nie wystarczy paszport amerykański.

Ja odpowiadam: - Nie, ale np. zamiast patrzeć skąd pochodzę, to proszę spojrzeć do lustra - skąd Pan pochodzi. Lepiej niech Pan wróci do Rosji.

On mówi: - Ja jestem Ukraińcem. A ja na to: - Ja jestem większym Ukraińcem niż Pan, bo Pan wykonuje polecenie KGB. On się wściekł, rozmawiamy po rusku, ja mówię do niego, że ma żądać ode mnie nie paszportu, tylko zaświadczenia, że jestem obserwatorem wyborów. I pokazuję mu zaświadczenie z Państwowej Komisji Wyborczej. I od razu do niego: - A jak Pan się nazywa? Gość zbladł, a ja: - Jak zrobisz nam kawę, to zapomnimy o tym. Zrobił nam kawę i zaczął przeproszać za te wątpliwości.



*Od lewej: Robert Fielding, Marek Kuchciński, Brian Mefford, Warszawa 2025 r.
(fot. archiwum M. Kuchcińskiego)*

- Ostatecznie wybory odbyły się i czy przypominasz sobie czas ogłoszenia wyników?

- Oczywiście, to było święto. Ja musiałem następnego dnia odprawić Białorusinów do Białorusi i Gruzinów do Gruzji. Jak odesłałem obie grupy, to z Brienem i Chrisem siedzieliśmy razem i patrzyli w ekran czekając na ostateczne wyniki. Jednocześnie w Indonezji było trzęsienie ziemi, które spowodowało straszne tsunami, zginęły tysiące ludzi. Straszna katastrofa. A Chris mówi: - K..., jedyny moment, żeby pokazać, że Ukraina wygrała, a tu w mediach pokazują głównie tsunami.

- Wróćmy jeszcze do wyborów, bo koledzy z amerykańskich instytutów demokratycznego i republikańskiego prowadzili szkolenia także dla obserwatorów zagranicznych, nie tylko dla członków komisji. Wyniki tych trzech tur głosowania wyraźnie to potwierdzają.

- Oni jeszcze w Stanach uzgodnili, kto i czym będzie się zajmował, kto strukturami powiatowymi i miejskimi w całym kraju, a kto będzie współpracować z prezydentami miast, gubernatorami województw, żeby nie powtórzyć poprzednich niedociągnięć. Cały czas mieli kontakty z tymi partnerami i ich szkolili. Ja miałem w swoim zakresie związki zawodowe, a oni ludzi zajmujących się polityką bezpośrednio.

- Przypomnijmy wyniki: w I turze, w październiku 2004 r.: 39,9% wyborców, czyli 11 118 665 głosów na Wiktora Juszczenko, którego popierał blok Nasza Ukraina, blok Julii Tymoszenko itd., natomiast na Janukowycza z Partii Regionów głosowało 39,26% czyli 11 008 731 osób – niecałe 110 tys różnicy! W II turze wyniki były takie: Juszczenko – 46,61%, Janukowycz – 49,46% i nastąpiły protesty. II tura powtórzona i Juszczenko – 51,99%, a Janukowycz – 44,24%. Ewidentny fałsz w drugiej turze przed powtórką. Ale idźmy dalej, wyjechałeś do USA i potem wróciłeś na Ukrainę? Co robiłeś?

- To samo, tylko sprawy związkowe. Moim zadaniem była edukacja jak największej grupy ludzi z tych związków o ich prawach, także międzynarodowych, o Międzynarodowej Organizacji Pracy MOP, która była częścią ONZ, najstarszą, bo MOP powstał jeszcze 30 lat przed powstaniem ONZ. W tamtych czasach zaproszono starsze organizacje skupiające pracodawców, pracowników i państwa na jedno spotkanie, żeby stworzyć wspólną organizację, by porozumieć się i przeciwdziałać łamistrajkom, biciu ludzi, by znaleźć pokojowe sposoby rozmowy z przeciwnikami. I tak powstała MOP. Ja miałem dobre z nimi relacje. Jeszcze, gdy pracowałem w Solidarności, MOP miała swoje biuro w Budapeszcie na centralną i wschodnią Europę. Fin był szefem tego biura, a ja znałem fińskich związkowców, bo Solidarność wysłała mnie, Amerykanina jako pierwszego człowieka z centralnej i wschodniej Europy na 7 miesięcy stażu do Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych EKZZ w Brukseli. I miałem tam pomóc facetowi, który był prawą ręką sekretarza generalnego Emilio Gabaglio, wywodzącego się z włoskich chrześcijańskich związków zawodowych. Ta prawa ręka, Niemiec, odpowiadał w EKZZ za kontakty z nowo wyzwolonymi krajami byłego Związku Radzieckiego i Jugosławii.

Już rok po wyborach prezydenckich było na Ukrainie bardzo duże rozczarowanie, bo ludzie myśleli, że zmiany będą szybsze, lepsze, będzie ich więcej. Podobnie jak w Polsce oczekiwano, że Solidarność pozamyka wszystkich komunistów do więzienia. Spodziewano się, że wyeliminuje się z życia publicznego byłych komuchów, gangsterów, oligarchów, że w ciągu roku będzie porządek. To było niemożliwe i po roku widać było zmęczenie i rosnące niezadowolenie. Więc szkolilem ludzi, pracowników, co to jest MOP, EKZZ, opowiadałem o amerykańskich związkach, że teraz ludzie będą mieli szansę na uczciwych pracodawców i że trzeba będzie z nimi ułożyć sobie życie, współpracę. Muszą też rozumieć ekonomię związaną z ich miejscem pracy, bo inaczej nie będą dobrymi rozmówcami dla pracodawcy, który musi myśleć o gospodarce, o rozwoju firmy, zapewnieniu pracy dla ludzi, a więc o przychodach i wydatkach. I zanim pracownicy pójdą do pracodawcy w sprawach np. jakichś podwyżek, to muszą znać sytuację gospodarczą swojego zakładu.

- Czy widziałeś efekty tej nauki?

- Bardzo często nie, bo to jest działalność długofalowa. W państwach, gdzie nie ma tradycji mechanizmów demokratycznych, efekty widać z dużym opóźnieniem, a czasem ich w ogóle nie widać, bo wraca stary układ. Chociaż w Stanach mamy demokratyczny ustrój, a Amerykanie uważają siebie za największych demokratów na świecie, to wielu z nich nie ma pojęcia o demokracji. Bo jak w wyborach np. prezydenckich udział bierze zaledwie trochę ponad 50% uprawnionych, to znaczy, że 49% ma to gdzieś. Jeśli w Stanach Zjednoczonych tylko 15% pracowników należy do związków zawodowych, to znaczy, że coś nie gra. Chociaż bywa niejednokrotnie, że pracodawcy uniemożliwiają działanie związków zawodowych w swoich firmach. Ale na Ukrainie nie było żadnej tradycji wolnych związków, było tak, że stare związki zawodowe były częścią aparatu władzy i kupowały ludzi np. za dwa tygodnie pobytu nad morzem i to była forma łapówki. Więc zmienić mentalność i spowodować zrozumienie czym są związki zawodowe nie jest łatwo.

Miałem uczyć wszystkich pracowników jak działają związki, młodych i starych. Ale uczyłem głównie tych od Wołyńca, z nowych wolnych związków, bo szefowie starych związków raczej utrudniali mi pracę i co roku wywierali presję na ministerstwie pracy, żeby pozbawić mnie możliwości tych szkoleń. Ale tam też coś się zmienia i obecnie, bo jak mówiłem, w ostatnich dniach aresztowali wiceszefa starych związków zawodowych, które nadal miały całą sieć hoteli w górach, nad morzem, w różnych miejscach sanatoria i pieniądze z tego...

- Co najbardziej interesowało tych pracowników?

- Przede wszystkim co robić, żeby lepiej żyć, żeby dzieci miały co jeść, żeby szkoły były dobre, żeby ciągle było światło, elektryczność, zimą ciepło, czysta woda – elementarne rzeczy. Tamten świat był skorumpowany. Wołyniec był szefem nowego związku i jednocześnie deputowanym, ale od Julii Tymoszenko, chociaż chciał być od Juszczenko.

- Dlaczego nie był?

- Bo zobaczył, że w pierwszej piątce na liście krajowej do parlamentu (tam jest ordynacja z listą krajową) był przewodniczący starych związków zawodowych. I Wołyniec powiedział – Nie!

I jeszcze przed wyborami prezydenckimi, gdy Julia Tymoszenko była wicepremierem, przeszedł do jej ugrupowania. W latach 90. jej zadaniem było tak prowadzić politykę gospodarczą, żeby nie było strajków w kopalniach. Dlatego musiała współpracować z Wołyńcem, który przestrzegał ją przed starymi związkami, które doprowadzały do sytuacji, że górnicy przez wiele miesięcy nie dostawali wypłat, bo dyrekcje tych zakładów i szefowie starych związków kradli. I Julia z nim rozmawiała, a on powiedział jej wprost: - Jeśli Pani będzie myślała, że stare związki pracują w interesie swoich członków, to jest nieprawda. Jeśli Pani chce poparcia moich związkowców, to oni najpierw muszą dostać wypłatę. Jak dostaną, to reszta odejdzie od starych struktur związkowych. I tak mniej więcej stało się.

- Czy zauważałeś różnice między tymi partiami na Ukrainie? Bo były tam różne partie, byli Zieloni, socjaliści od Ołeksandra Moroza, Komuniści od Petra Symonenko, był

Anatolij Kinach z partią pracodawców, oligarchowie... Jaki był stosunek tych partii do związków zawodowych?

- Oni kontrolowali te stare związki zawodowe. Nie Julia, ani nie Juszczenko, ale ta reszta. I nie dopuszczali do zmian. A trzeba było im powiedzieć, żeby przeprowadzili od początku prawdziwie wolne i demokratyczne wybory w związkach, i można będzie działać. Jeśli was wybiorą drugi raz, to proszę bardzo. Ale tego nawet nie próbowali, podobnie jak w OPZZ.

- Analizując mapę z wynikami wyborów, to widać było, że zachód Ukrainy, centrum głosowały na Juszczenkę, ale Krym, wschód, Donieck, Ługańsk za Janukowyczem. Czy to przekładało się na działalność związkową? Wołyniec przecież był z tamtych górniczych i czerwonych obwodów Ukrainy?

- On miał w niektórych miejscach ludzi i faktycznie odszedł od starych sowieckich związków. Nastąpiło to po tym, jak on był na wyjeździe w Anglii, działając jeszcze w tych starych związkach. I on zobaczył jak tamte związki działają i powiedział kiedyś mi: - Całe moje życie przeżyłem w kłamstwie. Dlatego zmienił się i po powrocie na Ukrainę zaczął tworzyć wolne związki. Jedyne miejsce, gdzie Wołyniowi udało się założyć nowe związki zawodowe poza górnikami, to była związek nauczycieli i związek pracowników służby zdrowia. Ale one były cały czas zwalczane przez nomenklaturę w tych obszarach. A z Julią Tymoszenko wiązał się dlatego, że dla Juszczenki to nie było priorytetem.

- W 2005 roku prezydentem Polski został Lech Kaczyński, jesienią wygrał wybory. Ty wtedy byłeś na Ukrainie. Czy ten wybór prezydenta w Polsce miał jakieś znaczenie na Ukrainie? Bo poprzedni prezydent Polski, Kwaśniewski angażował się w sprawy ukraińskie, Kuczma wycofał się z majstrowania przy wyborach między Juszczenką i Janukowyczem.

- To Wałęsa to zrobił, postraszył ich i to był koniec dla nich. Jedyne, co Kwach zrobił, to dał samolot Wałęsie i kilku ludzi ze spec służb, żeby, jak przyjadą do Kijowa, chronili go na Majdanie.

- Wtedy w Kijowie ambasadorem był Jacek Kluczkowski i on siłą rzeczy musiał brać udział w tych operacjach. Ale przypomnijmy: najpierw w Polsce wybory parlamentarne wygrało Prawo i Sprawiedliwość i utworzyliśmy rząd z Kazimierzem Marcinkiewiczem, potem Lech Kaczyński został prezydentem Polski. Czy to miało jakieś znaczenie dla życia politycznego na Ukrainie? Bo Ty nadal tam byłeś, chyba do 2008 roku?

- Moim zdaniem nie. Stosunki na pewno były dobre, bo w 2008 roku Lech zorganizował wyjazd 5 szefów państw i rządów do Gruzji, w obronie przed Ruskimi.

- Po roku 2008 przeniosłeś się do Gruzji, co tam robiłeś i ile lat tam byłeś?

- Prawie 8 lat, od stycznia 2008 roku. Szefem związków tamtejszych był nadal stary komuch. I on chciał wziąć na wiceprzewodniczącego faceta, który był młodszy, którego wcześniej

faktycznie przygotowałem, i który nie był agresywny. Nazywał się Gocza Aleksandrija. I na zjeździe tych starych związków zawodowych ich stary szef chciał mianować Goczę na swojego zastępcę, żeby pokazać zachodowi, że zmienia się. Ale Gocza musiał ze zjazdu wyjechać wcześniej, więc zamiast niego wybrano drugiego, który był agresywny, którego też uczyłem. Nazywał się Irakli Petryjaszwili. Miałem dwóch takich wybijających się ludzi, jak dwie gwiazdy, a trzecią była pani, która wcześniej już organizowała związki m.in. nauczycieli. I ten nowo wybrany doprowadził do prawdziwie wolnych wyborów, które ten stary przegrał.

W Gruzji byłem od 8 stycznia 2008 roku, a Ruscy weszli w sierpniu. Pamiętam, było rano, wiadomo było, że jest źle. Ruscy już atakowali Abchazję i Osetię, ja wstałem w swoim mieszkaniu w Tbilisi przed godziną 6, wyszedłem na balkon i nagle widzę coś leci. Myślałem, że to jest samolot, leciał bardzo wolno, zniżał się, byłem przekonany, że jest spalony, bo był czarny, że leci nim ranny pilot, który chce wylądować na wielkim zbiorniku wody przemysłowej, 10 km koło Tbilisi, za małymi górkami. I byłem przekonany, że on tam chce zabić się w tej wodzie, żeby nikogo nie skrzywdzić. I nagle usłyszałem ogromny huk, dom się zatrzęsł, ale nadal sądziłem, że to ten pilot właśnie zginął i że Pan Bóg znajdzie miejsce dla tego faceta, bo samolot nie spadł na tereny zamieszkałe. I 5 minut później ktoś do mnie zadzwonił i mówił, że raketa uderzyła w wojskowe lotnisko w Tbilisi i to co ja widziałem, to był rosyjski balistyczny pocisk, który zniszczył to lotnisko.

Abchazja i Osetia były regionami od dawna kłopotliwymi dla Gruzji. Jeszcze za Stalina tak ułożono sytuację w republikach, że mniejszości dawały Sowietom pretekst do interwencji. Tam już wcześniej Rosjanie odebrali Gruzinom kawałek terytorium Osetii. Jak Sowietci zaatakowali, to ludzie w Gruzji bali się. Niektórzy mieli nadzieję, że NATO im pomoże, chociaż Gruzja nie była w NATO lub że Europa wyśle armię. Nic takiego nie było i ta mała Gruzja, 5 milionów ludzi, stała sama przeciwko 140 milionowej Rosji.

- I przybycie prezydenta Lecha Kaczyńskiego z Juszczenką i szefami państw bałtyckich było bardzo potrzebne i bardzo dobrze odebrane.

- Chociaż nie od razu tam przylecieli, bo samolot musiał lądować gdzie indziej i oni przyjechali do Tbilisi samochodami na wiec wieczorem około 23.00. Sikorski też tam był, jako polski minister spraw zagranicznych. Ja próbowałem dojść do Lecha, bo wiedziałem w którym hotelu jest z tymi prezydentami. Więc poszedłem do tego hotelu, napisałem krótki list do Lecha, że jakby miał chwilę, to chciałbym porozmawiać, może chciałby wiedzieć co się tu dzieje z mojego punktu widzenia. Jednak nie spotkaliśmy się.

- Byłeś na tym wiecu, jakie były nastroje?

- Zbawcy przyjechali! Przynajmniej mamy przyjaciół! Było czterech prezydentów i jeden premier, dla Gruzinów to był ogromny zastrzyk nadziei, że jednak nie zostaną wystawieni do końca przez Zachód i nie staną się kolejną kolonią rosyjskiej federacji.

W Gruzji byłem do 2014 roku. Miałem kierowcę, w sytuacjach, gdy jeździłem poza Tbilisi na wykłady i tłumaczkę, Gruzinkę, która u mnie pracowała, żeby robić seminaria o związkach zawodowych. Kiedyś ten kierowca zadzwonił do mnie, że wynajęli go polscy dziennikarze. To ja mówię mu, że chętnie ich poznam. To byli dziennikarze m.in. z TVP. I oni chcieli jechać

do Gori, miejsca urodzenia Stalina, gdzie poprzednio jadąc, w drodze został zabity ich przyjaciel, holenderski dziennikarz. A było to tak, że jechali dwoma samochodami do Gori, na południu Osetii, Holender w pierwszym, a oni 15 metrów za nim w drugim z moim kierowcą. I w pierwsze auto trafiła rakietą, wszyscy zginęli. Jednak następnego dnia ruszyliśmy razem znów do Gori, które wtedy już Rosjanie okupowali. To było około 80 kilometrów od Tibilisi. Jak tam jechaliśmy, to gruzińskie wojsko zatrzymało nas i nie radziło tam jechać. Dziennikarze mówią, że już tam byli i liczą na to, że Rosjanie ich wpuszczą. Mój kierowca mówi, żebyśmy jechali bocznymi drogami, może będzie łatwiej. I po drodze widzimy jakiegoś faceta, który próbuje nas zatrzymać. To był jakiś Belg, który miał plazmę krwi dla szpitala wojskowego w samym środku Gori okupowanego przez ruskich. Więc go wzięliśmy. On pracował dla Kawalerów Maltańskich. Myśmy mu mówili, że łatwo nie będzie, bo mogą nas nie wpuścić, albo wpuszczą nas i mogą nie wypuścić, więc - czy Pan jest pewien, że warto ryzykować? On mówi- tak.

No to jedziemy. Dojeżdżamy, jest most, a na nim dwa czołgi rosyjskie. Gdy tam podjechaliśmy, jakiś Rusek stojący przed czołgami pyta - o co chodzi? Mój kierowca Gruzin, mówi po rosyjsku: - Jedziemy, bo mamy tutaj ludzi z prasy. On patrzy, patrzy, myślę sobie, że jak zażąda dokumentów, to ja i ten z plazmą zostaniemy pewnie. Ale popatrzył i dał znak ręką, żeby czołgi cofnęły się i nas przepuściły. I zaczynamy jeździć po mieście. Nie było nikogo! Niesamowity widok, wymarłe miasto. I nagle, przy cerkwi zobaczyliśmy mnóstwo staruszków. Wychodzimy spytać się o co chodzi? A oni mówią, że są tutaj, bo słyszeli, że kościół będzie rozdawać chleb. - A gdzie są wszyscy? Oni: - Jest nas około dwóch tysięcy, tylko staruszków. Zostaliśmy, żeby przekonać okupantów, żeby nie spalili całego miasta.

Nikogo więcej tam nie było, bo gdy dowiedziano się, że Ruscy są 50 km od Gori, ewakuowano wszystkie kobiety i dzieci do Tibilisi, żeby nie mogli wejść i gwałcić. Staruszkowie zostali, bo nie mieli nic do stracenia - na razie nas nie zabijają. To było przerażające. W końcu trafiliśmy do szpitala. Znaleźliśmy jakiegoś lekarza, on patrzy na nas, my mówimy, że mamy plazmę. On prowadzi nas do dyrektora, który był bardzo zadowolony i dziękował. Telewizja chciała z nim robić wywiad, odmówił. Chcieli zrobić zdjęcia, też odmówił. Ja tłumaczyłem ich rozmowę, bo on mówił po rosyjsku. Wychodząc zatrzymał mnie i napisał na kartce: Nie mogę dopuścić do tego, bo mam 8 rannych gruzińskich żołnierzy. Jeśli Rosjanie o tym się dowiedzą, przyjdą i zabiją wszystkich.

Wyszedłem, a tamci mnie pytają, dlaczego on Ciebie zatrzymał. Ja mówię, że chciałem go przeprosić i wyjaśnić, że ta plazma jest bardzo potrzebna. Ale mówił żebyśmy wszyscy stamtąd uchadili. I nagle widzę w tym szpitalu wysokiego Gruzina - ministra edukacji narodowej, a potem był jednym z kandydatów na prezydenta Gruzji, był pisarzem. Ja sobie myślę, no coś takiego, to przecież jest minister! Jak on tutaj zjawił się? On mnie znał, bo ja czasem go krytykowałem, że nie chce rozmawiać z nauczycielskimi związkami zawodowymi. I jak mnie zobaczył, to pyta: - Co Ty tu robisz? A ja jego pytam o to samo, a on mówi - Chodź tu na bok. I mówi mi, żebyśmy stąd szybko odjechali, bo oni mają w tym szpitalu jeszcze żywych żołnierzy gruzińskich. I pokazuje mi ciężarówkę, a tam trumny ze zwłokami. On mówi, że mają pod spodem 8 pustych trumien. I mówi dalej: - Najpierw damy im zastrzyki, takie, że nie będą odróżniali się od umrzyków, a potem położymy ich do tych trumien i wywieziemy. Więc wsiedliśmy do naszego samochodu i wyjechaliśmy inną drogą, nie przez ten most. I nagle na drodze staje 20 Rosjan, wielu z azjatyckiego pochodzenia ze złotymi zębami. Zatrzymuje nas jakiś kapitan i pyta: - co wy tutaj robicie? My, że jesteśmy

dziennikarzami i tłumaczami i chcemy stąd wyjechać. Kazał otworzyć szlaban, ale jeszcze popatrzył na mnie. Ja go pytam: - Kak idiot? On oczami pokazał niebo i ziemię, machnął ręką, co oznaczało, że sprawa jest beznadziejna. Wreszcie wyjechaliśmy z Gori i jak przyjechaliśmy do Tibilisi, to ja dzwoniłem do tego ministra kilka godzin później. Odebrał, ja pytam: - Czy Ty żyjesz? On: - Nie tylko ja... Udało mu się! Ja jeszcze go spytałem, że pewnie musiał zmienić ubranie, bo narobił w gacie ze strachu? A on mówi, że od dwóch dni niczego nie jadł, żeby nie mieć tego problemu.

- W Gruzji byłeś do 2014 roku, jak przeżywałeś śmierć prezydenta Lecha Kaczyńskiego?

- 9 kwietnia są moje urodziny i Stefana, więc wtedy na kilka dni przyleciałem do Warszawy. Marta Sienicka jeszcze żyła, oni mieszkali w jej mieszkaniu, a ja nocowałem w mieszkaniu Stefana. Trochę wypiliśmy na te urodziny, ja obudziłem się z kacem u niego, a on miał jakiś stary telewizor. Włączyłem i zobaczyłem informację o katastrofie... Szybko umyłem się, ubrałem i poszedłem do pałacu prezydenckiego. Wśród gromadzących się tam ludzi zobaczyłem nagle znanego dziennikarza BBC. Zagadnąłem go, a on pyta mnie czy mogę załatwić mu rozmowę z jakimś politykiem. Ja zadzwoniłem do Borusewicza, myślałem, że jest w Gdańsku, a był w Warszawie. I płakał! Borusewicz płakał! Zapytałem go, czy przyjmie dziennikarza z BBC, a on powiedział, dobrze przyjeżdżajcie. Tak załatwiłem facetowi rozmowę z szefem Senatu. Ale ostatecznie pojechałem do Bogdana sam. On był absolutnie zdewastowany, mówił, że ustąpił komuś miejsce w tym samolocie i że to on powinien być zginąć...

- Czy gdy wróciłeś do Gruzji, to widziałeś jakieś reakcje na śmierć prezydenta Kaczyńskiego?

- Wróciłem po kilku dniach. Ale wszyscy, których choć trochę znałem, a wiedzieli, że jestem związany z Polską, dzwonili do mnie non stop. Byli wstrząśnięci, że wszyscy zginęli, a przede wszystkim Leszek.

- Co było potem? Po Gruzji? Kirgistan?

- Mój szef powiedział mi: - Mamy kłopot z Kirgistanem, bo dziewczyna, która tam kierowała biurem, została po dwóch latach wyrzucona stamtąd. A czy pamiętasz, załatwiłeś nam takiego Polaka, który pracował w Międzynarodowej Organizacji Pracy, byłego ambasadora w RPA?

Nazywał się Stanisław Cieniuch i był kuzynem generała, Mieczysława, ambasadora w Ankarze, w Turcji. Był komuchem, ale chciał zmienić partię, bo wiedział, że inaczej nie ma przyszłości. On pracował w SGH razem z Balcerowiczem. I jakieś 4 miesiące przed wprowadzeniem stanu wojennego część komunistów, którzy widzieli słabnące szanse dla swojej partii ze względu na zabetonowane poglądy kierownictwa i niechęć do reform, zaproponowali temu Cieniuchowi organizowanie odnowionych związków zawodowych. On wtedy rozmawiał z Solidarnością, mówił, że ma całą grupę związkowców, którzy chcą oderwać się od starych związków i proponował współpracę. Komunistom to się nie spodobało, bo on zaczął także kolegować się z naszymi ludźmi. Rozmawiał z Lechem Wałęsą, który mu

powiedział, że: - Solidarność skupia już 70% pracowników z całego kraju, ale nie ma nawet jednego biura. A Cieniuch mówi: - dobrze, to się podzielimy. Komuchy, gdy dowiedzieli się o tym, wyrzucili go z PZPR. Nie mógł znaleźć nigdzie pracy, był na czarnej liście. Ale znał Geremka, a Geremek miał kontakty francuskie i inne. Wtedy został też szefem komisji spraw zagranicznych i szukał ludzi na ambasadorów. A Cieniuch pracował trochę w Ministerstwie Pracy, odpowiadał tam za sprawy zagraniczne. powiedział Geremkowi o swej trudnej sytuacji, a Geremek: - Mam stare kontakty z francuskimi związkami zawodowymi i oni zgodzili się Ciebie zatrudnić.

Ostatecznie został zatrudniony przez MOP – Międzynarodową Organizację Pracy. I kiedy mój szef powiedział, że kirgiskie władze wyrzuciły szefową naszego programu, to ja mu wskazałem tego Cieniucha. Zatrudnili go, ale po dwóch latach musiał ewakuować się do Kazachstanu samochodem ambasady, bo przekonał pracowników administracji prezydenta, żeby tam założyli związki zawodowe. Wywiózł go z tego Kirgistanu jeden z pracowników ambasady polskiej, Andrzej, był konsulem polskim. Zarówno on jak i ja mieliśmy kirgiskie wizy biznesowe i co miesiąc musieliśmy wyjeżdżać do Kazachstanu i kupować za 100 dolarów wizę na kolejny miesiąc. Następnego dnia wsiadłem do samolotu i lecę do Biszkeku. Na lotnisku skierowano mnie do kontroli paszportowej i tam oglądało mój paszport osiem osób, aż wreszcie któraś z nich powiedziała: - Bardzo przepraszamy, ale mamy polecenie nie wpuścić Pana do Kirgistanu. Ja zacząłem mówić, że jestem zarejestrowany w Ministerstwie pracy, że Wasz rząd wie, co ja robię. Oni sprawdzali, wreszcie podszedł jakiś gość w cywilu i powiedział, że mam wrócić do tego samolotu, którym przyleciałem. Pytam, co zrobiłem, że nie mogę wrócić do Kirgistanu? Byłem tam zaledwie miesiąc, próbowałem nawiązać kontakt ze starymi związkami, co złego zrobiłem? On mówi: - Ty wiesz, co zrobiłeś...

Wróciłem na samolot i poleciałem z powrotem do Kazachstanu. Pierwszą noc spałem w pokoju gościnnym ambasady. Potem mieszkałem kilka dni w domu Andrzeja, codziennie rano dzieci mnie budziły skakały po mnie, aż wreszcie moi powiedzieli: - Wracaj do Gruzji, gdzie Stanisław Cieniuch był już szefem tego programu.

- Jak długo byłeś w Gruzji? To był już rok 2015?

- Tak. Byłem tam kilka miesięcy, a potem wysłali mnie do byłej Jugosławii - trzy miesiące w Serbii, trzy miesiące w Bośni i miesiąc w Albanii.

8. Serbia, Bośnia i Hercegowina, Albania

- Jugosławia, w latach 90. rozpadła się na kilka niepodległych państw. Ale Centrum Solidarności zaangażowało się tam dopiero w drugiej dekadzie obecnego wieku? Czyli organizowałeś tam kolejny program budowy związków zawodowych?

- Tam program już był, ale właśnie się kończył, dostaliśmy nowe pieniądze z Waszyngtonu i miałem być szefem tego programu w trzech krajach. Ale ambasada amerykańska robiła mi problemy. Byłem wkurzony i głośno komentowałem, że nie powinniśmy współpracować z rządem serbskim, bo to są ludzie Miloševicia, który był komunistycznym przywódcą całej

Jugosławii i potem Serbii, i odpowiadał za zbrodnie ludobójstwa. Już nie żyje, zmarł w więzieniu w 2007 roku. I Amerykanie powiedzieli, że będą starać się, żebym nie dostał wizy do Serbii, nie chcą mojej obecności tutaj, bo nie powinienem takich rzeczy opowiadać. Moi zwierzchnicy w Waszyngtonie byli na mnie wkurzeni, ale mówią tak: - Masz jeszcze parę miesięcy, zrób co możesz z partnerami związkowymi, żeby przygotować nowy program, potem pojedź na miesiąc do Bośni, zrób to samo, żeby ten nowy program tam wprowadzić. Ten program to było nauczanie o działalności wolnych związków zawodowych, ale też pracowaliśmy ze starymi związkami. One popierały Miloševicia. Nowe związki były przeciwko temu, więc także były szykanowane. Z nimi głównie miałem do czynienia.

- Czyli wszędzie tam, gdzie pojawiały się nowe związki zawodowe, to one oprócz działalności związkowej także angażowały się w budowanie demokracji w swoich krajach.

- Tak, zbyt wielu ich nie było, ale byli. Nowym prezydentem Serbii, po Miloševicu i kilku innych prezydentach jest obecnie Aleksandr Vučić, niesamowicie prorosyjski, który za czasów Miloševicia, jako parlamentarzysta jego partii miał słynną wypowiedź, że „za każdego zabitego Serba zabijemy 100 muzułmańskich cywilów”. Dlatego mówiłem otwarcie, że z takimi ludźmi nie można współpracować. Ale ambasadzie amerykańskiej to się nie podobało. Nasz program edukacyjny był związany ze szkoleniami BHP, czyli jak związki zawodowe mają chronić ludzi na miejscu pracy, żeby nie zatruli się, nie ulegali wypadkom, jak chronić kobiety – zwykłe sprawy pracownicze, żadnej polityki. Miloševic chciał ich pozamykać, podobnie jak niezależne media, było tam wtedy jedno radio i jedna telewizja. I Vučić był jego zwolennikiem i nienawidził muzułmanów, Chorwatów, bo są katolikami. Szanował tylko prawosławnych, bo byli Serbami.

- Jak te związki zawodowe na Bałkanach były zorganizowane?

- Mieli komisje zakładowe, struktury branżowe – pracownicy transportu, nauczyciele, różni i była konfederacja. Byli biedni jak myszki, bo finansowali swoją działalność wyłącznie ze składek, standard europejski – 1% pensji. Europejska Konfederacja Zawiazków Zawodowych zorganizowała w Budapeszcie ogromną konferencję dla wszystkich związków zawodowych z całej byłej Jugosławii. I tam przyjechali ci starzy związkowcy, ale też ofiary Miloševicia i przewodniczący Konfederacji Bośni i Hercegowiny.

Na tą konferencję przyleciał szef bośniackich związków zawodowych. Ale żeby mógł przyjechać z Bośni, potrzebna była interwencja u prezydenta Francji, bo Francuzi w ramach ONZ strzegli lotniska w Sarajewie i mogli go wpuścić do podziemnego tunelu, którym dotarł na lotnisko, bo Serbowie cały czas ostrzeliwali miasto, a szczególnie lotnisko, była wojna. Dostał zgodę i przyleciał do Budapesztu. To był wrak człowieka, prawie bez zębów. Nie znał angielskiego, cały czas coś mówił mi po bośniacku, czasami rozumiałem o co chodzi, czasem coś brzmiało po polsku, tylko miało inne znaczenie, trzymał się tylko mnie, totalna trauma. A ja miałem koordynować tę konferencję razem z jej szefem Niemcem, a ten Bośniak trzymał się kurczowo mnie. Okazało się, że na tej konferencji był zarówno szef starych związków, jak i normalnych, wolnych związków zawodowych, antymiloševicowskich. I ten Bośniak, jak znaleźliśmy tłumacza, zaczął głośno krzyczeć do Serbów:- Jesteście

mordercami, jesteście faszystami! Słuchała tego cała była Jugosławia, z zachodnią Europą. Nakłoniliśmy Bośniaka do spotkania z tym Serbem od wolnych związków, bo przecież nie wszyscy Serbowie są mordercami. Byłem przy tej rozmowie – do dzisiaj mam łzy w oczach. Ten szef normalnych związków zawodowych, nienawidził Miloševicia i przeproszał tysiące razy, że jego bracia mordują niewinnych ludzi. Bośniak zapłakał i objął tego Serba... I podczas całej konferencji chodził i mówił: - Serbowie są ok! Są normalni, to jest mój przyjaciel Serb... To nadal robi na mnie wrażenie.

- Tam cały czas trwa polityczne wrzenie, ścierają się różne interesy, rosyjskie, niemieckie, inne i wszystkie one nadal tkwią w pamięci wzajemnych narodowych walk, czystek etnicznych. W środku Europy! Wojska ONZ nie dały rady zaprowadzić spokoju, dopiero Amerykanie i NATO zatrzymali ludobójstwo. Ta sytuacja oczywiście miała wpływ na działalność związków zawodowych?

- Jeździłem do północnej części Bośni i Hercegowiny, gdzie utworzono Republikę Serbską. Bałem się jechać, jednak byłem tam dwa razy, podobnie jak w Sarajewie. I nie chcieli ze mną rozmawiać. Ale co mnie przeraziło: co dwieście metrów portret Putina! To był horror. Ja spałem w jedynym normalnym hotelu i tam w pokojach nie było CNN, nie było BBC, nie było francuskiej telewizji, ani niemieckiej, tylko 8 kanałów rosyjskiej telewizji i bośniacko-serbskie g... Oni byli największymi i najgorszymi mordercami wśród Serbów, choć Serbowie z Serbii też robili straszne masakry. Ale ci, z północnej, serbskiej części Bośni i Hercegowiny to oni zrobili Srebrenicę w 1995 roku, oni zabili tych 8 tysięcy chłopców i mężczyzn i wystraszyli garstkę wojsk holenderskich z ONZ. I do dzisiaj nie są w stanie znaleźć wszystkich trupów. To dla mnie było wstrząsające, sam chciałem ich pozabijać – pacholków Rosji. Wiceszefowa Konfederacji bośniacko-serbskich związków zawodowych, to była facełka...

- Ranka Misić

- Tak, ktoś jej bliski zginął w potyczkach z żołnierzami muzułmańskimi, ona nienawidziła muzułmanów. Zarzucali mi, że jestem szpiegiem CIA, i żeby nie udawał, że jestem związkowcem. A ja próbowałem jakoś ich godzić, żeby to działanie związkowe miało ręce i nogi. Ale nie chcieli. Byli w jednej konfederacji związkowej z bośniackimi muzułmanami na południu. Nawet nie chcieli rozmawiać o normalnych rzeczach. Ja mówię: - Zróbmy szkolenia BHP, a oni – wszystko wiemy, nie potrzebujemy waszych amerykańskich gównien. I kiedy Amerykanie nie chcieli mi dać wizy do Serbii, to moi szefowie podjęli decyzję, że będzie wymiana: Anglik, który był w Iraku przyjedzie na Bałkany, a ja pojedę na Bliski Wschód.

- Ale przed Irakiem byłeś w Albanii?

- Miesiąc, tam też były dwa związki, nowy i stary. Stary to był jeszcze jugosłowiański, mieli całą infrastrukturę, biurowce, hotele w górach, a nowy był demokratyczny, w tym górnicy i mówili, że stare związki nie chcą z nimi dzielić się majątkiem, nienawidzili starych, którzy byli ich wrogami. Ja im mówiłem, że chcemy zrobić program dla wszystkich związków, bo dotyczy ludzi pracy, wszystkich. Nie ma tu żadnej polityki. Możemy robić osobne seminaria,

dla Was i dla nich. Ci nowi byli mniejsi, nie chcieli żebyśmy współpracowali ze starymi, i mówili, że ci starzy mają tyle pieniędzy, że to oni powinni Tobie płacić za szkolenia, nie amerykański podatnik. Ja im mówię, że to wiem, ale przyjedzie na moje miejsce nowy szef programu i on ze wszystkimi będzie musiał pracować. To był gość, który pracował w Iraku, w Erbilu, stolicy irackiego Kurdystanu, gdzie tak było ciężko, że on tam pił ogromnie. Program iracki realizował z nowymi związkami zawodowymi na południu Iraku.

- Gdy wymienialiście się, to który to był rok? 2016? Czy była jakaś różnica w stosunku do pracy w byłej Jugosławii i w Iraku?

- Nowe związki zawodowe istniały na południu Iraku, gdzie były złoża ropy. Stare związki były sowieckie, bo Saddam Hussein poprosił Rosję, żeby mu założyli związki zawodowe. Więc to była kalka, tylko mówili po arabsku. Natomiast w Kurdystanie było trochę inaczej. Kurdystan podzielony jest między dwie rodziny, które między sobą toczyły wojnę domową i związki zawodowe w tych dwóch częściach Kurdystanu Irackiego były sowieckie pod kontrolą partyjnych bossów z tych rodzin. Obie rodziny były sunnitami. To był podwójny kłopot, bo nie dość, że walczyli między sobą, to jeszcze byli zwalczani przez Husseina, który ich gazował. I dopiero Clinton rozstoczył ochronny parasol powietrzny nad nimi. Powinni postawić Saddama Husseina pod trybunał międzynarodowy, bo zagazował tam kilkadziesiąt tysięcy Kurdów. To oczywiście było dużo wcześniej. Ale ja będąc w Iraku, miałem pozwolenie od moich szefów w Waszyngtonie, że mogę opuścić natychmiast Irak ze względu na bojówki islamskie, które w południowym Iraku stwarzały zagrożenie. W Kurdystanie było inaczej, związki były pod kontrolą rodzin partyjnych i nie było tam zainteresowania organizacją nowych związków.

- Spędziłeś w Iraku dwa lata, następnie przeszedłeś na emeryturę w 2018 roku w wieku 66 lat i wybrałeś Polskę na starość?

- Miałem wtedy dylemat, gdzie zamieszkać. Przyjaciele i rodzina chcieli żebym wrócił do Stanów i kupił dom, nawet już wybrali. Ale nie miałem tyle gotówki. A tutaj w Polsce też miałem wielu przyjaciół. Ostateczna decyzja zapadła, gdy wybuchła wojna na Ukrainie w 2022 roku, wtedy już wiedziałem, co mam robić. Zostałem tutaj, bo znałem wielu Ukraińców, długo tam pracowałem i włączyłem się do pomocy.

- Twoja działalność na rzecz tworzenia wolnych związków zawodowych jest imponująca. Jakbyś podsumował swoją pracę i działania w naszej części Europy? Pracowałeś tutaj chyba wyłącznie w państwach, które wydobywały się z komunizmu i systemów niedemokratycznych. Podobnie chyba w Azji, bo Irak, Kazachstan, Kirgistan to nie są państwa klasycznie demokratyczne? W związku z tym sprawy związkowe jawią się jako element budowania demokracji w tych postkomunistycznych czy postdyktatorskich państwach. Jakbyś podsumował swoją pracę i rozwój związków zawodowych jako części społeczeństwa obywatelskiego i systemu demokratycznego? To są dziesiątki lat Twojej pracy.

- Pracowałem 15 lat w Polsce, 7 lat w podziemnych strukturach Solidarności, a po zalegalizowaniu Związku 8 lat w Komisji Krajowej. W innych krajach już dla amerykańskich związków zawodowych ponad 20 lat. Za każdym razem, jak wyjeżdżasz do innego państwa

i zmieniasz miejsce pracy, to nie masz czasu, żeby nawet myśleć o tym, co robiłeś i co oni tam robią po Twoim wyjeździe. Ja chciałem dobrze pracować w danym państwie, żeby tam te związki miały ręce i nogi. Chciałem być poważnym filarem budowania demokracji w danym państwie. Nie zajmowałem się partiami politycznymi. To robili koledzy przez oba instytuty amerykańskie: demokratyczny i republikański. Inna organizacja amerykańska, finansowana przez Kongres amerykański pracowała dla pracodawców, żeby ich uczyć, jaką rolę mają pełnić w budowie demokratycznego państwa i być niezależnymi od polityków.

- We wszystkich tych państwach ustrój był niedemokratyczny. Czy wolne związki zawodowe tam nadal działają?

- Z tego co wiem, działają w Serbii. W Albanii jeszcze istnieją, ale nie mam z nimi kontaktu. W Gruzji stare związki trochę się zdemokratyzowały, nowe, nauczycielskie działają, kierowane przez kobietę. Tymi gruzińskimi związkami kieruje nowy szef, ale ma on poglądy stare, nie uznaje kobiet na stanowiskach dotąd zajmowanych przez mężczyzn. Nie utrzymuję z nim kontaktów. Zamykany jest też cały nasz program, który prowadził Stanisław Cieniuch, bo Trump zatrzymał finansowanie tych działań. W Kirgistanie, moi szefowie sami przestali finansować ten program uznając, że nie ma tam szans na rozwój niezależnych związków zawodowych. Utworzony jest program w Armenii, szefowa jest Ukrainką, ale nie wiadomo, czy przetrwa do końca roku, bo nie ma pieniędzy. W Iraku nie wiem co się dzieje.

- Można zatem wysnuć wniosek, że takie programy przygotowujące powstawanie wolnych związków zawodowych jako elementu demokratycznego systemu, w państwach niedemokratycznych nie sprawdzają się?

- W Iraku, to było prawie niemożliwe ze względu na zagrożenie ze strony islamskich terrorystów. A w Kirgistanie na pewno nie. Wiesz co oni tam zrobili? Jak zacząłem rozwijać działania, zatrudniać ludzi, tworzyć nowe związki, to ci ze starych związków opublikowali w prasie artykuły, że jestem specjalnym szpiegiem CIA i że cały ten ruch związkowy i Solidarności jest agenturą, którą założyłem i którą kierowałem, że Wałęsa jest marionetką moją, że zorganizowałem podziemie i chcę związki zawodowe wykorzystać, żeby obalić władzę państwa, jak w Polsce.

- Można rzec, że agentura moskiewska działała skutecznie, żeby podważyć Twoją wiarygodność.

- Byłem trzecim dyrektorem tego programu wyrzuconym z Kirgistanu.

- Jakie widziałbyś recepty na przyszłość? Co robić, żeby wzmacniać budowę wolnych społeczności w tych państwach? Czy tam system demokratyczny ma jakieś szanse?

- Obecnie mój byłby pracodawca, czyli amerykański Instytut Solidarności, prawdopodobnie zniknie, bo nie ma finansowania, Trump obciął rządowe pieniądze, które finansowały te programy od czasów Kenedy'ego. To były: Narodowy Instytut Demokratyczny, Między-

narodowy Instytut Republikański, Wolne Związki Zawodowe z Centrum Solidarności i Pracodawcy. Były cztery programy i wszystkie zostały zlikwidowane. Trump powiedział, że to wyrzucanie pieniędzy w błoto.

- Co należy zrobić, żeby to zmienić?

- W Stanach? Trzeba przywrócić równowagę między Sądem Najwyższym, Kongresem i Prezydentem. Problem jest taki, że ponad połowa Kongresu to są republikanie i w większości popierają decyzję Trumpa, np. zmniejszenie wydatków na rządowe agencje w Stanach i na świecie. Ma w planie także likwidację Ministerstwa Edukacji.

Centrum Solidarności miało programy nie tylko w Europie Wschodniej. Ale też w Azji, w Afryce, Ameryce Południowej i Centralnej. I tych wszystkich programów za miesiąc, dwa nie będzie. Ale inne państwa Unii Europejskiej finansowały też swoje działania, np. Niemcy mają różne fundacje realizujące programy np. partii chadeckiej – Fundacja Adenauera czy socjaldemokratów – Fundacja Ebertha. Oni współpracowali też z Solidarnością.

- A nasza Solidarność? Jak wyglądała współpraca?

- Kiedy Janusz Śniadek przejął ster od Mariana Krzaklewskiego, ja byłem w Zarządzie Regionu gdańskiej Solidarności, reprezentowałem strażaków i kilka razy brałem go na seminaria do tych państw. I on to bardzo doceniał jako szef Solidarności. Marian też interesował się tym, on podobnie jak ja był aresztowany i wyrzucony z Białorusi. Związki zawodowe nie mają pieniędzy, żeby to robić. Amerykańskie też nie miały, ale dostały, gdy Reagan stworzył Krajowy Fundusz na Rzecz Demokracji.

- Jak wolny świat powinien angażować się w budowanie demokracji w państwach, gdzie byłeś, w których są kłopoty z demokracją? Na co kierować uwagę?

- Na przykład, Marek Matraszek, jest związany z różnymi konserwatywnymi organizacjami w Wielkiej Brytanii i na pewno zna wielu pracodawców. We Francji też największe partie mają swoje fundusze zagraniczne. Ale dam Ci trzy przykłady, że związki stare jeszcze istnieją i powstały nowe, co myśmy popierali jako Solidarność: na Węgrzech, w Bułgarii i w Rumunii. Tam były trzy nowe, niekomunistyczne związki zawodowe, które założyli byli dysydenci. Na Węgrzech było dużo sentymentu do socjaldemokracji europejskiej. I jak Orban wygrał wybory, to miał swój związek chrześcijański, konserwatywny. A my z Solidarności mieliśmy do czynienia z jednym i drugim. Oni nie przepadali za sobą, ale przynajmniej twierdzili, że są lepsi od tych jeszcze starszych, komunistycznych. W Rumunii powstała nowa konfederacja, jej przewodniczący, nauczyciel, został potem politykiem, chyba prezydentem stolicy. I ten związek zmarł, bo został upolityczniony. W Bułgarii był świetny facet, został wiceprzewodniczącym nowej organizacji, taki charyzmatyczny lekarz, antykomunista. Jest to niewielki związek. Ale ciekawy. W Bułgarii i Rumunii czołowi politycy są finansowani przez Rosję.

- Jeżeli mamy takie słabe struktury społeczeństwa obywatelskiego, tyle lat minęło i niewiele się wydarzyło, to staje pytanie o sens takich działań.

- Sens jest zawsze, ale podam Ci przykład ilustrujący skalę problemu. Na jednej z konferencji międzynarodowych, był szef związku ALF-CIO i poprosił mnie bym tłumaczył jego rozmowę z nowym szefem nowych związków w Rosji. Więc zaczynamy rozmowę co u nich dzieje się, a on: - Daj mi pieniądze. My mówimy, ok, ale powiedz nam co dotąd zrobiłeś dla rozwoju tych związków? A on: - Dajcie pieniądze. My mówimy, że to są pieniądze podatkowników amerykańskich i musimy im przedstawić, na co one są wydawane. A on tego nie rozumiał, powtarzał ciągle – Dajcie pieniądze. Taki mamy poziom rozmówców.

Rozmawiał Marek Kuchciński



*Od lewej: Marek Kuchciński, Robert Fielding, Dorota Mech-Kuchcińska, Jan Jarosz, Marek Matraszek. Konferencja Europa Karpat, Krasiczyn, 18 luty 2023 r.
(fot. M. Olejnik, z archiwum PTK)*



*Od prawej: Robert Fielding, Marek Kuchciński i przedsiębiorcy z USA zaangażowani
w proces odbudowy i transformacji Ukrainy, Przemyśl 2024 r.
(fot. Tomasz Łacina)*



*Od lewej: Robert Fielding, Marek Kuchciński - podczas wideokonferencji z przedstawicielami Atlantic Council, Przemyśl 1 kwietnia 2022 r. - początek agresji rosyjskiej na Ukrainę.
(fot. Tomasz Łacina)*



Wideokonferencja z przedstawicielami Atlantic Council, Przemyśl 1 kwietnia 2022 r. - początek agresji rosyjskiej na Ukrainę. Od lewej: Mykhaylo Khariy, Marek Kuchciński i Robert Fielding, Daniel Fried, Melinda Haring, John Herbst, Jerzy Kwieciński. (fot. Tomasz Łacina)



Robert Fielding i Jan Musiał podczas Międzynarodowej Konferencji Europa Karpat, Krasiczyn, 18 lutego 2023 r. (fot. Marta Olejnik, archiwum PTK)

PŘEMYSL SOBOTKA



Přemysl Sobotka, 2024 r. Źródło: Post Bellum, archiv Paměti národa

Powinniśmy wspólnie zmusić Brukselę do normalnego myślenia.

Rozmowa z Přemyslem Sobotką, byłym przewodniczącym Senatu Republiki Czeskiej Přemysl Sobotka (ur. 1944) – czeski lekarz, polityk. Po rozpoczęciu okupacji Czechosłowacji przez wojska Układu Warszawskiego, 21 sierpnia 1968 jako młody stażem lekarz w szpitalu miasta Liberec opatrywał rannych w masakrze dokonanej w tym mieście przez sowieckie wojsko. W latach 1996-2016 był senatorem z ramienia Obywatelskiej Partii Demokratycznej (ODS), a w latach 2004-2010 pełnił funkcję przewodniczącego Izby Wyższej Parlamentu Czech. Wielokrotny uczestnik konferencji Europa Karpat. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej za doniosły wkład w rozwój stosunków polsko-czeskich (2016).

- Pan wyrastał w mieście Liberec, w północnych Czechach, położonym blisko polskiej granicy. W czasach komunizmu nie było łatwo tę granicę przekroczyć, ale jednak zapytam: jak Pan „po sąsiedzku” postrzegał Polskę i Solidarność przed 1989 rokiem?

- Miałem o Polsce i Solidarności tylko wrywkowe informacje. Podziwiałem odwagę Polaków – mają ją w swoim DNA – w walce z komunistami. Dotknął nas oczywiście stan wojenny, granica była praktycznie nieprzekraczalna, czego doświadczyliśmy z żoną osobiście.

Miało to miejsce na Drodze Przyjaźni Polsko-Czeskiej w Karkonoszach, małżonka przy schronisku Obří bouda poszła na skróty, a żołnierz wyciągnął karabin maszynowy mówiąc, że będzie strzelał. To było bardzo nieprzyjemne. Innym razem wybraliśmy się tam z krewnymi z Anglii, a dzieci dostały zakaz odzywania się po angielsku, aby uniknąć konfliktowych sytuacji. Po prostu były to niedobre czasy.

- Studiował Pan medycynę w Pradze, podczas Praskiej Wiosny, która była w Czechosłowacji czasem nadziei. Po nastaniu okupacji w 1968 roku nastąpiło nie tylko załamanie polityczne, ale także mentalny kryzys w społeczeństwie. Czy Pan postrzegał te wydarzenia jako przejaw kruchości naszej geopolitycznej sytuacji? Czy uważa Pan, że Europa Środkowa stale ma status „strefy buforowej”.

- Praska Wiosna była pięknym okresem, wciąż jeszcze żyło wielu ludzi, którzy doświadczyli przedwojennej demokracji i zaczęli się oni ponownie publicznie angażować, a my, jako młodzi ludzie, dołączyliśmy do nich. Niestety, okupacja 21 sierpnia 1968 roku położyła kres wszystkiemu. Tak to jest, komuniści pozostaną zawsze komunistami. W sierpniu 1968 w Libercu jako młody chirurg, trzy tygodnie po rozpoczęciu praktyki w szpitalu doświadczyłem, czym jest chirurgia wojenna. Było to przerażające doświadczenie dla wszystkich. W Libercu Rosjanie otworzyli ogień do protestujących przeciwko inwazji, wjechali czołgiem w tłum: dziewięć osób zabitych i prawie pięćdziesiąt rannych. Przypadkowo był wtedy w Libercu Václav Havel, zatrzymał się tam na tydzień, wydał oświadczenie dla PEN Clubu. Ja na 1 września 1968 roku dostałem wezwanie do wojska. Wśród oficerów panowało wówczas ogromne zdenerwowanie. Nikt nie wiedział, co będzie dalej. Zostałem lekarzem garnizonowym, miałem zatem względny spokój.

Wnioski z wiosny 1968 roku i z sierpniowej okupacji były dla mnie jasne. Komuniści są przestępcami i za nic mają ludzi, tylko pewna słabość partyjnego przewodcy Alexandra Dubčeka pozwoliła nam trochę pooddychać świeższym powietrzem, jednak szybko się to skończyło. Wszędzie w Europie Środkowej komuniści przykręcili śrubę i przez następne dwadzieścia lat ludzie żyli w strachu. Wyjątkiem była Charta 77 w Czechosłowacji i Solidarność w Polsce. Całe nasze społeczeństwo się przygarbiło i uciekło w prywatny świat, na swoje weekendowe działki, dachy czy raczej chalupy, jak się u nas mówi. Prawie nikt nie rozmawiał o polityce, działała cenzura, informacje wyłapywaliśmy z Wolnej Europy i z Głosu Ameryki. Po prostu dziwne i raczej smutne życie.

- Kilkakrotnie uczestniczył Pan w konferencji Europa Karpat. Jej motto - „Jak wolni z wolnymi, równi z równymi” - nawiązuje do drugiej, po brytyjskiej, najdłużej trwającej unii w Europie - do Rzeczypospolitej Obojga Narodów, kiedy to objęte nią narody Europy Środkowej żyły obok siebie w warunkach demokracji parlamentarnej. Jak postrzega Pan dzisiejsze stosunki polsko-czeskie i środkowoeuropejskie oraz jakie widzi Pan możliwości współpracy w regionie?

- Konferencja Europa Karpat była i nadal jest bardzo dobrą okazją do wymiany poglądów na temat polityki zagranicznej, a zwłaszcza na temat możliwej - moim zdaniem wręcz koniecznej - współpracy między krajami, które znajdowały się pod władaniem Moskwy. Tylko dzięki współpracy naszych krajów możemy wywierać presję na czasami bezsensowne

podejście krajów zachodnich, które nigdy nie zaznały, jak straszne było „budowanie” socjalizmu pod moskiewskim nadzorem. Dwustronne stosunki z Polską uważam za nasz priorytet, łączy nas pod wieloma względami wspólna historia i wiążące się z nią dobre, ale również trudne doświadczenia.



Přemysl Sobotka podczas panelu dyskusyjnego Konferencji Europa Karpat nt. współpracy V4, Krynica, 7 wrzesień 2016. Źródło: sejm.gov.pl. Autor zdjęcia: Paweł Kula

- W jednym ze swoich wystąpień określił Pan Unię Europejską jako wyjątkowy projekt, którego pierwotną ideą jest silna Europa tworzona przez wolna państwa. W tym kontekście mówił Pan o potrzebie obrony suwerenności narodowej w czasach, kiedy w Unii pojawiłyby się tendencje do jej ograniczania. Czy dostrzega Pan takie tendencje w dzisiejszej Unii? Jeśli tak, to jakie są szanse na skuteczne przeciwdziałanie im?

- Bardzo się cieszyłem, kiedy dołączyliśmy do Unii Europejskiej, ale niestety od 2004 roku Unia znacznie się zmieniła i staje się superpaństwem kontrolowanym przez pseudorząd w Brukseli. System dotacji jest wykorzystywany do wywierania presji na poszczególne kraje, gospodarka staje się coraz bardziej regulowana, a to droga donikąd. Green Deal i związane z nim dyrektywy może pierwotnie nawet były dobrym pomysłem, obecnie jednak ogranicza on rozwój gospodarczy, niszczy energetykę, a w wyniku tego praktycznie wszystko drożeje. To się odbija na życiu zwykłych ludzi. Zielona energia to szkodliwa mantra. Europa nota bene produkuje 5-7% gazu CO₂. Reszta świata, głównie Rosja, Chiny, Azja i inni, cierpliwie wyczekują, kiedy się europejska gospodarka załamie.

Dlatego musimy ze sobą intensywnie współpracować i zmusić Brukselę do powrotu do normalnego myślenia. Poza tym jest tu kwestia migracji, a zwłaszcza walka z nielegalną migracją - to kolejne ogromne zadanie. Musimy chronić zewnętrzne granice strefy Schengen, w przeciwnym razie pewnego dnia obudzimy się i okaże się, że w wielu krajach Unii Europejskiej obowiązuje prawo szariatu. Błąd kanclerz Merkel musi zostać naprawiony, włącznie z tym, że zostanie przeprowadzona repatriacja osób nie chcących uznać, że Europa opiera się na chrześcijańsko-żydowskich korzeniach i że demokracja jest nienaruszalna.

- Pan kandydował w pierwszych bezpośrednich wyborach prezydenckich w Czechach w 2013 roku. Jakie są Pana zdaniem najważniejsze cechy polityka ubiegającego się o prezydenturę w tej części Europy?

- Wybory prezydenckie powinny wyłonić prezydenta, który przede wszystkim dba o swój kraj i który będzie współpracował z sąsiednimi krajami - bez populizmu, po prostu racjonalnie.

Rozmawiała - Lucie Szymanowska, Warszawa-Liberec, 19 marca 2025 roku



Přemysl Sobotka (po prawej) na demonstracji podczas Aksamitnej Rewolucji 1989, przed ratuszem miasta Liberec, 23.11.1989 Źródło: Post Bellum, archiv Paměti národa

ALEXANDER TOMSKÝ



Fot. archiwum A. Tomskiego

Solidarność mogła powstać tylko w Polsce

Rozmowa z profesorem Alexandrem Tomským

Alexander Tomský (ur. w Czechosłowacji, 1947) – filozof, politolog, wydawca, tłumacz. Pochodzi z polsko-czesko-żydowskiej rodziny. Ojciec Jan, wybitny archeolog i geolog, który jako jeden z wielu krewnych podczas II wojny światowej uniknął zagłady, aresztowany przez czechosłowacką komunistyczną bezpiekę w 1954 r. Dzieciństwo Tomský spędził w Czechosłowacji, skąd wyemigrował w dzień rozpoczęcia radzieckiej okupacji, 21 sierpnia 1968 roku. Ukończył stosunki międzynarodowe na London School of Economics oraz filozofię w London Institute of Education. Pracował jako analityk w Keston College (1977-86), gdzie kierował działem Europy Środkowej. Raport sporządzony przez wywiad PRL charakteryzował Tomskiego jako osobę „fanatycznie antykomunistyczną, bezpośrednio odpowiedzialną za aktywizację działalności inspiracyjnej ośrodka [Keston College] wobec mass mediów w sprawach polskich – po wprowadzeniu stanu wojennego w kraju”. W późnych latach osiemdziesiątych dyrektor brytyjskiej filii Kirche in Not. Założyciel czeskiego emigranckiego wydawnictwa Rozmluvy (1981-90). W 1990 wraca do Pragi, gdzie staje się prywatnym wydawcą, a w latach 1993-2005 dyrektorem generalnym prestiżowego wydawnictwa Academia. Pracuje równolegle jako profesor New York University w Pradze (2000-03) oraz komentator wielu opiniotwórczych mediów. Wielokrotny uczestnik konferencji Europa Karpát oraz Polska Wielki Projekt.

Przemyskie korzenie

- Pańska Mama pochodziła z Przemyśla. Ile lat tam spędziła? Czy opowiadała kiedyś o tym okresie swojego życia?

- Mama urodziła się w Przemyśle w mieszczańskiej rodzinie Krzywonos w 1921 roku. Po maturze, ostatniego dnia sierpnia 1939 wyjechała do wojewódzkiego miasta, do Lwowa, aby znaleźć dla siebie stancję. Miała rozpocząć studia medycyny. Pierwszego września jednak otrzymała od swojego ojca telegram - zaczekaj proszę, póki sytuacja się nie ustabilizuje. Sytuacja więc ustabilizowała się, w postaci nowej granicy na Sanie, kiedy Stalin 17 września napadł na Polskę. Mamie już nigdy więcej nie udało się odwiedzić rodzinnego domu. Studium na uniwersytecie lwowskim wprawdzie rozpoczęła, ale w czerwcu 1941, zanim Niemcy zaatakowały Rosję, przedostała się z pomocą wuja przez radziecką granicę do Rumunii, do Bukowiny. Tam zamieszkała u krewnych, którzy zdecydowali się na przeprowadzkę do Austrii. W Rumunii też wylądował ze swoim samolotem jej o rok starszy brat, który się właśnie zaciągnął jako świeżo upieczony pilot, aby walczyć. O dziwo, nawet bez samolotu udało mu się dotrzeć na Gibraltar. Później wstąpił w szeregi polskiego dywizjonu w Anglii. Mama mieszkała z rodziną wuja, który jeszcze zdążył sprzedać swoje mienie i wyprowadzić się do austriackiego Linzu, tam do końca wojny pracowała w szpitalu jako pielęgniarka. O swojej młodości w Przemyśle mama nie chciała opowiadać. Wspomnienia, nostalgia byłaby dla niej zbyt bolesna.

- Czy później nie próbowała wrócić do Przemyśla?

- Po wojnie usiłowała wrócić do domu. W Pradze jednak zastał ją telegram od dziadka, o treści: zaczekaj u znajomych, póki sytuacja się nie uspokoi. Kolej w Polsce była opanowana wówczas przez wojsko pod dowództwem marszałka Rokossowskiego, późniejszego „polskiego” ministra obrony. Czesi umożliwili Mamie kontynuację studiów, jednak w grudniu 1947 urodziłem się ja, przerywając jej dalszą naukę. Po komunistycznym puczu w lutym 1948 nowy czechosłowacki rząd obawiał się „zarazy” polskiego ruchu oporu. Zamknięto granicę z Polską. Kiedy Mama wreszcie po 18 latach uzyskała pozwolenie i wybrała się do rodzimego miasta – jej ukochany ojciec już wtedy nie żył – zawrócili ją na granicy z powodu jakiejś epidemii, chyba chodziło o tyfus. Niedługo później, po radzieckiej inwazji na Czechosłowację w 1968 roku, rodzice wyprowadzili się do Niemiec.

- Rodzice Mamy pochodzili z Medyki. Podobno u nich jeszcze w czasach zaboru rosyjskiego carskie władze odkryły podziemną drukarnię?

- Mama była bardzo dumna z rodzinnej historii, a Babcia z Medyki opowiadała mi o mężczyznach z naszej rodziny, których uwięziono po powstaniu. Wtedy, jako mały chłopak, nie bardzo to wszystko rozumiałem. Jak widać, Polska ma dłuższe dzieje działania w podziemiu....

Emigracja z komunistycznej Czechosłowacji

- Które wydarzenie z młodości, przed rokiem 1968 i udaniem się na emigrację, uważa Pan za formujące, decydujące o późniejszych poglądach i zachowaniach?

- Trudno mówić o jakimś przełomowym wydarzeniu. Od moich dwu do pięciu lat mieszkała z nami polska Babcia. Mówiłem w związku z tym po polsku wcześniej niż po czesku i do Mamy nie zwracałem się per „ty”, tylko w trzeciej osobie. Tego, na ile mnie uformował mój „macierzysty”, choć przyswajany tylko w potocznej formie język, nie potrafię ocenić. Moi rodzice byli zdecydowanymi antykomunistami, nie pozwolili nawet, abym wstąpił do pionierów. Dwukrotnie wyrzucono mnie ze szkół za tzw. antypaństwowe odzywki. Pamiętam śmierć Stalina, Mama wtedy stwierdziła: diabeł wreszcie umarł. Przypominam sobie też powstanie węgierskie 1956, kiedy zrozpaczeni rodzice za zamkniętymi drzwiami słuchali zagraniczne rozgłośnie.

- Pan kiedyś opisał okoliczności, w jakich Mama po inwazji 1968 roku wysłała Pana na emigrację. Czy rzeczywiście argumentowała wtedy, że udział w ewentualnym ruchu oporu byłby bez sensu, ponieważ „Czesi to nie Polacy, nie będą walczyć?”.

- Tak, Mama, czuła się w Czechach jak na wygnaniu, przeżywała to dosyć ciężko, nie chciała w domu mówić po czesku, a terror lat pięćdziesiątych oraz totalną nacjonalizację gospodarki rozumiała jako konsekwencję czeskiego lokajstwa. Była dumna ze swojego brata, który brał udział w walkach, oraz z Powstania Warszawskiego. Nie rozumiała tłumaczenia Czechów, według których powstanie było szaloną ofiarą, a dodatkowo daremną, skoro jeden i drugi naród obecnie znajduje się w tej samej sytuacji. Tyle że sowietci później nie zdecydowali się na zaatakowanie Polski, więc Polacy swoim bohaterskim oporem jednak jakąś wolność dla siebie wywalczyli.

- Skoro Mama nie chciała w domu mówić po czesku, to w jakim języku rozmawiała z Ojcem?

- Z Ojcem rozmawiała również po polsku, jej czeski był na początku bardzo kiepski. Pamiętam, jak Ojciec chodził po domu z polskim słownikiem i podziwiał takie pseudo-homonimy między czeskim i polskim. Zwracać się – czyli po czesku wymiotować, truskawki (trus - odchody ptaka). Kiedy było trudno się porozumieć, to rodzice rozmawiali ze sobą po niemiecku.

- Na emigracji, po 1968 roku przedostał się Pan do Londynu. Czy udało się tam nawiązać jakieś bliższe relacje z Polakami?

- W Londynie zacząłem po polsku rozmawiać bardzo szybko, przez jakiś czas mieszkałem w polskiej dzielnicy i kupowałem Dziennik Polski. Chodziłem na polskie prelekcje, filmy i do klubu Paryskiej Kultury. Pamiętam pierwszą polską książkę, którą przeczytałem „od dechy do dechy” – był to Inny świat Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Językowo nawet się

wtopiłem w londyńską Polonię, ponieważ od Mamy przejąłem przedwojenną polszczyznę. Tej współczesnej nie znałem. Mój język był rzeczywiście ściśle „macierzysty”, bo z nikim innym dotychczas nie miałem okazji porozmawiać po polsku.

Życie w Londynie było naprawdę dziwne. Tak jakbym przeprowadził się do dawnej Polski mojej Matki, która mnie wygoniła, abym walczył z komunistami. Nie miałem tam prawie żadnych angielskich przyjaciół, ponieważ na studiach od razu zaprzyjaźniłem się z polskimi studentami, działała tam organizacja Polish Student Society. Moje, powojenne pokolenie było bardzo liczne. Miałem więc od początku wielu polskich znajomych i jednego przyjaciela z bardzo religijnej, pochodzącej ze Lwowa katolickiej rodziny. To oni w pewnym momencie polecieli mi polskiego dentystę, również ze Lwowa. Prawo jazdy zrobiłem w polskiej szkole nauki jazdy i poród moich dzieci odbierał polski lekarz. Polacy byli po prostu wszędzie. Przydarzyły mi się dwie niezwykle historie. Zanim otrzymałem brytyjskie obywatelstwo, przyszli do nas do domu dwaj urzędnicy Home Office na rozmowę. Dwóch zwykłych Anglików. Znienacka jeden z nich pokazał na obrazek w ramce wiszący na ścianie i mówi po polsku do kolegi: „Popatrz, Matka Boska Częstochowska!” Problemy z obywatelstwem od razu się rozwiązały.

Dziesięć lat później, kiedy wydawałem czeskie zakazane książki, które - jak inaczej - drukowano w polskiej drukarni w Brighton, wiozłem cały bagażnik emigracyjnych wydawnictw do Paryża, skąd miały zostać w specjalnie przystosowanej ciężarówce przetransportowane do Czech. Na granicy pojawił się problem, dwóch francuskich celników nie miało pewności, czy nie będą one sprzedawane we Francji. Sterczałem tam jak kołek i czekałem, kiedy dodzwonią się do Paryża. Ten jeden szwendał się naokoło samochodu i raptem na jednej z paczek zobaczył polską książkę. „Pan czyta po polsku?”. I było po kłopotach. W północnej Francji też mieszkało dużo Polaków.

Dodałbym jeszcze, jak pewnego razu byłem na kolacji w Klubie Lotników w zachodnim Londynie. Siedziałem tam i cały w skowronkach słuchałem przedwojennych szlagierów, które czasami podśpiewywała moja Mama. Jeden utknął mi szczególnie w pamięci: „miasteczko Bełz, kochany twój Bełz, maleńka miejscina, gdzie twoja rodzina dom twój był...” Zawsze miałem gdzie iść, z kim serdecznie porozmawiać - było to naprawdę miłe.

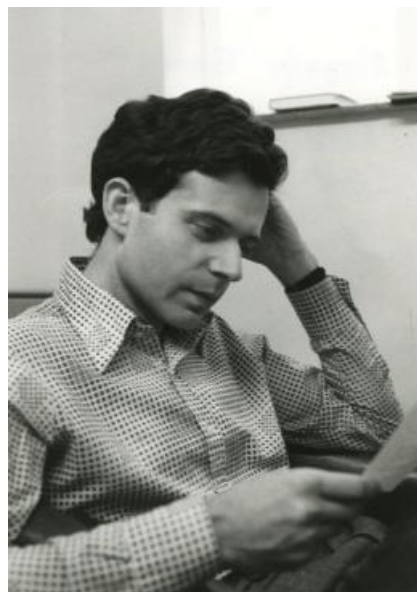
Scruton, Keston College, Kultura paryska

- Jakie były najważniejsze „stacje” pańskiego życia na emigracji, jakie spotkania, wydarzenia?

- Tego też nie potrafię dokładnie wskazać. Poznałem konserwatywnego filozofa Rogera Scrutona, nobliwego polskiego jezuitę i teologa o. Jerzego Mirewicza. Znaczący wpływ wywarła na mnie angielska konserwatywna filozofia polityczna, profesorowie na London School of Economics, tacy jak Michael Okeshott i Leonard Shapiro. Z pewnością wpłynął na mnie również styl życia angielskiej klasy średniej. W owych czasach zimnej wojny udzielałem się w Keston College, zajmowałem się wydarzeniami i opozycją przede wszystkim w Polsce, przez jakiś czas regularnie pisałem dla paryskiej Kultury i miałem często wywiady w polskiej sekcji BBC. Teksty mojej Kroniki Czeskiej i Słowackiej w Kulturze na szczęście regularnie poprawiał mój przyjaciel Tadeusz Kadenacy.



1.



2.

1. Alexander Tomskiy podczas dnia otwartego Keston College, Oxford, 12 październik 1985. Fot. ze zbiorów The Keston Center for Religion, Politics, and Society, Baylor University, Waco, Texas

2. Alexander Tomskiy w Keston College. Data nie ustalona. Fot. ze zbiorów The Keston Center for Religion, Politics, and Society, Baylor University, Waco, Texas (po prawej)

- O. Jerzy Mirewicz był między innymi wydawcą, wykladał również filozofię chrześcijańską. Pewnie mieliście wiele wspólnych tematów...

- To prawda. Rozmawialiśmy przede wszystkim o tomizmie, aczkolwiek on nie był tomistą w klasycznym rozumieniu. Raczej był przedstawicielem takiej pastoralnej, polskiej teologii. Tę zachodnią uważał za nazbyt racjonalistyczną.

- Tadeusz Kadenacy też przez pewien czas pracował w Keston College. Czy może dotknęliście w rozmowach tematu Międzymorza? Był przecież krewnym Józefa Piłsudskiego.

- Rozmów konkretnie o Międzymorzu sobie raczej nie przypominam, ale rozmawialiśmy chyba o czymś w tym sensie. Oboje dobrze wiedzieliśmy, że Zachód jest potargany przez sekularyzację, przez utopizm lewicowej ideologii. Progresywizm wtedy dopiero się wykluwał na ekstremistycznej flance lewicy, a jednak wydawało się, że Europa Środkowa i Wschodnia wraz z Ukrainą i Białorusią powinna stanowić przeciwwagę dla Zachodu. W zasadzie ona dziś jest Zachodem.

- Kogo z Polaków Pan jeszcze spotkał w Keston College?

- Przypomina mi się Stefan Kisielewski, Adam Michnik, Leszek Kołakowski, polonista i bibliotekarz z KULu Andrzej Paluchowski, o. rektor Mieczysław Krąpiec... Był też ksiądz Blachnicki, o którym książkę napisała po moim odejściu koleżanka z instytutu Grażyna Sikorka. Były różne wizyty, rozmowy o sytuacji w Polsce. I te niekończące się „nocne Polaków

rozmowy”. Od nas też wyszedł impuls odznaczenia przez rząd Margaret Thatcher Władysława Bartoszewskiego - za męstwo. Jednak reżim, z tego co pamiętam, nie wypuścił go wtedy do Londynu. Pani premier odwiedziła nas dwa razy. Regularnie wysyłałem do niej różne lektury, książki opozycjonistów. Pamiętam, że duże wrażenie wywarła na niej zakonnica Nijole Sadunaite, która rozpowszechniała Kroniki Kościoła Katolickiego na Litwie i która była torturowana w więzieniu.



Alexander Tomszyna (po lewej stronie u góry) podczas wizyty ks. Franciszka Blachnickiego w Keston College, prawdopodobnie w 1981 r. Fot. ze zbiorów The Keston Center for Religion, Politics, and Society, Baylor University, Waco, Texas

- Jak Pan wtedy pojmował wybór kard. Karola Wojtyły na papieża i później powstanie Solidarności?

- Wybór papieża Polaka, to był cud. Do upadku komunizmu przyczyniło się trzech mężów – On, Ronald Reagan oraz Aleksandr Sołżenicyn. Jednak duchowy wpływ Papieża był najważniejszy. A miejsce pracy w protestanckim instytucie zajmującym się głównie chrześcijańską opozycją w imperium sowieckim, to uzyskałem właśnie dzięki wyborowi Karola Wojtyły. Ponieważ nie mieli tam nikogo, kto zajmowałby się katolicką Polską. Wbrew temu, że Polska odgrywała rolę najsilniejszej opozycji, przed wyborem Papieża nawet się nią nie zajmowali. Nie z uprzedzenia protestanckiego, ale dlatego że w Polsce nie było więźniów z powodu działalności w obronie religii tak jak w Rosji.

- Pan się w Keston College zajmował nie tylko Polską, ale ogólnie Europą Środkową. Co to oznaczało na co dzień?

- Wydawaliśmy w Keston biuletyn informacyjny, o dysydentach. Z drugiego obiegu wybieraliśmy informacje, które nigdy nie przedostałyby się do wiadomości agencji, i rozsyłaliśmy je faksem do gazet, dwa, trzy razy w tygodniu- w tym do rozgłośni radiowych. Najczęściej korzystała z nich Wolna Europa. Czasami były to rzeczy dosyć drastyczne, zwłaszcza z Rosji. Ale była też sprawa pewnego księdza ze Słowacji, którego policjanci w Bratys-

ślawie przywiązali do kaloryfera i utłukli na śmierć. Te informacje drukowaliśmy co tydzień na powielaczu w postaci newslettera. Nie wiem, czy go zarchiwizowano, może.

Tłumaczyłem też różne homilie działających w podziemiu księży z Czechosłowacji, takich jak o. František Lízna i innych. Dużo pisałem też o księdzu Stanisławie Małkowskim, aczkolwiek jego kazania były czasami za ostre, przytaczałem z nich tylko fragmenty. Na przykład napisał, że SB to małpy, którym dano do rąk żyletki na patyku...Krytykował też hierarchię kościelną.

Jego matka przyjechała do mnie na początku listopada 1989 do Wrocławia, na Festiwal Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, na który mnie zaprosił Tadeusz Mazowiecki. Po tylu latach życia na emigracji wśród Polaków i też z występów w brytyjskich mediach byłem wtedy całkiem rozpoznawalny. Polski konsulat w Londynie wtedy co prawda odmówił mi wizy, ale miałem nadzieję, że wystarczy mi list premiera. I wystarczył, tylko musiałem długo czekać na lotnisku w Warszawie, zanim mnie wpuścili.

- W jednym z wcześniejszych wywiadów Pan wspomniał sprawozdanie, jakie na temat Keston College i Pańskiej osoby sporządziła SB. Czy miał Pan okazję go przeczytać?

Nie miałem, ale ucieszyłem się, kiedy mnie Bogusław Wójcik z IPN poinformował, że polski wywiad „docenił” moją zaskakująco dobrą polszczyznę. W tym czasie na co dzień rozmawiałem z moją polską asystentką, obcy akcent mi nie groził, gdyż wymowę miękkich spółgłosek i dźwięków nosowych wpojono mi w dzieciństwie. Teraz jednak, kiedy się postarałem, już niedosłyszę i nie potrafię sprawdzić, czy wymawiam prawidłowo. Zapominam też polską frazeologię. Polskie książki jednak do dziś czytam najchętniej, bo słowa mają cudowny oddźwięk z lat dzieciństwa, kiedy były zupełnie nowe.

- Z Rogerem Scrutonem poznał się Pan na początku lat 80. Jak to się wydarzyło?

- Roger dobrze znał moją publicystykę i zaprosił mnie do siebie, to był 1981 rok. Poprosił, bym napisał artykuł o opozycji w Europie Środkowej do pierwszego numeru Salisbury Review. Później często pijaliśmy razem dobre wino, on był koneserem, i debatowaliśmy o upadku imperium sowieckiego. Pomagałem mu też z nawiązaniem kontaktów z opozycjonistami w Czechosłowacji. Wydałem trzy filozoficzne tomy z podziemnego uniwersytetu, chodziło o Heideggera, Nietschego i Voegelina, które przywiózł i opłacił ich wydanie. Był utalentowany językowo i nieźle się nauczył mówić po czesku, jednak polski wydawał mu się trudny, nie wiem czemu. Jego polityczny konserwatyzm wywarł na mnie decydujący wpływ. To on mi wyjaśnił istotę i założenia zachodniej cywilizacji. Z radością tłumaczyłem na czeski jego ostatnią książkę przepięknych esejów „Confessions of a Heretic”. Bardzo polecam. W czerwcu 2016, kiedy Scrutona odznaczono w warszawskim Sejmie, wygłaszałem tam laudację. Pierwsze kilka zdań powiedziałem wtedy po polsku, wspomniałem o Mamie i o Przemyśle – na co zareagował pan Marek Kuchciński, podszedł do mnie później, i w ten sposób, w zasadzie dzięki Scrutonowi, poznałem się z nim.

- Dawni uczestnicy podziemnych wykładów w Pradze czy Brnie są dziś często zaskoczeni informacją, że Scruton brał udział w podobnych przedsięwzięciach na przykład właśnie w Przemyśle, że był w kontakcie również z węgierską opozycją. Czy Pan może wie, w któ-

rych dokładnie miejscach w Europie Środkowej wykładał?

- To zaskoczenie jest zrozumiałe. Czesi o kolejnych aktywnościach jego stowarzyszenia, czyli John Hus Foundation, nie mogli mieć pojęcia, nawet z powodu tej - kojarzonej skądinąd z Czechami - nazwy. Scruton ciążył ku katolicyzmowi, z lojalności wobec własnego kraju pozostał anglikaninem, a reformatora Jana Husa miał w nazwie tylko z powodów wizerunkowych, żeby pozyskać anglikańskich sponsorów. Poza Polską i Węgrami chyba innych aktywności nie było. Może jeszcze Temesvar w Siedmiogrodzie.

- Wspomniał Pan o przerzucie wydawnictw z Londynu przez Paryż do Czechosłowacji. Istniał podobno na tej trasie też polski szlak?

- Książki do Czechosłowacji odpowiednio dostosowanym samochodem dostawczym przerzucał z Paryża również żyjący tam na emigracji czeski jezuita Petr Kolář. Do Polski można było przysyłać czeskie książki pocztą, ponieważ nie były objęte cenzurą. Mieliliśmy kilka wiejskich parafii blisko granicy i jednego księdza gdzieś pod Krakowem. Kilka lat temu spotkałem go, był pod wpływem modnego krakowskiego teologa, Adama Bonieckiego, który kiedyś odwiedził Keston College i chciał, żebyśmy mu wydali książkę: takie rozważania teologiczne, zupełnie niezrozumiałą. Między innymi prowadził w Polsce rozmowy z Adamem Michnikiem, który wcześniej napisał dziwny elaborat Kościół, Lewica i Dialog. Bliżej mi jednak do o. Józefa Marii Bocheńskiego, który dialog potraktował jako jeden ze stu zabobonów, które opisał. („Szczególnie rozpowszechniony zdaje się być zabobon, zgodnie z którym religia byłaby dialogiem. To twierdzenie jest o tyle zadziwiające, że Bóg rozmawiał być może z Abrahamem i z prorokami, ale jako żywo nie rozmawia ze zwykłymi wierzącymi. Jeśli więc religia jest dialogiem, to chyba tego samego rodzaju, co rozmowa dziada z obrazem w piosence polskiej: ‘przemówił dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu’”).

- Filozofia ojca Bocheńskiego bazowała na logice, a wiara była w jego ujęciu logiczna. Wspomniał Pan o wyborze Jana Pawła II, o ikonie Czarnej Madonny w swoim domu. Czy cud mieści się w logice wiary?

- Wierzący człowiek uważa niezwykłą, niespodziewaną pomoc za cud, aczkolwiek może to być tylko przypadek. To problem, ponieważ takie osobiste doświadczenie jest prawie nieprzekazywalne, ludzie też lubią zmyślać, a uznając czyjąś historię za prawdziwą, nie musimy się jeszcze zgodzić co do tego, że chodzi o cud. Regularnie, mniej więcej raz na miesiąc, z amerykańskim finansowym wsparciem, wysyłałem studentów z walizką emigracyjnych książek do Pragi. Ci „przemytnicy” opowiedzieli mi dwie historie. W wakacje moja asystentka z Keston, studentka, wypożyczyła na podróż mały samochód. Na powielacz i książki w bagażniku rzuciła sprzęt campingowy, menażkę, termos, koce, namiot, szmaty i inne rzeczy. Bagażnik był mały, wystarczyło tylko sięgnąć pod tę warstwę. Przed granicą czechosłowacką, po niemieckiej stronie przejścia Rozvadov dostała cykora. Na górze zobaczyła katolicką kapliczkę świętej Elżbiety i będąc jako tako wierzącą anglikanką poszła się tam pomodlić, obiecując, że jeżeli przejedzie, wstąpi do Kościoła katolickiego. Na przejściu stali celnicy, ten najmłodszy, jakiś przystojniaczek w wąskich spodniach, podszedł, by obejrzeć samochód. Jean była podejrzana już przez to, że podróżowała samotnie. Żeby zająć uwagę celni-

ków, miała też jeszcze na podłodze między siedzeniami nawrzuć sterty gratów. Ten młody musiał się porządnie zgiąć, wtedy pękły mu spodnie na tyłku, odsłoniły wymiętoszone gacie. Wywołało to salwę śmiechu u jego kolegów, facet uciekł do kanciapy, celnicy zaś machnęli na Jean, niech sobie jedzie. Mógł to być przypadek, niemniej ta dziewczyna wstąpiła do katolickiego Kościoła a po ślubie przeszedł na katolicyzm również jej mąż. Drugi przypadek: mój angielski kolega ze studiów długo się zastanawiał, czy pojedzie. Ostatecznie wymyśliłem dla niego prawie bezpieczny sposób pokonania granicy. Pociągiem w sylwestrową noc, kiedy straż graniczna z pewnością będzie napita. Pociąg był prawie pusty. Dosiadł się do przedziału, w którym podróżowało starsze małżeństwo, Amerykanie, i zdenerwowany oczekiwał na kontrolę. Przyszła pani w mundurze, wstawiła Amerykanom pieczątki do paszportu, walizek nie sprawdzała, a odwracając się, nieomal uderzyła go łokciem w twarz. Cud. Ona go bowiem nie widziała. Był niewidzialny. Czy naprawdę nie miał pieczątki w paszporcie? Nie odważyłem się go dopytać.

Najwybitniejszy żydowski filozof Majmonides w XII wieku napisał, że nadprzyrodzone cuda są rzadkie i dotyczą Pana i wiary. Bóg zazwyczaj posługuje się naturalnymi siłami, nie zmuszając człowieka, żeby wierzył. Kiedy Żydzi na ucieczce z Egiptu przeszli przez Morze Trzcin, podniósł się straszliwy wiatr i wody zatopiły wojska faraona. My powinniśmy uświadamiać sobie raczej cuda stworzonego świata, powstanie życia, cud myśli niezależnej od materii, cud muzyki, miłości i przyjaźni. Codziennosc jest cudowna, wbrew temu, że przywykliśmy do niej.



*Alexander Tomszys i Jean Thompson, asystentka naukowa w Keston College, 1982 r. Wg. relacji A. Tomszysa, Jean Thompson brała udział w przerzucie emigracyjnych wydawnictw do komunistycznej Czechosłowacji.
Fot. ze zbiorów The Keston Center for Religion, Politics, and Society, Baylor University, Waco, Texas*

- W zakończeniu Pańskiej książki *Catholic Poland* przytoczono słowa kard. Macharskiego, który okres stanu wojennego nazwał ponownym chrztem Polski. To było w 1982 roku. Jak scharakteryzowałby Pan okres, przez który Polska przechodzi obecnie?

- Nie potrafimy scharakteryzować dzisiejszego czasu, jesteśmy „współczesnikami”. Wydarzeń w Polsce też obecnie nie śledzę. Jednak wiadomo, że polski Kościół jest dziś pod presją

sekularnego liberalizmu i nie potrafi się tym atakom przeciwstawić. Wystarczy kilka złych księży i skandali. Kościół głosi świętość, więc łatwo go atakować.

Katolicki naród powstał w zasadzie przez połączenie nacjonalizmu i chrześcijaństwa. Polacy jednak w XIX wieku zostali pozbawieni państwowości, naród musiał się określić wobec pruskiego militarizmu i rosyjskiego prawosławnego imperium. Państwowość zastąpił Kościół, tak jak przez wieki w Irlandii.

Kiedy słabnie narodowa tożsamość, wiara staje się sprawą czysto indywidualną. Kościół w ten sposób traci kolektywnego sojusznika i rozpoczyna się nowa misja, trzeba znacznie lepiej kształcić księży, walczyć o nawrócenia. Kościół rzymski był od edyktu mediolańskiego zależny od konwertytów, chrześcijaństwo nie było rodzime, pochodziło z obcej żydowskiej cywilizacji. Miał władzę na równi z cesarską, w związku z tym mnożyły się zastępy konwertytów, również dla kariery, a pogaństwo zostało wypędzone do podziemia. Jednak nigdy nie udało się go zniszczyć. Polska przechodzi przez opóźniony kryzys wiary, katolicka Irlandia i Malta już dawno zostały pochłonięte przez lewicowy liberalizm. Jednak zachodnia lewica strasznie przegięła ze swoim progresywizmem, dodatkowo wzięła w obronę islam, powstała polityczna religia progresywizmu i wielu będzie upatrywać ratunek w chrześcijaństwie, tak jak w czasach komunizmu. W mediach anglosaskich coraz częściej pojawiają się konwertyci: katolicy i Żydzi. Dziennik The Telegraph ma ich w swoich szeregach nawet sześciu, najbardziej znany wśród nich to Charles Moore, z The New York Times komentator David Brooks, znana w całym świecie Ayaan Hirsi Ali, bardzo wpływowy jest kanadyjski psycholog Jordan Peterson. Właśnie teraz czytam bestseller T. Hollanda Dominion The Making of the Western Mind, są to już setki nazwisk, proces został więc już uruchomiony. Takie bestsellery ukazują się we wszystkich krajach.

Najmocniejszą bronią Kościoła był celibat, czyli zakony i ich intelektualny wpływ. To one zbudowały średniowieczną cywilizację. Jest to odwieczna walka duchowa.

Obumieranie europejskiej cywilizacji?

- Czy solidarność, to wyłącznie polski fenomen, czy też można ją w pewnych okresach i zjawiskach zaobserwować wśród narodów Europy Środkowej, chociażby z powodu wspólnie wyznawanych wartości, wspólnoty losu, interesów?

- Solidarność jako masowy ruch opozycyjny mogła powstać wyłącznie w Polsce, przede wszystkim dzięki wtedy jeszcze silnej katolickiej opozycji wobec okupacyjnej ateistycznej sowieckiej dyktatury. Naród i wiara od dawna były sojusznikami, wszyscy pamiętali o tradycji przedmurza chrześcijaństwa. Przecież wojna z bolszewizmem w 1920 roku i walka z hitleryzmem, to nic innego niż walka z pogańskim barbarzyństwem. A polska powojenna historia, najpierw desperacki opór narodu wymęczonego podczas wojny, później strajki 1956, 1970 i 1980 roku – to było gdzie indziej niemożliwe, za wyjątkiem powstania na Węgrzech. Ujarmione narody wyzwolił dopiero upadek sowieckiego reżimu.

- Czy jednak w przypadku Czech i Moraw nie można się w podobny sposób odwołać do kontinuum chrześcijańskiej kultury, do „barokowego fenomenu” w czeskiej mentalności, na jaki wskazywał opozycjonista i pisarz Zdeněk Rotrekl czy wcześniej historyk kultury Zdeněk Kalista?

- Barok oczywiście odgrywa w czeskiej historii zasadniczą rolę, o uratowanie języka czeskiego w XVII wieku zasłużyli się wyłącznie jezuici, odrodzenie narodowe jednak później opalowali zwolennicy oświecenia na czele z ojcem narodu, za którego jest uważany František Palacký. Stopniowo szerzy się sekularyzacja, nadchodzi, tak jak w Niemczech „Los von Rom Bewegung”, czyli wzmacnia się czeskie nastawienie przeciwko Rzymowi. A jednak największa antykomunistyczna manifestacja u nas miała miejsce w 1985 podczas pielgrzymki wiernych na Velehrad...

Twardo prześladowany i niszczone Kościół w Czechosłowacji przyciągał od lat pięćdziesiątych wiele wnikliwych osobowości. Zastanawiające jest nawrócenie czy konwersja poetów – Vladimíra Holana, Ivana Diviša, Josefa Jedličky, Antonína Bartuška, Josefa Palivca, filozofa Rio Preisnera i wielu innych intelektualistów. Czeska katolicka poezja jest absolutnie wyjątkowa w swoim buncie, w rewolcie wobec pogan. „Nie kochacie nawet samych siebie, nie mówiąc o bliźnich”, napisał Holan w wierszu Do wrogów. Czeska kultura jest świecka, jej podłoże jednak zostało katolickie, co teraz widać po liczbie nawróconych - w poprzednim roku to były prawie dwa tysiące osób. Aktywna katolicka opozycja w latach 80, kiedy reżim upadał, była dziesięciokrotnie liczniejsza niż Charta 77. Masowa manifestacja na Velehradzie była jednak wyjątkowa z tego powodu, że tłumnie przybyli tam również Słowacy.

- Jak Pan ocenia dzisiejsze relacje między Polakami i Czechami? Jak się na nich odbija poziom wzajemnej wiedzy?

- Stan jest taki sam jak w mojej młodości, w latach 60. Praktycznie całkowita ignorancja i obojętność. Te kilka reportaży i komentarzy na temat Polski piszą dziś ludzie w większości negatywnie nastawieni wobec „zacofanego katolickiego kraju”. Informacje czerpią z Brukseli i z lewicowych zachodnich mediów, takich jak przykładowo Politico. Kiedy byłem wydawcą w praskiej Akademii, (państwowe wydawnictwo naukowe), zaskoczyło mnie znikome zainteresowanie polską literaturą. Wydałem dziesięć tomów tłumaczeń, a wszystkie te książki przepadły. Jedynym pewnikiem jest do dziś Faraon. W Polsce było kiedyś niezwykle zainteresowanie czeską literaturą, w Czechach jednak w ciągu ostatnich 30 lat nikt nie napisał niczego sensownego. Osobiste relacje między Czechami i Polakami są przyjacielskie, ostatnio nawet Polska stała się celem czeskich turystów. Na poziomie międzynarodowym odnosi się jednak wrażenie, jakby te dwa państwa nie miały wspólnych interesów. Przywołując słowa Mamy – Czesi są wobec Brukseli służalscy.

- Pan kiedyś stwierdził, że konserwatyści „nie mogą w dzisiejszym społeczeństwie przważyć, są ideologicznie słabsi, tylko bronią odziedziczone zasady i tradycję upadającej cywilizacji”. Czy taka diagnoza jest nieodwrotnie ważna również obecnie, kiedy zmienia się sytuacja w USA, ale może też we Francji i w Niemczech?

- Uważam ten stan za niezmienny, aczkolwiek cudów nigdy nie można wykluczyć. Europejska cywilizacja traci swoje judeochrześcijańskie korzenie, obraz świata z Księgi Rodzaju, etyczny monoteizm Dekalogu jest w rozsypce, poddaje się wizji węża z raju: będziecie jak Bogowie decydujący o tym, co jest dobre i co złe. Masowy przypływ muzułmanów znacząco nadwyreżył spójność społeczną. Aczkolwiek to prawda, że ideologia progresywizmu obecnie ma się nieciekawie. Wyrosła z wyobrażeń o egalitarnej sprawiedliwości, inkluzji etnicz-

nych mniejszości, ale też tych dziwackich, seksualnych, a „cancel culture” przeszła od pierwotnego liberalizmu na pozycje ekstremalne – w związku z tym większości ludzi wydaje się, że jej zwolennicy postradali zdrowy rozsądek. Przekształciła się w fanatyczną polityczną religię i jest całkiem możliwe, że teraz ponownie skurczy się do postaci wąskiej sekty. Nie można bez końca twierdzić, że istnieją więcej niż dwie płci. A jaką wartością miało by być różnorodne społeczeństwo, skoro nie umożliwia dogadania się ludzi nawet w zasadniczych sprawach? Jak w takich okolicznościach rozmawiać o jakiejś demokracji? Dążenie do narzucenia ludziom bezsensownego obrazu świata już zaczyna być postrzegane jako opresja. Jak przejście przez Donalda Trumpa urzędu prezydenta USA może zmienić geopolityczną sytuację Europy Środkowej, jak może wpłynąć na relacje w naszym regionie? Za wcześnie jest na odpowiedź. Wiemy tylko, że Trump nienawidzi ideologii progresizmu i cały ten cyrk koło genderyzmu się skończy. Zachód powróci do przekonania, że istnieją tylko dwie płci... On jest również krytyczny wobec EU, uznaje ład państw narodowych i z pewnością EU jakoś osłabi. Już samo wstrzymanie dotacji do bezemisyjnej gospodarki i samochodów elektrycznych w Stanach całkowicie unieważni unijny „Green Deal” i unaoczní jego absurdalność. Wobec Polski jest Trump bardzo pozytywnie nastawiony. Proszę sobie przypomnieć jego przemówienie w Warszawie. Wiele będzie zależało od jego polityki wobec Rosji. To wszystko stoi na razie pod znakiem zapytania.

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Lucie Szymanowska, 14 stycznia – 4 lutego 2025.



Okładka i pierwsza strona książki Alexandra Tomskiego Catholic Poland, Keston College 1982.

Fot. ze zbiorów The Keston Center for Religion, Politics, and Society, Baylor University, Waco, Texas



Sir Roger Scruton w 2019 r. podczas wizyty w Polsce z okazji odznaczenia Orderem Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej oraz udziału w IV Szczycie Przewodniczących Parlamentów Państw Europy Środkowej i Wschodniej. Na zdjęciu również Alexander Tomsky, Jessica Douglas-Home (trzecia z lewej strony), Marek Matraszek (u góry z prawej strony) wraz z żoną, Agnieszka Kołakowska (po prawej stronie), baronessa Caroline Cox (po prawej stronie za R. Scrutonem), Zsolt Németh (z przodu po lewej stronie), prof. Antoni Kamiński (drugi od lewej). Archiwum A. Tomskiego.



*Alexander Tomský na konferencji fundacji Adenauer Stiftung v Pradze, lata 90. (po lewej)
Alexander Tomský, 2012 r. (po prawej). Fot. archiwum A. Tomskiego.*

Fragmenty książki Alexandra Tomskiego *Catholic Poland* (tłumaczenie z angielskiego wydania)

Wstęp:

**Domie złoty, pomagasz tym, co wpół-przegrani,
Kaplico Miecza, Wieżo ze Słoniowej Kości**

Hilaire Belloc [2]

Ducha polskiego oporu podsumowuje opis narodowego sanktuarium w Częstochowie w wierszu Belloc'a. Powstał on po niezwykłym - niektórzy powiedzieliby, że cudownym - zwycięstwie słabo uzbrojonego wojska niepodległej Rzeczypospolitej nad liczebnie znacznie silniejszą armią najeźdźców ze Związku Radzieckiego w 1920 roku. Siły bolszewickie planowały, według słów Lenina, „maszerować po trupie Polski ku zwycięstwu światowej rewolucji”. Taki buntowniczy duch jest dziś w świecie raczej przedmiotem ubolewania niż pochwały tych, którzy nie czują ani nie rozumieją ludzkiej tęsknoty za wolnością. Dla politycznych realistów, zarówno lewicowych, jak i prawicowych, Polska ponownie stała się niebezpieczną zagadką: naród niechący przyjąć zasadę, że lepiej być czerwonym niż martwym, chyba nawet zasługuje na porażkę. W życiu jednostek i w historii narodów jednak paradoksalnie zdarzają się sytuacje, w których, aby przetrwać, lepiej być martwym niż zmuszonym do kolaboracji ze złem. Takie zawsze było chrześcijańskie rozumienie życia, a Polska pozostała krajem chrześcijańskim.

Do czasu wyboru Jana Pawła II, papieża z Polski, którego siła wiary w połączeniu z ciepłą, słowiańską osobowością skupiła uwagę milionów, zostało napisane bardzo niewiele na temat jego ojczyzny, kraju paradoksów ukrytego na północno-wschodnim krańcu Europy. Klimat jest tam raczej chłodny, rozległe, jednostajne równiny przyciągają zimne wiatry nawet latem. Jednak ludzie są ciepli i gościnni, co kontrastuje z twardą bizantyjską biurokracją, która w kraju zapanowała. Pomimo bałtyckiego klimatu, Polacy mają niemal śródziemnomorską mentalność: są romantyczni, ekstrawaganci, rozdarci i temperamentni.

Największym paradoksem jest w Polsce Kościół katolicki. Do niedawnego spadku liczby swoich członków, Polska Partia Komunistyczna zdołała rozszerzyć własne szeregi do prawie trzech milionów. Państwowy ateizm i propaganda są wspierane przez potężny system odstraszenia, mający zabezpieczyć awansu katolików w miejscach pracy i wprowadzający wiele innych administracyjnych środków, które utrudniają działalność Kościoła. Wszystko to jednak nie przeszkodziło 90 procentom ludności, by się otwarcie przyznawała do katolicyzmu. Pomimo wszystkich cierpień i prześladowań, kościoły nadal są wypełnione po brzegi i tłumy wiernych zbierają się tam nawet w ciągu tygodnia. Wielu obserwatorów, którzy na długo przed powstaniem Solidarności zauważyli, iż dla większości Polaków kolejne rządy to tylko marionetki kolaborujące z okupantem, interpretowało tę masową frekwencję w kościołach po prostu jako sposób obywateli na zademonstrowanie własnego patriotyzmu i dezaprobaty wobec komunistycznych władców. Niewątpliwie jest w tym jakieś ziarno prawdy, ale setki uroczystości religijnych, które odbywają się w ciągu roku liturgicznego, pokazują, że to, co wydaje się zwykłym paradoksem, jest w rzeczywistości tajemnicą. (...)

Fragment dot. sytuacji Kościoła w Polsce w latach 70, w tym w Diecezji Przemyskiej:

(...) 3 marca 1971 r. spotkanie premiera z kardynałem Wyszyńskim było szeroko reklamowane przez gazety rządowe i paxowskie, które wychwalały dobre intencje obu stron. Kościół otrzymał pozwolenie na budowę kilku kościołów, nie rozważano jednak żadnych zasadniczych ustępstw. Rząd za-

miast tego postanowił ominąć polską hierarchię, nawiązując kontakty z niektórymi łatwowiernymi watykańskimi dyplomatami. Budowanie takich stosunków wykorzystano w oficjalnej propagandzie do podkreślenia życzliwości rządu wobec Kościoła; polska hierarchia jednak szybko zmęczyła się słuchaniem ciągłej propagandy głoszącej „szacunek dla wspólnoty katolickiej”, podczas gdy w rzeczywistości obieg katolickich gazet nadal był ograniczany, cenzura pozostawała w dalszym ciągu bezwzględna, a seminarzyści wciąż byli wcielani do wojska.

Z ogólnego poczucia frustracji wśród wiernych wyrosła nowa postawa wobec reżimu i jego licznych restrykcji wobec Kościoła. Ludzie zdali sobie sprawę, że na ile to tylko możliwe, powinni organizować swoje życie religijne bez pytania lub informowania władz (...) W Diecezji Przemyskiej wybudowano ponad sto kościołów bez państwowego zezwolenia, a mężczyźni na budowie udawali, że wznoszą budynki gospodarcze. Nieustannie dochodziło do starć z milicją: odgradzano całe tereny, odcinano dostawy prądu i wody. Księżę z Diecezji Przemyskiej karano wysokimi grzywnami, jednak ich energiczny biskup Ignacy Tokarczuk uparcie zachęcał ich do przeciwstawiania się władzom. Sam często przyjeżdżał w nocy i konsekrował nowo wybudowane świątynie.

(...) Od czasu licznych protestów intelektualistów przeciwko zmianom Konstytucji w latach 1975-76, system społeczno-polityczny w Polsce często był przez Kościół opisywany jako głęboko niemoralny i sprzeczny z katolicką nauką społeczną. Biskup Tokarczuk wygłosił w Środę Popielcową 1976 r. w katedrze przemyskiej kazanie, w którym podsumował sytuację w Polsce. Jej obywatele, jak powiedział, zmuszani są do życia w kłamstwie; obiecano im wybory, ale chodzi tylko o potwierdzanie z góry wybranych kandydatów; mówiono im, że są równi, ale niektórzy są równiejsi od innych; pomimo oficjalnych deklaracji o normalizacji stosunków Kościół-państwo, polscy katolicy nie mogą swobodnie budować kościołów ani swobodnie publikować, a na wiernych wywierane są naciski, aby porzucili swoją wiarę. Biskup Tokarczuk mówił również, że w Polsce istnieje gorszy od kapitalizmu kapitalizm państwowy: pracownicy nie mogą strajkować, a pracodawca kontroluje związki zawodowe i sądy – po prostu wszystko. [3]

Choć nieliczni biskupi przemawiali tak bez ogródek jak biskup Tokarczuk, stopniowo przekonywali się, że tylko konsekwentna oddolna presja może przynieść wymierne rezultaty. Za fasadą uprzejmych słów rządu i nalegania biskupów, by przy okazji obrony praw obywatelskich nie podkopywać systemu politycznego, konflikt ideologiczny się nasilał. (...)

Po strajkach w Radomiu, Płocku i Ursusie w czerwcu 1976 r., które zmusiły rząd do wycofania podwyżek cen żywności, Kościół stanął w obronie uwięzionych robotników i protestował, kiedy kolejni robotnicy byli w ramach retorsji zwalniani z pracy i bici. Przywódcy Kościoła argumentowali, że pokój, porządek i efektywność gospodarczą można przywrócić tylko zdobywając zaufanie ludzi, a to można osiągnąć tylko poprzez poszanowanie praw człowieka. Tym razem jednak Kościół nie był osamotniony w próbach wywarcia presji na rząd. W obronie robotników powstał niewielki komitet intelektualistów. Od tego czasu, pomimo nękania przez policję, rozwinął się potężny ruch dysydencji. (...)

Zakończenie dotyczące okresu po wprowadzeniu stanu wojennego:

(...) Czy duch polskiego narodu może przetrwać taką napaść? Prosta odpowiedź na to pytanie była by przecząca, gdyby nie było tu - jak wiele razy wcześniej - Kościoła. Jak dotąd Kościół jest jedyną instytucją, która przetrwała tę katastrofę, gdyż jest zbyt głęboko wpleciony w tkankę codziennego życia. W sytuacji, kiedy ludzie muszą zgłaszać nawet przyjęcia urodzinowe, to właśnie w parafii mogą się spotykać i wymieniać informacjami. To tutaj mogą się nawzajem wspierać, organizować zbiórki żywności i pieniędzy dla swoich aresztowanych bliskich lub wysyłać do nich listy. Kościół daje im

moralne i duchowe wsparcie poprzez modlitwę i sakramenty. Jako instytucja narodowa wypowiada się również w ich imieniu wobec rządu. Trzy dni po zamachu stanu Episkopat zażądał zwolnienia wszystkich więźniów i wznowienia rozmów z „Solidarnością”. Kilka dni później arcybiskup Józef Glemp napisał list do generała [Jaruzelskiego], domagając się wstrzymania kampanii zwolnień z pracy osób, które swoje sumienie stawiają ponad środki do życia. Później polski papież nazwał wymuszane pod groźbą wyrzucenia z pracy „lojalki” pogwałceniem sumienia gorszym od zadania śmierci fizycznej, przywołując przy tym słowa Chrystusa: „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało!”.

Nikt nie wie, co się stanie, jeśli w Polsce dojdzie do załamania gospodarczego. Kościół jednak pozostaje źródłem nadziei. Jak niedawno ujął to Prymas: „Żadne kajdany, żadne przepisy, żadne represje, żadna przymusowa emigracja nie są w stanie unicestwić ideałów narodu. One istnieją w jego duszy”. Wobec braku nadziei politycznej, duch musi przetrwać. Jak stwierdził abp. Macharski: „Przeżyjemy po prostu kolejny etap dziejów: to nowy chrzest Polski”.

Tłum. LS



28 lipca 2025 r. Alexander Tomský został odznaczony przez Prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej.

Krzyż wręczał minister Andrzej Dera. Fot. z archiwum M. Kuchcińskiego

[1] Patrz: Bogusław Wójcik: Informacja dotycząca Keston College opracowana w Wydziale XI Departamentu I MSW, Przegląd Archiwalny IPN 2019, s 251-264.

B. Wójcik z perspektywy badacza tematu tak charakteryzuje działalność A. Tomskiego: „Tomský, którego matka pochodziła z Przemyśla, wyemigrował z Czechosłowacji w trakcie inwazji wojsk Układu Warszawskiego w sierpniu 1968 r. Z Keston College był związany w latach 1977–1986, kierując m.in. działem Europy Środkowej. Opublikował w tym okresie wiele artykułów, udzielał również wywiadów radiowych i telewizyjnych, stając się w sprawach polskich postacią opiniotwórczą.” Bogusław Wójcik: Keston College a wolność religijna za żelazną kurtyną, Biuletyn IPN nr 10 (167), październik 2019, s 117-127.

[2] Ballada dla Najświętszej Maryi Panny z Częstochowy (Ballade To Our Lady Of Częstochowa), tłum. Jerzy Peterkiewicz. In: Znad Wilii, dwutygodnik, Wilno, 16-30 kwietnia 1994.

[3] Religion in Communist Lands Vol. 8, No I, 1980, Bibliography p. 82.



28 lipca 2025 r. Alexander Tomský został odznaczony przez Prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej. Powyżej: Alexander Tomský i Marek Kuchciński. Poniżej, od lewej: Pavol Macala (Słowacja), Imre Molnar (Węgry), Marek Kuchciński (Polska), Alexander Tomský (Czechy). Zdjęcia ze zbiorów Kancelarii Prezydenta RP, fot. Łukasz Błasiakiewicz.



EMANUELIS ZINGERIS



Emanuelis Zingeris podczas konferencji Europa Karpat Krasieczyn-Jaremca, 14 maja 2022 r. (fot. z archiwum M. Kuchcińskiego)

Wywiad z Emanuelisem Zingerisem, litewskim posłem do Seimasu.

- Na początek prosiłbym Pana o parę wspomnień z młodości?

- Urodziłem się 16 lipca 1957 roku w Kownie, w rodzinie litewskich Żydów. Mama była akuszerką, a tato nauczycielem. W latach wojny Niemcy i kolaboranci litewscy zamordowali wielu naszych krewnych. Mama została aresztowana przez Gestapo i zamknięta w Getcie kowieńskim, a potem w obozie koncentracyjnym w Sztutowie. W szkole średniej w Kownie uzyskałem maturę, a na Uniwersytecie Wileńskim magisterium z języka litewskiego. W domu rodzinnym używaliśmy wyłącznie języka jidysz. I mam bardzo nostalgiczne uczucie do tej wielkiej kultury jidysz, która kwitła na tym wielkim obszarze od Warszawy, Łodzi, Budapesztu i Bukaresztu, aż po Lwów, Wilno i Kowno.

- Jak liczna była społeczność żydowska w przedwojennym Kownie i Wilnie?

- W Kownie społeczność żydowska stanowiła 33 procent mieszkańców, a w Wilnie około 30

procent. Jednak podczas gdy Żydzi np. we Francji używali języka francuskiego, a w Niemczech niemieckiego, to na Litwie nie było asymilacji Żydów. Języki jidysz konkurował tu z językiem litewskim czy polskim. Wiele dzieł literackich kultury zachodniej, np. utwory Szekspira, Franza Kafki, czy Tomasza Manna, były tłumaczone na język jidysz szybciej, aniżeli na te konkurencyjne. Był to więc język literacki. I podczas gdy w Polsce wielu wybitnych literatów pochodzenia żydowskiego tworzyło w języku polskim, to w międzywojennym państwie litewskim tylko dwaj poeci żydowscy pisali po litewsku, a setki innych w języku jidysz. Tak więc kultura żydowska jidysz bujnie rozwijała się, ale niestety Niemcy zniszczyli ją fizycznie przez wymordowanie setek tysięcy Żydów na terenach okupowanych przez nich krajów. W okresie 1941-44 wielotysięczna społeczność żydowska na Litwie przestała istnieć, rozstrzelana w Ponarach przez hitlerowców i ich litewskich kolaborantów.

- Język wyniesiony z domu rodzinnego pozwolił Panu na badanie spuścizny kultury jidysz.

- Tak, w swoim raporcie dla Rady Europy pisałem o sytuacji kultury żydowskiej jidysz w krajach Europy Środkowej w roku 1936. Wówczas na tym obszarze spośród około 10 milionów Żydów, aż 6 milionów używało literackiego języka jidysz, a nie lokalnych języków i dialektów. Szkoły żydowskie uczyły dzieci w języku jidysz, a w teatrach żydowskich wystawiano spektakle w tym języku. Mimo braku państwa żydowskiego, funkcjonowała na terenie Europy Środkowej - od Rumunii, Węgier i Słowacji, po Ukrainę, Polskę, Litwę i Łotwę- nie tylko autonomia, ale wręcz swoista, kulturowa państwowość żydowska. Dominował w niej język jidysz, a tylko niewielka, bo 10-procentowa mniejszość Żydów próbowała wprowadzać język hebrajski. Na przykład w Wilnie funkcjonowało 12 szkół żydowskich w tym 10 w języku jidysz, a tylko dwie w języku hebrajskim. Próba wprowadzania języka hebrajskiego związana była z perspektywą utworzenia państwa żydowskiego w Palestynie, ale ta idea nie znajdowała znaczącego poparcia w społeczności żydowskiej. I gdy w 1938 roku Żabotyński, przywódca nacjonalistów żydowskich, przybył do Kowna w mundurze żydowskiej armii agitując do wsparcia ruchu syjonistycznego, to mój ojciec, jak to wspominał, protestował razem z innymi krzycząc: „Dla żydowskich faszystów nie ma miejsca na Litwie!” I to, jak się później okazało, było wielkim błędem. Żabotyński zresztą, w reakcji na brak społecznego wsparcia dla idei emigracji litewskich Żydów do Palestyny, ostrzegał wówczas przed prawdopodobieństwem zagłady. Informował o antysemitycznych nastrojach i rosnącej antyżydowskiej polityce w Niemczech. Jak mówił: „Musicie wszyscy uczyć się języka hebrajskiego i wyjeżdżać do Palestyny, aby tam budować państwo żydowskie. Jeśli tego nie zrobicie, to antysemityczny nazizm niemiecki spowoduje, że w ciągu najbliższych kilku lat nie przeżyjecie ani Wy, ani Wasza kultura jidysz.” I tak się stało, niestety.

- A jaki był los kultury jidysz w latach władzy sowieckiej na Litwie?

- Pamiętam, że w latach 60-tych zachowały się ostatnie maszyny do pisania w jidysz. Pozostało też wówczas zaledwie dwóch, czy trzech ostatnich poetów tworzących w tym języku. Mój brat Mark Zinger był poetą, ale pisał już w języku litewskim, podobnie zresztą jak i Julian Tuwim w Polsce, który tworzył w języku polskim. Okupacja niemiecka to była

katastrofa dla Żydów. Przestały istnieć pokolenia żydowskich rodzin, krewnych, którzy mogliby przekazywać tym nielicznym uratowanym dzieciom, kim byli ich przodkowie. Okupacja sowiecka już tylko dopełniła upadku i końca tych trzech wielkich dialektów - litewskiego, polskiego i ukraińskiego - kultury jidysz. Po wojnie komunistyczna władza na Litwie cenzurowała wszystko co było związane z kulturą żydowską i pamięcią o tak dawniej liczebnej społeczności żydowskiej. Zabronione było upamiętnianie i obchodzenie rocznic niemieckiej zagłady Żydów w Kownie i Wilnie, bo komuniści uznawali tylko święto 9-go maja, czyli dzień zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami.

- Czy aktualnie prawa mniejszości narodowych, w tym mniejszości żydowskiej, są zagwarantowane przez litewskie władze?

- W państwowych szkołach są zajęcia fakultatywne w języku hebrajskim, także w językach ukraińskim i rosyjskim. Na Litwie nie ma dużo Rosjan, bo w latach 90-tych umożliwiono wszystkim mieszkańcom tego kraju otrzymanie obywatelstwa litewskiego.

- Jak Pan zareagował na powstanie w Polsce niezależnego związku zawodowego „Solidarność” w 1980-tym roku? No i jak zareagowało społeczeństwo Litwy? Czy wierzyliście, że „Solidarność” ma szanse utrzymania się w zależnym od Moskwy kraju komunistycznej dyktatury?

- Wierzyliśmy, bo docierała do nas polska TVP, co prawda tylko czarno-biała, bo barwy kolorowe jakoś nie mogły przekroczyć granicy. Mogliśmy też słuchać pierwszego programu Polskiego Radia. Tak więc oglądaliśmy powstanie „Solidarności” w Gdańsku. Było to dla nas dużym przeżyciem, co powodowało w społeczeństwie litewskim poczucie braterstwa z Polską. Zresztą Polska zawsze kojarzyła się nam z powstaniami przeciwko rosyjskiemu imperium. Tadeusz Kościuszko, Emilia Plater, czy Konstanty Kalinowski (przywódca Powstania Styczniowego na Litwie) - to były dla nas wspólne heroiczne świętości. I to wszystko miało na nas duży wpływ, choć z drugiej strony Litwini nie mogli wybaczyć dawnej Polsce, że elity litewskie zostały spolonizowane.

- A od kiedy to kibicowanie polskiej opozycji antykomunistycznej przerodziło się na Litwie w rozpoczęcie opozycyjnej działalności antykomunistycznej i antyrosyjskiej?

- Oddolne ruchy rewolucyjne na Litwie rozpoczęły się dopiero w latach 1987-88, gdy rozpoczęła się „pierestrojka”, która co prawda nie była związana akurat z Litwą. Wszyscy Litwini mieli poczucie, że przedwojenna Litwa była bardzo dobrym niekomunistycznym państwem, co umacniało nasze przeświadczenie, że jesteśmy narodem odrębnym od tych czerwonych ruskich bolszewików. Wyrazem patriotyzmu było np. czytanie litewskojęzycznych książek z przedwojennych bibliotek oraz publiczne używanie języka litewskiego, a nie rosyjskiego. Dodatkowym atutem w poczuciu tej odrębności była popularna na Litwie religia katolicka oraz wybór Polaka, kardynała Karola Wojtyły na papieża. Jan Paweł II był dla Litwinów niesamowitym autorytetem. Mieliśmy wręcz poczucie, że to jest jakby nasz człowiek w Watykanie. On niewątpliwie inspirował nas do bardziej zdecydowanego przeciwstawienia się komunizmowi.

- Pan należał do tego kręgu polityków, którzy 35 lat temu pod przewodnictwem przewodniczącego litewskiego parlamentu, Vytautasa Landsbergisa, przywrócili niepodległość Litwie. Jak Pan wspomina ten czas?

- Ja należałem do powstałego w 1988 roku patriotycznego ruchu „Sajudis”, z którego poparciem (jako członek Litewskiej Partii Socjaldemokratycznej) kandydowałem i zostałem w lutym/marcu 1990 roku wybrany do Rady Najwyższej Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Byłem też w gronie sygnatariuszy Aktu Przywrócenia Państwa Litewskiego z 11 marca 1990 roku, kiedy to już formalnie powiedzieliśmy „żegnaj komuno” i przez kolejnych 16 miesięcy nie ulegliśmy naciskom Moskwy na wycofanie tego aktu. W ramach litewskiego Sejmu stałem na czele Komisji Spraw Zagranicznych i w 1991 roku znalazłem się w składzie delegacji ds. negocjacji z ZSRR. W tych negocjacjach podnosiliśmy argument, że niepodległe państwo litewskie zostało w czerwcu 1940 roku nielegalnie zajęte i okupowane przez wojska sowieckie. Mimo sprzeciwu sowieckiego MSZ wpisaliśmy ten argument do negocjowanej umowy o odbudowie relacji Rosji z niepodległą Litwą, podpisaną przez prezydenta Jelcyna 29 lipca 1991 roku.

- Jednak wcześniej, w okresie tych 16 miesięcy, doszło do dramatycznych wydarzeń w Wilnie.

- Tak, dobrze pamiętam te setki tysięcy demonstrantów z transparentami żądającymi wolności dla państw bałtyckich, gdy na początku stycznia 91-go roku sowiecki OMON zaatakował najpierw budynek parlamentu, a potem wieżę telewizyjną w Wilnie. Wcześniej, bo już 13 kwietnia 1990 roku Gorbaczow zażądał od litewskich władz wycofania Aktu Przywrócenia Państwa Litewskiego i dalszego obowiązywania konstytucji Związku Sowieckiego na terytorium Litwy. Wobec braku odpowiedzi ze strony litewskiej Rady Najwyższej, Moskwa zastosowała blokadę ekonomiczną Litwy: wstrzymano dostawę ropy gazu, a potem także innych surowców oraz artykułów spożywczych. Wobec dalszego oporu władz litewskich, w styczniu 1991 roku doszło do zbrojnej interwencji wojsk sowieckich na Litwie. Przeciwno żołnierzom sowieckim szturmującym budynek parlamentu i wieżę telewizyjną w Wilnie stanęły wielotysięczne tłumy Litwinów. W wyniku walk 16 osób zostało zabitych, a około 600 odniosło rany. Ostatecznie, po klęsce sierpniowego puczu Janajewa w Moskwie, władze Związku Sowieckiego 6-go września 1991 roku oficjalnie uznały niepodległość państwa litewskiego.

- A od kiedy rozpoczął Pan kontakty z działaczami polskiej „Solidarności”?

- To zaczęło się jeszcze w 1988 roku, kiedy ta granica pomiędzy Litwą i Polską w Suwałkach nie była już taka „żelazna”. Jednym z moich zadań w ramach ruchu „Sajudis” było nawiązanie i utrzymywanie bliskich relacji z działaczami polskiej „Solidarności”. A w ogóle to muszę powiedzieć, że Wilno było takim ważnym nie tylko dla Litwy ośrodkiem inicjującym demontaż komuny w ramach sowieckiego państwa. Pomagaliśmy w tym naszym ukraińskim i białoruskim przyjaciołom i to pomimo tego, że mieliśmy poczucie naszej od nich odrębności. Narody bałtyckie, jako niesłowiańskie i raczej nordyckie, nie były przecież tak mocno kulturowo związane z Rosją jak Ukraińcy czy Białorusini. Niemniej

jednak ważne było dla nas współdziałanie w celu przeciwstawienia się Związkowi Sowieckiemu i w ogóle komunizmowi. Oczywiście, polska „Solidarność” miała wybitny wpływ na demontaż komunizmu.

- Jakie działania podjął Pan po wyborze w 90-tym roku do parlamentu sowieckiej jeszcze Litwy i objęciu stanowiska szefa parlamentarnej Komisji Spraw Zagranicznych?

- Najpierw pojechałem do Niemiec aby namawiać tamtejsze władze do odbudowy dwustronnych relacji z Litwą. Wówczas jednak szef Komisji Spraw Zagranicznych w Bundestagu powiedział mi, że w kwestii litewskiego uniezależnienia się od sowieckiej Rosji Litwini nie mogą być pierwszymi, lecz raczej ostatnimi. A więc warunkiem nawiązania takich relacji niemiecko-litewskich musiałyby być wcześniejsze uzgodnienia Niemiec z Rosją, a jednocześnie musiałby się dokonać demontaż Paktu Warszawskiego. Słowem, Niemcy nie zamierzali pomóc w naszym dążeniu do przywrócenia niepodległości Litwy. Oni chcieli być lojalni wobec Gorbaczowa i Rosji. Pojechałem więc do Islandii i to państwo jako pierwsze uznało niepodległość Litwy, co oczywiście miało jedynie symboliczne znaczenie. Chciałem żeby i Polska zrobiła to samo co Islandia. Działacze „Solidarności” popierali taką możliwość, w tym m.in. Geremek, który zresztą z własnej kieszeni płacił za moje podróżowanie z Warszawy do granicy polsko-litewskiej. Jednak prezydent Jaruzelski i premier Mazowiecki byli przeciwni oficjalnemu uznaniu niepodległości Litwy już na tym wczesnym etapie. Pojechałem więc do redakcji „Kultury” w Paryżu, do Giedrojcia, licząc na wywarcie przez niego wpływu na rząd Mazowieckiego. Okazało się to bezskuteczne. Myślę, że Mazowiecki bał się reakcji Moskwy w postaci ewentualnego ataku wojsk sowieckich. Ostatecznie Polska uznała niepodległość Litwy, jednak dopiero wtedy, gdy doszło do likwidacji Związku Sowieckiego przez Jelcyna. Tak więc w istocie pomógł nam jedynie prezydent Jelcyn z jego koncepcją likwidacji komunistycznego Związku Sowieckiego i przywrócenia państwa rosyjskiego. Pamiętam moją rozmowę z Jelcynem, który powiedział mi, że partia komunistyczna będzie zlikwidowana. Zapytałem go, czy również przestanie istnieć nomenklatura, KGB i cały aparat represyjny, na co on wziął do ręki butelkę gorzałki i odparł: -W tej kwestii nie dam rady i dlatego musimy wypić. On miał straszny pociąg do alkoholu. Razem z przewodniczącym Landsbergisem musieliśmy ponownie wypić wódkę z prezydentem Jelcynem 29 lipca 1991 roku podczas podpisywania umowy o odbudowie stosunków dyplomatycznych pomiędzy Rosją i Litwą.

- Był Pan inicjatorem wspólnego uczczenia rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja w parlamencie polskim i litewskim.

- Tak, to stało się w 2007 roku, a namówił mnie do tego sam prezydent Lech Kaczyński. No i udało się przegłosować w parlamencie taką uchwałę, ale po bardzo wielkim napięciu. Problem był w tym, że w litewskojęzycznym tekście uchwały musiały ukazać się polskie słowa, co dla niektórych posłów było nie do przyjęcia. Poza tym ostro protestował przeciwko tej uchwale poseł Ozłos, który był kiedyś jednym z przywódców litewskiego „Sajudisu” a potem przyłączył się do litewskich nacjonalistów. Przemawiając w Sejmie argumentował, że akceptowalna dla Litwinów jest tylko ta historyczna spuścizna, która związana jest z etnicznym narodem i językiem litewskim, a Konstytucja 3-maja była

wytworem szlachty polskiej wspartej przez spolszczoną szlachtę litewską, a więc zdradziecką, bo popierającą interesy polskie na Litwie. No i nazwał mnie wręcz zdrajcą. A ja mu odpowiedziałem, że my mamy wspólną historię i nie możemy wyrzucić na śmieci spuściznę litewskich książąt, którzy mówili wprawdzie po polsku, ale czuli się Litwinami. W tym sporze poparł mnie sam Wytautas Landsbergis i uchwała upamiętniająca Konstytucję 3-maja została przyjęta. Docenił tę moją inicjatywę prezydent Lech Kaczyński dekorując mnie Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

- Polska i Litwa upamiętniły 450-tą rocznicę Unii Libelskiej, jednoczącej te dwa kraje w ramach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Uroczystości odbywały się w Warszawie, Lublinie i Wilnie. Do Lublina, gdzie w 1569 roku na Sejmie Walnym podpisany został akt unii Wielkiego Księstwa Litewskiego i Królestwa Polskiego, przybyli 30 czerwca 2019 roku przedstawiciele kilkunastu państw z Europy Środkowej i Wschodniej, w tym władze parlamentarne Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Białorusi i Mołdawii, czyli obecnych państw leżących na terenach dawnej RP Obojga Narodów. Podkreślano, że był to przykład udanego kompromisu opartego na hasle „wolni z wolnymi, równi z równymi”, który zresztą przetrwał aż 300 lat. Jak Pan skomentuje te obchody?

- Gdy 2019-go roku zorganizowaliśmy z marszałkiem Markiem Kuchcińskim przy pomniku na Placu Litewskim w Lublinie uroczyste obchody 450-tej rocznicy Unii Polsko-Litewskiej, to byli tam z nami również przywódcy Litwy. A to znaczy, że Litwa akceptuje wspólną spuściznę z czasów Pierwszej Rzeczypospolitej. I stało się na Litwie czymś już normalnym, że razem z Polską czcimy takich wspólnych bohaterów jak Emilia Plater, Konstanty Kalinowski czy Tadeusz Kościuszko, przy którego pomniku przed prezydenckim „Białym Domem” w Waszyngtonie składają kwiaty wspólnie delegacje Polski i Litwy. Jednocześnie Litwini oczywiście podkreślają swoją odrębność narodową i językową. W czasach Unii z Polską litewska elita szlachecka spolonizowała się, a jednak język litewski zachował się i przetrwał w tym niewielkim 3-milionowym narodzie. Nie można więc powiedzieć, że to był tylko język chłopski. I ja np. jestem Żydem, ale też jestem nauczycielem języka i literatury litewskiej na Uniwersytecie Wileńskim.

- Wynika z tego, że obok Pana, również marszałek Marek Kuchciński, od momentu wyboru na marszałka Sejmu 12 listopada 2015 roku miał znaczący wpływ na przywracanie przyjaznych relacji polsko-litewskich?

- Rzeczywiście, Marek Kuchciński zaczął przywracać dobre stosunki polsko-litewskie, zapoczątkowane zresztą wcześniej przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Marszałek Kuchciński bywał wielokrotnie na Litwie. Między innymi we wrześniu 2017 roku w Wilnie, w 630. rocznicę Chrztu Litwy, wygłosił on w naszym Sejmie przemówienie, które zostało owacyjnie przyjęte przez deputowanych litewskich. Z kolei w 2019 roku Marek Kuchciński odsłaniał popiersia galerii rzeźb marszałków Sejmu Wielkiego Rzeczypospolitej Obojga Narodów: Stanisława Małachowskiego i Kazimierza Nestora Sapiehy z Litwy.

Rozmawiał – Jacek Borzęcki, marzec 2025



*Emanuelis Zingeris i Marek Kuchciński przed portretem Jana Karola Chodkiewicza, Hetmana Wielkiego Litewskiego, w gabinecie szefa Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu RP, 2021 rok.
(fot. z archiwum M. Kuchcińskiego)*



*Emanuelis Zingeris, Marek Kuchciński, Piotr Babinetz przed popiersiem Kazimierza Nestora Sapiehy, Marszałka Sejmu Wielkiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego, przed budynkiem Sejmu RP, 2021 rok.
(fot. z archiwum M. Kuchcińskiego)*



Emanuelis Zingeris podczas konferencji Europa Karpat Krasieczyn-Jaremcza, 14 maja 2022 r. (fot. ze zbiorów PTK)

**Polacy ze Wschodu.
Rozmowy o pamięci i tożsamości.**

TERESA BAGIŃSKA- ŻURAWSKA



Fot. z archiwum T. Bagińskiej-Żurawskiej

Los polskiej rodziny z Ukrainy po rewolucji bolszewickiej

Rozmowa z Teresą Bagińską-Żurawską, historykiem sztuki, kustosz w Muzeum-Zamek w Łańcucie.

- Powiedz Tereso, proszę, skąd pochodzisz Ty i Twoi przodkowie?

- Urodziłam się w Związku Sowieckim – miejscowość Połonne w obwodzie chmielnickim (w tym samym Połonnem, które opisywał Henryk Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem”). Moi przodkowie wywodzą się z terenów zaboru rosyjskiego: rodzina mamy pochodzi z okolic Korca i Zwiachła (Nowograd-Wołyńska) leżących po drodze do Żytomierza, a rodzina ojca z położonego bardziej na południe Połonnego. Za caratu w tamtych okolicach mieszkało bardzo wielu Polaków. Byli to drobni właściciele ziemscy (obywatele, potomkowie drobnej szlachty), którzy nie zapomnieli swoich polskich korzeni przez cały okres zaboru rosyjskiego. W czasie rewolucji ludzie ci byli chyba dezorientowani, tak jak możemy czytać chociażby u Zofii Kossak-Szczuckiej. Bardzo często dzięki swojej silnej wierze (katolickiej), dzięki przywiązaniu do polskich korzeni, do tradycji, umieli przetrwać czasy najtrudniejsze, nawałnice. Właściwie nie bardzo wiedzieli co dalej będzie, jak się „to” przetoczy, czy przyjdą czasy spokoju? Wyobrażam sobie jak właśnie takie chwile przeżywali moi pradziadkowie: Helena i Józef. Pradziadek był powołany do wojska carskiego, przymuszony do służby

w czasie I wojny światowej. Moja babcia Mania (Maria) pamięta jako mała dziewczynka powrót swojego taty z wojska. Wydawał się jej obcym człowiekiem, bo przecież przez kilka lat nie było go w domu rodzinnym. Potem jeszcze do 1930 r. pradiadkowie próbowali gospodarzyć na swojej ziemi. Jednak z początkiem tego roku nastąpiły pierwsze masowe aresztowania. Czasami aresztowano do dwudziestu mężczyzn w okolicy, zarówno młodych jak i starszych. Właśnie wtedy aresztowano pradiadka Józefa (o świcie, w święto Matki Bożej Gromnicznej). Bardzo wielu nie przeżyło więzienia. Pradiadek jakimś sposobem dał znać swojej żonie, prababci Helenie, żeby brat służącej (który znał się z naczelnikiem GPU w Zwiahlu) wstawił się za nim. Głównym zarzutem, jaki mu wtedy postawiono, była współpraca i pomoc Polakom w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. To zresztą była prawda. Jednak brat służącej, Ukrainki z pochodzenia, udał się do władz GPU i nie mówiąc prawdy zeznał, że Boczkowski – bo tak się nazywał mój pradiadek – pomógł bolszewikom dając im chleb, wozy i zaopatrzenie. To z pewnością uratowało pradiadka przed śmiercią, ale nie uchroniło przed zsyłką na Sybir. Dwa miesiące później aresztowano pełnoletniego syna pradiadka, Romka, który też został zesłany na Syberię. A kilka miesięcy później, w listopadzie, wywieziono na Syberię prababcię Helenę z córką Manią, moją babcią. Te trzy zesłania skierowano do różnych miejsc na Syberii, oddalonych od siebie od kilkuset do ponad półtora tysiąca kilometrów, poczynając od Tomsku, przez Krasnojarsk, aż po Irkuck. Tam na miejscu w pierwszych latach dołożyli wiele starań aby się połączyć, z czym musieli być bardzo ostrożni. Razem z moimi krewnymi wywożono w wagonach bydłowych tysiące innych zesłańców, w tym bardzo wielu Polaków. Najpierw mężczyźni, potem młodzież, a na końcu kobiety z dziećmi. Niewiele mieli czasu na spakowanie swoich rzeczy i niewiele im pozwolono wziąć ze sobą. Musieli zostawić cały swój dobytek. Wiem z opowiadań mojej mamy, że prababcia pod progiem swojego domu zakopała papiery rodowe. To miejsce wydawało się jej najpewniejszym. Po wielu latach, gdy moja mama pojechała odwiedzić dom pradiadków, to okazało się, że na miejscu domu znajdowało się zaorane pole kołchozowe. Drewniany dworek – jak się dowiedziała – został przeniesiony bliżej wsi przez pewnego chciwego komunistę, zresztą Polaka z pochodzenia. Po papierach rodowych pradiadków nie było oczywiście śladu.

- Wprawdzie to nie było karne zesłanie do łagrów, ale jednak przesiedlenie z żyznych ziem południowego Wołynia na syberyjskie odludzia musiało być dla Twoich przodków koszmarem?

-Tak, zwłaszcza pierwsze lata pobytu na Syberii były niezwykle trudne. Nieraz w dzieciństwie prosiłam moją babcię Manię o opowieści syberyjskie. Babcia wspaniale opowiadała i była człowiekiem wielkiego serca. Opowiadając nawet o najtrudniejszych sytuacjach umiała dostrzec momenty pozytywne, takie jak na przykład piękno syberyjskiej przyrody, czy też dobroć tamtejszych miejscowych zwykłych ludzi. Nigdy się na nich nie zawiodła. W pierwszych latach zesłańcy, tzw. „spiecpieriesielency”, choć nie trafiali do „łagrów” w ścisłym tego słowa znaczeniu, to jednak znajdowali się pod ciągłym nadzorem komendantury. W szczególności nie wolno im było samodzielnie poruszać się po terenie (w rzeczywistości przesiedleńcy podlegali ścisłej kontroli komendantury syberyjskich łagrów, tak zwanych „sibułonów”). Czasami w ciągu jednego roku przenoszono ich kilkanaście razy z jednej miejscowości do innej.

- A czy babcia może opowiadała o tym jak na Syberii jej rodzina obchodziła katolickie święta?

- Święta i modlitwa były dla nich niezwykle ważne. To była Wielkanoc jednego z wczesnych lat trzydziestych, nie pamiętam już w którym dokładnie roku. Oczywiście, jak zwykle nie było co jeść. Prababcia, pakując się w pośpiechu na zesłanie, zabrała ze sobą na Syberię modlitewnik i biały obrus. No i ten obrus zawsze w Wigilię Bożego Narodzenia i na Wielkanoc był kładziony (uprany, czyścusiutki) na stole, na którym zwykle nie było co postawić do jedzenia. Jednak ta jedna Wielkanoc była wyjątkowa. Prababcia Helena podzieliła między męża i dwójkę dzieci swoją ostatnią porcję chleba, nie zjedzoną przez siebie, celowo przechowaną. To było śniadanie wielkanocne. Ale w tym samym czasie szczęśliwie dowiedzieli się, że w sąsiednim kołchozie jesienią nie zebrano z pola wszystkich ziemniaków, bo wcześniej przyszły mrozy. Przed Wielkanocą śnieg się stopił, ziemia odtajała i na wpół zgniłe ziemniaki leżały w ziemi kołchozowej. Moja babcia z bratem po kryjomu, żeby komendantura o tym nie wiedziała, wybrali się tam o świcie i nazbierali pół-zgniłych ziemniaków, tak aby na wielkanocnym stole nie było pusto, aby znalazł się na nim niesamowity przysmak - trochę gotowanych ziemniaków.

- A jak wyglądały święta przed wywózką na Sybir? Czy różniły się od tych obchodzonych w Galicji?

- Pod zaborem rosyjskim świąteczne tradycje były również bardzo ważne dla polskich rodzin. Myślę, że to były tradycje jeszcze z dziewiętnastego wieku, bo pamiętam dziewiętnastowieczną książkę kucharską mojej prababci Heleny, którą zresztą mam do dzisiaj. Nawet po skończeniu okresu zesłania syberyjskiego i także po drugiej wojnie światowej, kiedy warunki życia były wciąż bardzo skromne, jednak święta u nas na Kresach zawsze były obchodzone bardzo uroczyście. Pomimo tego, że przecież z okazji świąt nie było wolnego czasu od pracy i od szkoły. Pamiętam z własnego doświadczenia, że przygotowania świąteczne trzeba było robić po nocach. No i zawsze, może głównie ze względu na nas, na dzieci, było to wielkie wydarzenie. Pamiętam zwłaszcza pieczenie ciast – przede wszystkim drożdżowych: bułeczki, strucle, które piekła moja babcia i których wyjątkowy smak pamiętam do dzisiejszego dnia. Pamiętam jajka malowane w łupinach z cebuli. Pamiętam szynkę pieczoną w cieście. Przez cały rok trzeba było czekać na to, żeby ta szynka pojawiła się na świątecznym stole. To był już oczywiście wielki luksus w porównaniu ze świętami na Syberii.

- Może jeszcze parę wspomnień o losach Twojej babci?

- Tam na Syberii babcia Mania poznała zesłańca Lonka (Leonarda) pochodzącego spod Berdyczowa, który później został jej mężem. Ojciec Mani chciał odwieść ją od zamiaru małżeństwa. Mówił, że panujące niespokojne czasy nie sprzyjają zawieraniu małżeństwa. Jednak Mania, bardzo rozsądna młoda dziewczyna, odpowiedziała ojcu, że przecież „nie wiadomo jak długo będziemy tu na Syberii”. No i zdecydowała o poślubieniu Lonka. Młodzi nie mogli jednak wówczas wziąć normalnego ślubu kościelnego, bo nie było ani kościoła, ani księdza. Pierwsze zaślubiny odbyły się więc w gronie rodziny. Składali sobie przysięgę

małżeńską w obecności rodziców i świadków przed świętym obrazkiem trzymanym przez moją prababcię Helenę, której udało się wywieźć ten obrazek na Syberię (cudowny wizerunek Matki Bożej z sanktuarium w Kazimierce). Dopiero kilka lat później udało się młodym małżonkom dopełnić ślubowania w kościele. Otóż, Mania z Lonkiem i synami przekradli się do Irkucka, gdzie był ksiądz katolicki i po kryjomu udzielał sakramentów świętych w pięknym neogotyckim kościele zbudowanym przez polskich zesłańców jeszcze za caratu. Wzięli więc ślub w tym kościele i tam też ochrzczili swoich dwóch starszych synów (w rzeczywistości, po złożeniu przysięgi małżeńskiej w obecności świadków 10 marca 1934 roku, Mania i Lonek wrócili do Irkucka na pewien czas i dowiedziawszy się, że w kościele jest duchowny katolicki, odszukali go i 24 maja po kryjomu dopełnili sakramentu małżeństwa, które pobłogosławił ksiądz Antoni Żukowski, dziekan irkucki. Po raz drugi do spowiedzi i chrztu synów wybrali się do Irkucka w 1937 r. Dowiedzieli się, że ksiądz Żukowski pojechał do Tomska i tam został aresztowany, a w kościele był inny kapłan pochodzący z Kijowa, zwolniony po 10 latach z więzienia). Moja mama już nie była ochrzczona w irkuckim kościele, bo niedługo potem funkcjonariusze NKWD aresztowali księdza i słuch po nim zaginął. To był okres „Wielkiego Terroru” (lata 1937-1938), czasy straszne dla zwykłych ludzi. Sowiecka „bezpieka” pod byle pretekstem aresztowała i rozstrzelała setki tysięcy mieszkańców Związku Sowieckiego, w tym ponad sto tysięcy Polaków. Wtedy też mój dziadek Lonek nieostrożnie opowiedział kolegom w pracy dwa dowcipy o Stalinie. Dziadek wrócił po pracy do domu i powiedział żonie: -Maniu, tam był jeden dziwny, podejrzany człowiek. Nie wiem co będzie dalej ze mną”. No i rzeczywiście przyszedł po niego jeszcze tej nocy (11 marca 1938 r.). Uwięzili dziadka przed narodzeniem się córki, czyli mojej mamy. Zasadzili go na dziesięć lat łagrów bez prawa do korespondencji. Gdy upłynęło dziesięć lat i dziadek Lonek nie powrócił, babcia zaczęła podejrzewać, że mógł w łagrze nie przeżyć. Nie miała jednak pewności, bo nikt jej nie zawiadomił o jego ewentualnej śmierci. Babcia została z trójką małych dzieci (moja mama, jako trzecie dziecko urodziła się 30 sierpnia 1938 r.) i przez całą wojnę czekała na męża. Nawet nie myślała o ewakuowaniu się z Syberii w sytuacji, gdy tak wielu Polaków starało się z tej „niehumanitarnej ziemi” wydostać - chociażby z formowaną tam Armią Andersa, lub przynajmniej z Armią Polską Berlinga (jak to zrobił kuzyn babci i zginął pod Berlinem). Niewykluczone, że w tym czasie dziadek Lonek umierał w łagrze, o czym babcia dowiedziała się kilkanaście lat później. Dopiero w 1959 r. otrzymała oficjalne zawiadomienie o śmierci męża w łagrze w 1942 r. i o pośmiertnym jego zrehabilitowaniu (choć dziś wiemy, że z bardzo dużym prawdopodobieństwem został rozstrzelany niedługo po aresztowaniu w ramach tak zwanej „operacji polskiej NKWD” przeprowadzonej w latach 1937-1938).

- Może cofnijmy się teraz do czasu po rewolucji bolszewickiej. Polscy magnaci i inni zamożni Polacy mieli środki i kontakty pozwalające im na ucieczkę z terenów zajętych przez bolszewików. Natomiast szlachta zagrodowa chyba nie miała takich możliwości i pozostawała jej tylko nadzieja, że ta komunistyczna zawierucha przeminie?

- Myślę, że po 1917 r. moi przodkowie mieli taką nadzieję przez następnych parę lat, kiedy to sytuacja na froncie zmieniała się z dnia na dzień do tego stopnia, że często nad ranem mieszkańcy nie wiedzieli jakie wojsko wkroczy tym razem do wioski. Całkiem niedawno dowiedziałam się, że w tamtym czasie, gdy jeszcze mój pradziadek był na wojnie, bolszewi-

cy wtargnęli do domu i moją prababcię Helenę - wówczas młodą mężatkę - zawlekli pod bagnetami do sadu, znęcając się nad nią, grożąc śmiercią tylko dlatego, że jej szwagier był oficerem carskiej armii. Żądali wydania Boczkowskiego, a prababcia nie miała nawet pojęcia gdzie on jest i co się z nim dzieje. W tej sytuacji służąca w domu pradziadków, bardzo dobra Ukrainka, wzięła za rączkę moją babcię Manię, wówczas 5-letnią dziewczynkę i powiedziała: - Maniu, ty czasem nie powiedz im, że to jest twoja mama, bo oni i ciebie zabiją. Zabrała dziecko do swojej chaty, gdzie Mania przesiedziała na piecu całą noc płacząc. Na szczęście ludzie we wsi, gdy tylko dowiedzieli się o sytuacji mojej prababci, tak jak stali zbiegli się od prac polowych do sadu i zaczęli błagać bolszewików o darowanie jej życia: -Мы дуже просимо вас не вбивати пані Гелену, бо вона дуже добра жінка. No i ci prości ludzie uratowali życie mojej prababci, która rzeczywiście zawsze dbała o mieszkańców wioski i nikomu nie odmawiała pomocy.

- Na początku lat dwudziestych terror bolszewicki wobec ludności polskiej zmniejszył się, bo władze komunistyczne miały nadzieję na skomunizowanie mniejszości narodowych. I to zapewne dało tamtejszym Polakom nadzieję.



Przodkowie Teresy Bagińskiej-Zurawskiej (fot. z archiwum T.B.Ż)

- Rzeczywiście, musieli mieć wówczas jakąś nadzieję, że ten koszmar się skończy i czasy będą choć trochę lepsze. Wtedy zakładano kołchozy – babcia mówiła o „wołyniankach”, a chodziło o tzw. „Marchlewszczyznę”, kiedy to całe polskie wsie zachęcano do wstąpienia do kołchozów i otwierano nawet polskie szkoły na tamtych terenach. Oczywiście, Polacy szybko zorientowali się o co chodzi i uciekali czym prędzej z tych kołchozów zabierając swój dobytek. A co do szkół, to moja babcia bardzo chętnie chodziła do polskiej szkoły. Pewnego razu wychowawca kazał dzieciom zrobić jakiś rysunek, babcia narysowała akurat sylwetkę kościoła. Pan powiedział, że rysunek wprowadzie bardzo piękny, ale piątki w dzienniku nie może postawić, bo jest to kościół. I zaczął opowiadać o rewolucji komunistycznej. Mania niewiele z tego rozumiała, ale gdy w domu opowiedziała o tym swojej mamie, to prababcia Helena następnego dnia wypisała ją ze szkoły. Nie życzyła sobie, żeby dziecko chodziło do takiej szkoły, w której nauczyciel mówi coś przeciwko Kościołowi. No więc ludzie początkowo tracili orientację, ale bardzo szybko zrozumieli, że władzom chodzi o „polskość” komunistyczną bez Boga. I odmówili swojej zgody na to.

- A czy babcia opowiadała o czasach „Wielkiego Głodu”? Na Ukrainie traktuje się lata 1932-33 jako ludobójstwo na narodzie ukraińskim, ale ludność polska też ginęła wówczas z głodu.

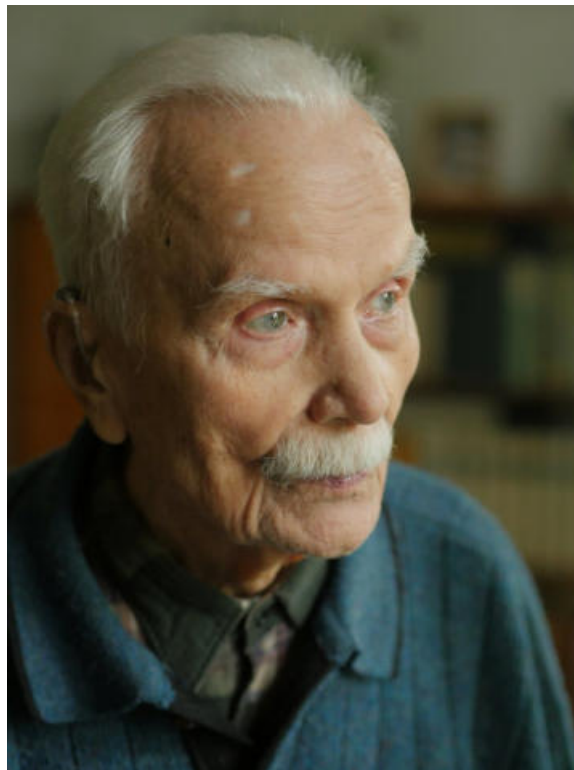
- Właściwie, to od kiedy prababcie i babcię wywieziono na Syberię w 1930 r., to osobiście „Wielkiego Głodu” nie doświadczyły i nawet nie mogły wówczas o nim wiedzieć (doświadczając głód na Syberii, ale nie tak programowo prowadzony jak w europejskiej części ZSRS). Jednak w naszej rodzinie do tej pory wspomina się jedną z sióstr pradiadka, Celestynę Boczkowską. Ona była niezwykle odważną kobietą. Udało jej się z dwiema córeczkami uciec z Syberii. Dotarły w jakiś sposób na Ukrainę właśnie w 32 lub 33 r., ale były tak wygłodzone, że zmarły na progu swego rodzinnego domu. Więcej o głodzie z tych lat słyszałam od mojego ojca. Jakimś cudem rodzinę ojca nie wywieziono na Syberię bo mój dziadek Marcin, zorientowawszy się co może im grozić, bardzo szybko zatrudnił się ze starszymi synami w fabryce papieru. Do kołchozu nie chciał iść, bo był zbyt dumny (jak większość Polaków). A ponieważ był zapisany jako robotnik, to uniknął wywózki na Sybir. Jednak z ich folwarku zrabowano im wszystko, cały gospodarczy dobytek, więc cierpieli głód. Mój tata, jako pięcioletni wówczas chłopiec, zapamiętał ten głód. Opowiadał, że jego rodzice z głodu zachorowali. Potem jednak tata wstał z łóżka, a mama już nie wstała - zmarła. Z dzieciństwa zapamiętał ludzi spuchniętych z głodu. Może dlatego nie potrafił nigdy wyrzucić suchej kromki chleba, ani obierków z jabłka (mój ojciec pamiętał też zupę z lebiody, po której dostawał biegunki, zupę z pokrzyw, która była najsmaczniejsza, młodą lipę, na którą z bratem się wspinał wiosną by zjeść wszystkie młode liście, zresztą podobno bardzo smaczne).

- Bardzo dziękuję Ci za te wspomnienia.

Rozmawiał i opracował – Jacek Borzęcki

(W nawiasach znajdują się komentarze uzupełnione przez autorkę wypowiedzi w trakcie autoryzacji tekstu, dla lepszego naświetlenia opisywanych zdarzeń i sytuacji).

CZESŁAW BLICHARSKI



Fot. z archiwum autora

Wywiad z Czesławem Blicharskim, kresowianinem, w czasie wojny lotnikiem na Zachodzie, twórcą kolekcji „Archiwum Tarnopolskie”.

- Jak zareagował Pan na wkroczenie wojsk sowieckich do Tarnopola we wrześniu 1939 roku?

- Postanowiłem przedostać się do Rumunii i dalej do Francji, aby przyłączyć się do formowanych tam Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. To była jednak długa historia. Pierwszą taką próbę podjąłem na początku października 1939 roku. Udałem się do Konsulatu Rumunii we Lwowie po wizę. Brzmi to fantastycznie, ale o dziwo ten konsulat działał i za 20 rubli można było dostać wizę do Rumunii. Kolejka po wizę była długa i jakoś to nie zwracało uwagi kręcących się po mieście patroli sowieckich. I tak stojąc w tej kolejce dogadałem się z trzema kolegami. Ja ich wprowadzić nie znałem, ale oni – tak samo jak i ja – zamierzali przedostać się do polskiego wojska na Zachodzie. Jeden z nich był studentem Politechniki – nazywał się Tułacz. Drugi był studentem medycyny i miał nazwisko Lekki. Trzeci był kadetem i nazywał się Gołąb. Potem, w drodze do granicy rumuńskiej, nabijaliśmy się z samych siebie, że „Blicharski, Tułacz, Lekki jak Gołąb, idzie za granicę”. To była ta wesoła część naszej eskapady, natomiast dalsza część była już smutna. Nie będę tu wchodził w szczegóły,

bo to jest dość obszerna historia, ale tak z grubsza to na skutek zdrady Ukraińców zostaliśmy ujęci przez żołnierzy sowieckich. Stało się to w wiosce Szeszory w rejonie Kosowa. Tam przed wojną byłem na obozie harcerskim, więc liczyłem na przychyłność ze strony miejscowych Ukraińców, leśniczego i gajowych, z którymi zawarłem wówczas znajomość. Niestety, gdy nocowaliśmy u pana Skoreckiego, jednego z członków Związku Szlachty Zagrodowej, to zostaliśmy ujęci przez kilku Ukraińców. Mieli oni na sobie płaszcze polskich lotników i polskie uzbrojenie. Nie trudno było odgadnąć, w jaki sposób weszli w posiadanie takiego sprzętu, więc baliśmy się o swoje życie gdy wsadzili nas na furmankę i wieźli drogą przez las w kierunku Kosowa. Jakoś ich zagadaliśmy, a poza tym nie mieliśmy żadnych cennych rzeczy, więc udało się nam uniknąć najgorszego. Później się dowiedziałem, że właśnie Ukraińcy w tych okolicach mordowali Polaków zmierzających w kierunku granicy rumuńskiej. W Kosowie zawieźlinas na posterunek NKWD, co oczywiście nie wróżyło nic dobrego. Trzeba jednak pamiętać, że to był wciąż jeszcze początek okupacji sowieckiej. Oni jeszcze nie byli dobrze zorganizowani, zwłaszcza na samym dole, czyli na wiejskich posterunkach. Tak więc udało nam się z tego posterunku jakoś wykręcić, ale wyprawa na Zachód niestety nie udała się.

- Nie dał Pan jednak za wygraną i nie porzucił tego zamiaru?

- Tak. Drugą próbę podjąłem dopiero w kwietniu 40-go roku. Ale wróć tu jeszcze do października 39-go roku, gdy wybrałem się do Lwowa, to pociągi nie jechały do Lwowa normalną linią przez Złoczów, bo była zerwana, a tylko linią przez wioskę Berezowica, do której trzeba było dojść piechotą. I tam na stacji stał pociąg z transportem internowanych polskich oficerów, którzy później trafili do Katynia. I obok tego pociągu, zaraz na sąsiednim torze, stał przez jakiś czas nasz pociąg do Lwowa. Wagony obu pociągów stały na tyle blisko obok siebie, że sprawny fizycznie człowiek mógł przeskoczyć z jednego do drugiego. No i gdy wówczas zobaczyłem wśród tych polskich oficerów kolegę mojego starszego brata, to krzyknąłem do niego, żeby przeskoczył do nas. Było to możliwe także i dlatego, że akurat nie było w pobliżu żadnego patrolu sowieckiego. Co więcej, niektórzy z nich nawet wychodzili z tych wagonów aby na peronie kupić sobie coś do jedzenia. W reakcji na moje słowa tenże kolega mego brata odkrzyknął do mnie, że nie ma potrzeby uciekania, bo ich chroni jeniecka konwencja międzynarodowa. Stojący obok niego oficer niewiele myśląc posłuchał mojej rady i przeskoczył do naszego wagonu. Zaraz przebraliśmy go w cywilne ubranie i pojechaliśmy z nami do Lwowa. Jak się okazało, był to lwowiak, lwowski „batiar”. W ten sposób uratował życie, bo potem nie znalazłem jego nazwiska na tzw. „liście katyńskiej”. A tymczasem ów kolega mego starszego brata na tejliście był wymieniony.

- Jakie były losy tej drugiej, kwietniowej wyprawy przez zieloną granicę na Zachód?

- To była wyprawa w zasadzie rodzinna, bo w niej było nas czterech braci oraz jeden kolega. Niestety, wyprawa też niefortunna. „Zieloną” granicę na Węgry przekraczaliśmy w nocy, a w dodatku gęsta mgła drastycznie ograniczała widoczność. Jak się okazało, dwukrotnie w tej mgle przekraczaliśmy „zieloną” linię graniczną, tam i z powrotem, aby ostatecznie znaleźć się po stronie polskiej, gdzie zostaliśmy schwytani przez patrol sowiecki. Uwięzieni przez NKWD w Stanisławowie i Humaniu, zostaliśmy skazani za „szpiegostwo” na 5 lat syberyjskich łagrow.

- Potem – jak czytam w Pana życiorysie - była Armia Andersa, przybycie do Anglii, szkolenie i służba w lotnictwie, a po wojnie studia prawnicze na Oxfordzie i kilkuletni pobyt w Ameryce Południowej, zanim wrócił Pan do Polski.

- Muszę sprostować to ostatnie pana sformułowanie. Otóż, dla mnie to nie był „powrót do Polski”, tylko „przyjazd do PRL-u”. A w Anglii służbę w lotnictwie zakończyłem w Dywizjonie Bombowym 300 „Ziemia Mazowiecka”, a do PRL-u przyjechałem z Argentyny w 1956 roku.

- To była niewątpliwie odważna decyzja.

- Była tak odważna i ważna, że aż rozchorowałem się i do dzisiaj mam kłopoty z żołądkiem.

-Te kłopoty nie przeszkodziły jednak Panu w podjęciu bardzo aktywnej działalności poza pracą zawodową. W ciągu kilkudziesięciu lat zgromadził Pan niezwykle bogate zbiory kresowe dotyczące rodzinnego miasta - Tarnopola.

- Nie będę tu opowiadał o różnych trudnościach po przyjeździe do PRL-u. W każdym razie zaobserwowałem rzecz, która mnie cholernie dobiła, a mianowicie to gnojenie historii Polski w ogóle, a Kresów Wschodnich w szczególności. Nawet nie wolno było nigdzie oficjalnie użyć nazwy „Kresy Wschodnie”, tylko wymyślili termin „zabużański kraj”.

-A w dowodzie osobistym wpisywali kresowianom „urodzony w ZSRR”, prawda?

- Tak. Mam taki dowód osobisty. Cóż można powiedzieć? W tygodniku „Polityka” kiedyś wyczytałem coś tam o „kresach wschodnich”. To było chyba w latach 60-tych. No i zrodziła się we mnie myśl, że trzeba ratować od zapomnienia tę historyczną część Polski. Problem polegał jednak na tym, że trzeba było wejść w kontakt z osobami pochodzącymi z Kresów i pozyskać od nich materiały kresowe. Znałem okupację sowiecką w jej początkach, czyli od września '39 do kwietnia '40, a więc zdawałem sobie sprawę z tego, że moje znajomości przedwojenne były teraz dość ograniczone. Spotykałem co prawda kolegów z tamtych stron. Wśród nich znalazł się nawet minister rolnictwa, nazywał się Kołodziej i związany był ze stronnictwem ludowym. Znałem też szereg generałów i pułkowników pochodzących z Kresów, ale trudno było ich pozyskać do pomocy w realizowaniu tej mojej idei. Jeden z takich kolegów, który w czasie wojny był w Armii Krajowej w powiecie krasnostawskim tak odpowiedział na moją propozycję współpracy: -A po co ci to? Komu to dzisiaj potrzebne? Jednak miałem szczęście i udało mi się pozyskać kontakty z dawnymi mieszkankami Tarnopola. Nawiązałem te znajomości poprzez moją żonę, która przed wojną była w Tarnopolu harcerką, ostatnią drużynową tamtejszej harcerskiej drużyny dziewczęcej. Dzięki temu dotarliśmy do wielu jej koleżanek, które jak się okazało były – jak by to powiedzieć – wierniejsze, czy odważniejsze i chętnie podjęły współpracę w poszukiwaniu i zbieraniu wśród kresowian pamiątkowych przedmiotów pochodzących z Tarnopola. Później, w miarę gdy mimo wszystko rosła liczba tych osób zainteresowanych, założyłem coś w rodzaju „rodziny tarnopolskiej”. To nie była organizacja sensu stricto, tylko to byli ludzie związani emocjonalnie poprzez Tarnopol – jedna grupa ze mną, a druga z moją żoną. W sumie ta nasza „rodzina tarnopolska”

liczyła około 200 członków, którzy stali się podstawą już nie tylko gromadzenia przeze mnie materiałów kresowych, ale i wydawania szeregu prac na temat Tarnopola.

- Czy odwiedził Pan swoje rodzinne miasto już po odzyskaniu niepodległości przez Polskę i Ukrainę?

- Nie. Do ukraińskiego Tarnopola nigdy nie pojechałem. To była moja świadoma decyzja i to pomimo tego, że mnie zapraszali tamtejsi rodacy. Chciałem po prostu zachować w pamięci polski Tarnopol z moich lat dziecięcych i młodzieńczych. Proszę zrozumieć, że ja od dzieciństwa widziałem jak rosła ta nowa niepodległość, jak rozwijała się ta nasza odrodzona Ojczyzna, jak nabierała koloru. Miałem 21 lat gdy opuszczałem Polskę. Byłem gorącym patriotą polskim i taka wówczas była cała nasza młodzież, bo byliśmy wychowani na historii i na tej wielkiej wartości, jaką była odzyskana niepodległa Ojczyzna. To nie tak jak dzisiaj. Tamte moje przeżycia pozostały we mnie na zawsze i postanowiłem zachować w sobie obraz mojego miasta takim, jakim go zapamiętałem w latach sprzed 1-go września 39-go roku.

- A jak zapamiętał Pan to miasto po 1-szym września?

- Pamiętam to wszystko co działo się w Tarnopolu przed 17-tym września. Widziałem upadek niepodległości Rzeczypospolitej. Jeszcze przed 10 września tłumy rodaków z centralnych części kraju przetaczały się przez miasto uciekając w kierunku granicy. Widziałem eleganckie damy z przysłowiowymi pudłami na kapelusze. Widziałem też po 17-tym września porzucone w przydrożnym rowie legitymacje, odznaczenia, krzyże, nawet „virtuti militari”.

- Obecnie w Tarnopolu żyje wprawdzie niewielu Polaków, ale mają polskie organizacje społeczno-kulturalne. Czy utrzymuje Pan z nimi jakiś kontakt?

- Tak, cały czas mam z nimi kontakty, ale to wcale nie jest tak różowo, jak może chciałby pan to widzieć. Różnie tam bywało ostatnio. Mam pewne przygody z tamtejszymi księżmi, ale może to jest zbyt obszerny temat, żeby go tu poruszać. Streszczając mogę tylko tyle powiedzieć, że polityka watykańska w tamtych stronach jest bardzo brzydka, bo tworzy tzw. Kościół rzymsko-katolików Ukraińców.

- Poświęcając na ołtarzu Polaków, którzy w czasach Związku Sowieckiego zdołali ten rzymsko-katolicki Kościół zachować.

- Dosłownie - można powiedzieć - na ołtarzu, no bo na przykład w Tarnopolu ze składek biedaków z Polski zbudowali nowy kościół, no ale już w tym kościele ksiądz proboszcz rozmawia z ministrantami po ukraińsku bez względu na to, że to są chłopcy polscy. Tam jest zresztą z tego powodu ferment. No ale wymiera to starsze pokolenie, które przywiązane jest raczej do tej kaplicy cmentarnej, która przed zbudowaniem nowego kościoła służyła Polakom w sytuacji przejścia dawnych polskich świątyń w Tarnopolu przez greko-katolików.

- Panie Majorze, z moich doświadczeń dziennikarskich wynika, że może nie jest aż tak źle. Odwiedziłem na Ukrainie bardzo wiele parafii rzymsko-katolickich i wszędzie tam,

gdzie polscy parafianie życzyli sobie mszy w języku polskim – była msza polska. Były też takie miejsca jak np. Latyczów, gdzie ksiądz proboszcz zlikwidował polską mszę w niedzielę i w zamian odprawiał taką mszę we wtorki i czwartki. Jednak na ogół wszędzie gdzie Polacy są i życzą sobie niedzielnej mszy w języku polskim, tam odprawiane są polskie msze obok ukraińskich.

- Proszę pana, co to znaczy: „Polacy życzą sobie w swoim kościele polskiej mszy”?

- Niestety bywa tak na Ukrainie, zwłaszcza na tej dalszej i w parafiach nie prowadzących polskich szkółek dla dzieci, że osoby pochodzenia polskiego nie rozumieją dobrze polskiej mowy. Msza odprawiana w języku ukraińskim im wystarcza, bo ta liturgia jest dla nich bardziej zrozumiała i wobec tego brak jest odpowiedniej inicjatywy ze strony wiernych.

- Od wiernych w jakim wieku?

- Najstarsi Polacy niestety wymierają, więc aktywni parafianie są w średnim wieku. I jeśli ich dzieci nie rozumieją po polsku to bywa i tak, że ksiądz rezygnuje z polskiej liturgii, czasem tylko częściowo poprzez głoszenie homilii w języku ukraińskim.

- Pan po prostu widzi to, co chce widzieć.

- Bywają oczywiście różne sytuacje i wszystko zależy od postawy wiernych oraz księdza.

- No dobrze, a od kogo zależny jest ten ksiądz? Przecież on nie prowadzi własnej polityki. Z tego co ja się orientuję i z tych odgłosów dochodzących nawet z Kijowa... W Kijowie na przykład nie ma tego problemu, tak samo i w parafiach na Żytomierszczyźnie. Natomiast problem ten jest bardzo widoczny na zachodnich terenach Ukrainy, czyli na naszych przedwojennych ziemiach. I pełna ukrainizacja tych parafii jest tylko kwestią czasu, nawet mniej niż jednego pokolenia, bo takie jest nastawienie i taki kierunek idzie z Watykanu. To jest polityka watykańska, a nie polska.

- W każdym razie, gdy przeprowadzałem wywiad z arcybiskupem Mieczysławem Morczyckim, to on zapewniał mnie, że wszędzie gdzie jest taka potrzeba, gdzie są wierni znający język polski, to tam na pewno nie może zabraknąć polskiej mszy.

- Ale mnie chodzi o przyszłość. Mógłbym panu dać szereg przykładów. W roku bodaj 90-tym została odnowiona parafia rzymsko-katolicka w Tarnopolu. Niestety, prawosławni, a potem greko-katolicy zajęli polski kościół po-dominikański, jedyny który ocalał po wojnie, no i Polacy musieli zadowolić się kaplicą cmentarną. Czyniłem starania aby przy poświęceniu tej nowej parafii nazwać ją przedwojennym mianem dla podtrzymania tradycji. Oni jednak nadali tej parafii zupełnie nową nazwę. To jest taki jeden przykład. A oto inny przykład. Mój kolega Maciej Gallus, kolekcjoner pocztówek tarnopolskich, odkrył na targu staroci przedwojenną srebrną tablicę pamiątkową z tarnopolskiego kościoła jezuickiego. To była tablica „Kongregacji Mariańskiej Pań w Tarnopolu” i przed wojną wisiała w kościele jezuickim przy głównym ołtarzu, w którym umieszczona była figura Matki Boskiej Niepokalanego Po-

częcia. Na tablicy widniało ponad sto nazwisk. To był kawał historii tego miasta, bo te nazwiska coś mówiły. Na pewno sto procent tych nazwisk znajduje się w opracowanym przeze mnie słowniku biograficznym Tarnopolan. Wspólnie zakupiliśmy ją dla zbiorów tarnopolskich w maju 1994 roku wydając na to kupę pieniędzy, nie będąc przy tym osobami zamożnymi. Nawiasem mówiąc tablica była już częściowo przecięta, bo widocznie ktoś kombinował aby sprzedać ją jako złom srebra. Dla podtrzymania ciągłości polskiej tradycji z dawnych czasów, w 1995 roku za pośrednictwem proboszcza parafii w Dragonówce koło Tarnopola, jezuita ks. Józefa Chromika, przekazaliśmy tę tablicę dla tej właśnie odnowionej polskiej parafii w tarnopolskiej kaplicy cmentarnej. Poprzedni proboszcz, ks. A. Górski, nie powiesił tablicy w kościółku zostawiając to swemu następcy, a ten kolejny proboszcz, jak się ostatnio dowiedziałem, włożył ją do rupieci na strychu i już nie pamięta gdzie ona leży.

- Napisał Pan i wydał, co prawda w niewielu egzemplarzach, aż jedenaście książek o Tarnopolu, o tamtejszych Polakach, o szkołach, o gimnazjach, o harcerstwie tarnopolskim, o Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”, także „Słownik Biograficzny Tarnopolan”, i szereg innych. Czy jest szansa żeby to wydać w jakimś wydawnictwie?

- Wtedy, kiedy ja to wydawałem, czyli w końcu lat osiemdziesiątych, na przełomie dziewięćdziesiątych, to wydanie książek w profesjonalnym wydawnictwie nie było takie łatwe. Trudno było wówczas myśleć o jakiejś szerszej akcji wydawniczej. A teraz to już trochę dla mnie za późno. W Anglii działał tarnopolanin, literat, poeta, Stanisław Sobotkiewicz, który bardzo mi pomógł finansowo w gromadzeniu zbiorów tarnopolskich. Gdy on zmarł w 1993 roku, to postanowiłem upamiętnić go tablicą pamiątkową, którą przekazałem do tej kaplicy cmentarnej w Tarnopolu. I tę jedną tablicę faktycznie tam umieszczono. Podobno powieszono też w kaplicy wysłaną tam przeze mnie plakietkę „450-rocznica zwycięstwa polskiego króla Jana III Sobieskiego pod Wiedniem”, którą zupełnie przypadkowo udało mi się nabyć w Opolu.

- Panie Majorze, proszę na koniec powiedzieć czego - według Pana - brakuje dzisiejszej Polsce, w porównaniu do tej Polski przedwojennej, gdy Pan był jeszcze młodzieńcem?

- Brakuje niestety bardzo dużo rzeczy. Na pierwszym miejscu postawiłbym tu patriotyzm, z którym łączy się bezinteresowność. Łączy się z tym też poczucie służby Ojczyźnie. Minister, co mówi sama genealogia tego słowa, nie może być człowiekiem zainteresowanym korzyściami materialnymi dla siebie czy dla bliskich sobie osób. Minister to ten pierwszy, który wykonuje służbę dla Ojczyzny. Na drugim miejscu, jak mi się wydaje, jest wiara człowieka w jakiś ideał, dla którego byłby on gotów bezinteresownie poświęcić bardzo wiele, wszystko co możliwe. Przed wojną czymś bardzo ważnym były stowarzyszenia, były te – jak to się dzisiaj mówi – inicjatywy obywatelskie. W naszych stronach tam na Kresach mieliśmy m.in. takie Towarzystwo Szkoły Ludowej. Skupiało ono ludzi ideowych, którzy bezinteresownie poświęcali się szerzeniu oświaty na wioskach z równoczesnym wspieraniem polskość. Funkcjonowało też takie Stowarzyszenie Zagrodowej Szlachty Polskiej, którego celem było odzyskanie dla polskość tej zrutyzowanej szlachty zagrodowej.

- Dziękuję za rozmowę.

Wspomnienia nagrał i opracował Jacek Borzęcki

EUGENIUSZ CYDZIK



Fot. z archiwum autora

Wspomnienie Eugeniusza Cydzika, byłego żołnierza AK , więźnia sowieckiego łagru, założyciela i pierwszego prezesa Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie.

Jako harcerz piątej żeglarskiej drużyny harcerskiej imienia Traugutta w Grodnie, skończyłem pełne przysposobienie wojskowe, ukończyłem pełny kurs. Po napadzie hitlerowskich Niemiec na Polskę harcerze zgłosili się do obrony Grodna. Oczekiwaliśmy raczej, że Niemcy zbliżą się od strony Augustowa i obrona przed wojskami niemieckimi przygotowywana była w północno-zachodniej części miasta. Tymczasem 17 Września dowiedzieliśmy się o inwazji sowieckiej na Polskę. Musieliśmy więc przygotować się do obrony Grodna od wschodu, czyli od strony Skidła i Lidy. Tam w Skidlu już wybuchła dywersja, to znaczy polscy komuniści opanowali posterunek policji. W tej sytuacji dwoma autobusami wyruszyła z Grodna ekspedycja karna i tam zrobili z nimi porządek. Byliśmy przygotowani, że Sowietci nadejdą od wschodu, tymczasem oni przeszli przez Niemen w górze rzeki, w miejscowości Mosty i zaatakowali Grodno od południowego zachodu. Od strony przedmieścia przyjechał pierwszy sowiecki czołg, no i został ostrzelany przez działko przeciwlotnicze. Potem obrońcom udało się jeszcze rozbić jakiś tam samochód i radiostację. Ja miałem sztucer myśliwski z lunetą i celownikiem, inni harcerze mieli jakieś karabiny.

Skierowano nas na brzeg rzeki pomiędzy mostem drogowym i kolejowym, no i tam broniliśmy przeprawy przez Niemen. Sowieci próbowali tam przeprawiać się na łódkach, na tratwach i w ten sposób opanować centrum miasta.

Ja byłem w takiej bluzie PW, w drelichowych spodniach, w trzewikach i furażerze. Nic więcej. Brat stryjeczny mego ojca, Stefan Cydzik był prezydentem miasta, więc byłem dobrze zorientowany w sytuacji. Przed wojną do nas przyjeżdżali na polowanie: starosta powiatowy - Józef Drożański, nadkomisarz policji - Borudzki, sędzia Popkowski, doktor Gula i mecenas Zaboklicki. Znałem tego nadkomisarza Borudzkiego - był to krępy, niewysokiego wzrostu brunet z wąsikami, a strzelał wspaniale. Na polowaniu nigdy nie przystawiał dubeltówki do oka, tylko tak z przerzutu strzelał. No i on mnie skierował w tamtą stronę wiedząc, że ja mam tam w pobliżu dom. Uzbrojony byłem w swój myśliwski sztucer, ale miałem do niego mało amunicji, bo tylko 20 naboji. Jak je powystrzelałem, to sztucer był już bezużyteczny. Dali mi więc karabinek Mauser.

Niestety, Grodno zostało zajęte przez Sowieców. A wie pan, że z Sowiecami na czołgach wjechali do Grodna grodzieńscy komuniści czyli Żydzi. Był tam Abraszkin, Margolis i Liwczyc. Nasi ich rozpoznali. Karabinka ani sztucera nie wyrzuciłem, tylko zakopałem. Ten sztucer znajduje się obecnie w Warszawie, oczywiście bez kolby, bo na kolbie robiłem zacięcia, gdy udało mi się trafić wroga. No i jak koledzy zobaczyli te nacięcia, to powiedzieli, że w razie wpadki to byłby wyrok śmierci na mnie. Odbili więc tę kolbę i wrzucili do ognia.

Po zajęciu Grodna koledzy poszli na Litwę. Ja nie miałem z czym iść: ani grosza w kieszeni, nawet bielizny na zmianę nie miałem, tylko to co na sobie. Najpierw przechowałem się przez parę dni w Grodnie. Bolszewicy szaleli, terror był okrutny. Potem udało mi się jakoś przedostać na wieś do ojca - Misiewiczze, 36 kilometrów od Grodna w stronę Wołkowyska. On miał tam gospodarstwo rolne. Na razie Sowieci nas nie ruszali. Natomiast szaleli miejscowi białoruscy komuniści. Najpierw zamordowali Tadeusza Ursyn-Niemcewicza z sąsiedniego gospodarstwa, potem Krasickiego z Bojar i Strzałkowskich z Bohatyrowicz. Sowieci pozwolili im robić co chcą. Wycinali sobie drzewa z lasu, ale nie schylali się, tylko piłowali metr od ziemi.

Potem Sowieci zaczęli aresztować znaczniejszych Polaków, między innymi mojego stryjka z Grodna. My z bratem jakiś czas przebywaliśmy na wsi u ojca i jakoś nas nie ruszali. To był już koniec lata, po żniwach, już były wykopki. Natomiast zimą przyjechał do nas Romek Delimata, syn naczelnika poczty z Grodna. On przeprowadził całą swoją rodzinę z Grodna do Generalnej Guberni. A ponieważ Żydzi widzieli mnie i brata podczas obrony Grodna, więc było ryzyko, że ktoś z nich nas rozpozna. Ojciec powiedział, że musimy uciekać, no i podjęliśmy taką decyzję. Przyjechaliśmy do Zarębów Kościelnych w pobliżu granicy i tam na wsi zatrzymaliśmy się u pewnej pani, której mąż nie wrócił jeszcze z wojny. W nocy kolejno ruszyliśmy w kierunku linii granicznej. Niestety, brata złapali na granicy, a mnie jakoś udało się przedostać. To była, proszę pana, okropnie sroga zima 40-go roku, głęboki śnieg i około 30 stopni mrozu. Nie wiem, jak ja to wytrzymałem. Byłem strasznie zmarznięty i miałem przemoczone stopy, bo w dodatku przedarły mi się podeszwy w butach. W czasie tej wędrówki zatrzymałem się na noc u mieszkańców wioski i rano do dziurawych butów wkładałem gazety, a wieczorem wyjmowałem je przemoczone i wrzucałem do pieca. W końcu udało mi się dotrzeć do Warszawy. Nie przypuszczałem, że warunki życia będą tam aż tak trudne: chleb na kartki, sacharyna, kawa zbożowa. Zatrudni-

łem się więc u gospodarza na Mazowszu i jakoś dociągnąłem do 41-go roku.

Gdy Niemcy uderzyli na Wschód, no to gdzieś w lipcu zdecydowałem się wracać w rodzinne strony. Dotarłem do Bugu, a tam okazało się, że Niemcy dalej trzymali granicę Generalnego Gubernatorstwa, no i trzeba było przedostać się potajemnie. Jak się okazało, tam ciągle jeszcze stały czołgi sowieckie, tylko bez załogi. Niemieckie wojska nacierały już na Mińsk, a pod Grodnem pozostało jeszcze około 30 tysięcy żołnierzy sowieckich. Niemcy oczywiście ich wszystkich złapali, rozbroili i zamknęli na ogrodzonym polu pod Kielbasinem. Tam oni marli z głodu, z tyfusu i z dyzenterii. Widziałem osobiście jak tam przyjeżdżała furmanka załadowana burakami i jeden burak wypadł z tego wozu. Kilku jeńców rzuciło się na ten burak nie bacząc na ciosy otrzymywane od Niemców i żandarmów białoruskich. Bo trzeba tu powiedzieć, że białoruska policja służyła już Niemcom. Byli umundurowani w niemieckie płaszcze wojskowe z żółtymi wyłogami. Byli też tam ukraińscy policjanci służący Niemcom.

W rodzinnych stronach byłem dobrze znany, więc od razu przyjęto mnie do Narodowych Sił Zbrojnych. O broń trzeba było postarać się samemu. Pamiętam, że z czołgu sowieckiego wymontowałem karabin maszynowy oraz zabrałem dużo amunicji i granatów. To wszystko zamelinowałem. Mój kolega też zaopatrzył się w sowiecki karabin maszynowy. Z tych możliwości zdobycia broni korzystały też niestety różne bandy, które grasowały w tych okolicach i rabowały mieszkańców. Byli to głównie białoruscy komuniści i sowieccy żołnierze, którzy puciekali z obozów jenieckich. W ciągu dnia gdzieś tam leżeli w krzakach, a w nocy chodzili po wioskach i rabowali. W tej sytuacji zorganizowałem samoobronę w naszej wiosce Misiewiczce. W sąsiednich okolicach również powstawały takie oddziały samoobrony. Pamiętam, że w dniu 2 lutego 1942 roku, starszy sierżant Bortkiewicz mianował mnie na stopień kaprała i złożyłem przysięgę jako żołnierz Armii Krajowej. A przysięgałem wówczas na ten dzisiaj wiszący na ścianie krzyżyk, który moja mama kupiła w dwudziestym siódmym roku w Wilnie podczas koronacji Matki Boskiej Ostrobramskiej. Przy tym krzyżyku zmarł mój ojciec, matka, także i moja żona, no i ja również będę przy nim umierał.

W tym czasie Niemcy już brali młodzież na przymusowe roboty do Niemiec. Zarządzili, że takie a takie roczniki mają się zgłosić. Nikt się jednak nie zgłosił, więc Niemcy wzięli jako zakładników i uwięzili w Białymstoku takiego Przanowskiego oraz Staszka Krycińskiego. Przanowski oficjalnie był sekretarzem w Gminie rządzonej przez niemieckiego komisarza, ale zarazem pełnił ważną funkcję w wywiadzie akowskim, natomiast Kryciński był przed wojną podchorążym, a ponieważ znał język niemiecki, więc pracował jako tłumacz dla Niemców. No i ogłoszono, że jeśli do określonej daty wyznaczone roczniki nie zgłoszą się, to zakładnicy zostaną rozstrzelani. W tej sytuacji wszyscy zgłosili się, no i zakładników wypuszczono. Oni nie wrócili już do pracy tylko postanowili funkcjonować na stopie nielegalnej, czyli w akowskim "podziemiu". W tym celu potrzebowali jednak zmienić swoje dane osobowe, a więc potrzebne były blankiety dokumentów. Takie blankiety trzymane były w Urzędzie Gminy. Podczas odprawy akurat mnie wydelegowano abym postarał się o pracę w Gminie jako nocny stróż. Dostałem tę pracę i przez około pół roku pilnowałem w nocy gminnych koni i samochodu. Pozostało tylko dorobić klucze, co się udało, no i mogłem już dostarczyć Przanowskiemu i Krycińskiemu blankiety paszportów z ich zdjęciami podbitymi oryginalnymi niemieckimi pieczęciami z gapą (czyli nazistowską wersją herbu Niemiec). Natomiast jeden z naszych kolegów bardzo dobrze potrafił podra-

biać podpisy komisarza. No i w ciągu tych kilku miesięcy udało mi się dostarczyć naszej podziemnej organizacji dziesiątki tych blankietów. W końcu jednak poprosiłem kolegów o uwolnienie z tego zadania, no i wysłano mnie do podziemnej podchorążówki w Grodnie i do oddziału dywersyjnego. Było nas tam trzech do specjalnych zleceń. Moim bezpośrednim dowódcą był ps. "Czarny", czyli Zbigniew Jarosz (on prawdopodobnie poległ w Powstaniu Warszawskim). Moim odcinkiem działania był teren pomiędzy Grodnem a Białymstokiem. Co prawda nie uczestniczyłem w akcjach bojowych, a tylko w dywersyjnych. Dawano nam stosowne materiały i dokładnie objaśniano, gdzie i co mamy zrobić, no i wykonywaliśmy te zadania.

Front w 1944 roku zastał mnie nad Biebrzą w okolicach Suchowoli, Osowca, Korycina. W dniu 2-go sierpnia szliśmy w kierunku Warszawy aby przyłączyć się do Powstania. Jednak w Korycinie zatrzymała nas i rozbroiła "kontrrazwietka Smiersz" (sowiecki kontrwywiad wojskowy). W trakcie rozbrajania oddałem pas, automat, pistolet i granaty, a zupełnie zapomniałem o pistolecie kaliber 6,35 Browning w jednej z tylnych kieszeni w rezultacie zachowałem go. Potem zakopałem go, a po latach odkopałem i teraz mam go u siebie. Powiedzieliśmy sowieckiej "kontrrazwietce", że idziemy do Białegostoku aby wstąpić do Ludowego Wojska Polskiego. A oni: - Co wy za jedni? Wy "Andrusi"? (Oni tak nazywali żołnierzy Armii Andersa). Ja na to: - Skądże, jacy Andrusi! My zebraliśmy się w taką grupę i chowaliśmy się przed Niemcami, żeby nas nie wywieźli na roboty do Niemiec. Oni na to: - No charaszo. Oddajcie broń i idźcie do Białegostoku, do wojska. Tam wam dadzą broń.

Oczywiście, zamiast do Białegostoku poszliśmy w kierunku Janowa Podlaskiego. Tam pomiędzy Korycinem a Janowem był majątek Wilkindorf. Majątek ten był rozparcelowany i właścicielem dużej działki był niejaki Sobolewski, którego brat miał majątek w moich rodzinnych stronach i ja go dobrze znałem. No i my, a było nas trzech, poszliśmy do tego Sobolewskiego i wynajęliśmy się do pracy przy żniwach. Gdy jednak żniwa dobiegły końca to poczuliśmy, że jesteśmy "darmozjadami". Opuściliśmy więc gospodarstwo, rozdzieliliśmy się i wyruszyliśmy w różnych kierunkach. Ja dotarłem w okolice Białegostoku, gdzie miał gospodarstwo pewien właściciel, o którym wiedziałem, że jego ciotka wyszła za mąż za Kulikowskiego w naszych Misiewiczach. No więc u niego zamieszkałem i pracowałem. Gospodarstwo otoczone było lasami, więc razem jeździliśmy po drzewo do lasu, a że mieliśmy karabin, to zdobywaliśmy mięso polując na zwierzynę leśną.

W grudniu dostałem rozkaz przejścia na stronę Białorusi. Tam udało nam się w nocy opanować jedno więzienie. To właściwie był taki większy areszt w rejonie. Akcja odbyła się bez jednego wystrzału, bo strażnicy aresztu byli pijani i nie stawiali oporu. Dla pewności powyjmowaliśmy im zamki z karabinów. Wypuściliśmy z aresztu ludzi, ale tylko niektórzy skorzystali i uciekli. Byli jednak i tacy, którzy woleli pozostać w areszcie, bo po prostu bali się, że ich rodziny będą represjonowane. No cóż, trudno było ich przekonywać i zmuszać. W lipcu 45-go roku podczas przekraczania granicy pod Grodnem na stronę polską miałem pecha i zostałem zatrzymany przez sowiecką tzw. "czerwoną miotłę". Oni tam wylapywali dezertersów i resztki partyzantów. Broni przy sobie nie miałem, bo zostawiłem ją ukrytą w Misiewiczach. Oni tam jednak pojechali, dowiedzieli się, że byłem organizatorem samoobrony w wiosce, no i tę moją broń im wydano myśląc, że jestem już bezpieczny za granicą w Polsce. W konsekwencji 3 sierpnia 45-go roku aresztowano mnie zarzucając walkę z sowiecką partyzantką. Zaprzeczałem argumentując, że jaka walka, skoro żaden z sowieckich partyzantów nie był tam zabity ani ranny. No to zmieniono zarzut na uczestnictwo

w polskiej organizacji antysowieckiej. Skazano mnie na 15 lat łagrów i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich.

Trzymano mnie w więzieniu w Grodnie, potem w Moskwie, a ostatecznie 9 kwietnia 1949 roku znalazłem się w Workucie, w łagrze dla więźniów politycznych. Pracowałem tam początkowo przy robotach ziemnych, a następnie w kopalni węgla jako dyżurny elektryk. Z czasem w obozie zorganizowano wieczorowe kursy technikum górniczego, na które zapisałem się. No i wieczorami, po dniu pracy w kopalni, uczyłem się i ukończyłem technikum.

Po śmierci Stalina w 1953 roku zwolnił się z pracy w naszej kopalni energetyk i wyjechał do Donbasu. Jego stanowisko objął starszy elektryk, a mnie awansowano na starszego elektryka. Wprawdzie wciąż jeszcze byłem katorżnikiem, ale dzięki temu stanowisku mogłem kupić sobie cywilne ubranie, płaszcz górniczy oraz motocykl. Nawiązałem też kontakty z sąsiednimi obozami, aby w razie potrzeby móc wesprzeć w pracy tamtejszych elektryków. Jednym z tych obozów był kobiecy obóz oddalony od naszego o 14 kilometrów. Tam były uwięzione m.in. Polki z Wilna i ze Lwowa, więc gdy przychodziło mi tam jechać, to koledzy pisali do nich grypsy i ja im te grypsy zawoziłem. No i w tym obozie poznałem swoją przyszłą żonę - lwowiankę Czesławę Chudzik. Ona po śmierci Stalina dostawała przepustki z obozu, bo jako plastyk malowała różne plakaty - a to w lokalnej szkole, a to w cegielni, czy nawet w sztabie strażników obozowych. Dzięki temu mieliśmy możliwości spotkania się.

W 56-tym roku zwolniono mnie z obozu z anulowaniem wyroku i z przywróceniem praw obywatelskich. Jako wolny człowiek 1-go maja 56-go roku wyjechałem z Workuty do Grodna. Tam spotkałem mamę, która akurat wróciła z zesłania do Kazachstanu oraz stryjka, który wrócił z Syberii. A że byliśmy już po słowie z Czesławą, więc pojechałem do Lwowa, żeby poznać jej rodzinę, no i jej rodzinne miasto. Następnie wróciłem do Workuty i tam pracowałem jeszcze przez półtora roku, aby mieć możliwość kontaktu z narzeczoną, a wkrótce moją żoną, bo 11 listopada tegoż 56-go roku zawarliśmy związek małżeński. Żona wciąż odbywała długoletni wyrok jako więzień polityczny. Trzej moi znajomi, studenci wydziału prawa na uniwersytecie w Moskwie, postanowili jej pomóc. Szczegółowo wypytali ją do czego konkretnie przyznała się w śledztwie, a do czego się nie przyznała. Otóż skazano ją z artykułu 8-go za terror, czyli za to, że w ramach działalności partyzanckiej jakoby zlikwidowała jakiegoś sowieckiego agenta. Ona jednak w śledztwie przyznała się tylko do uczestnictwa w Armii Krajowej, ale nie do zabicia agenta sowieckiego. Zarzut ten, jak to sprawdzili, nie był oparty na zeznaniach naocznego świadka, a jedynie na tym, że ktoś usłyszał od kogoś taką właśnie wersję. W tej sytuacji owi studenci oprotestowali ten wyrok i wnioskowali o rewizję sprawy. W rezultacie powtórnego śledztwa wyrok 20 lat katorgi został sądowo zmniejszony do 10 lat. Oznaczało to jej uwolnienie, bo w obozie pracy przebywała jako katorżniczka już od ponad 11 lat. Aby mogła wolno przemieszczać się po terenie Związku Sowieckiego, czyli wrócić do Lwowa, koniecznym było wyrobienie tzw. "paszportu". To jednak mogło okazać się niemożliwe, bo wyrok sądowy stwierdzał "utrata praw obywatelskich" jeszcze przez kolejnych 5 lat. Koniecznym było więc szukanie odpowiednich znajomości.

Jako starszy elektryk obejmowałem techniczną opieką nie tylko obóz przymusowej pracy, ale i tzw. "posiołek", czyli lokalne osiedle. W Zarządzie "posiołka", w dziale paszportowym, pracowała Wiera Krokowska, co prawda komsomołka, ale zarazem Polka z Mińska.

Sprowadziła ją tu z Białorusi ciotka, która była głównym buchalterem w naszej przyobozowej kopalni. Ona skontaktowała nas ze swoją siostrzenicą, a ta wymyśliła sprytny plan. Trzeba było zaczekać na moment nieobecności w pracy urzędniczki wydającej paszporty na posterunku milicji w oddalonym o 2 kilometry miasteczku. No i gdy zdarzyło się, że owa urzędniczka była na urlopie chorobowym, to w zastępstwie wydawaniem paszportów zajęła się Wiera Krokowska. I właśnie wtedy moja żona pojechała tam i otrzymała od Wiery paszport. Odbierając dokument żona chciała go otworzyć i sprawdzić, czy rzeczywiście nie ma tam adnotacji o utracie praw obywatelskich. Wiera powiedziała: - Nie otwieraj. Sprawdzisz to sobie w domu. No i oczywiście nie było w paszporcie takiej adnotacji, bo Wiera wypisała go nie na podstawie wyroku uwolnienia z katorgi, lecz na podstawie metryki naszego ślubu. Tyle lat niby wynarodowienia, ale jednak odezwała się w niej polska krew i bezinteresownie pomogła mojej żonie.

Tak więc po tylu latach katorgi mogliśmy już oboje wrócić do Lwowa, co stało się faktem 17 października 1957 roku. Tam okazało się, że w rodzinnym domu żony oprócz jej mamy zamieszkiwało jeszcze 5 lokatorów. Zresztą dzięki temu władze sowieckie nie znacjonalizowały tego budynku i mama żony zachowała swój dom. Ja zatrudniłem się w cechu rzemieślniczym jako elektryk. Tak się jednak złożyło, że dobrze znałem Żyda Glejzera, naczelnika Energo-Laboratorium i on zatrudnił mnie w tym laboratorium. Pracowałem tam aż do emerytury jako specjalista od pomiarów elektrotechnicznych.



Eugeniusz Cydzik obok pośła RP Marka Kuchcińskiego (w środku), Jacek Borzęcki (pierwszy z prawej), w głębi ks. S. Czenczek i Drużyna Harcerska Czarna Trzynastka z Przemyśla; Zadwórze, 2011 rok (fot. z archiwum autora)

Po przejściu na emeryturę zaczęliśmy z żoną opiekować się grobami naszych wielkich Rodaków spoczywających na Cmentarzu Łyczakowskim. Co roku przed Świętem Zmarłych

żona robiła białoczerwone lampiony, które stawialiśmy na grobach Grottgera, Ordona, Konopnickiej, Belzy i wielu innych sławnych Polaków. Zapalaliśmy te znicze również na mogiłach powstańców listopadowych, styczniowych oraz przy Grobie Nieznanego Żołnierza na Cmentarzu Obrońców Lwowa. Wtedy jeszcze nie było wolnego wstępu na Cmentarz Orląt, ale dostawaliśmy się tam przez wyłom w murze i zapalaliśmy znicze.

W osiemdziesiątym dziewiątym roku polski "Energopol" wszedł na Cmentarz Obrońców Lwowa. On z ciężkim sprzętem, a my, lwowscy Polacy, z rękami do pracy jako wolontariusze. Od pierwszego dnia tam pracowałem. A ponieważ żona była plastykiem, więc malowała tzw. "cegiełki", które rozdawaliśmy na pamiątkę wycieczkowiczom, Rodakom z Polski i z innych krajów. Oni dobrowolnie składali nam pieniądze na odbudowę Cmentarza Orląt Lwowskich, no i uzbieraliśmy 12630 dolarów amerykańskich. Miałem na to oficjalne pokwitowania. Ówczesny prezes Czerkas chciał nam te pieniądze zabrać na potrzeby remontu siedziby Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej argumentując, że na tych cegiełkach jest pieczętka Towarzystwa. Ja mu na to odparłem: - Owszem, panie prezesie, jest tam pieczętka, ale jest też tam napis "Na odbudowę Cmentarza Obrońców Lwowa". Oczywiście, nie mogłem się zgodzić na żądanie prezesa, bo przecież nie taka była wola ofiarodawców. No i wówczas zarejestrowaliśmy nową organizację: Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie. Statut był przedwojenny tylko troszkę zmieniony, no i inna nazwa, bo przed wojną była to "Straż Mogił Polskich Bohaterów". Przez 7 lat byłem prezesem tego nowego Towarzystwa i w tym okresie odnowiliśmy polskie cmentarze wojskowe w Zadwórzcu, Busku i Kurowicach.

Wspomnienia nagrał i opracował - Jacek Borzęcki



Spotkanie Eugeniusza Cydzika (w środku), Stanisława Żółkiewicza (pierwszy z prawej) i Marka Kuchcińskiego, w rocznicę powołania Stowarzyszenia Obrońców Pamięci Orląt Przemyskich, Przemyśl, klub „Czuwaj”, 2004 r. (fot. z archiwum M. Kuchcińskiego)



Eugeniusz Cydzik i Grzegorz Trubicki, doc. botaniki. Po utracie pracy codziennie przez wiele lat pielęgnował groby na cmentarzu Łyczakowskim, lata 90. XX w., fot. J. Piórecki

Za wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej, za działalność na rzecz upamiętniania miejsc pamięci narodowej Eugeniusz Cydzik został odznaczony m.in. w 2009 roku Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP, a pośmiertnie, w 2013 roku, Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP.



Eugeniusz Cydzik - odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej (fot. z archiwum autora)

ZOFIA GARCZYŃSKA



Prezes Zarządu Oddziału Związku Sybiraków w Jarosławiu Zofia Garczyńska otrzymuje z rąk Burmistrza Jarosławia, Andrzeja Wyczawskiego, dyplom w dziedzinie ochrony dziedzictwa kulturalnego Jarosławia, 2014 r. Fot. ze strony <https://sybiracyzg.pl>

Wspomnienia sybiraczki - Zofii Garczyńskiej

Wczesnym rankiem, gdzieś o 5-tej godzinie ktoś mocno załomotał do naszych drzwi. Myśmy jeszcze spali, to znaczy ja i mój młodszy brat. Tymczasem wtargnęli do nas enkawudziści w szarych szynelach i w czapach z takim charakterystycznym czubem na środku tej czapy, na czole czerwona gwiazda i oczywiście z bronią w ręku. No i do ojca krzyknęli: - Руки вверх! Сдайте оружие! (czyli: ręce do góry, oddaj broń!). Tata odpowiedział, że nie ma żadnej broni. No więc zaczęli wszędzie szukać, wyrzucali wszystko z szafy i z szuflad. Mama zaczęła płakać. Myśmy się pozrywali z łóżek przestraszeni. Brat jakoś wcisnął się na kolana mamy i drżąc z płaczu kurczowo się jej trzymał. Ja też płakałam. Miałam wówczas 14 lat. Gdy enkawudziści zakończyli rewizję i nie znaleźli żadnej broni, to jeden nich popatrzył na zegarek i powiedział: - Через полчаса вы соберетесь здесь, выйдете из дома и отправитесь в Советский Союз (czyli: „za pół godziny macie się tutaj zebrać, opuścić dom i pojeździecie do Związku Radzieckiego). W tym momencie mama zemdliała. Ona chorowała na serce. Tato siedział na krześle, a enkawudzista trzymał mu przy skroniach pistolet i zabronił się ruszać. Ja płakałam, ale jak usłyszałam, że za pół godziny mamy wychodzić z domu, no to weszłam do pokoju i zastanawiałam się co powinnam zabrać. Pomyślałam sobie, że chyba trzeba pościel zabrać i wzięłam tę pościel, potem jakieś ubrania z wieszaka spakowałam i dorzuciłam jeszcze parę innych rzeczy. Jakoś tatę już puścili, więc weszliśmy

razem do spiżarni i wzięliśmy coś tam z żywności. A ten enkawudzista wciąż patrzył na zegarek i w pewnym momencie krzyknął: -Прошло полчаса. Вперёд! Вон из дома! (czyli: Pół godziny już mija. Zabierajcie się! Wychodźcie z domu!) A zima wtedy była okrutna, mróz sięgał 35 °.

No i załadowali nas na sanie. Jechaliśmy 12 kilometrów do takiego miasteczka, do stacji Narewka w Puszczy Białowieskiej. Tam już było bardzo dużo ludzi, głównie leśników, ale też wiele osób starszych oraz dzieci. Dookoła rozlegał się płacz, lament, coś okropnego. Na torach stały już wagony przygotowane dla nas. No i załadowano nas do tych bydlęcych wagonów. Ciasnota była okropna. W wagonie było nas 50 rodzin. Ale pomimo tej wielkiej ciasnoty atmosfera od razu stała się jakaś taka jakby rodzinna. Osoby starsze zajmowały dolne prycze, a młodszy ładowali się na górne. Czuło się jakąś taką serdeczność jakby wręcz rodzinną. Jeden drugiemu pomagał. Oczywiście płakaliśmy - co tu dużo mówić - wszyscy.

Podróż trwała prawie miesiąc: 10-go lutego nas zabrano, a 6-go marca wyładowano nas na Syberii, na stacji Talmienka. To był altajski kraj, talmiński rejon, a województwo barnauskie. W drodze umierało wiele dzieci - z głodu, z zimna. Tak więc nasza droga na Sybir usypana była trupami dzieci, ale także starców i innych. Następnie saniami przez całą noc wieziono nas w głąb tajgi, dziewiczego lasu, gdzie na polanie czekali na nas enkawudziści. Ulokowano nas w prowizorycznych barakach, po 6 rodzin w każdej z izb. Prawie natychmiast zachorowaliśmy - ja i mój tata. Po prostu była wysoka gorączka i niesamowita biegunka, a nie było tam żadnego lekarza. W tych barakach wśród tajgi byliśmy zamknięci od świata i ludzi. Tato mój leżał jakieś 10 dni, ja natomiast byłam nieprzytomna i już w agonii prawie umierałam. Mama w strasznej rozpaczce pobiegła do enkawudzisty i prosiła o jakąś pomoc, o lekarza, o ratowanie umierającej córki. On cynicznie odparł: „No to trudno, niech umiera wasza córka”. Mama przybiegła do baraku zrozpaczona, klęczała przy mojej pryczy, płakała i modliła się bardzo gorąco. No i Matka Boska wysłuchiwała jej prośb.

W tym łagrze myśmy byli przydzieleni do robót w tajdze, do żywicowania. Pozornie wydawałoby się, że ta robota nie jest taka ciężka. Jednak dla nas to była bardzo ciężka praca. Każda rodzina miała wyznaczony taki obszar lasu sosnowego i musiała wypełnić normę. Ojciec wycinał na pniu sosny tzw. „korytko” i „wasy”, a potem „naczyńko” u dołu. Natomiast mama i my dzieci musieliśmy wybierać żywicę z tych „naczyniek”. Aby dotrzeć do kolejnych sosen, musieliśmy przedzierać się przez chaszcze i powalone drzewa. W dodatku bardzo dokuczały nam komary Widliszki, które w dodatku roznosiły malarię. Gryzły nas też takie drobne muszki, które wciskały się do oczu i nosa. To było naprawdę coś potwornego. Trudno mi nawet określić, jak bardzo myśmy w tej tajdze cierpieli. A w dodatku nie mieliśmy co jeść, głodowaliśmy strasznie i przez to byliśmy słabi. Pamiętam jak mój brat zauważył, że wysoko na drzewie jastrzęb ma gniazdo. Niewiele myśląc zaczął wdrapywać się na to bardzo wysokie drzewo, a myśmy truchleli ze strachu, że on może spaść i się zabić. Był jednak niezwykle sprytny, zdołał wspiąć się na sam wierzchołek drzewa i wybrał z gniazda małe jastrzębie jajeczka. Pomimo tego, że byłam bardzo głodna, to jakoś nie mogłam tego zjeść.

Pierwszą Wigilię w tajdze na Syberii przeżyliśmy w 1940 roku. To był normalny dzień jak co dzień, szło się do pracy. Jednak akurat w tym dniu nie poszłam razem z bratem do żadnej pracy, bo był wtedy okropny mróz. Nawet nie wiedziałam, że to jest dzień wigilijny. Gdy rodzice wrócili do baraku, to mama spojrzała na nas i rozplakała się mówiąc: -Dzieci, dzisiaj jest Wigilia Bożego Narodzenia. Nie wiem nawet skąd wzięła obrusik, położyła go na

stole, postawiła obrazek święty i zapaliła świecę. Wyciągnęła skądś kawałki chleba, które dużo wcześniej oddzielała od swoich ust i chowała, żebyśmy nie zjedli i żeby teraz mogła go położyć na stole wigilijnym. Wszyscy odmówiliśmy modlitwę, a modliliśmy się bardzo gorąco, po czym mama wzięła kawałek chleba i zaczęła się z nami dzielić. Życzyliśmy sobie niczego więcej, jak tylko powrotu do Ojczyzny, do Polski. Ja i brat tak bardzo kochaliśmy swoich rodziców, całowaliśmy ich ręce, nie zważając na to, że było nam naprawdę bardzo ciężko. No i jedząc te kawałki chleba, modląc się i śpiewając kolędy odbyliśmy tę pierwszą naszą Wigilię na Sybirze.

Jak wiadomo, napad hitlerowskich Niemiec na Związek Sowiecki i układ Stalina z polskim rządem na uchodźstwie (Układ Sikorski-Majski z 30 lipca 1941 roku) przyniósł amnestię dla Polaków więzionych w Związku Sowieckim i formowanie polskiej armii pod dowództwem generała Andersa. Jednak nie wszyscy ci zagłodzeni i wycieńczeni Polacy byli w stanie pokonać tysiące kilometrów aby dotrzeć do formującej się armii Andersa. Tak było i z nami. Przynajmniej jednak udało nam się wyrwać z tajgi. Rodzice zaczęli pracować za skromne porcje gliniastego chleba w tartaku, w pobliżu jednego z kołchozów. No i ta właśnie okoliczność oraz życzliwość kołchoźników pozwalała przynajmniej uniknąć głodu, a to głównie dzięki możliwości podkradania kołchozowych ziemniaków czy buraków. Tam mieszkali tubylcy, zwykli Rosjanie, którzy też biedowali, ale dzielili się z nami tym co mieli. I tutaj muszę bardzo mocno podkreślić, że jeśli chodzi o nas sybiraków, to my naprawdę mamy do zwykłych Rosjan stosunek przyjazny. Nie żywimy do nich jakiejś nienawiści, bo naprawdę serdecznie nam pomagali w różnych sytuacjach. To byli zwykli, prości ludzie. I chociaż nie było tam kościołów i cerkwi, to jednak niektórzy z nich mieli schowane prawosławne ikony i po kryjomu modlili się. I jednak była tam wśród nich wiara w Pana Boga, choć oczywiście nie mogli tego okazywać na zewnątrz. Zналиśmy nawet jedną starszą Rosjankę, która gdzieś tam w piwnicy trzymała swoją ikonę i przed nią modliła się. A ponieważ jej syn był wielkim komsomolcem, więc ta Rosjanka bała się go i musiała kryć się przed nim z tą swoją wiarą. Kiedyś jednak syn zastał matkę modlącą się i natychmiast zameldował władzom o tym, że matka się modli i ma ikonę. No i aresztowali tę Rosjankę i potem nigdy już nie spotkaliśmy jej. Ten zbrodniczy system demoralizował ludzi, zwłaszcza tych młodych. Jeśli mamy pretensje i żal, to oczywiście przede wszystkim do tego systemu totalitarnego, na czele którego był Stalin.

Po roku od zakończenia wojny wyruszyłam z mamą i bratem w tę upragnioną podróż do Polski. Tam miał nas oczekiwać tato, który wcześniej z I Dywizją Kościuszkowską szczęśliwie przeszedł cały szlak bojowy i wrócił do rodzinnego Jarosławia. Gdy nasz pociąg przekroczył linię graniczną i zatrzymał się przed Przemyślem, bo był zamknięty semafor, to wszyscy wyszliśmy z tych wagonów, całowaliśmy polską ziemię i zaśpiewaliśmy „Boże coś Polskę”. Gdy dojechalśmy do Przemyśla, to nie było nam łatwo rozstawać się z tymi ludźmi, z którymi przecież dzieliło się los tam na zesłaniu. Płakaliśmy strasznie, no ale musieliśmy przecież dostać się do rodzinnego Jarosławia, żeby spotkać tam naszego tatę. W Jarosławiu wyszliśmy z bratem na dworzec kolejowy i czekaliśmy na pociąg, którym tato miał wracać z wojska. Pociąg wreszcie nadjechał i pasażerowie zaczęli tłumnie wychodzić z wagonów na peron. Zaczęłam nerwowo wypatrywać znajomej postaci naszego taty. Brat nie był pewny, czy w ogóle pozna ojca. W pewnym momencie krzyknęłam do niego: - Popatrz, tam idzie nasz tato! Radość była oczywiście ogromna, nie do opisania. Płakał tato, płakaliśmy my, ale to były łzy szczęścia. Jednak radując się z połączenia naszej rodziny,

z ogromnym smutkiem myśleliśmy o tych niezliczonych tysiącach grobów, które pozostały tam. Grobów, których tak naprawdę nie ma, bo w syberyjskiej tajdze ciała zmarłych zesłańców chowane były gdzieś tam pod sosną, pod brzozą. I tak kości Sybiraków są rozsiiane na bezkresnych terenach tej „niehumanitarnej ziemi”.

Wspomnienia Zofii Garczyńskiej, prezeski Zarządu Związku Sybiraków w Jarosławiu nagrał w 2010 roku i opracował – Jacek Borzęcki.

(Zofia Garczyńska zmarła 20 grudnia 2014 roku w wieku 88 lat)



*Zofia Garczyńska, Julian Paradowski i Irena Halwa podczas składania kwiatów pod pomnikiem Bohaterów i Ofiar II Wojny Światowej, Jarosław, 2014 r.
Fot. ze strony <https://sybiracyzg.pl>*

JANUSZ HOROSZKIEWICZ



Janusz Horoszkiewicz prezentuje swoją książkę "A imię nasze Wołyńskie Dzieci"
Fot. z archiwum J.Horoszkiewicza.

Wywiad z Januszem Horoszkiewiczem, opiekunem polskich miejsc pamięci na Wołyniu, uhonorowanym nagrodą "Kustosza Pamięci Narodowej" oraz autorem wydanej niedawno niemal 1000-stronicowej książki p.t. "A imię nasze Wołyńskie dzieci".

- Panie Januszu, na początku tej rozmowy proszę opowiedzieć kilka słów o swojej książce, jaki temat porusza i co przedstawia?

- Trudno w kilku słowach, ale się postaram. Na podstawie kilkuset wywiadów z naocznymi świadkami opisałem chronologicznie wydarzenia wokół Huty Stepańskiej, tej wiekowej, szlacheckiej, wołyńskiej wsi. Ta wieś i sąsiednia Wyrka - za swoją heroiczną walkę z hordami banderowskimi - upamiętnione zostały na tablicach chwały Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Czyż potrzeba więcej słów?

- Proszę w takim razie opowiedzieć o losach swoich rodziców i dziadków, którzy mieli to szczęście, że udało im się ująć z życiem z tak zwanej "rzezi wołyńskiej". Niewątpliwie to ich dramatyczne losy sprawiły, że dużą część swego życia poświęcił Pan na upamiętnianie krzyżami miejsc po spalonych wówczas i nie istniejących już polskich wioskach oraz na

spisanie w swojej książce wspomnień setek uratowanych dawnych mieszkańców tych miejscowości.

-Te moje wołyńskie zainteresowania pochodzą od taty, dziś już 91-letniego Szczepana Horoszkiewicza. Od dziecka cały czas w opowieściach była tylko Huta Stepańska i te okoliczne wsie. Tato pochodził z Omelanki, wsi położonej w pobliżu Huty Stepańskiej i miał wtedy 9 lat. Te wszystkie dramatyczne wydarzenia w okolicy Huty Stepańskiej działały się na jego oczach i on to wszystko zapamiętał. Ludzie we wsi się znali i dużo o sobie wiedzieli. Gdy przepytywałem dawnych mieszkańców spisując monografię kilkudziesięciu wsi wołyńskich, to osoby urodzone na przykład w dwudziestym piątym czy w dwudziestym drugim roku potrafiły od pierwszego do ostatniego gospodarstwa swojej wioski przedstawić dane wszystkich mieszkańców - dziadków, rodziców i dzieci oraz historię tej wsi. Oni wieczorami się schodzili, a że nafta była droga, to przy palącym się łuczywie, w półmroku izby snuli te opowieści. Dzieci siedziały w kącie, nie odzywały się i tylko słuchały co dziadkowie opowiadali, co tata mówił, o czym wujkowie rozmawiali. No i mój tata właśnie z takiego domu wyszedł. Dzisiejsza młodzież nie ma takiego daru słuchania i przekazywania informacji, jak ci ludzie kiedyś mieli. Oni nie mieli radia, telewizji, internetu i telefonów, więc słuchali i potrafili po latach te długie opowieści odtworzyć w pamięci i przekazać młodszemu pokoleniom. No i to jest właśnie zaletą tych ludzi, którzy już dożywają tych swoich ostatnich dni.

- Jak duża była Omelanka i kim w większości byli jej mieszkańcy?

- Omelanka to była wieś niewielka, licząca ponad 60 gospodarstw, a przy tym czysto polska. Nie było tam ani Żydów, ani Ukraińców, tylko sami Polacy. Zresztą cały ten rejon Huty Stepańskiej był zamieszkały prawie wyłącznie przez rodziny polskie. Dodam tu, że ta wioska stała się samodzielną parafią w 1922 roku, a w 34-tym została podzielona na dwie parafie: Huta Stepańska i Wyrka. Były to czysto polskie parafie. Na przykład w Hucie Stepańskiej liczącej ponad 220 gospodarstw oprócz rodzin polskich była tylko jedna rodzina mieszana, polsko-ukraińska, no i 10 rodzin żydowskich. Okoliczne wioski, na przykład Kamionka Stara, Borek, Siedlisko - również były czysto polskie. Można powiedzieć, że Huta Stepańska z okolicznymi wioskami była "wyspą" polskości otoczona ukraińskim "morzem", czyli wielkimi ukraińskimi wsiami. Aby to obszarowo przedstawić, to ta "wyspa polskości", czyli te dwie polskie parafie z okolicznymi wioskami stanowiły jakby prostokąt 20 kilometrów długi i 10 kilometrów szeroki.

- Kiedy banderowcy napadli na Omelankę i jak udało się Pana przodkom uciec z życiem?

- Wieś Omelanka została napadnięta, tak jak i wszystkie polskie wioski wokół Huty Stepańskiej i Wyrki, 16-go lipca 1943 roku. To stało się gdzieś po 10-tej w nocy. Wprawdzie w Omelance funkcjonowała samoobrona, ale nie była dostatecznie mocna. Raczej to było na tej zasadzie, że były wystawiane sąsiedzkie warty, które miały na wypadek jakiegoś zagrożenia alarmować wieś, tak aby ludzie mogli uciec. No bo nie było szans na obronę przed zmasowanym atakiem banderowskim. Natomiast szansą była ucieczka do otaczającego wioskę lasu, ewentualnie też do sąsiedniej Huty Stepańskiej, w której samoobrona była silna. Nikt jednak nie przewidział wielkości tego napadu. Banderowcy mocno się

przygotowali i zgromadzili kilka tysięcy Ukraińców z okolicznych wiosek, zwanych przez Polaków „czernią”. Próbowali przede wszystkim odciąć Omelankę od Huty Stepańskiej i jednocześnie zaatakować Wyrkę. Gospodarstwo mojego dziadka znajdowało się na uboczu, jakieś parę kilometrów od wioski. Babcia z dziećmi spała w domu, a dziadek zawsze czuwał wypatrując ewentualnego ataku. Akurat tej nocy zmorzył go sen. O świcie zbudził go jeden z mieszkańców alarmując, że Omelanka została napadnięta. Dom dziadka znajdował się kilka kilometrów od wsi i był pominięty w czasie ataku. Kiedy więc rodzina spała, to nad całą okolicą jaśniała łuna ogromnego pożaru. Mieszkańcy ostrzeżeni przez samoobronę o zbliżaniu się banderowców rzucili się w popłochu do ucieczki. Niewielka część mieszkańców Omelanki zdołała się przedostać do Huty Stepańskiej, natomiast większa ich liczba skryła się w lesie. To była panika. Kto nie uciekał przed mordercami, to nie zrozumie tego, że w trakcie tej ucieczki pogubiły się rodziny i dopiero w lesie rodzice szukali dzieci, a dzieci rodziców. Mój dziadek z babcią i swoimi dziećmi ukrywali się w lesie w pobliżu ich gospodarstwa i przesiedzieli tam aż do 22 lipca. Babcia ryzykując życiem wychodziła z lasu do gospodarstwa, doila krowy i jeszcze w domu przygotowywała żywność, żeby ukrywająca się rodzina miała co jeść. Myśleli, że może to się jakoś uspokoi i będą mogli wrócić do domu. Pewnego razu, gdy babcia doila krowy, mój tata i jego dwie siostry usłyszeli strzały i prosili mamę, żeby już uciekać, a ona jeszcze dalej doila krowę, żeby dzieci miały co jeść. No i w ostatniej chwili zdołali się wszyscy ukryć w krzakach, skąd mogli dostrzec przybyłych konno pod dom 11-tu banderowców. Nie wchodzili do wnętrza, tylko wyrwali sztachety z płotów i wybijali szyby wołając: -Wychodźcie z domu wy polskie świni! Oni bali się wchodzić do domów bo wiedzieli, że mieszkańcy mają tam przygotowane widły, siekiery i mogą się bronić. Mój dziadek też trzymał w domu widełki do ściągania garnków z ognia, a na tamte czasy wyostrzone i przygotowane do walki, które zabrał z sobą do lasu. Ostatecznie banderowcy zaczęli strzelać w dom zapalającymi kulami i drewniany budynek kryty gontem szybko się zapalił i spłonął. Dziadkowie z moim tatą i jego dwiema siostrami ukrywali się w lesie przez dwa tygodnie razem z grupą około stu Polaków, nie tylko zresztą z Omelanki, ale i z innych okolicznych wiosek. W tym czasie Huta Stepańska po dwóch dniach obrony już padła. Jej mieszkańcy wycofali się z rana do Rafałówki, a w większości po południu 18 lipca do przystanku kolejowego przy Grabinie.

- A jak udało się tak dużej grupie Polaków przetrwać bezpiecznie w lesie przez dwa tygodnie? Czy Ukraińcy nie szukali ich tam?

- Owszem, banderowcy robili obławy i szukali. Nie mogli jednak zebrać dostatecznie dużej liczby ludzi, żeby jednocześnie przeczesać cały ten duży kompleks leśny jaką była dawna Puszcza Stepańska. Tak więc jednego dnia robili obławę w jednej części lasu, a jakiegoś kolejnego dnia w innej części. Na szczęście jeden z ukrywających się Polaków miał szwagra Ukraińca, który ryzykując życiem przynosił nocami wiadomości, w której części lasu odbędzie się obława danego dnia. No i Polacy przemieszczali się z jednej części lasu do drugiej zgodnie z tymi informacjami.

- Ostatecznie Pana przodkowie bezpiecznie opuścili Wołyń. Jak do tego doszło?

- Otóż, pod koniec lipca niejaki Sulikowski z tej grupy Polaków ukrywających się w lesie

opłacił Niemców stacjonujących przy stacji kolejowej w Rafałówce i zachęcił ich do wyprawy na Omelanę, żeby sobie zabrali ukrytą tam żywność: słoninę, miód. No i 30-go lipca Niemcy przyjechali trzema samochodami terenowymi i trzema motocyklami. Wówczas Polacy na koniach pojechali do lasu szukając i zwołując rodaków oraz zapewniając ich, że z Niemcami bezpiecznie dostaną się do stacji kolejowej w Rafałówce. Jednak tylko część ukrywających się rodaków zdołała wyjść na czas z lasu. Na szczęście był wśród nich mój tata Szczepan, jego siostry oraz rodzice – czyli moi dziadkowie: Ludwik z żoną Bronisławą. Wyruszyli oni z tą całą grupą w kolumnie pod eskortą Niemców i bezpiecznie dotarli do Rafałówki. Mój tata, który miał wówczas 9 lat, opowiadał, że Niemcy w samochodach terenowych co jakiś czas zatrzymywali się, bo jechali szybciej, niż kolumna ludzi idących za furmankami. Wspominał też o częściowo lub całkowicie spalonych polskich wioskach, przez które przechodzili. Niektóre domy zachowały się, bo jacyś Ukraińcy chcieli je rozebrać i przenieść do wioski ukraińskiej. Wtedy na budynku widniał napis, aby tego domu nie palić, bo weźmie go sobie np. Petro czy Wołodymyr. Tato opowiadał też o strasznych widokach jakie zobaczyli: na przykład ciało martwego Polaka siedzące (dzięki podtrzymującym kijkom) na zabitej krowie, a w innym miejscu martwy Polak w ten sam sposób posadzony na zabitej świni. Obraz jeszcze większej masakry zobaczyli, gdy dochodzili do mostu w Wyrce. Tam na drodze leżało dużo już rozkładających się ludzkich ciał. Odór był tak straszny, że konie nie chciały dalej iść i ruszyły dopiero wtedy, gdy mężczyźni długimi drągami pousuwali trupy z drogi. Na poboczach stały zniszczone furmanki świadczące o tym, że dokonał się tu dramat napadu banderowców na uciekającą grupę polskich mieszkańców z Huty Stepańskiej. Gdy w końcu kolumna na czele z niemieckimi „terenówkami” dotarła do stacji kolejowej w Rafałówce, to Niemcy wsadzili Polaków na pociąg i wywieźli w ostateczności do Niemiec na roboty.

- A jaki los spotkał pozostałych ukrywających się w lesie Polaków, którzy nie zdążyli zabrać się z Niemcami?

- W lasach utworzyła się druga grupa Polaków, która samodzielnie wyruszyła do Rafałówki. Dotarli do celu, ale udało im się to tylko dzięki temu, że zaprzyjaźniony z Polakiem kum Ukrainiec powiedział im, którymi drózkami powinni iść, żeby nie spotkać patroli banderowskich. Poradził na przykład, żeby z Huty Stepańskiej nie iść do Rafałówki drogą przez las, bo tam jest banderowska blokada, tylko przejść w nocy drogą tuż za Policami, ukraińską wioską, bo tam akurat ich nie ma.

- Proszę teraz opowiedzieć o tej Pańskiej akcji stawiania krzyży w miejscach po spalonych polskich wioskach w okolicach Huty Stepańskiej. Kiedy po raz pierwszy podjął się Pan tego dzieła i jak wiele krzyży postawił Pan na Wołyniu, za co zresztą IPN przyznał Panu zaszczytny tytuł „Kustosza Pamięci Narodowej”? Jako dziennikarz uczestniczyłem w 2011 roku w pielgrzymce wołyńskiej, którą właśnie Pan zorganizował dla kilkudziesięciu Kresowian. Pamiętam tych kilkanaście ogromnych metalowych krzyży postawionych w miejscach po spalonych dawnych polskich wioskach.

- W okresie od 2008 do 2018 roku udało mi się postawić w sumie około 50 krzyży, przy czym nie wszystkie były metalowe i nie wszystkie tak wielkie, niektóre okazałe, a inne biedne,

proste. Pierwszy raz wybrałem się z tatą do Huty Stepańskiej w 2007-ym roku. Chcieliśmy zobaczyć tę dawną główną polską wioskę w tej części Wołynia, no i rodzinną wioskę taty - Omelankę. Wtedy jeszcze nie znałem żadnych książek na temat tej niegdyś czysto polskiej okolicy i jej zagłady. Nie wiedziałem wówczas, że generał Piotrowski napisał na ten temat książkę „Krwawe Żniwa”. Wiedziałem tylko to, co mi tata opowiadał, że wszystko zniszczone, że polskie wioski spalone, a ogromna ilość polskich mieszkańców wymordowana przez Ukraińców. Miałem ze sobą sowiecką mapę Wołynia z 86-go roku, aby trafić do Omelanki. Wyjeżdżałem tam z bardzo pesymistycznym nastawieniem, bo nie spodziewałem się niczego dobrego po Ukraińcach. Podróżowaliśmy Volkswagenem Bora i gdy już zbliżaliśmy się do Huty Stepańskiej, to na głębokiej dziurze w drodze miska olejowa pękła po uderzeniu o kamień, olej się wylał i byliśmy totalnie uziemieni. Ja jednak od dawna miałem pasję do grzebania przy samochodzie, no i udało mi się jakoś skleić tę miskę rodzajem plasteliny zwanej na Ukrainie „chłodną zwarką”, którą akurat miałem ze sobą. Ku memu zdziwieniu pierwszy przejeżdżający samochód przystanął i kierowca spytał, jak mógłby mi pomóc w tej biedzie. Jak się dowiedział, że potrzebuję jedynie oleju silnikowego, to zadzwonił do brata i poprosił go o przywiezienie 5-ciu litrów oleju. Brat szybko przywiózł olej i policzył tylko tyle hrywien, ile zapłacił w sklepie. Chciałem im jeszcze dodać na flaszkę wódki, a oni na to, że chcieli pomóc, a nie zyskać na tym. Poza tym – jak powiedzieli – to wódki nie piją. Byłem kompletnie zaskoczony, że spotkałem tutaj życzliwych, szlachetnych ludzi. Podziękowałem, wlałem olej do silnika i za chwilę byliśmy już w Hucie Stepańskiej. Stałem przy cmentarzu. Za chwilę podszedł do nas starszy pan – jak się okazało pastor Piotr Maksymowicz Jurczuk od zielonoświątkowców - i mówi: -Ja wszystkich Polaków witam, jak tu przyjeżdżają. No i pyta dokąd chcemy dalej jechać. Odpowiedziałem, że do dawnej polskiej wioski Omelanka. A on na to: -To ja zaprzęgnę konia i was zawiozę, bo tam droga niedobra na samochód. Uświadomiłem sobie, że tu żyją dobrzy, życzliwi Ukraińcy, więc przełamały się moje stereotypy. Pastor Jurczuk został moim serdecznym przyjacielem. On urodził się w 27-ym roku. Opowiadał, że jak miał 12 – 15 lat, to do Polaków chodził pracować jako parobek. Znał wszystkich mieszkańców Omelanki, wymieniał ich z nazwiska i po kolei pokazywał gdzie stały ich domy. Poprosiłem, żeby zawiózł nas na uroczysko Klimowo, bo tam stał dom mego dziadka Ludwika Horoszkiewicza. A on na to: W Omelance nie było Ludwika, ale był i tam mieszkał Jędrzej Horyszkiewicz. Pastor miał stu-procentową rację, bo wprawdzie mój dziadek miał w metryce napisane na pierwsze Ludwik, ale używał imienia drugiego i wszyscy mówili na niego Jędrzej. No i zawiózł nas na miejsce, gdzie po dawnym domu mego dziadka pozostało tylko pogorzelisko. Mój tata oczywiście rozpoznał wszystko i pokazywał, w którym miejscu był dom, gdzie stały budynki gospodarcze i gdzie była studnia, po której pozostało tylko zapadlisko.

- A więc ten wasz wyjazd na Wołyn zmienił Pańskie stereotypy w odniesieniu do Ukraińców?

- Tak, całkowicie odrzuciłem ten stereotyp Ukraińca jako człowieka nieprzyjaznego nam Polakom. Zrozumiałem, że nie można oceniać obecnych mieszkańców Ukrainy na podstawie tego, jak ukraińscy nacjonaści mordowali Polaków ponad 80 lat temu na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. To są po prostu zupełnie inni ludzie.

- Czyli to był ten impuls do kolejnych Pańskich wyjazdów na Wołyń i przyjaznych relacji z mieszkańcami tych miejscowości.

- W listopadzie 2008 roku, w Dzień Zaduszny moja rodzina ufundowała dla cerkwi w Hucie Stepańskiej duży dzwon odlany przez Ludwisarnię Felczyńskich w Przemyślu. Na tym dzwonie miał być odlany napis: „Dusze zagubione – do Najświętszego Serca Pana Jezusa wołam”. Czyli, że dzwoniąc, ten dzwon jakby woła te dusze. No bo tam w tych lasach, na tych bagnach leży masa zamordowanych i niepochowanych ludzi, których ten dzwon teraz woła. Niestety, pan Jan Olszański w tej odlewni dzwonów pomyślał sobie, że w tej nazwie jest pomyłka i że trzeba ją poprawić, no i w efekcie na dzwonie odlał taki napis: „Dusze zagubione do Najświętszego Serca Pana Jezusa wołają”. Oczywiście, nie dało się już tego zmienić. W każdym razie własnym autem zawieźliśmy ten ważący 220 kilogramów dzwon do cerkwi w Hucie Stepańskiej, gdzie został poświęcony i zawieszony na dzwonnicy.

- A więc to był taki wstęp do tych wielu upamiętnień postawionych przez Pana na tamtym terenie?

- Niezupełnie, bo już wcześniej, w maju 2008 roku postawiłem pierwsze upamiętnienie. Na dawnym polskim cmentarzu w Hucie Stepańskiej postawiłem trzy żelazne krzyże: duży, średni i mały. Na nich upamiętniłem swoich krewnych: dorosłych, nastolatków i dzieci. Z naszej rodziny Ukraińcy zamordowali w sumie 18 osób, ale na tym krzyżu są wypisane nazwiska tylko tych krewnych, którzy mieszkali w Hucie Stepańskiej i w pobliskiej Omelan-ce. Nie ma tam wymienionych osób z rodziny Klemensa Horyszkiewicza, zabitych w Parośli, bo nawet nie znałem imion ich wszystkich. Z pośród tych, których nazwiska widnieją na trzech krzyżach, nie wszyscy jednak są pochowani na tym cmentarzu, bo na przykład wujka zamordowali szuchmani ukraińscy i nie wiemy w jakim miejscu zakopali jego ciało, choć wiemy w jakich okolicznościach zginął. Okrutne okoliczności śmierci opisałem dokładnie w swojej książce.

- Widziałem te trzy krzyże na cmentarzu w Hucie Stepańskiej, no i ciekawi mnie, jak udało się Panu przewieźć swoim autem te trzy krzyże, z których najwyższy miał chyba ze 3 metry?

- Trzy krzyże splecione z sobą - to tak dla dokładności. Jechaliśmy w trzy osoby, a krzyże oczywiście wystawały z auta przez otwartą tylną klapę. Na przejściu granicznym Medyka-Szechinie bardzo przyzwoicie zachował się ukraiński pogranicznik, bo gdy zobaczył w naszym aucie te trzy krzyże, to przepuścił nas poza bardzo długą wówczas kolejką. Z kolei na trasie, a była to już godzina druga w nocy, zatrzymał nas ukraiński milicjant za przekroczenie dozwolonej szybkości. Mandat za szybkość był bardzo niski, natomiast zażądał bardzo wysokiego mandatu za otwartą w aucie tylną klapę. Twierdził mianowicie, że ukraińskie prawo drogowe wymaga aby w przypadku transportowania wystających z auta długich przedmiotów nie było żadnych pasażerów poza kierowcą. Odmówiłem zapłaty tak wysokiej sumy, więc milicjant zabrał mi prawo jazdy i dalej zajmował się kontrolowaniem szybkości jadących aut. No a my siedliśmy sobie w rowie i spokojnie piliśmy herbatę z termosów. Po dłuższej chwili milicjant wrócił i opuścił mandat o połowę i jeszcze dodat-

kowo ostrzegł, aby nie jechać za szybko, bo 60 kilometrów dalej stoi taka sama milicyjna kontrola drogowa.

- To był rok 2008. A co działo się w kolejnych latach?



*W trakcie stawiania krzyży w Chołoniewiczach za Dworem Kerna (fot.1) i w Kamionce Starej (fot.2).
Fot. z archiwum J. Horoszkiewicza.*

- Jeździłem tam stawiać krzyże co roku. Tylko raz nie byłem – w 2012 roku. No i początkowo dostawałem na piśmie wszystkie pozwolenia od lokalnych władz ukraińskich na te moje upamiętnienia.

- **No właśnie, jak udawało się Panu uzyskiwać te pozwolenia?**

- Wtedy czasy były tam, że tak powiem, normalne. Relacje pomiędzy Polakami a Ukraińcami rozwijały się w podobnym duchu, co między Polakami a Niemcami. Ocena „rzezi wołyńskiej” była tam negatywna, ale – jak mówili Ukraińcy – „my dzisiaj nie możemy odpowiadać za to co wtedy nasi robili”. No więc na moje pisemne prośby o pozwolenie na postawienie krzyży w miejscach po spalonych polskich wioskach odpowiadano, że w tym a tym dniu sprawa zostanie rozpatrzona na posiedzeniu Rady Wiejskiej, no i później przysyłano mi zgodę na oficjalnych pismach z podpisami i pieczęciami. Nie było z tym wtedy żadnego kłopotu. Relacje były dobre i wszystko szło w kierunku pojednania polsko-ukraińskiego. No i dopiero od tego „Majdanu Godności” w Kijowie w 2013 roku pojednanie się skończyło i w roku 2014 odrodził się – jak ja to nazywam – „banderowski diabeł”. On już, co prawda, wcześniej „kiełkował”, ale z całą mocą odrodził się właśnie wtedy, po „Majdanie”. I najbardziej mam żal do polskich polityków, którzy wtedy jeździli tam, robili sobie zdjęcia przy banderowskich flagach i wykrzykiwali publicznie banderowskie powitanie „Sława Ukrainie”.

- **A czy wcześniej, jeszcze przed „Majdanem”, nie miał Pan problemów z tymi najstarszymi Ukraińcami, którzy kiedyś byli banderowcami lub ich popierali?**

- Przyznam, że miałem wtedy okazję poznać wielu byłych wołyńskich banderowców, tych co byli w leśnych oddziałach, tych co zdobywali Hutę Stepańską. Udało mi się też porozmawiać z kilkoma byłymi łączniczkami banderowskimi. To słowo „łączniczka” jest przesadą, bo po prostu mama je wysłała, aby zanieść do lasu jedzenie dla banderowców, a jak przyszli Sowieci, to wszyscy ci, którzy nosili żywność banderowcom, zostali uznani za współpracujących z nimi i byli skazywani na 10 czy 15 lat syberyjskich łagrów. A co do starych banderowców, to w szczególności takich dwóch nie tylko poznałem, ale i się z nimi zaprzyjaźniłem. To byli bracia Witoszkowie, bardzo starzy ludzie. Szczególnie dobre relacje miałem z braćmi Romanem i Aleksijem Witoszko. Obaj już nie żyją. Roman umierając miał 97 lat, a Aleksij - według metryki - 108 lat. No i przez te znajomości z nimi narobiłem sobie kłopotów ze Służbą Bezpieczeństwa Ukrainy.

- O co ich Pan pytał i co oni Panu opowiadali?

- Pytałem ich gdzie są zakopani Polacy zamordowani w wiosce Półbieda koło Stydynia Małego. No bo ten mord jest zupełnie nieznany, nawet pani Siemaszkowa w swojej książce nie wspomina o tym akcie ludobójstwa. Tam zginęło 75 znanych mi z nazwiska i imienia polskich mieszkańców i jeszcze jakaś dodatkowa liczba Polaków, którzy schronili się tam po ucieczce ze swoich wiosek. W Łodzi wciąż jeszcze żyje ksiądz Tadeusz Żurawski, naoczny świadek tej zbrodni. Udało mi się przeprowadzić z nim bardzo szeroki wywiad. Opowiadał, że 30 marca 43 roku o świcie banderowcy napadli na Półbiedę Stydyńską mordując Polaków siekierami i widłami. No więc po pewnym okresie znajomości z tymi Witoszkami, dzięki zaprzyjaźnieniu się z nimi, zacząłem ich wypytывать gdzie są zakopani Polacy z Półbiedy Stydyńskiej. Pytałem też o miejsce zakopania Polaków, których „pierwsi” Sowieci wywieźli z linii granicznej w Bartkówce koło Dynowa i przesiedlili akurat do naszej parafii, a w 43-im roku pięćdziesięciu czterech tych Polaków z Bartkówki zostało zamordowanych na cmentarzu ewangelickim w Kolonii Stydyńskiej. Żyją jeszcze naoczni świadkowie tej zbrodni. Mieszkająca w Bartkówce Irena Zawisłańska (po mężu Hadan) widziała na własne oczy jak banderowcy wieźli jej tatę na śmierć i jej starsza siostra pobięła za tatą, więc wsadzili ją na furmankę obok ojca i oboje zostali razem z innymi zamordowani na tym cmentarzu. Irena schowała się w żyto i bała się wyjść, dzięki czemu przeżyła. Na kościele w Bartkówce wisi tablica pamiątkowa, na której wymienione są między innymi te 54 osoby z imienia i nazwiska. Nawiasem mówiąc, historię tych polskich wysiedleńców z Bartkówki opiszę w swojej kolejnej książce.

- O co jeszcze pytał Pan braci Witoszków?

- Szczególnie bliskie relacje miałem z Aleksijem Witoszko, którego wiele razy odwiedzałem w Stydyniu Wielkim i nieraz woziłem go swoim autem po interesujących mnie miejscach. Kiedyś spytałem go o miejsce zakopania 40-tu Żydów, których banderowcy zatrudnili w kwatermistrzostwie swego sztabu mieszczącego się w domu Lazarczuka w Hutwinie. Oni byli rzemieślnikami i tam pomagali w kuchni, szyli buty, szyli ubrania, a później banderowcy ich zamordowali. No i jak zacząłem mocno wypytывать o tych Żydów, to Witoszko nie chciał nic dalej mówić. Myślę, że wówczas zniechęciła go do wspomnień obecność kilku Ukraińców, którzy akurat podeszli i zaczęli przysłuchiwać się naszej rozmowie. Innym

razem Aleksij pokazał mi miejsce gdzie zakopano zamordowaną rodzinę Polańskich. Wskazał fragment łąki i powiedział: -Tu oni leżą. Spytałem, czy jest tego pewien. A on rzekł: - Ja tu od dziecka mieszkam i dobrze pamiętam, gdzie ta cała rodzina została zakopana. Może metr w jedną czy w drugą stronę, ale na pewno to było tutaj. Nie pytałem go - kto ich zamordował? Po prostu nie chciałem przesadzić, bo pytanie o identyfikację zabójców mogłoby go zniechęcić do pokazywania takich miejsc. Ja to wszystko oczywiście zgłosiłem do Instytutu Pamięi Narodowej. Przyjechał do mnie pracownik IPN-u z Warszawy i przekazałem mu dokładne namiary (z zaznaczeniem na mapie) na 8 dołów śmierci, w których zakopano ciała pomordowanych Polaków.

- Jak długo utrzymywał Pan kontakty z Aleksijem?

- Prowadziłem z nim te rozmowy na przestrzeni trzech lat. A przed jedną z ostatnich zim przygotowałem zestaw 192 szczegółowych pytań dotyczących wydarzeń historycznych, w tym o kolejne doły śmierci i kto mordował? Pytania w języku ukraińskim wysłałem Aleksijowi listem poleconym do Stydynia Wielkiego, tak aby mógł przygotować się do kolejnej rozmowy ze mną podczas planowanej wizyty u niego. Ten list jednak nigdy do niego nie dotarł. Miałem pełne zaufanie do poczty ukraińskiej, bo organizując 3 pielgrzymki na Wołyń wysyłałem w listach pieniężne zaliczki, raz nawet aż 500 Euro, i zawsze listy z tą zawartością dochodziły do adresatów. A w liście do Aleksija nie było żadnych pieniędzy, tylko kartka z pytaniami, no i właśnie tego listu nie otrzymał. To był znak, że coś się tam niedobrego dzieje.

- Zadbala o to chyba Służba Bezpieczeństwa Ukrainy?

- Na to wyglądało, ale nie byłem jeszcze tego pewny. Natomiast potwierdziło się to po moim ostatnim wyjeździe na Wołyń. Otóż, w 2018 roku postawiłem kolejne dwa, ostatnie jak się okazało, upamiętnienia w postaci dużych metalowych krzyży w dawnych polskich wsiach Folwark oraz Sunia nad Horyniem. Obie te wsie zostały unicestwione przez Ukraińców i nie pozostał po nich żaden ślad.



W trakcie stawiania krzyża w Suni. Fot. z archiwum J. Horoszkiewicza.

Wcześniej w rozmowie telefonicznej zgłosiłem ten pomysł przewodniczącemu Rady Wiejskiej w Cepcewiczach Wielkich. On odpowiedział, że Rada nie będzie z tym żadnego problemu robić i można krzyż stawiać. Zamówiłem więc okazały krzyż ze stalowego profilu 16 na 16 centymetrów. Na krzyżu była tabliczka, na której nie było napisane nic innego poza nazwą tej dawnej polskiej wioski. Gdy przyszło do stawiania krzyża, to przewodniczący Rady Wiejskiej powiedział, że trzeba mieć pozwolenie z Kijowa aby postawić ten krzyż. Jednak postawiłem go dokładnie w tym miejscu, gdzie stał za Polski. To miejsce wskazał mi tamtejszy mieszkaniec Stanisław Oczeretko i dość szczęśliwie się złożyło, że to publiczne dawniej miejsce znajduje się teraz na prywatnym polu Ukraińca. On zresztą nie miał nic przeciwko postawieniu go. Jednak za trzy tygodnie - już po moim powrocie do Polski - okazało się, że Krzyż został wycięty. Jak mnie poinformowali tamtejsi znajomi, przyjechała z Równego Służba Bezpieczeństwa Ukrainy i zmusiła tego przewodniczącego do zwołania nadzwyczajnej Sesji Rady Wiejskiej aby zagłosowała za usunięciem tego krzyża. Radni jednogłośnie wyrazili zgodę, czego później podobno bardzo żałowali. Ciekawe, że nie został wycięty - postawiony przez mnie w tym samym czasie krzyż w pobliskim Folwarku koło Ostów, gdzie banderowcy zamordowali kilkudziesięciu polskich mieszkańców. Nawiasem mówiąc, historię wsi Folwark opiszę w kolejnej mojej książce.

- W jakiś sposób zareagował Pan wobec SBU na to wycięcie krzyża?

- Z SBU nie chciałem korespondować, bo to jest – według mnie – instytucja łamiąca demokratyczne prawa człowieka i obywatela. Aby nie być gołosłownym, to wspomnę tu o ś.p. Piotrze Makarenko z Butejek, z którym się przyjaźniłem. To był dość niezwykły człowiek: pisarz, filozof, fotograf, a przy tym i kpiarz. Otóż napisał on książkę krytyczną wobec banderowców i własnym sumptem wydał ją w kilkudziesięciu egzemplarzach. Gdy przywieziono mu to wydanie i postawiono na ganku jego domu, to natychmiast zjawili się funkcjonariusze SBU i zarekwirowali cały nakład. SBU oskarżyła Makarenkę o prorosyjskość i spowodowała, że wiosną bieżącego roku został skazany na 3 lata więzienia. Czytając uzasadnienie wyroku dowiedziałem się m.in., że jednym z zarzutów było to, że pojechał do Moskwy rowerem! Ze względu na przebyte dwa zawały serca zawieszono mu ten wyrok, ale to go tak dobiło psychicznie, że w lipcu tego roku zmarł. No więc z SBU nie chciałem mieć żadnego kontaktu, to zresztą dłuższy temat, natomiast napisałem kilka listów do Rady Wiejskiej w Cepcewiczu Wielkim. Upominałem w nich zarówno radnych, jak i przewodniczącego Rady, że wyrządzili zło, a według Ewangelii jeśli ktoś popełnił zły czyn, to powinien tego żałować i naprawić wyrządzoną krzywdę. Przewodniczącemu w szczególności zagroziłem, że jeśli nie przywróci tego wyciętego krzyża na swoje miejsce, to poinformuję Cerkiew o tej profanacji świętego symbolu chrześcijaństwa i w konsekwencji zostanie on moralnie i kanonicznie potępiony.

- Czy był jakiś odzew na Pańskie listy?

- Ze strony przewodniczącego Rady Wiejskiej była cisza. Ponieważ jednak w tych listach podałem swoje nazwisko i adres, więc w 2019 roku nastąpiła reakcja, ale ze strony Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Otóż podczas próby przekroczenia granicy SBU wręczyła mi trzyletni zakaz wjazdu na terytorium Ukrainy z mocy artykułu 8 i 14. Nie wiedziałem co

znaczą te cyfry, ale znajomy dziennikarz z Kostopola sprawdził, że chodzi tam o „osobę szczególnie niebezpieczną dla bezpieczeństwa Ukrainy”. Pewną ironią jest fakt, że ten zakaz i ocenę mojej osoby przez SBU otrzymałem akurat parę dni po uhonorowaniu mnie przez Instytut Pamięci Narodowej tytułem „Kustosz Pamięci Narodowej”.

- Trzy lata już minęły, więc może mógłby Pan znowu pojechać na Wołyń?

- Na razie jest z tym problem, bo wciąż toczy się tam wojna. Ale jak się tylko uspokoi, to oczywiście będę chciał jeździć na ziemie moich przodków.

- Na zakończenie ostatnie pytanie: gdzie można nabyć Pana książkę?

- Książkę można nabyć bezpośrednio ode mnie, pisząc na adres mejlowy: janusz-huta-stepanska@wp.pl, lub poprzez „Fundację Wołyń Pamiętamy” (wystarczy wejść w Internecie na stronę Fundacji i tam zamieszczone są dokładne informacje).

- Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał i opracował Jacek Borzęcki



Janusz Horoszkiewicz prezentuje swoją książkę "A imię nasze Wołyńskie Dzieci"
Fot. z archiwum J.Horoszkiewicza



Krzyż na miejscu dawnej wioski Berezowiec. Fot. z archiwum J. Horoszkiewicza.



*1. Poświęcenie krzyża w Romaszkowym. 2. Krzyż w miejscu dawnej Kamionki Nowej.
3. Poświęcenie krzyża w Osowej. 4. Krzyż w Półbiedzie poświęca Ojciec Fiodor Borowiec
Fot. z archiwum J. Horoszkiewicza.*

STEFAN KURIATA



Stefan Kuriata - fragment zdjęcia ze strony internetowej Domu Polskiego w Żytomierzu

Historia polskiej wioski Dowbysz na żytomierszczyźnie. Wspomnienia Stefana Kuriaty – prezesa Polskiego Towarzystwa w Dowbyszu.

Dowbysz wyzwolili pierwszego stycznia w 44 roku. Ojca powołano w szeregi Armii Czerwonej. Był na froncie. Został ranny pod Warszawą, na Wiśle. Leżał w polskim szpitalu wojskowym. Po wyzdrowieniu jeszcze służył przez rok. W 46 roku demobilizował się i powrócił tu, do Dowbysza, gdzie pracował w redakcji gazety „Staliniec”. Wszystko szło dobrze, ciężko pracował, mieliśmy swoje gospodarstwo, konie, budynek. Jednak pewnego pięknego dnia mój starszy brat przyszedłszy do szkoły przywitał się z uczniami po polsku: powiedział głośno „Dzień dobry”. I tego samego dnia został wyrzucony ze szkoły za „nacjonalistyczny nastrój”. A był już w dziesiątej klasie. Gdy ojciec przyszedł do domu, to nie było brata. Bał się reakcji ojca i uciekł. No więc ojciec zbił mnie grożąc: „zabiję, jeśli i ty będziesz rozmawiał po polsku. Nie chcę, żeby nas wywieźli na Sybir”. I tak język polski został w naszym domu zakazany. Mogliśmy mówić tylko po rosyjsku i po ukraińsku. A zaczęliśmy rozmawiać po polsku dopiero w 90 roku. Tak więc, wcześniej bito mnie za to, że po polsku rozmawiałem – a teraz dostaje mi się za to, że po polsku nie mówię. Co mam robić, kto mi poradzi? Może ktoś w Polsce podpowie mi, co robić? I zarzucają mi, „czemu pan nie mówi dobrze po polsku?” Pamiętam i wiem, że pradziad, Stanisław Kuriata, był

wojskowym urzędnikiem. Potem, podczas rewolucji, mój dziadek także był wojskowym. Tato urodził się w 1900 roku. On także nazywał się Kuriata Stanisław, Antonowicz. Był oddany na służbę do carskiej armii ale kiedy zaczęła się rewolucja w 17 roku, bolszewicki przewrót, mój tato opuścił wojskową uczelnię i powrócił do Dowbysza aby być razem z rodzicami. Mój dziadek, Kuriata Antoni, Pawłowicz, w tym czasie był w austriackim obozie jenieckim. Gdy powrócił z niewoli w 20 roku, w Dowbyszu była już ustanowiona władza radziecka. Oni ukryli fakt, że byli oficerami carskiej armii i długo ukrywali się na folwarku. Tam nie pokazywali się i z czasem zatarło się w pamięci ludzi, że oni byli carskimi oficerami.

Autonomiczny rejon „Marchlewszczyzna”

Po ustanowieniu bolszewickiej władzy na tych terenach, została stworzona wielka, potężna baza materialno-techniczna. Zbudowano wszystkie budynki administracyjne: szpital, szkoła, biblioteka, siedziba Rady Wiejskiej, oddział rejonowy partii, zarząd rejonu. Wyremontowano też miejscową fabrykę porcelany. Za bolszewików, w latach 25-30, funkcjonowała cała infrastruktura. Jednak w 29 roku rozpoczęła się kolektywizacja. I kiedy w innych obwodach wstąpiło do kołchozów 50-60 procent mieszkańców, to na terytorium Marchlewszczyzny wstąpiło tylko 5-6 procent. A były takie wioski u nas, gdzie w ogóle nikt nie wstąpił do kołchozów. Przyczynił się do tego Kościół rzymsko-katolicki, prowadząc wśród wiernych wielką akcję uświadamiania, że kolektywne gospodarstwo jest szkodliwe i nie przyniesie niczego dobrego. I za to zresztą Kościół miał później drogo zapłacić. W Dowbyszu, stanowiącym wówczas stolicę rejonu Marchlewskiego, w 34 roku został aresztowany ksiądz Welik. Był on więziony do 38 roku – a w czterdziestym pierwszym został rozstrzelany w żytomierskim więzieniu. I więcej księży już tutaj nie było. Bolszewicy znęcali się nad katolikami, jak tylko mogli. Mam dokumenty potwierdzające to znęcanie się – jak chodzili po domach, szukali świętych obrazów i krzyży, szukali religijnych książek. I wszystko to palono. Były takie agit-brygady, które to wszystko niszczyły.

Wróćmy jednak do kolektywizacji. Nasz rejon Marchlewski był na szarym końcu z punktu widzenia udziału w kolektywizacji. Bolszewicy gdzieś powynajdywali takich osobników, którzy pomimo polskiego pochodzenia wstąpili do kołchozów i chodzili po domach, zabierali dobytek, znęcali się nad ludźmi i poprzez tę przemoc, zastraszenie, wciągali niektórych do kołchozów. Jednak pomimo wszystko, nasza społeczność – a Polacy stanowili tu wówczas 98 procent mieszkańców – przeciwstawiała się temu. Polscy mieszkańcy walczyli jak mogli ale nie wiedzieli, co ich czeka w niedalekiej przyszłości. To była ich wielka tragedia.

Chciałbym tu podkreślić taki charakterystyczny szczegół. Otóż, w tym czasie, gdzieś w 24 roku, odrodziła się spożywcza kooperacja w ramach systemu bolszewickiego. Po polsku to „spółdzielnia spożywców”. Odrodziła się i do tej spółdzielni spożywców Polacy bardziej wstępowali aniżeli do kołchozów. Oni wnosili do spółdzielni swoje arealy i za to otrzymywali towary. I na przykład, kto nie był członkiem takiej spożywczej kooperacji, to nie mógł kupić chleba, bo był wprowadzony system kartkowy. Zaraz panu pokażę taką książeczkę systemu kartkowego, z której wyrывało się kupony na mięso, chleb, cukier, i wszystko inne. I gdy w innych obwodach, na przykład w charkowskim, donieckim, winnickim, poławskim, do tych spółdzielni spożywczych wstępowało tylko 5-6 procent, to nasi Polacy byli tak sprytni, że do spółdzielni wstąpiło aż 70 procent mieszkańców. Prawie

wszyscy dorośli mieszkańcy autonomicznego rejonu Marchlewskiego wstąpili do spółdzielni spożywców, bo oni zrozumieli, że pieniądze są nic nie warte, bo za nie towaru nie kupisz. A jak jesteś członkiem spożywczej kooperacji, to za kartki dostaniesz towar w sklepach spółdzielczych. Natomiast nikt z Polaków nie chciał przyłączać się do kolchozów – aż do 35 roku.

W latach 33-35 u nas w Dowbyszu i okolicy było trzy tysiące indywidualnych gospodarstw rolnych. Do 37 roku wszystkie te trzy tysiące gospodarstw zostało siłą włączonych do kolchozu. Rozbierano budynki gospodarcze i cały inwentarz zwożono do kolchozu. Sytuacja była bez wyjścia i wszyscy musieli przystąpić do kolektywnego gospodarstwa, ponieważ rozpoczęły się represje.

Wcześniej, w latach 32-33 dużo szkody w naszym rejonie Marchlewskim spowodował głodomór. Co prawda, w samym Marchlewsku takiego wielkiego głodu się nie odczuwało. A to z tej prostej przyczyny, że ogromna większość gospodarzy nie przystąpiła do kolchozu i oni mieli na swojej ziemi jakieś urodzaje. Mieli możliwość przechować swoje zboże, swój chleb, swoją fasolę. A ci, którzy żyli w miastach albo w osiedlach miejskiego typu, tam spec brygady bolszewików wszędzie wyszukiwały zapasy żywności – w ziemi, w gnojowisku, w domostwach, pod podłogą, w podwójnych ścianach. Wszystko obstukiwali, znajdowali i zabierali. W swoim archiwum mam zeznania świadków głodomoru. Wszystko to mam u siebie. Kontynuując tę kwestię, dlaczego dowbyszanie przeżyli głodomór, trzeba powiedzieć, że funkcjonowała tutaj fabryka porcelany. Otóż, w fabryce była stołówka, gdzie pracownicy mogli się pożywić. A jaki by to nie był ojciec albo matka, to w zawiniątku przynosili do domu trochę tej kaszy czy kawałek chleba. Poza tym pracowała piekarnia, która za talony wydawała chleb członkom spółdzielni spożywczej, do której miejscowi Polacy masowo wstąpili. Ale do Dowbysza przybywali obcy ludzie z innych okolic i oni umierali po prostu na ulicach. Była u nas specjalna brygada, która zbierała umarłych i zwoziła na uroczysko Adamków, gdzie ich chowano. Mam zapisane na dysku relacje świadków, dowbyszanie, którzy opowiadają jak wówczas zbierano z ulic na wpół jeszcze żywych ludzi i zwożono ich do Adamkowa. Pojedziemy na to cmentarzysko i pan zobaczy to miejsce, gdzie ich pochowano.

Ogólnie biorąc, tutejsi Polacy względnie dobrze przetrzymali okres głodomoru. Według oficjalnej statystyki zmarło z głodu tylko sześćdziesięciu mieszkańców. W innych okolicach zdarzały się nawet, zwłaszcza w południowej części rejonu, przypadki ludożerstwa, gdy rodzice zjadali zmarłe z głodu dzieci. Jak trzeba, to mogę podać nazwiska. Były takie fakty, że rodzice nie wytrzymywali psychicznie, zamykali swoje dzieci w chacie, podpalali domostwo i sami rzucali się w ogień. W wiosce Niwna, gospodarz z trojgiem dzieci, w sytuacji bez wyjścia, podpalił dom z dziećmi i żoną a potem sam wskoczył w ogień. Wcześniej jeździł z prośbą o pomoc do władz rejonowych ale rejon w niczym mu nie pomógł. Mam dużo dokumentów na temat wielkiego głodu.

Gdy tworzone było autonomiczne „Marchlewszczyzny”, to liczył on ponad 42 tysiące ludzi. Potem, od 35 roku, rozpoczęły się represje. Do 38 roku wywieziono z naszych wiosek na Sybir 16 tysięcy Polaków. Na ich miejsce przysłali „gołodrańców” – z obwodu charkowskiego, donieckiego, połtawskiego i jeszcze z jakichś innych obwodów.

W pozostałych po Polakach domach kwaterowano też demobilizowanych żołnierzy, którzy odsłużyli już swój okres służby wojskowej. Dawano im pomoc materialną i osiedlano w budynkach po zesłanych Polakach. Na przykład u pana Karpińskiego skonfiskowano

budynek, rodzinę zesłano, a w budynku osiedlono „czerwono-armijców” gdzieś z obwodu połtawskiego. Rozumie pan? To byli ludzie, jacy nie byli przyzwyczajeni do pracy w gospodarstwie. W owym czasie nie znane było takie ukraińskie słowo „bomż” - ale to były właśnie takie bolszewickie „bomże”, którzy nie chcieli pracować i wódka była u nich na pierwszym planie, a praca w gospodarstwie - na ostatnim.

To były straszne czasy. To były takie straszne czasy, że nie da się ich panu opowiedzieć. Zabierano ludzi w środku nocy, wywożono do Żytomierza i bezpodstawnie rozstrzeliwano. Mego dziadka po linii matki, Rafała Domalewskiego, oskarżono, że jest polskim szpiegiem. On nie umiał czytać i pisać. Co on mógł szpiegować? Za to miał w swoim gospodarstwie 4 woły, trzy pary koni i 5 hektarów ziemi. Rozumie pan? On ciężko pracował uprawiając ziemię. Miał żonę i wychowywał dzieci. A oni go oskarżyli, że jest polskim szpiegiem.

Likwidacja „Marchlewszczyzny”

W 35 roku zlikwidowano polski narodowy autonomiczny Rejon Marchlewski i w Dowbyszu rozpoczęły się czarne dni. Bardzo wielu Polaków zesłano lub rozstrzelano – a ich jedyną winą było to, że byli Polakami. Słowo „Dzień dobry” albo „Niech będzie pochwalony” – to były słowa przynoszące śmierć. Dla władz to była „antysowiecka propaganda”. Jeśli chodzi o Kościół, to pozostało w całym obwodzie żytomierskim jedynie 4 kościoły i trzech księży. Cała reszta została zniszczona. Księży rozstrzeliwano lub zsyłano do łagrów, a kościoły zamykano, robiono w nich magazyny, kluby lub warsztaty. To było straszne.

Z samego Dowbysza rozstrzelano 170 mężczyzn. Rozstrzelano ich w różnych miastach: w Doniecku, w Charkowie ale najwięcej w Żytomierzu. Mam pełny spis tych rozstrzelanych Polaków. Przygotowujemy teraz taką tablicę pamięci ofiar stalinowskich represji. Wypiszemy na niej wszystkie nazwiska. Nie tak ogólnie, że u nas rozstrzelano 170 mężczyzn. Nie. To będzie po rodzinie, z nazwiskami. Arabski, Domalewski, Bagiński, i tak dalej, w latach 35-37 aresztowani i rozstrzelani. I takich nazwisk jest 170. Chcemy ich nazwiska uwiecznić.

Podam panu jeszcze taki ciekawy przykład. Po rewolucji, przysłano tutaj przybyłego z Polski człowieka, który pracował tu jako milicjant, dzielnicowy inspektor. Pewnego razu przyszedł do domu, położył pistolet na stole i poszedł zajmować się gospodarstwem. Jego młodszy syn wziął ten pistolet, nacisnął na spust i przypadkowo trafił starszego brata, raniąc go w szczękę. Ojca zwolnili z milicji, a po dwóch latach, w 35 roku, aresztowali i rozstrzelali. Ale nie za to, że nieostrożnie obchodził się z bronią, lecz za to, że był jakoby polskim szpiegiem. I gdy niedawno jego wnuczka chciała otrzymać Kartę Polaka, to ona nie mogła dowiedzieć konsulowi Sawickiemu, że ma polskie pochodzenie. A to dlatego, że jej ojciec i matka, po tamtej tragedii, od razu zapisali się jako Ukraińcy. I ich dzieci już byli jako Ukraińcy. No więc ja pojechałem do archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy i wziąłem dokument, gdzie jej dziadka, Ignacego Twardowskiego, oskarżono jako polskiego szpiega. Przekazałem ten dokument Komisji i dzięki temu ta wnuczka otrzymała Kartę Polaka. Ona była taka uradowana. Bo jak ona mogła udowodnić, że jest Polką, że ma polskie pochodzenie? Chodzi do kościoła, czyta i pisze po polsku, a w dokumentach ma napisane – Ukraina. Rozumie pan? Ona była taka szczęśliwa. U nas 150 dowbyszian otrzymało już Kartę

Polaka. Nie dlatego, żeby przenieść się do Polski - ale dla poczucia dumy. Ja nie pojadę do Polski oglądać za darmo te muzea. Ja nie pojadę tam szukać tych kolei, na które miałbym 50 procent zniżki.

Ja nie pojadę. Rozumie pan? Ale ja chcę, żeby moje wnuki wiedziały, że jestem Polakiem, że mam polskie pochodzenie. I że oni także są Polakami, że oni też mają polskie pochodzenie.

No, Polacy jakoś tutaj przeżyli. Pozostało gdzieś około 50 procent polskich mieszkańców, a 50 procent wyniszczono. Rozpoczęła się wielka wojna ojczyźniana. Niemiec ruszył tutaj, na nas. No, nasi wojowali. Wszyscy ojcowie i dziadkowie wojowali. Jak się potem niestety okazało, żeby nie siedzieć w niemieckich obozach jenieckich po trzy lata, a siedzieć w naszych łagrach po piętnaście lat. Rozumie pan? Bo w niemieckim obozie jenieckim więcej niż trzy lata nie siedziałeś - albo na wolność, albo umierasz. A w naszych łagrach siedziało się po piętnaście lat, a niektórzy i po dwadzieścia lat. Oni walczyli - rozumie pan - a potem szli do więzienia, do łagru, na długie piętnaście, dwadzieścia, a rzadko kiedy tylko na dziesięć lat.

Pod niemiecką okupacją

Gdy w 41 roku Niemcy przybyli do Dowbysza szóstego lipca, to zebrali wszystkich ludzi i wybrali starostę, policję, wszystko. I przysłali tu do nas naczelnika żandarmerii. Nazywał się Kocyjan. To był dość rozumny Niemiec. W pierwszej kolejności wszystkich bolszewików i komsomolców wyłapał i kazał rozstrzelać. Żydzi u nas kręcili się jeszcze przez około pół roku. Kto miał możliwość, to uciekł. A kto nie uciekł, to w końcu przyszedł rozkaz aby wyłapać ich, co do jednego. No i wyłapano ich i rozstrzelano. Według księgi pamięci Dowbysza - trzy osoby. Jednak dużo więcej Żydów wyłapano z okolicznych wiosek. Gdzieś około sto do stu dwudziestu Żydów rozstrzelano w Dowbyszu, tam w lesie sosnowym na uroczysku.

Trochę inaczej było z rodzinami „partyzanckimi”. Jeśli ktoś związany był z partyzantami i Niemcy go nie złapali, to naczelnik żandarmerii Kocyjan rozkazał, żeby nie czepiać się ich rodzin. I przez okres wojny - od czterdziestego pierwszego po czterdziesty trzeci rok - w Dowbyszu nie rozstrzelano ani jednej osoby, ani jednego członka rodziny partyzantów.

Naczelnik Kocyjan wprowadził też ostre zasady postępowania policji. Gdy np. policjanci zastrzelili jakiegoś mieszkańca, to naczelnik nakazywał wszczęcie śledztwa. I wówczas policjantów wsadzano na trzy doby do aresztu, dopóki nie zostało wyjaśnione, na jakiej podstawie oni tego człowieka zastrzelili. Rozumie pan? I to w pewnej mierze ocaliło Dowbysz. Ponadto w Dowbyszu pracowały wszystkie infrastruktury i przedsiębiorstwa: warsztat szewski, warsztaty wielobranżowe, poczta, telegraf, fabryka porcelany, prom-kombinat, młyn, łaźnia. Funkcjonowała spółdzielnia spożywców, trzy sklepy i piekarnia. Pracowały też dwa kołchozy. Wszystko to funkcjonowało. Ludzie mieli pracę i za tę pracę otrzymywali pieniądze. A jak mieli pieniądze, to mogli kupować towary. Z Dowbysza 95 osób zostało zabranych na przymusowe roboty do Niemiec. Większość z nich powróciło. Tylko 10 procent nie powróciło, bo dziewczęta powychodziły tam za mąż, mężczyźni poženili się. A 90 procent powróciło tutaj na ziemię ojczystą i potem bardzo gorzko tego żałowało.

Minęła wojna

Rozpoczęła się odbudowa, tak po naszymu, po komunistycznemu, „ludowej gospodarki”. No i rozpoczął się istny szturm. Do Dowbysza, do naszej fabryki porcelany, do kołchozów, przysłano bardzo wielu różnych pomocników partyjnych z Donbasu, z obwodu charkowskiego, z Połtawy. Co prawda szybko wszystko ruszyło, kołchozy zaczęły pracować ale urodzaje były bardzo niskie.

A moja rodzina? Mój ojciec w czasie wojny pracował dla podziemia. To znaczy, pracował w niemieckiej żandarmerii, realizując zadania organów NKWD. Pracował z nim też niejaki Apolinary Orczyński, który był naczelnikiem radiowęzła. Wcześniej był nim za władzy radzieckiej, potem za Niemców, a jak Niemcy odeszli, to nadal był naczelnikiem radiowęzła za władzy bolszewickiej – aż do 56 roku, kiedy to przeszedł na emeryturę. Tak więc oni razem z ojcem pracowali za Niemców dla podziemia, zbierając wszelkie informacje, o które prosiły miejscowe oddziały partyzanckie czy podziemne organy NKWD. Pomagali miejscowym partyzantom, przekazując im broń, żywność, a w szczególności lekarstwa, opatrunki.

Ja tylko nie wiem po co im były te opatrunki, bo nie słyszeliśmy, żeby partyzanci, którzy stacjonowali w lasach pod Dowbyszem, byli gdzieś poranieni czy brali udział w walce. No ale medykamentów bardzo dużo im przekazano. Tak naprawdę, partyzanci głównie zajmowali się grabieżą. Mam w swoim archiwum paręset zeznań świadków, którzy zaświadczały, że partyzanci a to wieprzka zabrali, a to krowę, kozuch, dobytek. Wszystko zabierali. Grabież i pijaństwo - to było głównym zajęciem sowieckiej partyzantki, która chowała się w lesie pod Dowbyszem. Oni do brawurowej walki nie rzucali się. Co prawda, mieli tylko jedną potyczkę z dowbyską policją. Zginęło wówczas dwudziestu policjantów i szesnastu partyzantów, i to w sytuacji, gdy partyzanci napadli z zaskoczenia. Rozumie pan? Tak więc, partyzanci nie byli zdolni do podjęcia otwartej walki.

Okres „pierestrojki”

W drugiej połowie lat 80-tych zaczęła rozwijać się u nas parafia katolicka. Przyjechał ksiądz Fitko, odprawił pierwszą mszę. Po nim przyjechał ksiądz Aleksander Milewski. I zaczęło tu kipieć. Ludzie żądali kościoła. Chcieli wybudować kościół. Bardzo długo władze sprzeciwiały się temu ale w końcu wydzieliły na ten cel działkę i dali pozwolenie na budowę kościoła. W 1995 roku budowa kościoła została zakończona. Od razu zorganizowano przy kościele nauczanie języka polskiego.

Ja w tym czasie, od osiemdziesiątego piątego, aż po dziewięćdziesiąty pierwszy rok mieszkałem w Żytomierzu. Byłem tam dużą „szychą”, bo miałem stanowisko naczelnika przemysłu piekarniczo-mięsnego w obwodzie żytomierskim. Podlegało mi dwadzieścia osiem piekarni, szesnaście masarni, czternaście wytwórni wód gazowanych, cztery zakłady konserwowo-suszarnicze oraz trzy kombinaty przetwórstwa spożywczego. I ja tym wszystkim kierowałem przez sześć lat. Ale kiedy rozpoczęła się pierestrojka, to zrozumiałem, że wszystko to pójdzie na marne. Dlatego w 1991 roku dobrowolnie zrzekłem się tego stanowiska. Przekazałem zarządzanie swemu zastępcy i powróciłem do Dowbysza na stanowisko dyrektora miejscowej piekarni, które wcześniej zajmowałem przed przeniesie-

niem do Żytomierza.

Pracując na tym stanowisku miałem możliwość pomagać w budowie kościoła. Wraz z księdzem Aleksandrem organizowałem zbiórkę funduszy. Moja rodzina dużo w tym dziele pomogła. Jak przeliczyć to na hrywny, to przekazaliśmy na budowę kościoła gdzieś do stu tysięcy hrywien. Zorganizowaliśmy stołówkę dobroczynną, w której karmiliśmy gdzieś od 40 do 60 osób. Z mojego przedsiębiorstwa przekazywałem dla przykościelnej stołówki wszystko, co mogłem: a to worek mąki, a to worek cukru, a to na święto Matki Bożej Fatimskiej trzeba było dać parafii pieczywo dla pielgrzymów, i tak dalej. Cały czas tak dawałem, dopóki ksiądz Aleksander nie przeniósł się do Łucka. Ale przybyli inni księża i oni trochę inaczej ustawili działalność parafii. Oni więcej zwracali uwagę nie tyle na sprawy materialne, nie tyle na rozwój kościoła jako obiektu fizycznego - a bardziej na kościół w sercu, w duszy, na rozwój duchowy parafian. Rozumie pan? Rozpoczęło się organizowanie różnych imprez religijnych: festiwale maryjnej pieśni, różne konkursy, wystawy, pielgrzymki. Jak powiedział święty Stefan, w ścianach nie ma Boga - on powinien być w sercu. Jeśli Boga nie ma w sercu, to jeśli nawet na każdym metrze ściany powieszysz ikonę, to i tak on tam się nie pojawi.

Nauczanie języka polskiego

Zauważyliśmy, że język polski w Dowbyszu nie jest nauczany, tak jak trzeba. Ja już w tym czasie byłem prezesem miejscowego polskiego towarzystwa. No więc napisałem list do polskiego konsula generalnego w Kijowie, a był nim wówczas Eugeniusz Panek, że potrzebna nam jest nauczycielka języka polskiego. I on, razem z konsulem Eugeniuszem Jabłońskim, przywiózł nam wspaniałą nauczycielkę od polskiego - Jolantę Prachę. I dzięki temu zapoczątkowaliśmy w miejscowej szkole naukę języka polskiego - od pierwszej do czwartej klasy. Wiedzieliśmy jednak, że na wolontariuszach daleko nie zajedziemy. Wybraliśmy więc dwie tutejsze dziewczyny i wysłaliśmy je na uniwersytet do Lublina, na studia pedagogiczne z języka polskiego. Ta przywieziona do nas nauczycielka popracowała przez dwa lata i powróciła do Polski. Na jej miejsce przyjechała z Polski druga nauczycielka - Irena Mereznik. Załatwiliśmy wówczas u władz rejonowych, żeby język polski był w naszej szkole nauczany nie tylko jako przedmiot fakultatywny, ale właśnie jako przedmiot obowiązkowy, i to od pierwszej do dziesiątej klasy. Najpierw język polski, potem historia Polski i geografia Polski.

Nasz budynek szkoły był już zniszczony i stary, zbudowany w 1929 roku. Za jednego z dyrektorów szkoła została więc rozebrana i miała zostać zbudowana nowa. Ale budowy nowej szkoły nie rozpoczęto przez pięć kolejnych lat. Dzieci uczyły się w tymczasowo przystosowanych pomieszczeniach. Wreszcie rozpoczęto budowę nowej szkoły - to był rok 1995-ty. I wtedy przyjechał do mnie szef administracji rejonowej i powiedział, że nie ma na budowę szkoły dosyć środków i żeby postarał się aby pomogła w tym Polska. Pojechałem więc do Kijowa, do pani Niżyńskiej, która była zastępcą prezesa Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, i poprosiłem ją o pomoc w staraniach. Ona dała mi adresy polskich instytucji i ja napisałem listy z prośbą o pomoc. Spotkałem się też w Żytomierzu z senatorem polskim, Adamem Struzikiem i zaprosiłem go do Dowbysza. On przyjechał, zobaczył jaka jest sytuacja i zdecydował, że Polska powinna nam pomóc. My prosiliśmy o 700 tysięcy dolarów ale w Polsce była akurat wielka powódź, to były lata 95-96. Dostaliśmy jednak 300

tysięcy dolarów i w ten sposób pomogliśmy władzom rejonowym w budowie szkoły. Ale ja wówczas poradziłem stronie polskiej aby w umowie z władzami ukraińskimi umieścić zapis, iż pomoc ta będzie udzielona tylko pod warunkiem, że w nowej szkole będzie prowadzona nauka języka polskiego. I rzeczywiście, w umowie prezes Wspólnoty Polskiej zapisał, że warunkiem pomocy finansowej jest nauczanie w szkole języka polskiego oraz żeby dyrektor szkoły lub co najmniej jego zastępca był polskiego pochodzenia. Strona ukraińska przyjęła te warunki i na dyrektora oraz zastępcę wybrała osoby polskiego pochodzenia. Nowa szkoła została oddana do użytku w 1997 roku. Są dwie polskie klasy, gdzie język polski jest nauczany obowiązkowo. Historia Polski i geografia Polski też oczywiście po polsku, no i nauczanie języka polskiego w tych dwóch pionach klasowych od pierwszej do dziesiątej klasy. Wszystkie inne przedmioty po ukraińsku. Aktualnie w naszej szkole uczy się 780 dzieci, a z nich około 380 uczy się w polskich klasach. Sporo naszych dzieci jest stypendystami „Semper Polonia”, a kilkoro wyjechało do szkół w Polsce na podstawie programu „Jan Paderewski”. Gdańska fundacja oświatowa pomogła nam i przyjęła sześcioro naszych uczniów, którzy już ukończyli liceum w Gdańsku i dostali się na studia w Krakowie, we Wrocławiu i w Warszawie.

Czy mam nadzieję, że oni po studiach powrócą do Dowbysza? Niestety, nie sądzę, że wrócą.

Rosyjskojęzyczne wspomnienia 69-letniego Stefana Kuriaty nagrał w 2010 roku w Dowbyszu, przetłumaczył i opracował – Jacek Borzęcki

BOLESŁAW OPAŁEK



Fot. z archiwum J. Borzęckiego

Ze Lwowem łączy mnie tak wiele

Wspomnienia ś.p. por. Bolesława Opałka (ps. „Żbik”) - żołnierza AK Okręgu Lwów, uczestnika akcji „Burza” we Lwowie, oraz wieloletniego prezesa rzeszowskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

- Na Łyczakowie spędziłem swoją młodość, tę pierwszą, te 19 lat, bo tyle mieszkalem we Lwowie do roku czterdziestego czwartego. Ukończyłem tam szkołę średnią i brałem udział w “Akcji Burza” we Lwowie. Chodziłem po Lwowie z bronią i z opaską „AK” na ramieniu. Byłem widziany przez wielu mieszkańców Lwowa przez te parę dni “Akcji Burza”, no i potem groziło mi aresztowanie. Dlatego na początku sierpnia’44 wyjechałem ze Lwowa do Przeworska, gdzie mój brat był leśniczym w ordynacji Lubomirskich. Za parę dni przyjechało tam również kilku kolegów z mojego plutonu, którym zostawiłem ten adres opuszczając Lwów.

Urodziłem się i mieszkalem przy ulicy Piaskowej 25 we Lwowie. To była taka ulica pod Kajzerwaldem, pod piaskownią. To była ulica spokojna. Biegła od kościoła świętego Antoniego ku wzgórzom Kajzerwaldu. Była to zarazem ulica ciekawa dlatego, że tam mieszkało parę osób takich znaczących. Niedaleko mieszkał znany satyryk polski Marian Żalucki, który zresztą był dobrze mi znany, bo w czasie okupacji niemieckiej w roku czterdziestym drugim i trzecim uczył mnie, mego brata i swoją żonę języka angielskiego.

A ponieważ był kolegą mojego starszego brata Wiesława, więc chodziliśmy przeważnie do niego do domu i tam przerabialiśmy język angielski. Niedaleko Załuckiego mieszkał doktor Knot, pracownik naukowy Uniwersytetu i późniejszy dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu i zarazem dziekan Wydziału Bibliotekarstwa na Uniwersytecie Wrocławskim. Dobrze go znałem, bo był przyjacielem mojego ojca. Jedną czy dwie kamienice niżej mieszkał Henryk Zwierzchowski, znany poeta lwowski. Był już wtedy w wieku dość starszym. Spotykałem go czasem na ulicy i znałem jego sylwetkę dobrze, bo to była taka sylwetka no właśnie takiego poety. W pelerynie chodził i czasem widywałem go wracającego w godzinach południowych z "Atlasa", bo tam spędzał często nawet noce. "Atlas" to była znana bardzo artystyczna taka knajpa, mówiąc po lwowsku, a mieściła się w Rynku. Spotykała się tam "cyganeria" lwowska, czyli artyści. Często gościem bywał tam Jan Kasproicz, bywał tam Hemar oczywiście, bywał też Parandowski. Plejada artystów spotykała się zazwyczaj właśnie w "Atlasie" i tam odbywały się takie artystyczne wieczory i noce, które zostały wpisane potem w naszą historię Lwowa i lwowskich sfer artystycznych. Dodam tu jeszcze, że przy ulicy Piaskowej urodził się - już w końcowych latach naszej obecności polskiej we Lwowie - poeta Adam Zagajewski. Napisał on kilka książek o Lwowie, między innymi taki długi wiersz drukowany powszechnie dosyć: "Jechać do Lwowa". Natomiast najdalej od początku ulicy Piaskowej, prawie przy kościele świętego Antoniego, mieszkał Zbysiu Herbert, mój bardzo bliski kolega. Chodziłem z nim przez cztery lata do Szkoły św. Antoniego. Ta szkoła mieściła się poniżej kościoła świętego Antoniego. Ze Zbysiem Herbertem należeliśmy razem do Kółka Ministrantów przy kościele franciszkanek. To było duże Kółko, bo grupowało kilkudziesięciu ministrantów, którymi opiekował się ks. Jan Sokołowski. Herbert był takim chłopakiem spokojnym, statecznym, zachowywał się bardzo taktownie. Wtedy już chyba myślał o Helladzie. Przejawiał to między innymi różnymi swoimi zainteresowaniami książkowymi i mówił czasem właśnie o tej Helladzie, o starożytności. No, już w nim kielkowały te jego później przelane na papier tematy.

- O dawnych Lwowiakach, o rodowitych mieszkańcach dawnego polskiego Lwowa mówi się, że to są i że to byli ludzie niezwykli, bardzo utalentowani, bardzo energiczni i pełni humoru. Czy pan to potwierdza?

- Tak, potwierdzam to. Ja znam te wszystkie rzeczy z opowiadań raczej, bo byłem za młody, żeby się w tych kręgach obracać. Natomiast do tego środowiska należał mój ojciec, który był przede wszystkim pedagogiem, ówczesnym dyrektorem Szkoły im. św. Marii Magdaleny, ale poza tym był działaczem kulturalnym, współzałożycielem Towarzystwa Miłośników Książki i redaktorem "Przeglądu Nauczycielskiego" oraz historykiem Lwowa. Obecnie nawet w przewodnikach dotyczących Lwowa nazwisko mojego ojca jest umieszczane przeważnie jako znanego bibliofila, bo tym się zajmował. Zgromadził w naszym mieszkaniu bardzo dużą bibliotekę. Jeden pokój zawsze był wypełniony książkami i krąg tych osób, które ojciec znał, przewijał się również przez nasze mieszkanie. Byli to ludzie wybitni. No, przede wszystkim postacią taką czołową wśród tych ludzi to był pan Franciszek Biesiadecki, właściciel majątków. W okolicy Rohatyna miał 3 czy 4 majątki, a poza tym kamienicę we Lwowie przy ulicy Potockiego 50. To była słynna kamienica "Pod Orłami", w której odbywały się bibliofilskie zebrania, na które przychodzili właśnie ci lwowscy bibliofile tacy jak Rudolf Mękicki- dyrektor Muzeum Historycznego Miasta Lwowa, jak Aleksander Semko-

wicz - znakomity człowiek jeśli chodzi o introligatorstwo. Miał on słynną introligatornię, w której najcenniejsze rzeczy u niego właśnie były oprawiane, w tym między innymi oryginał "Pana Tadeusza". Następnie - Jan Parandowski, Stanisław Wasylewski. Znani historycy, poeci, bibliofile byli w tym kręgu ludzi, a ponieważ ojciec o tym często mówił i oni bywali w naszym domu, więc także ja ten właśnie krąg ludzi poznałem bardzo dobrze.

- Proszę wspomnieć tę dzielnicę Lwowa, w której znajdował się Pana dom rodzinny.

- Ja mieszkałem właśnie przy ulicy Piaskowej. Tam mieli swoje domy Ukraińcy. Oni wybudowali nawet taki ciąg domów, który myśmy nazywali "ridna chata". To było kilkanaście kamieniczek jedno-piętrowych, w których mieszkali tylko Ukraińcy. Tak więc, jak z tego widać, ich zasobność i ich możliwości były dość duże. Ponadto mieli rozbudowaną swoją sieć gospodarczą. Mieli bardzo szerokie możliwości, jeśli chodzi o sprzedaż materiałów mlecznych przerabianych na różne pochodne rzeczy. To była "Torhowla". W mieście było kilkanaście takich sklepów. Ukraińcy mieli ogromne możliwości rozwojowe i te możliwości wykorzystywali. No, była tam też oczywiście spora grupa Żydów, nawet większa niż ukraińska. Ci oczywiście opanowali handel. Przed samą wojną już były pewne takie odruchy, żeby ograniczyć ich władztwo w tej dziedzinie handlowej i dać możliwości Polakom do tego handlu. Jedna trzecia mieszkańców Lwowa to byli Żydzi. Co prawda również bardzo ludzie ciekawi. Wielu z nich powiązanych było z tymi sferami naukowymi, bo pełnili ważne funkcje naukowe. Przede wszystkim jednak słynęli z tego, że prowadzili handel książkowy, antykwariaty. Słynne antykwariaty lwowskie to właśnie były w posiadaniu Żydów.

- Czy przed wojną były we Lwowie konflikty między-etyczne, czy raczej panowała tolerancja?

- Jeśli chodzi o Lwów, to zdarzały się właśnie przebiegi takiej działalności antyżydowskiej prowadzonej przez Narodową Demokrację. Bo ta formacja polityczna głosiła takie hasła, że Lwów powinien być aryjski i powinniśmy właśnie do tego dążyć, żeby ośrodki żydowskie ograniczyć w działaniu. Moi bracia studiowali: jeden był na Politechnice, drugi na Uniwersytecie. Tam działały te korporacje studenckie, no i Narodowa Demokracja właśnie skłaniała się do tych antyżydowskich działań. Co prawda moi bracia w Narodowej Demokracji nie działali, bo obaj byli w Legionie Młodych, a ta organizacja była związana mocno z ruchem legionowym.

- Od kiedy dało się odczuć we Lwowie ferment antypolski wśród Ukraińców?

- Były takie odgłosy, że takie powiedzmy nastroje nieprzyjazne rozpoczynają się wśród Ukraińców. Jednak te odgłosy dochodziły z prowincji, gdzie byli osiedlani koloniści wojskowi, zasłużeni żołnierze Wojska Polskiego. No bo była taka konkurencja, jeśli chodzi o gospodarkę wiejską na wsi, że koloniści mieli pewne uprawnienia zdobyte przez swoje zasługi wojenne, natomiast apetyt na parcelację mieli również Ukraińcy i też chcieli skorzystać z jakichś podziałów majątkowych. Jednak we Lwowie nie były to takie bardzo widoczne rzeczy. Natomiast zaczęło się to wszystko bardziej rozwijać w czasie okupacji - zarówno

pierwszej sowieckiej, jak i później niemieckiej. No bo już nastąpiły takie drastyczne rzeczy, że we Lwowie został zamordowany słynny polski lekarz, doktor Bolesław Jałowy, profesor, który zresztą niedaleko nas mieszkał. Ten skrytobójczy mord odbił się szerokim echem. Tego mordu dokonał syn znanego lekarza ukraińskiego i tenże lekarz ukraiński tak bardzo przeżył ten niechlubny czyn swego syna, tak bardzo przejął się tym, że dostał zawału i zmarł. Ten incydent zdarzył się już w czasie wojny i bardzo zapisał się w mojej pamięci.

- Ludność ukraińska nie stanowiła dużej części mieszkańców przedwojennego Lwowa. Nieprawdaż?

- Jeśli Lwów przed wojną liczył te trzysta kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, to Polaków było sto kilkadziesiąt tysięcy, Żydów około stu tysięcy, a Ukraińców chyba sześćdziesiąt tysięcy. Tak mniej więcej pamiętam te cyfry, które były przed samą wojną.

- Gdy Pan teraz odwiedza swoje rodzinne miasto, to jak Pan odbiera ten dzisiejszy Lwów? Niby ten sam, a może jednak już trochę obcy?

- Zawsze bardzo przeżywam odwiedzanie Lwowa. To są moje spotkania z tym miastem, z którym przecież łączy mnie tak wiele. Z tym, że mam takie spostrzeżenia, że Lwów niestety upada, ginie, bo za mało zainteresowania jest tym miastem, szczególnie jego strukturą materialną. Niszczeją szalenie lwowskie budowle, nawierzchnie, chodniki i ta cała infrastruktura. Owszem, są widoczne przejawy pewnych robót dekoracyjnych, ale to jest tylko odnawianie frontowych części kamienic, natomiast zaplecze budynków, podwórza i te oficyny pozostają nietknięte i coraz bardziej zrujnowane. Ostatnio zrobiłem sobie spacer po tych łyczakowskich uliczkach i stwierdziłem, że te właśnie nawierzchnie, te chodniki, bruki, to wszystko jest szalenie zniszczone i temu się nie nadaje żadnej rangi.

- Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał i opracował Jacek Borzęcki

EMILIA I CZESŁAW POŻNIAK



Emilia Pożniak podczas swoich setnych urodzin (fot. ze zbiorów siostr sercanek z Brodów)

Losy polskiej rodziny w czasie II Wojny Światowej w Ponikowicy koło Brodów, na terenach pomiędzy Galicją i Wołyniem.

Do domu 90-letniej Pani Emilii Prochownik, po ojcu Pożniak, trafiłem dzięki siostrzom sercankom z rzymsko-katolickiej parafii w Brodach. Poprosiłem ją o wspomnienie rodzinnych losów z okresu II Wojny Światowej.

- Rozpocznę od mego panieństwa. Jako Emilia Pożniak byłem córką Jana Pożniaka, Polaka zatrudnionego na kolei. Z domu rodzinnego to chodziłam do kościoła rzymskokatolickiego, bo u nas w Ponikowicy była kaplica, przyjeżdżał z Brodów ksiądz i odprawiał msze święte. Wyszłam za mąż w trzydziestym ósmym roku i pracowałam na gospodarstwie u męża.

- Wyszła Pani za Polaka czy za Ukraińca?

- Wyszłam za Ukraińca i przyjęłam jego nazwisko Prochownik. Jak pojechałam z tatą do Wysocka, żeby dać na zapowiedzi, bo tam utworzyła się nasza parafia, to tamtejszy proboszcz ksiądz Duszenko tak mi powiedział: -Dziecko źle postępujesz, że wychodzisz za mąż za Ukraińca. A tatuś na to: -Proszę księdza, to spokojny chłopak i my go dobrze znamy. No cóż, liczyło się głównie to, że posagu ode mnie nie żądano. Gdyby żyła moja rodzona

mama, to by to inaczej było. A ta druga mama to już nie darzyła mnie takim uczuciem. Tak więc pracowałam w gospodarstwie u męża. No i wybuchła wojna w 39-tym roku. Tutaj momentalnie Polska przepadła. Wkroczyli Rosjanie i odebrali Polsce te ziemie, prawie tak jak dziś jest granica.

- Pamięta Pani, jak zachowywali się Sowieci?

- To strasznie było. Wszystko trzeba było im zdawać: mięso zdawaj, chleb zdawaj, mleko zdawaj, nawet i z ogrodu wszystkie owoce zdawaj. To była niby taka pożyczka dla rządu. Nie można było wytrzymać. Było tak, że my ziarno zakopali w ziemię, no to oni mieli takie grube druty i wszędzie kłuli, wszędzie szukali. W komórce do wszystkich kufrów zaglądali, że to niby bandytów szukają. No to powiedziałam im, że przecież bandyta w kufrze nie siedzi. Tam przy drodze, jak do Brodów się jedzie, Rosjanie szybko zaczęli na polu robić lotnisko. No i wszystkich mieszkańców wyganiali z domów, żeby czyścili i równali to pole. Ja też musiałam równać tę ziemię. Potem na to wyrównane pole nakładali takie grube blachy i tam lotnisko zrobili. W 41-m roku uderzyli Niemcy i oni też skubali naszą wioskę, też żądali od nas wszystkiego.

- A co działo się w Ponikowicy w latach działalności banderowców?

- Banderowcy to mi ojca zamordowali w 44-tym roku. Napadli na dom rodzinny w nocy z 9-go na 10-go marca. Oprócz ojca zamordowali też dziadka, babcię oraz rodzoną siostrę księdza Duszenki. Na szczęście reszta rodziny nie spała w domu. Mój rodzony brat Józef jak zwykle wziął razem z naszą drugą mamą pierzyny, poduszki i nasze przyrodnie rodzeństwo, czyli 13-letniego brata i 4-letnią siostrę, no i poszli spać u kuma Ukraińca.

- A skąd w domu u Pani ojca wzięła się siostra księdza?

- Siostra księdza Duszenki schroniła się u ojca po tym, jak banderowcy napadli na plebanie w Wysocku i zamordowali jej brata, tamtejszego proboszcza. Księża z Brodów zabrali ciało ks. Duszenki i pochowali na cmentarzu w Brodach. Teraz szuka się tego grobu, ale nie można go odnaleźć. Jej wtedy cudem udało się ująć z życiem, jednak banderowcy widać szukali jej. Gdy dowiedzieli się, gdzie przebywa, to napadli. Ja mieszkałam u męża, ponad kilometr od domu rodzinnego. Myśmy nie spali tej nocy, bo słyszeliśmy strzały i widać było łunę ognia. Tatuś jak zwykle spał nie w mieszkaniu, tylko na strychu. On tak spokojnie położył się spać, bo zawsze miał nadzieję, że jak banderowcy by napadli, to nie znaleźliby go. Strych był oddzielony od mieszkania i wejść tam można było tylko od zewnątrz. Tymczasem schować mu się nie udało. Banderowcy jakoś się dowiedzieli, że on tam jest. Przystawili drabinę do strychu i najprzód dwa razy rzucali ogień przez okienko, ale tatuś gasił. Trzeci raz rzucili granat no i wypłoszyli ojca. Udało mu się wydostać przez okno z drugiej strony strychu. Opuścił się po łańcuchu na ziemię i uciekał w stronę torów kolejowych, ale za torami też oni byli i zastrzelili ojca. Kula trafiła w głowę wyrывая mu policzek. A w mieszkaniu zamordowali siostrę księdza Duszenki, no i rodziców mojej drugiej mamy, czyli dla mnie dziadków. Dziadzio miał chyba 71 lat, a babcia 70. Oni nie za długo mogliby umrzeć własną śmiercią. Po co było ich zabijać tylko dlatego, że byli Polaka-

mi? Takie rzeczy się działy.

- Jako Polka, pani też musiała chyba bać się o swoje życie?

- Ja tak liczyłam na to, że skoro wyszłam za Ukraińca, to może mnie nie ruszą. Ale oczywiście to był strach. Był marzec, a ci banderowcy rządili jeszcze długo. Trzeba było nic nie widzieć, nic nie mówić i nic nie słyszeć. Trzeba było tak żyć. To było strasznie. My z rodzonym bratem Józefem co wieczór braliśmy snopek słomy, kołdry, poduszki i szliśmy spać w krzaki. Baliśmy się spać w domu. Pamiętam, godzina jedenasta wieczorem. W piecu jeszcze chleb się dopieka. Ja już odziana, obuta, nasłuchuję i mówię do teścia: -Za pół godziny żebyście chleb z pieca wybrali, bo ja już nie mogę dłużej być w mieszkaniu. W naszym przysiółku było tylko pięć gospodarstw i zaraz przez tory była rampa. No i słyszę, że już jadą. No, gospodarz w taką porę nie jedzie. To jedzie banda. No i trzeba było już szybko z podwórka uciekać. Naprawdę, to strasznie było. Nieraz tak sobie myślę: -Mój Boże, jak ja to wszystko przeżyłam i przeżyłam?

- Nigdy banderowcy nie zastali Pani w domu?

- Owszem, znaleźli mnie. To było już za Ruskich. Pamiętam, że przyszli pod dom, zapukali do drzwi i mówią: -Wyjdź gospodyni! Co było robić? Wychodzę, nie ma rady. A oni powiadają: -Słyszeliśmy, że ty za Polską ciągniesz. Struchlałam, ale szybko przyszła mi taka myśl i odparłam: -Jak ja bym była taką polską patriotką, to bym nie wyszła za mąż za Ukraińca. Co chcecie ode mnie? A oni: -Pewnie cieszysz się, że Ruscy przyszli? A ja na to: -A czy ja tu przyprowadziłam Ruskich? Oni sami przyszli. Uspokoili się i mówią: -No dobrze, możesz iść do mieszkania, ale daj pieniędzy! Ja mówię: -Ale ja nie mam pieniędzy. Ruskie mi wszystko zabierają. Muszę dać na podatek i jeszcze na pożyczkę dla ich wojska. No i pokazuję mu, że mam dziurawe buty, bo nie mam pieniędzy, żeby nowe kupić. Oczywiście, trzeba było dać im chleba, owoców z ogrodu. W tym czasie oni w kryjówkach w lesie siedzieli, jeść chcieli, no i zabierali co było do zjedzenia. Tak było, dopóki Związek Radziecki nie zaczął tu rządzić. Wtedy Ruskie ich tu wypłoszyli, ścigali, pozabijali, a niektórych wywieźli na Syberię. I się uspokoiło.

- A jak Pani przyjmuje fakt, że ten nacjonalizm zaczyna się teraz na Ukrainie Zachodniej odradzać?

-Tak, w Brodach, we Lwowie, oni mają decydujące słowo. Wszystko jest pod ich rozporządzeniem. Cieszą się tym, a co robili – tego nie pamiętają. Tak jakby zmarło to wszystko, jakby nie było. Ale świadkowie jeszcze są. Ta po co mi daleko szukać. Ta przecież tu na wsi to ja wiem, kto był banderowcem.

- Razem z Sowietami przyszła kolektywizacja. Jak to się działo w Ponikowicy?

- Stodołę zabrali, cały dobytek z gospodarstwa zabrali, pole zabrali i miedze zaorali. Powiedziałam do swego męża: - No i gdzie będziesz gospodarzył? Jak nie wejdziemy do spółdzielni, to zginiemy z głodu. A on mi odpowiada: -Żebym miał zginąć pod płotem, to ja

do kołchozu nie pójde. A ja mu tak powiedziałam: -Ty nie pójdiesz, ale ja pójde. No i włożyłam na furę wszystko, czego jeszcze z gospodarstwa nie zabrali, pług, brony, i razem z kobyłą i łoszakiem odwiozłam im do kołchozu. Mąż był uparty. Nie przyłączył się, tylko poszedł na kolei pracować. Ale kto był chytry, to się tam zarejestrował jako sowiecki pracownik na etacie, a on chciał być swobodny. Został więc z niczym. Niedługo Ruskie zabrali jego i takich jak on do przymusowej pracy przy odbudowie mostów. Wzięli go w "roboczy batalion".

- Jak pracowało się w kołchozie i jak płacili?

- Już na drugi dzień po zapisaniu się do kołchozu poszłam razem z innymi kobietami plewić pszenicę. I tak już codziennie trzeba było pracować. Różne były roboty w tej spółdzielni. A za "trudodzień", czyli za dniówkę, dawali nam po 200 gramów ziarna, czyli prawie nic. Aby jakoś przeżyć - trzeba było trochę dobrać "na lewo". Na szczęście brygadzysta był dobrym człowiekiem. On widział, że ludzie biorą tego ziarna trochę więcej, ale nic nie mówił. Udawał, że tego nie widzi. Po prostu rozumiał, że ludzie są głodni i chcą jeść. Moja pierwsza miesięczna pensja wyniosła 29 rubli. No i u nas był taki zwyczaj, że pierwszą pensję trzeba było rozpić. Poszłam więc do sklepu, kupiłam wódkę, kielbasę, chleba, zaprosiłam kobiety i poszłyśmy na pole. Babki zasiadły do poczęstunku, wypily, zaśpiewały, no i było wesoło. Z pensji już nic nie zostało, ale to były moje młode lata, człowiek był zdrowy i tej biedy się nie odczuwało. Z kolejnymi latami trochę się poprawiło. Wielu kierowników przewinęło się przez tę spółdzielnię. Na koniec Ruskie przysłali na kierownika kołchozu w Ponikowicy swojego pułkownika. Okazało się, że to był porządny człowiek. On naprawdę bardzo rozwinął spółdzielnię. Nabudował tu wiele budynków gospodarczych, zbudował szkołę, łaźnię, a nawet taki fajny klub kultury. Można powiedzieć, że ten kołchoz stał się milionerem. Ten ruski kierownik już nie żyje. Powiedziałam ludziom, że powinniśmy się złożyć i zbudować mu pomnik. To nic, że on był Ruski, ale był bardzo dobry gospodarz i dobry człowiek. I ludziom wtedy dobrze się tu żyło.

- A jak teraz żyje się w Ponikowicy? Jest lepiej niż dawniej?

- Jest lepiej, bo kiedyś ludzie nie mogli sobie kupić w sklepie tego, co się chce. Nie było w ogóle towarów. Nasze spekulanty jeździli aż do Rygi, żeby koszulki kupić. Teraz mam osiemset grywien emerytury.

- Da się z tego wyżyć?

- Nie tylko z tego żyję. Uprawiam jeszcze ogród, sadzę ziemniaki, mam własne warzywa i owoce. Trzeba pracować, żeby utrzymać siebie i ten dom. Bez pracy nie ma kołaczy. Jak ja pracuję, to czuję się zdrowsza.

- No i świetnie się Pani trzyma. Trudno uwierzyć, że "stuknęło" Pani już 90 lat.

- Nikt nie wierzy, że mam te lata. Ksiądz Anatol powiedział mi: -Pani Emilia to chyba musiała sobie przypisać więcej lat, niż ma.

- W tym roku Parafia Rzymsko-katolicka w Brodach zakończyła budowę nowego kościoła. A jak do tego doszło, że nie udało się odzyskać zabytkowego polskiego kościoła parafialnego stojącego w centrum miasta?

- Po wojnie miejscowe władze urządziły w kościele salę sportową. Pod koniec lat 80-tych zaczęli przyjeżdżać polscy księża ze Lwowa i odprawiać msze w tym kościele. Jak Krawczuk został prezydentem Ukrainy, to kazał oddać wszystkie świątynie prawowitym właścicielom. Gdy to ogłosili, to my Polacy przejęliśmy ten dawny rzymokatolicki kościół. Przyjeżdżaliśmy co niedzielę, ale wchodziliśmy nie od frontu, tylko z tyłu. Z wielu wiosek zjeżdżały się Polki, które były zamężne za Ukraińcami. W kościele były przeważnie kobiety, bo mężczyźni puciekali, a chociażby i zostali niektórzy, to stali się Ukraińcami. My chodzili do kościoła, chodzili i chodzili przez ponad 3 lata. Ja byłam jeszcze młoda, to często tam jeździłam. Aż kiedyś przed Wielkanocą grekokatolicki ksiądz Czarek powiedział nam tak: -Jak chcecie się tu modlić, to będzie to w kolejce: my raz i wy raz, my w jedną niedzielę, a wy w drugą. Ksiądz Juliusz Musiał nie chciał się na to zgodzić. No i wkrótce całkowicie odebrano nam ten kościół.

- Kiedy i jak do tego doszło?

-To było tak: gdy w 1993 roku przyjechaliśmy świętować Wielkanoc, to ksiądz grekokatolicki już nas do kościoła nie wpuścił. Przed kościołem, przy ulicy stał stół i musieliśmy się na stojąco modlić, spowiadać i otrzymywać komunię. Nic nie można było ani wyprosić, ani wypłakać. Nic nie można było zrobić, bo miejscowe władze przekazały kościół greko- katolikom na własność. I tak już zostało. A nam powiedzieli, że dostaniemy działkę na obrzeżach miasta i możemy sobie tam kościół budować. Wszyscyśmy się popłakali. I powiedzieli nam jeszcze: -Ten krzyż drewniany stojący przed kościołem sobie zabierzcie! A Polacy odpowiedzieli: -Nie. Jak zabraliście kościół, to zabierzcie i ten krzyż, a my sobie nowy drewniany postawimy.

- Jak wówczas wyglądała ta działka na obrzeżach miasta?

- To było już za miastem, blisko torów kolejowych. Ja pamiętam jeszcze z czasów szkolnych, że tam było bagno, teren podmokły nie nadający się pod budowę. No, ale co było robić? Poszliśmy na to bagno i tu przez długie lata, najpierw pod gołym niebem, potem w małej kapliczce, księża odprawiali Mszę świętą. Bywało tak, że padał deszcz i trzeba było nad księdzem parasol trzymać. Gdy wiało, to trzeba było trzymać księdzu Ewangelię, bo wiatr przewracał kartki. Podczas Mszy tam obok w kioskach głośno muzyka grała, a jak przejeżdżał pociąg to strasznie gwizdał. No i tak nam zagłuszali Mszę świętą. W końcu parafianie zaczęli filmować nabożeństwa pod gołym niebem i pokazywać w Polsce i na świecie jak my tu się męczymy. Władzom już było wstyd i dali nam pozwolenie na budowę kościoła.

- Jak świadczą dokumenty, w 1999 roku arcybiskup Marian Jaworski poświęcił działkę i rozpoczęła się budowa. No a w obecnym 2010 roku nowy kościół w Brodach został poświęcony przez arcybiskupa lwowskiego Mieczysława Mokrzyckiego. Kościół piękny na zewnątrz, a jeszcze bardziej wewnątrz.

- Tak, kościół jest piękny. Tak Bóg dał.

- Z całej tej historii wynika, że te relacje pomiędzy greko-katolikami i rzymsko-katolikami w Brodach nie są najlepsze, chociaż w okresie międzywojennym podobno były bardzo dobre. Czy tak?

- To prawda, było jakoś dobrze. Ukraińcy chodzili do cerkwi, Polacy do kościoła i było cicho. Nie było żadnych konfliktów. Ludzie żyli w zgodzie.

- A czy pamięta Pani dobrych ludzi wśród Ukraińców? Tych, którzy Polaków ratowali, lub przynajmniej ostrzegali przed atakiem banderowców?

- Owszem, byli tacy. Niektórzy Ukraińcy byli kumami Polaków. Właśnie po tym nocnym napadzie, jak banderowcy zamordowali moją tatę, dziadków i siostrę księdza Duszenki, to raniutko moja druga mama zabrała dzieci od sąsiada w Ponikowicy, gdzie wszyscy razem spali i poszła z nimi do kuma. Tam u niego przenocowali i on drugiego dnia nad ranem zawiózł ich furmanką do polskich księży w Brodach. Na pewno uratował im życie. No i ten gospodarz był właśnie Ukraińcem.

- Jakie były dalsze losy Pani macochy, czyli "drugiej mamy" i rodzeństwa?

- U księdza na plebanii w Brodach mieszkali parę tygodni. Zebrało się tam więcej Polaków uciekających przed bandami. A już jakieś dwa tygodnie po tym napadzie zjawiała się w okolicy partyzantka sowiecka. Po strzelaninie w pobliskim Wysocku partyzanci przechodzili przez nasz przysiółek. Nocowali w każdym gospodarstwie. U mnie w domu nocowało czterech partyzantów. Mówili, że idą z dwóch stron, tak żeby otoczyć Niemców w Brodach i zlikwidować ich posterunek. To im się nie udało, bo chytry Niemcy przewidzieli te plany i zarządzili ewakuację z Brodów do Buska, gdzie była większa niemiecka komenda. Niemieccy żołnierze jechali w dwóch samochodach, a do trzeciej ciężarówki zabrali tych Polaków, co uciekli z wiosek i schronili się na plebanii w Brodach. Z nimi była też moja druga mama z dziećmi. Po przyjeździe do Buska Niemcy, aby ocalić Polaków, zawieźli ich do pobliskiej stacji kolejowej w Krasnem i załadowali do wagonów w pociągu jadącym na Zachód. Mamie udało się wyprosić z tego pociągu. Pochodziła z wioski pod Krasnem i po prostu bała się jechać z małymi dziećmi w nieznane nie mając nic, poza tym co na sobie i na dzieciach. A w rodzinnej wiosce miała trochę schowanych rzeczy. Później dołączyła do kolejnej grupy Polaków przybyłych do Buska z okolic Brodów, w tym i z Ponikowicy. Tam w niemieckiej komendzie Polacy poprosili Niemców o ratunek, o umożliwienie wyjazdu na Zachód, bo tu banderowcy ich zabijają. Niemcy dali wagon i wszyscy wyjechali na ówczesne tereny niemieckie, a obecne polskie Ziemie Zachodnie. To działo się wiosną 1944-go roku.

- Czy z Ponikowicy i okolic wyjechały wszystkie polskie rodziny?

-Tak, wyjechali wszyscy. A kto nie wyjechał, to tu go banderowcy męczyli jak chcieli. To strasznie opowiadać co oni tu z ludźmi robili. Jednego Polaka wyciągnęli z domu, nie wiem co z nim robili, ale potem wrzucili go w lesie w takie wielkie mrowisko i on tak konał

w mękach. Innemu to poodcinali ręce i nogi.

- Czy ma pani w Polsce krewnych?

- Owszem, mam przyrodnie rodzeństwo - brata i siostrę. Moja druga mama już nie żyje. Mam też kuzynów po mojej rodzonej mamie. Nazwisko mieli Grabiki i wszyscy to Polacy. Był wujek Jasio, był Franio, Stasio, ciocia Bronia. Oni wszyscy wyjechali do powojennej Polski. Głogów, Szlichtyngowa - tam się osiedlili. Byłam u nich w sześćdziesiątym szóstym roku. Moja kuzynka, która miała sześcioro dzieci, zajęła tam taki duży ponemiecki dom. No i Niemiec, dawny właściciel, przyjeżdżał i przywoził jej różne rzeczy i nawet pieniądze jej dawał. Naprawdę. W każdym narodzie są ludzie i ludziska. Tak to już jest.

- Czy utrzymuje Pani kontakt z bratem i siostrą w Polsce?

- Siostra jest jakaś taka obojętna i rzadko pisze, a z bratem Czesławem to mam bardzo bliski kontakt. On był tu u mnie z rodziną i pisze do mnie bardzo często. Listy są długie i drukowane, bo on wykształcony. Jest lekarzem w Tarnobrzegu, ale już na emeryturze. W tym roku otrzymałam od niego 13 listów.

- A nie pojedzie Pani jeszcze raz z wizytą do brata?

- Nie wiem. Coś mi się nie chce wyjeżdżać z Ponikowicy. Ja już nie mam do tego zdrowia. Podróż męczy mnie. Ja czuję się dobrze w domu.

- Mógłbym zawieźć Panią do brata moim autem?

- No nie wiem. Poza tym ja mam paszport, ale jeszcze potrzebna wiza.

- Więc nie ma Pani jeszcze Karty Polaka?

- Ja nie wiem co to takiego.

- Każda osoba z rodziny polskiej lub mieszanej, jeśli przedstawi jakieś dokumenty potwierdzające polskie pochodzenie, to może otrzymać Kartę Polaka i wtedy już nie potrzebuje wizy na wjazd do Polski.

- No, a dlaczego ukraiński urzędnik napisał mi w paszporcie narodowość ukraińską? Przecież ja jestem Polką. Dziękuję panu, ale ja się źle czuję i już nie nadaję się na taki wyjazd. A dokumenty to ja już szybko otrzymam, bo cmentarz blisko.

- Serdecznie dziękuję, Pani Emilio, za tę wzruszającą opowieść. No i w Polsce poproszę też Pani brata o jego wspomnienia z tych dramatycznych lat.

Czesław Poźniak - wspomnienia z Ponikowicy

79-letniego brata pani Emilii, emerytowanego lekarza odwiedziłem w listopadzie 2010-go roku w jego mieszkaniu w Tarnobrzegu, prosząc o wspomnienie tamtych dramatycznych lat.

- Myśmy mieszkali w Ponikowicy. Ojciec najpierw mieszkał w Brodach i tam pracował. Później jednak mama zapragnęła mieć własne gospodarstwo i tato kupił wtedy leśniczówkę w pobliżu Ponikowicy. W istocie był tam cały szereg zabudowań. Był i dom mieszkalny, i stodoła, i stajnia, i komórki różnego rodzaju na wszystko, i jeszcze piwnica obok domu wybudowana. No i to była tak zwana "leśniczówka", oddalona od Ponikowicy wsi o 3 km. Mieszkaliśmy więc na takim trochę odludziu. Ojciec pracował na kolei jako dyżurny ruchu na stacji Zabłotce, dwa i pół kilometra od domu, w którym mieszkaliśmy. Nie będę się chwalił, ale naprawdę mieszkaliśmy w tej leśniczówce jak w raj. Z trzech stron otaczały nas lasy, a tylko od Wschodu, czyli od strony Ponikowicy były pola uprawne. To było urocze miejsce. Linia kolejowa na trasie Lwów-Brody przebiegała obok naszego domu w odległości 150 metrów. No i ojciec pracował 24 godziny bez przerwy, a później za to 48 godzin spędzał w domu. No i on miał w zabudowaniach obok domu warsztat stolarski, bo lubił majsterkować. Sam robił sobie ule dla pszczół i ciągle w tym warsztacie siedział. Ciągle też rozbudowywał swoją pasiekę. Tak więc miodu w domu mieliśmy w bród i to różnego rodzaju.

- Czy pamięta Pan, jak wyglądała wigilia w rodzinnym domu?

-Tak, bardzo dobrze pamiętam, bo kiedy musieliśmy opuścić ten nasz rodzinny dom, to ja już miałem wtedy 13 lat. U nas święta zaczynały się jakby prędzej, bo już dużo wcześniej myślano o świętach i te przygotowania do nich trwały i trwały. Babcia już wypiekała, gotowała. Kuchnią się babcia opiekowała. No i razem z mamą przygotowywała te święta już kilka dni przed wigilią.

- Zapewne pamięta Pan niektóre świąteczne potrawy?

- Oczywiście. Tam nie było Bożego Narodzenia bez tak zwanej kuci. Przypomnę tu co powinno się w niej znaleźć. Otóż, pszenica i mak to były podstawowe artykuły, które musiały być w tej kuci, a do tego rozmaite jeszcze inne dodatki w postaci rodzynek, siekanych orzechów włoskich, orzechów laskowych, no i oczywiście miodu. Miód musiał być dokładnie wyczuwalny organoleptycznie.

- A proszę powiedzieć, jak wyglądała rodzinna uroczystość wigilijna?

- Oczywiście, wszyscy członkowie rodziny musieli być przy tym zastawionym przysmakami stole wigilijnym elegancko ubranymi. W naszym domu to jeszcze był taki zwyczaj, że przynoszono snop słomy i w kącie stawiano. Natomiast w innych domach to tej słomy nie stawiano w kącie, tylko rozrzucano po całej powierzchni podłogi. Dzieci tam tarzały się w tej słomie i strasznie się kurzyło. I dlatego mama nie godziła się na to. Tak więc słoma owszem była u nas, ale spokojnie stała sobie w kącie i nikt po niej nie chodził. No i obowiązkowo

musiała być choinka. Z tym był nie lada problem, bo wokół nas były tylko lasy liściaste, no i trzeba było skądś ją kupować. Nie wiem skąd ojciec zdobywał te świerki, ale choinka na Boże Narodzenie zawsze u nas była. Jedyny raz któregoś roku zamiast świerku była tylko sosna. No bo sosny u nas w lasach były, a świerków nie było. No i wtedy ojciec do tego stopnia się wkurzył, że zakupił kilkadziesiąt takich małych świerków i całe gospodarstwo dookoła oraz całą naszą posesję obsadziliśmy świerkami. Tak co metr wsadzaliśmy te świerki, żeby właśnie później wycinać po jednym na święta. Parę lat temu, jak pojechałem tam po raz pierwszy, aby zobaczyć to nasze dawne gospodarstwo, to z tych wszystkich świerków, które myśmy tam posadzili, pozostał już tylko jeden. Był to wspaniały świerk, taki olbrzym chyba na 30 metrów wysoki. Bardzo duży. Niestety, w tej chwili już go tam nie ma, bo ktoś go wyciął.

- Wigilia to oczywiście modlitwa i opłatek.

- Tak, opłatek był obowiązkowo, a modlitwę to zawsze ojciec odmawiał. Miał książeczkę do modlenia, myśmy wszyscy wstawali, no i wtedy zaczynała się ta uroczysta modlitwa. Dopiero po modlitwie dzieliliśmy się opłatkiem. Później były różne dania wigilijne. Tych potraw to naprawdę było aż dwanaście. Zawsze babcia tego pilnowała, żeby było tyle, ile potrzeba. Oczywiście, nie obżeraliśmy się, tylko kosztowaliśmy po trochu tego, tamtego, owego.

- A gdzie na Pasterkę?

- W Ponikowicy był polski kościół, a raczej kaplica, no i na Pasterkę chodziliśmy do tej kaplicy. W tym czasie, kiedy myśmy tam mieszkali, to były jeszcze bardzo surowe zimy. Zawsze więc saniami się jechało, bo śniegu było tak dużo, że trudno byłoby 3 kilometry w takim śniegu iść na Pasterkę. Ale później, jak myśmy stamtąd wyjechali, to te zimy gdzieś zniknęły i potem już nie było takich ostrych i śnieżnych zim. Pamiętam, że te mrozy to były takie srogie, że aż drzewa pękały. Po prostu mróz rozsadzał pnie z wielkim traskiem. Pamiętam też, że my ze starszym bratem stawaliśmy na ganku i pluliśmy w dal. Bo nas to bawiło, że jak człowiek splunął, to ślina w locie zamarzała i spadała jako grudka lodu. To były naprawdę bardzo ciężkie, bardzo ostre zimy.

- A jak wydarzyła się ta tragedia, to pan miał szczęście nie być wtedy w domu. Prawda?

- Tak. Myśmy przewidywali, że mogą nas banderowcy napaść. No bo zaczęło się to wszystko na Wołyniu w roku czterdziestym trzecim, a nas ta tragedia dosięgła w nocy z dziewiątego na dziesiątego marca w czterdziestym czwartym roku. No i ojciec, żeby zabezpieczyć nas, to znaczy mnie i moją młodszą o dziewięć lat siostrę, to zawsze na noc wyprowadzał nas do sąsiada Ukraińca. On oczywiście okna zasłaniał, żeby inni Ukraińcy nie podpatrzyli, że tam dzieci Polaków nocują.

- To byli ci sprawiedliwi Ukraińcy, którzy ratowali was.

- Tak, wśród tych złych Ukraińców byli też i dobrzy. Nie można więc tego zła uogólniać, bo

było jednak dużo takich naprawdę dobrych, porządnych ludzi, którzy współczuli nam bardzo, szanowali nas i ratowali nasze życie. Oczywiście, na tyle, na ile ich było stać. No bo gdybyśmy byli w domu w tym czasie, kiedy napadli ci banderowcy, to ja bym już nie żył od czterdziestego czwartego roku.

- No i po tym morderstwie ratowaliście się ucieczką do Polski.

- Jeszcze nie od razu. My najpierw pojechaliśmy i chroniliśmy się w Brodach u księdza. Zresztą tam też Ukrainiec nas zawiózł, bo u nas koni nie było, więc byliśmy zdani na łaskę tych, którzy konie posiadali. Zawiózł nas i tam przez parę tygodni mieszkaliśmy u księdza na plebanii. Później stamtąd powędrowaliśmy do Pietrycz koło Krasnego, gdzie mama się urodziła. Tam w Pietryczach mieszkał brat mojej mamy i u tego wujka mieszkaliśmy też parę tygodni. Później z powrotem wróciliśmy na krótko do Ponikowicy, ale nie do domu rodzinnego, tylko do innego. No i dopiero stamtąd pojechaliśmy już na tereny powojennej Polski. Zamieszkaliśmy w Okocimiu i dopiero po wyzwoleniu z Okocimia pojechaliśmy do Gliwic.

- A nie namawialiście może siostry Emilii, żeby też z wami pojechała?

- Tak. Ja tego bardzo chciałem, bo bardzo żeśmy się kochali. Emilia to wspaniała kobieta, ona mnie wychowywała, bo była najstarsza z rodzeństwa. Bardzo mnie lubiła. Proponowałem jej, żeby zostawiła to wszystko w Ponikowicy i przyjechała do nas, do Polski. Zapewniałem, że będzie nam fajnie z nią mieszkać. Ale odmówiła dlatego, że nie chciała być dla nas ciężarem. To po pierwsze. A po drugie, jak mówiła, kto się będzie tymi grobami w Ponikowicy opiekował? Bo przecież tam zginął wtedy nie tylko ojciec, ale i babcia moja i dziadzio, no i później jeszcze zamordowano brata Józefa, starszego ode mnie.

- A proszę powiedzieć, kiedy pan po raz pierwszy wrócił tam, żeby zobaczyć ojcowiznę?

- To już było jakieś 10 lat temu? Długo, długo tam nie zaglądałem. No, w tej chwili tam już nic nie ma. Został tylko ten na wpół zrujnowany dom. Wszystkie zabudowania gospodarcze zniknęły. Ludzie wszystko rozebrali, rozdrapali, rozkradli. A ten dom już się zawalił, pomimo tego, że był nowy, przed wojną wykończony.

- A po tym morderstwie dom został zapewne przez banderowców ograbiony?

- O tak. Sąsiedzi z za opłotków to widzieli. Mówili, że siedem załadowanych furmanek wyjechało z naszego domu. No bo banderowcy brali wszystko, co tylko się nadało do transportu. Ładowali to wszystko na te furmanki i wywozili, a mieli co brać, bo rzeczywiście było u nas tego wszystkiego w bród. Dobrze nam się powodziło przed wojną. Ojciec nieźle zarabiał na kolei, a do tego jeszcze sam majsterkował, więc pomnażał to, cośmy posiadali. Ten stan posiadania ciągnie się zwiększał, więc było co ładować i wywozić.

- Czy można sądzić, że powodem tego napadu akurat wtedy było to, że nocowała u was siostra księdza Duszenki?

- Tak, to był pech. Rzeczywiście księdza Duszenkę, naszego proboszcza zamordowano 2-go

września 43-go roku na plebanii. On mieszkał w Halerczynie koło Wysocka. To było niedaleko, jakieś 4 kilometry od naszego domu. No i wtedy jego siostrze, Rozalii Drożdzał, która u niego była gospodynią, udało się pozostać przy życiu. A to dzięki temu, że schowała się za łodygi maku wyrwane z korzeniami i oparte o ścianę plebanii dla wysuszenia. Ona cisnęła tam za te makówki swoją córeczkę, małą dziewczynkę i sama się tam wślizgnęła. No i dzięki temu przeżyła. A księdza zamordowano. Po tej tragedii wszystkie nie zrabowane przez banderowców rzeczy Rozalia zapakowała do takiej ogromnej skrzyni i przetransportowała do nas na przechowanie. Przyprowadziła nam też swoją krowę i jeszcze takiego fajnego pieska pokojowego, którego ksiądz trzymał na plebanii. Ta skrzynia trafiła do naszej powozowni. No i banderowcy z pewnością ją zrabowali zanim powozownię, całą stodołę i warsztat stolarski spalili. Dom też chcieli podpalić, ale im się to nie udało. Jak na drugi dzień weszliśmy do domu to dziadzio, babcia i siostra księdza leżeli zastrzeleni na jednym łóżku. Zabitego ojca znaleźliśmy za torami kolejowymi, za mostem. Uciekał w kierunku sąsiadów, no ale nie zdążył. Dziadzio miał 73 lata, babcia – 72, a siostra księdza mogła mieć około 50 lat. To jeszcze była młoda kobieta, bo przecież miała niewielką kilkuletnią córeczkę, której na szczęście u nas nie było. Pamiętam widok tego łóżka: z jednej strony leżał dziadzio, z drugiej strony babcia, a ta siostra księdza leżała w środku pomiędzy nimi. Banderowcy próbowali chyba ich podpalić, bo była na nich spopielona słoma.

- Oferowałem Pani Emilii, że ją własnym autem przywiozę w odwiedziny do Pana. Mówiła jednak, że źle się czuje, a poza tym musiałyby otrzymać polską wizę w ukraińskim paszporcie.

- Oglądałem ten paszport własnymi oczami. No i pytam się siostry: - Słuchaj, od kiedy ty jesteś Ukrainką? Przecież jesteś Polką, a w paszporcie masz narodowość ukraińską i obywatelstwo ukraińskie. A ona na to: -Jak wymieniano u nas wszystkie paszporty, wszystkie dowody osobiste, to mi tak wpisano. Jak się upomniałam, że to jest nieprawda, bo ja jestem przecież Polką, to zapytali mnie groźnie: A co wam tak na tym zależy? Siostra przestała się domagać zmiany tego wpisu, bo się po prostu bała. No i tak zlikwidowano resztę Polaków w okolicach Brodów wydając im fałszywe dowody osobiste.

Oba wywiady przeprowadził w 2010 roku, a teraz opracował dla "Archiwum Wolności" PTK - Jacek Borzęcki

Publikowane zdjęcia - uzyskane dzięki uprzejmości Sióstr sercanek opiekujących się tą najstarszą parafianką - ukazują panią Emilię podczas jej stuletnich urodzin w dniu 02.02.2019, natomiast 22-go grudnia 2019 roku Pani Emilia zmarła.



Emilia Poźniak (fot. z archiwum sióstr sercanek z Brodów)



Emilia Poźniak (fot. z archiwum sióstr sercanek z Brodów)

CZĘŚĆ II

Ziemia Przemyska i region

ZYGMUNT BŁAŻ



fot. archiwum Zygmunta Błaża

Opowieści z Haczowa. Wspomnienia Zygmunta Błaża.

Wywiad prowadzi Adam Pęziół.

Encyklopedia Solidarności: biogram Zygmunta Błaża

Zygmunt Błaż, ur. 26 V 1950 w Krośnie. Absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, Wydział Wiertniczo-Naftowy (1979). 1969-1981 zatrudniony w Instytucie Górnictwa Naftowego i Gazownictwa w Krośnie.

Od IX 1980 w „S”, współorganizator i członek Komitetu Założycielskiego w IGNiG; od X 1980 członek Podkarpackiego Regionalnego Komitetu Założycielskiego; w VI 1981 delegat na WZD (Regionu Krośnieńskiego) Regionu Podkarpacie, wiceprzewodniczący ZR. Od 1980 współpracownik ks. Kazimierza Kaczora w ośrodku duszpasterskim w Haczowie; 1981-1990 współzałożyciel i działacz KIK w Krośnie. 13 XII 1981 internowany w Ośr. Odosobnienia w Uhercach i Nowym Łupkowie, zwolniony 6 VI 1982. W 1982 drukarz „Solidarności Podkarpackiej”; 1982-1989 kolporter wydawnictw podziemnych, organizator siatki kolportażowej w regionie krosnieńskim. W 1982 współtwórca RKW w Krośnie, od 1984 przewodniczący (po emigracji Zygmunta Zawojskiego); współpracownik struktur podziemnych Krakowa, Warszawy i Rzeszowa. 1983-1989 działacz komisji charytatywnej pomagającej represjonowanym (m.in. apteka leków zagranicznych w Krośnie);

1986-1994 działacz krakowskiego ugrupowania niepodległościowego Zamek, wchodzącego w skład Niepodległościowego Sojuszu Małopolski (z Januszem Komockim, Andrzejem Berezowskim, Wiesła-

wem Wiesławem Goldmanem, Zbigniewem Czyżewskim, Franciszkiem Bachledą-Księżdzulorem, Jadwigą Kiszczak, Jadwigą Plucińską-Piką).

W 1988 współorganizator reaktywowania struktur „S” w regionie krośnieńskim. Od III 1989 przewodniczący Tymczasowego MKZ w Krośnie, 1989-1990 przewodniczący TZR Podkarpacie.

W IV 1989 współorganizator, następnie przewodniczący Wojewódzkiego KO w Krośnie. 1990-1994 wojewoda krośnieński. Od 1994 na rencie. Od 2002 starosta pow. brzozowskiego.

Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi (Londyn 1990, 2001), Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (2012), Krzyżem Wolności i Solidarności (2012), medalem Pro Patria (2012). 1980-1986 rozprawa zprawy prowadzonej przez Wydz. III-A/V KW MO/WUSW w Krośnie w ramach KE krypt. Zyg; 1986-1990 przez Wydz. III WUSW w Krośnie w ramach SOR krypt. Sekta.

Opr. Michał Stręk

Rozmowa

Adam Pęziół: Jest 12 lutego 2025 roku. Jesteśmy w Haczowie. Moim rozmówcą jest **Zygmunt Błaż**, działacz społeczny, pierwszy po 1989 roku wojewoda krośnieński i wielokadencyjny starosta brzozowski. Pierwsze pytanie Zygmuncie - urodziłeś się w 1950 roku?

Zygmunt Błaż: Tak jest.

- W Haczowie.

- W Krośnie, a konkretnie w szpitalu w Krośnie. Ale mieszkaliśmy w Haczowie.

- Opowiedz coś o swoim domu rodzinnym, o rodzicach, dziadkach ze strony ojca, matki. O rodzeństwie, o atmosferze tego domu. Było to niewiele lat po wojnie, trzeba o tym pamiętać, warunki życia były inne. O takich rzeczach, jakbyś zechciał powiedzieć.

- Tak jak powiedziałeś, urodziłem się z 26 maja 1950 roku w Krośnie w Dzień Matki, i co ciekawe przywiózł mnie do domu, do Haczowa taki człowiek, który był katem z UB, a później miał taksówkę - Gienek Szubra. On maltretował mojego wujka Władka podczas przesłuchań.

- Wujek Władek jak się nazywał ?

- Ziemiański. Jak wujek go zobaczył, to zaraz złapał za siekierę. Ten wpadł do auta, zwał i tak zostałem za darmo przywieziony do Haczowa.

- Czyli wujek Ziemiański złapał za siekierę, tak ?

- Tak. Myśmy mieszkali na początku, jak się urodziłem, po drugiej stronie drogi. Był tam drewniany dom dziadka, on już w tej chwili nie istnieje. Dziadek miał dość ciekawą historię, bo był w armii austriackiej. Pod koniec wojny w 1918 r. duża grupa żołnierzy Polaków z armii austriackiej zdezerterowała (ok. 200 osób) i ukrywała się na terenie Haczowa, m.in

mój dziadek Stanisław. Potem poszedł, razem z setką innych, na wojnę o granicę, między innymi późniejszy gen. Maczek był ich dowódcą. On bardzo mile wspominał tamte czasy i opowiadał mi różne dawne historie, jak byłem chłopakiem takim gdzieś z podstawówki. Zapamiętałem tylko jakieś wesołe historie.

- Chciałbym jeszcze wrócić do dziadka. Czy pamiętasz jakąś wesołą historię z tych opowieści?

- Kiedy dziadek coś mi opowiadał, to mówił: „Jak on się nazywał, jak on się nazywał? Zapomniałem”. Mówię: „Dziadku, Jakub Szeremeta”, a on: „A to skąd wiesz?”. Więc takie były z dziadkiem rozmowy. Później brakowało mu pamięci, tak jak dzisiaj mnie uciekają nazwiska.

- Ile lat miał dziadek jak zmarł?

- 82.

- A ty wtedy ile miałeś lat?

- Miałem wtedy 29 lat. Babcia natomiast była bardzo wesołą dziewczyną. Mój dziadek często wyjeżdżał do Krakowa, bo zajmował się handlem, jabłka skupował, masło, coś tam innego. To wszystko woził do Krakowa i jak się wybierał, to był cały ceremoniał. Jak pociąg był o godzinie ok. 12 w nocy, to on się już od 6 szykował. Do babci mówi: „Salcia. Herbaty”. Babcia mu zrobiła, a on mówi: „Dolej spirytusu”. Ona przyniosła butelkę, postawiła, schowała się i patrzy. To był aceton. I jak nalał acetonu do gorącej herbaty, to ta herbata poszła w powietrze. Złapał garnuszek i rozbił o studnię.

- Taka babcia była dowcipna?

- Babcia miała takie różne pomysły.

- A babcia co robiła w ogóle? Zawodowo?

- Babcia była gospodynią domową. Za wiele pola nie mieli, ze 3-4 hektary.

- Panieńskie nazwisko pamiętasz?

- Matusz. Jej brat był w Armii Krajowej i kiedyś go sprąło UB. Kołek między nogi i rzucali o ścianę gościem na łańcuchu głową w dół. Jak wrócił do domu, to był cały pobity i siny. Sąsiadki wszystkie ogrzewały ser. I takie koryto było jak do bicia świni. Nalały tam serwatki i jego tam moczyli w tej serwatce, żeby mu to zeszło.

- I to było na UB w Krośnie?

- Nie, w Brzozowie.

- Ojciec rocznik, który?

- 1924. Był kaletnikiem. Szył różne rzeczy: torby, torebki, portfele, jakieś pilotki, czapki, to wszystko robili z mamą. Dziadek miał żyłkę do handlu i handlował tymi wyrobami, bo ojciec nie miał do handlu żadnego talentu. Umiał różne rzeczy robić, bo również robił ze złota pierścionki, obrączki. Muszę to kiedyś odszukać. Pracował prymitywnymi narzędziami, na przykład do topienia złota miał łuskę z WKM-u, czyli wielkokalibrowego karabinu maszynowego. Do tego wsadzony był knot, wężyk i dmuchał, i to robiło taki niebieski płomień, bo benzynę tam wlewał i tak topił srebro, złoto. Ale trzeba się było trochę nadmuchać. Potem jakimś młotkiem na kowadle wykuwał małą sztabkę, którą związał w obrączkę.

- Żeby uporządkować - dziadek Błaż Stanisław. A jego ojciec?

- Błaż Jan a jego żoną była Tekla, gospodyni domowa.

- Który dziadek zajmował się handlem?

- Dziadek Stanisław Ziemiański.

- Bo to trzeba porządkować takie rzeczy, bo w pewnym momencie ktoś będzie tego słuchał, to nie będzie wiedział, o którym dziadku mowa jest.

- Ten był Stanisław, handlem się zajmował. A drugi dziadek Jan był krawcem.

- Jan Błaż, a tamten Stanisław Ziemiański. Czy pamiętasz coś z dzieciństwa wczesnego, co wywarło na tobie wrażenie, ponieważ urodziłeś się w 1950 roku, poszedłeś do szkoły w 57, prawda? Czy była w Haczowie religia w szkole?

- Tak, była.

- Ile lat uczyłeś się religii w szkole w Haczowie?

- Pewnie ze 2, 3 lata, bo później nauka religii była w starej organistówce koło kościoła, ale to już za ks. Jastrzębskiego. Wcześniej proboszczem był ksiądz Lis. Ksiądz przychodził na lekcje do obecnego urzędu gminy. Była tam dwie klasy i on przychodził tam na religię. Później już była zmiana proboszcza i przyszedł ks. Jastrzębski, to on już uczył w organistówce.

- Proboszczem był ks. Lis, kiedy chodziłeś na religię ze szkoły?

- Tak, na pewno.

- A ksiądz Jastrzębski kiedy?

- Do komunii przystępowałem w 1959 r. jeszcze za ks. Lisa.

- Dobrze. Do księdza Jastrzębskiego wrócimy jeszcze przy rozmowie o późniejszych latach Twoich rozmaitych doświadczeń. Trzymajmy się dzieciństwa. Czy pamiętasz jakieś wydarzenia ze szkoły podstawowej, które jakoś Ci utkwiły w pamięci jako ważne

w życiu?

- Ważne to było 600-lecie Haczowa i związana z tym cała parada. Była banderia na koniach. Prowadził ją ułan jazłowiecki - wachmistrz Roman Curzytek. To zresztą dość barwna postać w Bieszczadach, bo on był szefem parku konnego i bardzo dbał o konie. Zorientował się, że coś te konie nie chcą jeść. Owies jest w żłobie, konie nie jedzą. Okazało się, że wozacy nabili od spodu gwoździ. Trzeba tu zaznaczyć, że wachmistrz był wysokim mężczyzną, miał około 2 m wzrostu. I wtedy on tych wszystkich wozaków zebrał, brał za oszywkę, dawał kopniaka w tyłek i wywalił wszystkich z roboty.

- Kradli owies najprawdopodobniej. No bo jak w żłobie był owies, to znaczy, że koniom nie żałowano.

- Dokładnie. Wozacy ten owies sprzedawali, a pieniądze przepijali. Konie ze żłobów nie mogły jeść, bo gwoździe kłuły je w nozdrza. Więc wachmistrz dał wozakom kopa w tyłek i wywalił wszystkich. I on prowadził banderę. Faceci w takich białych strojach i w czapkach krakowskich na koniach, około sześćdziesięciu. Potem były te wszystkie przemówienia.

- To był rok?

- Chyba 62-ty rok. To mi tak utkwilo, bo to taka ważna uroczystość, parada, dużo tego wszystkiego, a zwłaszcza te konie, bo konie strasznie lubię do dzisiaj.

- Co jeszcze pamiętasz z takich wydarzeń, które miały charakter patriotyczny, który tę społeczność jakoś wyróżniał? No bo tutaj z Haczowa było około 100 ludzi, którzy w 1918 r. ochotniczo wstąpili do Sanockiego Batalionu, a ich dowódcą był późniejszy generał Maczek. Później w 1939 roku też się zaznaczyli w czasie II wojny światowej. Kiedy trzeba było, szli bić się o Polskę. Co z tego pamiętasz, z takich wydarzeń z dzieciństwa rzecz jasna, bo mówimy o dzieciństwie cały czas?

- Pamiętam, że do dziadka Stanisława przychodzili koledzy ci właśnie od gen. Maczka. Przychodził Michał Materna. Przychodził Józef Zychowicz. Jeszcze inni koledzy przychodzili. No i myśmy z bratem Ryśkiem siedzieli cicho, żeby nas nie wygonili spać, bo oni wspominali swoje różne przygody wojenne. Głównie wieczorami przychodziło to towarzystwo, w karty grali, najczęściej to siedzieli i opowiadali.

- Od kiedy był prąd elektryczny w Haczowie?

- Myśmy przyszli mieszkać do nowego domu, do tego, w którym tutaj jesteśmy w 1952 roku i już wtedy był prąd.

- Czyli ty nie pamiętasz lampy naftowej?

- Pamiętam lampę naftową, ale lekcje odrabialiśmy już przy świetle elektrycznym.

- Jak było 1000-lecie Chrztu Polski miałeś 16 lat? Prawie, bo data to jest 14 kwietnia. Pamiętasz to?

- Nie bardzo.

- **Bo wtedy już nie mieszkałeś tutaj? Chodziłeś już do szkoły w Krośnie, tak? I nie pamiętasz jakichś obchodów, tak jak na przykład 600-lecie Haczowa?**

- No na pewno coś było, ale ja nie bardzo pamiętam.

- **Jeszcze powiedz o rodzinie żony. Też stąd pochodzą?**

- Tak, rodzina żony Krystyny to Stanisław Ekiert i Janina z domu Rozenbajgier. Przodkowie teścia należeli do Piechoty Wybranieckiej. Ekiertowie mieszkali za cegielnią. Mieli trzy córki: Zofię, Krystynę i Halinę. Zajmowali się głównie rolnictwem. Kiedy córki Stanisława dorosły, chciał je trochę wykształcić. Miał pokłady żwiru na swoim polu. Wtedy był taki okres, że ludzie zaczęli budować domy, więc ten żwir sprzedawał, kształcił córki i to mu wychodziło całkiem nieźle.

- **Kończąc ten wątek dzieciństwa i szkoły podstawowej - do kościoła chodziliście razem czy jakoś inaczej? Bo, że chodziliście co niedzielę, to oczywiste.**

- Co niedzielę i chyba raczej chodziliśmy na ranną mszę, bo wtedy jeszcze za księdza Lisa i Jastrzębskiego były dwie msze, była msza o 8 i chyba o 11.

- **Do bierzmowania przystąpiłeś w szkole podstawowej. Pamiętasz imię jakie masz z bierzmowania?**

- Józef.

- **Jaki biskup Cię bierzmował?**

- Biskup pomocniczy Wojciech Tomaka.

- **Żeby już zamknąć okres dzieciństwa, to co byś chciał powiedzieć takiego, co jakoś było później ważne w życiu? Człowiek myśli o tym w dzieciństwie, kim chciałby być. Miałeś jakieś takie marzenia, pamiętasz?**

- We wczesnym dzieciństwie to konie mnie najbardziej interesowały. Był taki wózek na trawę, do którego miałem przypiętego konia na biegunach. Ojciec robił przedmioty ze skóry i zostawały mu odpadki i ja z tego robiłem uprząż. Siedziałem na tym wózku i tego konia poganiałem. Później przerodziło się to w miłość do prawdziwych, żywych koni. Kiedyś sąsiad wyjechał parą koni taką żniwiarką w pole. No i poprosił mnie, byłem wtedy w pierwszej klasie, żebym tymi końmi powoził. Wiesz jaki byłem ważny? No! Para koni, kurde... Jeszcze nogą włączałem kosę w tej żniwiarce. Wszystkie konie znałem w sąsiedztwie.

- **Skończyłeś szkołę podstawową. Siódma klasa była ostatnia. I mając tak naprawdę 14 lat skończonych, poszedłeś do technikum?**

- Poszedłem do technikum naftowego do Krosna. Po zdanym egzaminie wstępnym przyjęli mnie do technikum i poszedłem do klasy wiertniczo-naftowej. To był rok 1964. Chodziłem do tej szkoły przez 5 lat. Wpierw do starej na ul. Kolejowej nr 15. A później – IV i V klasę, to już w nowym budynku na ul. Wojska Polskiego. No i tam bardzo mile wspominam profesorów, ale tych jeszcze przedwojennych. Bo to naprawdę byli ludzie z dużymi horyzontami i chcieli nauczyć. Przeżycia swoje opowiadali. Był na przykład prof. Stanisław Szalc, żołnierz spod Monte Cassino. Uczył WF-u, bo ówczesna władza nie chciała, aby nauczał poważniejszego przedmiotu, ponieważ miał „złą” przeszłość. Więc na tym WF-ie, to różnie było, bo nie było sali gimnastycznej w szkole. Chodziliśmy czasami do hali sportowej, ale przeważnie to WF był na korytarzu. On nie robił tego WF-u, tylko opowiadał nam o swoich przeżyciach. Bardzo wspaniały gość był. Wychowawcą moim był profesor Ratajczyk, bardzo fajny matematyk. Był w oflagu i opowiadał kiedyś, że jak wracali stamtąd, to napotkali stado krów. I doili te krowy, pili mleko. I wiadomo co się potem stało, po takiej ilości i wygłodzeniu. Mleka nie widzieli ileś lat. Byli też bracia Lorencowie – AK-owcy z przeżyciami różnymi ciekawymi.

- To był czas już Gomułki, który usuwał religię ze szkół. Chodziłeś na lekcje religii?

- No właśnie byłem organizatorem. Dla naftówki był przeznaczony kościół oo. Franciszkanów. Nie pamiętam dzisiaj nazwiska tego ojca, do którego trafiłem z prośbą, że chcieliśmy przyjść uczyć się religii. Wyznaczyliśmy jakiś dzień raz w tygodniu i powiem ci, że w zasadzie chyba wszyscy chodzili, no może dwie osoby nie chodziły albo się urywały. Ale tak to całe towarzystwo chodziło.

- To nie była męska klasa, dziewczyny też były?

- Dziewczyn w naszej klasie nie było. Były w klasie eksploatacyjnej. Była klasa wiertnicza i eksploatacja, ale też w tej klasie nie było ich za wiele, bo chyba z siedem było. Były trzy oddziały: a, b i c.

- Wracamy do szkoły. Zacząłem mówić o tym, że to była ta druga część rządów Gomułki. Wtedy 1000-lecie Chrztu Polski - 1966 rok. Mówiliśmy, że nie bardzo pamiętasz tych wydarzeń. Zapewne w Krośnie były hucznie obchodzone, bo to zawsze było duże miasto z tradycjami. A czy pamiętasz na przykład 1 Maja, 3 Maja przez ten okres technikum?

- 1 Maja w Święto Pracy wyginali młodzież, sprawdzali obecność, rozdawali szturmówki biało-czerwone i komunistyczne czerwone. Nasz profesor, ten wychowawca Ratajczyk, jak wcześniej wspominałem, poszedł z nami tym pochodem na rynek, gdzie pod zegarem była trybuna. I wszyscy notable partyjni stali na tej trybunie. A nasz profesor usiadł sobie na podcieniu, wyjął gazetę i czyta. To myśmy wszyscy myk, myk, myk, zwiali. Zostało czterech, bo mieli te szturmówki i nie mogli uciec. Profesor przesadnie się tym nie przejmował. Taki właśnie był nasz profesor.

- Trzeciego Maja obchodziliście jakoś?

- Nie było takiej tradycji.

- Ale 3 Maja jakiegoś odpustu nie było? A odpust kiedy się odbywał w Haczowie? Kościół haczowski jest pod wezwaniem Matki Bożej Bolesnej, tak?

- Trzeciego Maja nie było odpustu, ale zawsze była uroczysta msza święta w kościele. Mimo tego, że nie było tego święta w kalendarzu to ludzie i tak je obchodzili. Natomiast odpust odbywał się i odbywa się 15 sierpnia - w Święto Matki Bożej Zielnej.

- Pamiętasz kolegów, których później w życiu gdzieś spotkałeś albo w działalności publicznej? Masz jakichś takich kolegów, których pamiętasz?

- Takim serdecznym moim kolegą był Staszek Bogdanowicz z Sanoka. On później pracował chyba w Katowicach, w branży wiertniczej. Potem się kontakt urwał, bo rzadko tutaj bywał. Później żeśmy się spotkali po 35 latach od matury. On przyjechał. Miał jakąś poważną chorobę serca, także już taki był wyciszony. Nic nie słyszałem, żeby coś tam się z nim stało. Żona mu zmarła w młodym wieku i był sam. Tych kolegów trochę było: Kazek Sznajder. Później też Franek Prajsnar z Malinówki. Bardzo fajni to byli koledzy.

- Ale później na jakieś takiej drodze zawodowej albo w działalności publicznej ich spotykałeś?

- To był problem. Mieliśmy problem, żeby zrobić to 35-lecie, bo koledzy się rozjechali po całej Polsce po skończeniu szkoły. Jeden był gdzieś w Zielonej Górze, inni gdzieś znowu na północy, w Pile. W ramach mojej pracy w instytucie robiłem projekty na zabiegi hydraulicznego szczelinowania, kwasowania, hydroperforacji. I tak jeździliśmy w zasadzie po całej Polsce. Zdarzało się, że kogoś tam gdzieś spotykałem.

- Dlaczego wybrałeś technikum naftowe?

- Może dlatego, że to był zawód, w którym się wtedy nieźle zarabiano. Miałem kuzyna, starszego o 10 lat, który też technikum ukończył, pracował, no i całkiem mu się tam nieźle wiodło. Wybrałem świadomie, bo to nieźły zawód.

- Szkołę skończyłeś średnią w 69-tym roku. Ona się skończyła maturą, którą zdałeś. Jakim byłeś uczniem?

- Takim różnym – trójkowym, czwórkowym. Z zachowaniem też różnie było, ale nie miałem jakiegoś obniżonego zachowania.

- Rozumiem. Nie tak, że chuliganiełeś się na przykład, czy biłeś się tam ze wszystkimi i tak dalej?

- Nie. W szkole średniej byłem szefem od przysposobienia wojskowego. Byłem na takim kursie w miejscowości Rydułtowy, wróciłem, to wojsko mi też trochę pasowało. No i wydawałem komendy.

- 1969 rok. Było już po marcu 68 roku, po tych wydarzeniach warszawskich, pamiętasz coś z tego czasu?

- Pamiętam, że wtedy do internatu przyjechali uczniowie - chłopcy dorosłe. Gdzieś chyba z jakiegoś kraju... nie wiem. Tam gdzie ropa jest, ale nie wiem czy to była Syria czy jakiś inny kraj, ale Bliski Wschód. Oni mieli po dwadzieścia kilka lat. I tutaj mieli się uczyć tej „nafty”. I przyjechał ambasador z tego kraju, a na świetlicy były wyłożone różne czasopisma, między innymi „Życie Partii” i on je wziął, zważył w rękach i powiedział, że to ciężkie. To były stare chłopcy i używali tego życia, bo chyba dochodowe były ich rodziny. To było widać po ubiorze, stylu zachowania.

- Pamiętasz studniówkę? Z kim poszedłeś?

- Jak jej było na imię, to nie pamiętam. Poszedłem na tę studniówkę i ojciec kolegi, który pracował w handlu skrzynkę czerwonego wina nam dał. Ale dyrektor zamknął ją, więc żeśmy mu się tam włamali i wypili to wino. Dyrektor nazywał się Mojak. Rozrywkowy gość, ale surowy i życzliwy. Starszy kolega pytany na maturze o obozy koncentracyjne wymienił Katyń. I go uwalili. A Mojak mówi: „Słuchaj. Ja ci gwarantuję, że ty we wrześniu zdasz”. I rzeczywiście.

- Zdałeś maturę i co dalej?

- Szukałem pracy, a ojciec wtedy też dorabiał jako kierownik kina. Była w parku oranżeria stara i tam zrobili kino. Chodziłem tam wyświetlać filmy. Potem afisze jakieś wieszałem. W pewnym momencie złożyłem podanie do Instytutu Naftowego. Potem zmienili nazwę na Instytut Górnictwa Naftowego i Gazownictwa. To był oddział w Krośnie, na ulicy Lewakowskiego. Pewnego razu, gdy wieszałem afisze kinowe, przyjechał samochodem kierownik pracowni eksploatacji Mieczysław Martynek i mówi: „Do roboty”. Zawiózł mnie do tego instytutu i zacząłem pracować w zakładzie eksploatacji, w laboratorium.

- Co badaliście w tym laboratorium?

- Robiło się analizę gazu. Głównie takie rzeczy.

- Potem studia?

- Nie, to jeszcze chwilę, proszę Pana, jeszcze było wojsko. Pracowałem w tym instytucie i nagle dostaję powołanie do wojska, w marcu 1970 roku. Trzeba się było pożegnać i pójść do armii. Witął mnie tam kolega, też z Naftówki, Romek Skwarcan. Był kapralem, dowódcą drużyny. Przyjechałem do Przemyśla. Na Mickiewicza była jednostka WOP-u. Romek już czekał, bo ja miałem coś do skonsumowania.

- I nie była to kanapka.

- Nie była to kanapka. Wziąłem flaszkę spirytusu. Rozrobiliśmy to kawą, taką wojskową zbożową i uniuraliśmy się, jak nie wiem. Skierowali to całe nasze towarzystwo do łaźni. Trzeba było do worka wsadzić cywilne ciuchy, ubrać wojskowe. Przy okazji jeszcze strzygli. Potem się trudno było poznać, bo to wtedy były długie włosy modne. Przyszedłem, zrzuciłem ten cały dobytek na podłogę. Oczywiście mi go rozkradli, a za trzy dni mam jechać do Kłodzka na szkółkę z zakresu wojsk chemicznych. I trzeba było, że tak powiem, ukraść

znowu te wszystkie szczotki, ręczniki i cuda niewidy. No i tak to zorganizowałem, że już miałem wszystko. Zdałem do magazynu. Dostałem mundur wyjściowy śmierdzący naftaliną, buty takie żółte, nie wypastowane na czarno, tylko takie juchtowe, żółte i czapkę jak lotnisko. Jedziemy z kapralem we dwóch. Wiesiek Grondalski gdzieś tam spod Jasła, ja i z nami ten kapral. No i dziewczyny jakieś tam chodzą po przedziale w pociągu, ale my siedzimy i nie wychodzimy, bo wstyd było wychodzić tak ta naftalina od nas śmierdziała, że szkoda gadać. Przyjechaliśmy do tego Kłodzka. Zimno jak piernik, bo minus pięć stopni. My mamy płaszcze, ale zrolowane na plecaku, bo w Przemyśle był rozkaz, że się nie chodzi już w płaszczech, tylko mundurach, a tam było zimno. Przyszliśmy do tej brygady i pan kapral, który nas tam przyjął, wylał nam dwa wiadra wody i kazał nam sznurówkami ściągać. Do tego Wieśka mówi: „Słuchaj, ściągamy, ale jesteśmy zadowoleni”. Śmiejemy się tak z piętnaście minut i gość nie wytrzymał, wywalił nas, zawołał jakiegoś ze szmatą, żeby to ściągnął. On chciał nas upokorzyć i nie mógł znieść, że my się tak bawimy. Mówię: „Pamiętaj, jeśli kogoś musi szlag trafić, to nie nas”. Bo to bezsensowne. No i w tym Kłodzku nie wiem do kiedy tam byłem, ale chyba do września. Wróciłem i trafiłem do drużyny rozpoznania skażeń. I nagle gdzieś tam przy jakimś piwie starszy kolega mówi: „Chcesz być pisarzem w sztabie? Bo ja idę do cywila. Postawisz flachę, to jesteś”. To ja mu postawiłem. I czekam na rozkaz przeniesienia do sztabu. Po jakimś czasie ten rozkaz przyszedł i rozpocząłem służbę w sztabie na stanowisku pisarz- kreślarz. Były różne akcje graniczne i to takie różne, że do dziesięciu lat mogłeś być pozwany, jak coś byś na służbie zawalił. Tym się jednak nikt specjalnie nie przejmował. Pamiętam takie zdarzenie, że sowiecki sierżant zwał. I szedł normalnie tutaj, proszę ciebie, przez Medykę, przez Przemyśl, w kierunku Barwinka przez Dynów i Grabownicę. Poszedł na Słowację i potem gdzieś mu mapa się skończyła i zamiast do Austrii, to poszedł na Węgry i o azyl poprosił. Ten sierżant był radzieckim żołnierzem pogranicznikiem. Był to cwany człowiek, bo on w dzień spał, a w nocy szedł. Jak idzie w nocy facet, stoi tam element służb granicznych, czyli dwóch zawodników, kurzą cygara, gadają, no bo przecież nie będą milczeć, no to on słyszy i schodzi z drogi, omijając ten patrol.. On nie kombinował, żeby łązić po jakichś lasach, tylko drogami normalnymi szedł. Jak auto jechało, to najwyżej w rowie się schował.

- W służbie wojskowej zastał Cię grudzień 1970. Co się wtedy działo w jednostce?

- Zadziało się to, że wszystkie okna od ulicy zabili deskami. Żeby nie było jakiegoś kontaktu.

- A co wam mówili ci polityczni oficerowie, w ogóle jaka była atmosfera wtedy?

- Ładowali kit. Kino Granica było przy jednostce, sala była taka kinowa i tam ci oficerowie przekazywali nam partyjną propagandę. Ich styl bycia był żenujący. Raz wychwalali Gomułkę, a za chwilę Gierka.

- Ale co mówili na przykład, bo przecież zginęli ludzie na Wybrzeżu?

- Na ten temat nikt nic nie mówił. Miałem kolegę Jaśka, który służył na radiostacji. I tam chodziłem słuchać Wolnej Europy i dowiedziałem się, że na wybrzeżu rozpoczęto protesty i strzelano do robotników. Ale na terenie jednostki nikt nic nie wiedział. Jeśli już, to tylko z oficjalnej propagandy.

- No dobrze, to były Wojska Ochrony Pogranicza, które prawie z zakończeniem PRLu przestały być wojskiem. Jest Straż Graniczna, czyli są funkcjonariusze, a nie żołnierze. I to było normalne wcielenie poborowe do wojska. Nie tak, że ktoś chciał, to siedł, a jak ktoś nie chciał, to nie siedł. Stamtąd wyszedłeś w 71, tak?

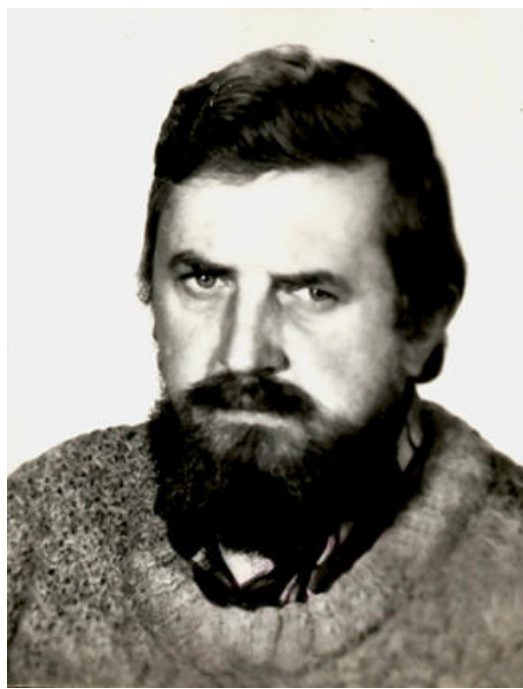
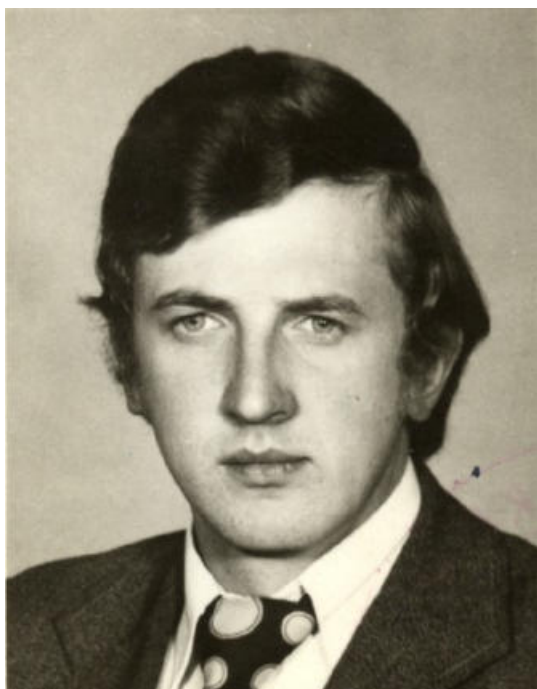
- Stamtąd wyszedłem w 1971 roku na wiosnę. I wróciłem do instytutu, bo byłem oddelegowany na czas służby, tylko że nie trafiłem już do pracowni eksploatacji gazu, tylko do pracowni intensyfikacji wydobywania ropy i gazu. I tam robiłem różne badania płynów do szczelinowania, później robiłem projekty na te zabiegi. To dość długo trwało zrobić taki projekt, z tydzień, dwa, dlatego, że to trzeba wszystko było logarytmować i to trochę schodziło. Dzisiaj można to w pięć minut zrobić na komputerze.

- I co dalej? Studia kiedy zacząłeś?

- Studia zacząłem w 1972 roku.

- Na jakim wydziale podjąłeś te studia?

- Wiertniczo-naftowym. I były problemy, bo trzeba było mieć pozytywną opinię. I była taka sytuacja, że dyrektor mi nie dał, a ten mój kierownik stary jeszcze z tej pracowni eksploatacji, Martynek, mówi: „Co, jak chce się uczyć, to trzeba mu dać kurde”. No i huknął na nich i tę zgodę mi dali.



Zygmunt Błaż (fot. zbiory własne)

- **A kiedy się ożeniłeś? W którym roku?**

- 1972.

- **Czyli podjąłeś studia i ożeniłeś się w wieku 22 lat, 7 października, tak?**

- Pierwszy był ślub cywilny tydzień wcześniej, potem kościelny. Krystynę znałem od dziecka, bo mieszkaliśmy niedaleko, ona chodziła do technikum hotelarskiego w Sanoku.

- **I przez te wszystkie później lata mieszkaliście z Twoimi rodzicami?**

- Mieliśmy ten pokój, w którym teraz jesteśmy. Kuchnia wspólna. No i jakoś tak to się wiodło. Nie mieliśmy za dużo pola, bo rodzice może mieli półtora hektara. Mieliśmy krowę, świnie i kury. Kury do dziś są – dziesięć. Wtedy mogło być ze dwadzieścia może?

- **Wracamy do studiów. Czy coś ze studiów takiego pamiętasz? Bo wiadomo, studia zaoczne są inne niż studia dzienne.**

- Tak jest, oczywiście. To były zjazdy albo w Krośnie w Naftówce, albo w Krakowie. Profesorowie różni. Był na przykład taki od mechaniki przepływów. Przyszedł na pierwszy wykład, popatrzył, mówi: „W Kuwejcie jest 24 inżynierów, jest ropa, a tu widzę więcej i nie ma ropy, zwłaszcza nie za wiele”. Zmroził towarzystwo. No i wiesz, jakieś tam kolokwia, zaliczenia, egzaminy. Ten profesor miał salę wykładową. Na końcu tej sali były oszklone szafy. I szedł sobie w kierunku tych szaf i wracał, i kartki zabierał, bo goście próbowali zrzucać. A on to widział w tej szafie oszklonej. Pamiętam jak te wykłady jego się skończyły, miał być egzamin i on pyta: „No to ile zostało państwu w głowie tych moich wykładów, w procentach?”. Ponieważ ja byłem na początku alfabetu, to mnie zapytał. To mówię – 25%. Na to inni, że 30, 20, różnie. A jeden z kolegów powiedział 24,5. Siedem razy zdawał egzamin, tak się dowcip spodobał. Umawiał się na ten egzamin. Pan profesor mówi: „To teraz pójdziemy napić się kawy”. Poszli do jakiejś kawiarenki uczelnianej i kolega mówił: „To była największa katusza - rozmawiać z takim gościem, nie?” No i wreszcie go puścił za taki żarcik drobny. Ale byli też fajni wykładowcy. Trafił się jakiś fizyk jądrowy, no to proszę ciebie, głowa mała. A potem przyszedł taki doktor Chruściel. Super gość. I mówi: „Panowie, wiecie, że na AGH co drugi fizyk to jądrowy”. Te studia skończyłem w 1977 r.

- **Pamiętasz 1976 rok? Radom, Ursus?**

- Pamiętam. Nie pamiętam od kiedy, ale ksiądz Bronisław Jastrzębski, proboszcz Haczowa i potem Krosna, dawał mi biuletyn informacyjny KOR-u, ale to chyba było później, gdzieś 1978 chyba. Także coś tam trochę wiedziałem. A tutaj, to wiesz, co wysłuchałeś z Wolnej Europy, to wiedziałeś.

- **Czyli to nie była jakaś taka konspiracja?**

- Wtedy nie. Nie słyszałem, żeby ktoś został za słuchanie radia z Haczowa aresztowany.

- **To już później był rok 1977.**

- Pamiętam demonstrację po zamordowaniu Staszka Pyjasa na Szewskiej w Krakowie. Żeśmy wtedy mieli jakieś wykłady. W każdym razie natrafiliśmy na demonstrację i żeśmy się do niej przyłączyli. A na czele tej demonstracji szedł Romek Lonc z czarną szturmówką.

- Rozumiem. Czyli powiedzmy, że od końca lat 60-tych i później słuchałeś, oprócz Radia Wolna Europa, Głosu Ameryki na przykład, BBC?

- Zależy, bo to trzeba było schodzić na coraz niższą częstotliwość.

- A watykańskiego radia słuchaliście? Mój dziadek słuchał Radia Watykańskiego, była specjalna antena.

- Chyba też. W pewnym momencie, ale to już w stanie wojennym, można było kupić radio. Nie pamiętam, jak ono się nazywało, ale miało chyba sześć zakresów na krótkich falach.

- Jowita IC. Ja też to radio miałem.

- Tylko trzeba było częstotliwości czasami zmieniać.

- Pierwszy kontakt z drukowaną, podziemną czy bezdebitową prasą, książkami pamiętasz?

- Pierwszy kontakt miałem gdzieś w 1979, może 1978 r. Mówię Ci, że dostawałem ten biuletyn KOR-u od księdza Jastrzębskiego. Też była „Placówka” Ruchu Chłopskiego i to też chyba od niego.

- Książkę pierwszą wydaną w podziemiu pamiętasz jakąś?

- „Krzyż Nowohucki”, ale to już później, jak byłem w Klubie Inteligencji Katolickiej u Woźniakowskiego Jacka.

- Jak przyjąłeś wybór papieża Polaka, Karola Wojtyły?

- No, proszę Pana, z wielką radością! W domu chyba byłem, jak gruchnęła ta wiadomość.

- Ja przeżywałem te chwile w Lublinie. Byłem już na studiach, na pierwszym roku i szedłem przez Plac Litewski. Grupa młodzieży, studentów KUL-u z białymi czerwonymi flagami szła i krzyczała: „Nasz profesor papieżem”. I wtedy to było dopiero dla mnie szokujące, bo nie bardzo wiedziałem o kogo chodzi. Dopiero później się okazało. I ten obraz mam przed oczami przez całe życie. Minęło od tego czasu przecież już 46 lat. I na tle tych światel, tych lamp, ta biel i czerwień była tak w kontraście do tej jesieni wokół. Taki obraz mi utkwiał w głowie.

- Pamiętam też pierwszą pielgrzymkę do Krakowa, bo pod kopcem była cała uroczystość. Myśmy tam pojechali ze znajomymi pociągami. I nie wiem do dzisiaj, czy mi się to śniło, czy to był fakt, bo na początku mszy, jeszcze przed rozpoczęciem, dwa balony uniosły głowę orła w koronie. I szukałem we wszystkich tych różnych wydawnictwach, czy jest gdzieś

zrobione zdjęcie. Nie ma nigdzie i nie wiem czy mi się śniło. W każdym razie to mi utkwiło w pamięci.

- Tak, to był czas inny od tego, co myśmy przeżyli wcześniej i później. A już co mówić dopiero o tych pokoleniach, które brały udział w wojnie tej drugiej i później przeżyły stalinizm, jako ludzie dorośli i ludzie walki. Wiedzieliśmy, że to jest coś tak odmiennego, że coś się na naszych oczach dzieje niezwykle ważnego. Jeszcze nie wiedzieliśmy do czego to doprowadzi. Papież Jan Paweł II miał taki aktorski charakterystyczny głos. Ci, którzy go znali jako metropolitę krakowskiego potrafili go rozpoznać. I dlatego tak pytam o to, bo większość ludzi, z którymi się rozmawia miało podobne odczucia, że to była bardzo wielka sprawa.

- Myśmy pojechali tam do Krakowa pociągiem. Doszliśmy tam gdzieś w środku nocy, zwinąłem się w koc, wałęsałem się w tym sektorze i śpię. Bo to przecież było ciepło wtedy - czerwiec. I jak mówisz o tym charakterystycznym głosie, to jak było odsłonięcie pomnika Piłsudskiego w Brzozowie w 2018 roku, kazanie miał ksiądz pułkownik Kozicki Władysław i on miał podobny głos do papieża. Wszyscy, którzy go słuchali, też to zauważyli.

- No dobrze i co dalej? Przed 80-tym rokiem miałeś jakieś takie, jakby to nazwać, inklinacje czy skłonności, że trzeba coś robić?

- Jakies przemyslenia byly, ale jakoś zdecydowanie to nie.

- Czyli jakichś ruchów, takich formalnych, że tworzymy jakąś organizację nie było?

- Nie było.

- I dopiero lipiec. Pamiętasz lipiec 80-ego roku?

- Pamiętam ten strajk. Nie jeździły autobusy, kurde, ale to nic. Wiem, że do roboty czy z roboty jechałem na pace, odkrytej takiej skrzyni i tam nas kupę stało na tym aucie.

- Czy echa jakieś tutaj do Krosna docierały z tych strajków lubelskich?

- Docierały, bo to się już dyskutowało w robocie, ale szczegółowo ci nie powiem, bo nie pamiętam.

- Ja już wtedy byłem po doświadczeniach z zatrzymaniem w Komitecie Obrony Jana Kozłowskiego, bo to było w maju 80-ego roku i już w lipcu braliśmy udział w tych wszystkich przedsięwzięciach lubelskich. Także dla nas sierpień był jakby kontynuacją tego, co się stało w Lublinie, prawda? I to wtedy ten impuls rzeczywiście nie poszedł z Lublina, a mógł. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Dopiero z wybrzeża, z Gdańska, Trójmiasta. Jest sierpień 80-ego roku. Co robisz?

- W sierpniu 1980 było widać jakąś euforię, mimo tego, że utrudnienia komunikacyjne były duże. Coś się dzieje. Wtedy pojechali stąd ludzie, którzy zaczęli organizować związek w Krośnie. Pierwsze to było Polmo, ZNUN, Huta Szkła, WSK i szefem tego komitetu

założycielskiego został Józef Bek, ale potem coś tam się z nim podziało i zastąpił go Zawojcki Zygmunt. To był mój kolega o rok starszy z Haczowa. I z nim zagadałem, że my też w instytucie chcemy związek założyć. A on na to: „No to róbcie, a najlepiej to przyjdź, u Staszka Drużby się spotykamy”. Staszek Drużba mieszkał przy lotnisku, w prywatnym domu i tam właśnie były te pierwsze spotkania. Wyglądało to tak: w środku siedziała ta wierchuszka, że tak powiem, tego związku, okna były pootwierane w chałupie na wszystkie strony i tam stali ludzie i słuchali jak się za to organizowanie zabierać. Gdzieś to było chyba we wrześniu. Wróciłem i mówię do chłopaków tam w instytucie, że coś trzeba robić. Zaraz zorganizowaliśmy tam komitet założycielski, przewodniczącym został Grzegorz Juszczeń, doktor matematyk. Był też Józek Such, Wojtek Korfanty. Mnie oddelegowali do kontaktów z regionem. Potem zostałem członkiem zarządu tymczasowego. Pierwszy lokal był na ulicy 1000-lecia. Była tam Liga Obrony Kraju chyba. W budynku były trzy czy cztery pomieszczenia i dostęp do sali narad, gdzie te spotkania się odbywały. Już byli ludzie w komitecie założycielskim, czyli w PRKZ- cie (Podkarpacki Regionalny Komitet Założycielski): Zawojcki, Drużba, Szul, Aleksander Migo, chyba też już był rzecznikiem prasowym. Pomocą służył również mecenas Pawłowski. Spotykaliśmy się z różną częstotliwością, w zależności, co się działo w kraju. W sierpniu mieli pojechać do Gdańska, ale w autobusie poprzebijali koła. Nie wiem, czy bezpieka to zrobiła, czy kto, ale kto inny mógłby zrobić? Więc taksówkarze zorganizowali się, żeby mogli dojechać na wybrzeże. Nie wiem ilu ich tam wtedy pojechało - sześciu czy ośmiu. Gdy wrócili stamtąd, to zaczęło się wszystko już organizować. To już był wrzesień. Euforia. Zaczęliśmy tam w instytucie tworzyć Solidarność. I co się okazuje, że przystąpiło prawie sto procent załogi. W pewnym momencie to nawet dyrektor się zapisał, ale sądzę, że dostał prikaz, żeby mieć to wszystko pod kontrolą.

- Okres jesieni jeszcze 80-ego roku. Co z tych wydarzeń najbardziej pamiętasz?

- Pamiętam, poszliśmy wtedy na czyn społeczny, na budowę kościoła Ducha Świętego. Ksiądz Antoni Obrzut był proboszczem, mieszkał w chałupie drewnianej. Tam w części gospodarczej była kaplica zrobiona. I on podjął się budowy. Pamiętam, że deskowaliśmy dach. Przybijało się trzy deski, jedną się wstawiało, przybijało następne, tam się wyjmowało tworząc schody do góry. Pierwszy raz się z taką techniką spotkałem. No i pracujemy, pracujemy. Przychodzi nagle jakiś miejski architekt i zatrzymuje budowę. No to jak on zatrzymał, to się śmiejemy. My się śmiejemy, a on też się śmieje, bo kazali, to przyszedł. No i wtedy tośmy ten czyn odwalili społecznie. Dużo chłopaków poszło. Wtedy żeśmy mieli po te trzydzieści kilka lat. Nie mówię, że wszyscy, bo byli starsi panowie i młodszy. Innym razem ksiądz Antoni Obrzut - michalita, wymyślił, że pojedziemy do Krakowa na sztukę Jana Pawła II pt. „Brat naszego Boga” do Teatru im. J. Słowackiego. Rzeczywiście zebrało się towarzystwo i dużo ludzi pojechało z instytutu, cały autobus. Oczywiście sztuka trudna, bo nie powiem, że łatwa.

W 81 roku wpadłem na pomysł, żeby zrobić 3 maja mszę polową. Jak się z rynku w Krośnie schodzi w dół, jest Podkarpackie Centrum Szkła. I naprzeciwko tego wzgórza był ołtarz. Zamówiłem krzyż u Władysława Wyżykowskiego - stolarza, brata Jana, odkrywcy miedzi. Kupiłem gdzieś jakąś deskę i on mi to zrobił. Ze cztery metry chyba miał ten krzyż do ołtarza. W instytucie mi chłopaki pospawali taki postument, żebym miał go gdzie postawić. I na tej mszy było masę ludzi. Różnie - piętnaście tysięcy, dziesięć, nie umiem określić ilości. W koncelebrewanej mszy świętej z udziałem księży z Krosna i okolic przewodniczył ks.

Biskup Ignacy Tokarczuk. Wygłosił bardzo patriotyczną homilię, nawiązując do święta Matki Bożej i Konstytucji Majowej oraz Solidarności. I później po zakończeniu było poświęcenie sztandaru regionalnego, który wykonały siostry służebniczki w Starej Wsi. Piękny sztandar, na awersie Matka Boża Częstochowska i napis Solidarność, a na rewersie orzeł z koroną. Po mszy ruszył pochód prowadzony przez ks. A. Obrzuta. Za nim niesiony na ramionach ludzi Solidarności krzyż, a za nim sztandar regionu i pozostali uczestnicy mszy świętej. Procesja przeszła koło kościoła oo. Kapucynów, ulicami: Staszica, Wojska Polskiego, Wieniawskiego do kościoła Ducha Świętego. Krzyż został postawiony wewnątrz kościoła obok ołtarza. Chodziło o to, aby ludzie zrozumieli, że 3 Maja to bardzo ważne święto.

- Wróćmy jeszcze do 80 roku. Po Porozumieniach Sierpniowych zakłady w województwie krośnieńskim strajkowały w sierpniu?

- Chyba strajkowały. PKS nie jeździł, chyba strajkowała Huta Szkła i Polmo.

- I później wy jako Podkarpacki Regionalny Komitet Założycielski, jeździliście po tych zakładach i tworzyliście komisje zakładowe?

- To głównie ci, którzy byli w tych zakładach na etacie, chociaż ja też np. w GS-ie byłem zakładać.

- 29 grudnia 1980 roku nastąpił strajk okupacyjny w Ustrzykach Dolnych i zajęto salę konferencyjną, tam, gdzie były posiedzenia Rady Narodowej. Jeden z takich dokumentów, który przeczytałem, był takiej treści, że Komitet Strajkowy nie życzy sobie żadnych wizyt ani kontaktów z Podkarpackim Regionalnym Komitetem Założycielskim z Krosna. Oni zaczęli szukać kontaktów z Rzeszowem wtedy właśnie. Z Przemyślem to swoją drogą. Tylko ja nie pamiętam, czy to było wcześniej, przed tym grudniem jeszcze. Pamiętasz, jakie to tło było, że tak radykalnie? Nie pamiętasz? Ok, bo rzeczywiście nie odegraliście żadnej roli przy tym strajku, który był zinfiltrowany przez tajnych współpracowników służby bezpieczeństwa zarówno z Krosna, jak i z Rzeszowa. To się okazało po latach i lepiej, żeście nie mieli z tym nic wspólnego. I rzeczywiście później, kiedy Lech Wałęsa, Bogdan Lis i Andrzej Gwiazda przyjeżdżali do Ustrzyk i do Rzeszowa, to się działo poza strukturami krośnieńskiej Solidarności.

Ale mamy osiemdziesiąty pierwszy rok, trochę mówiłeś o trzecim maju. Generalnie działalność polegała wtedy na tym, że trzeba było organizować struktury związku Solidarność w zakładach pracy, ale też międzyzakładowe, prawda? Powstawały takie międzyzakładowe komisje koordynacyjne albo branżowe itd. Krótko mówiąc, zaczęła się robota związkowa. Czy Ty to pamiętasz? No bo wtedy doszło do zmiany władzy, bo tak jak mówiliśmy, w roku 1970 ustąpił Gomułka, przyszedł Gierek, po Gierku w 1980 przyszedł Kania, potem Jaruzelski. I pytanie jest takie: jak wyście wtedy jako ludzie młodzi, bo trzydziestoletni uważali, czy to jest walka z komuną, czy to jest walka o poszerzenie jakiegś przestrzeni wolności dla tej części dużej, bo w końcu dziesięć milionów ludzi do Solidarności się zapisało? Z jakich powodów, to też mniej więcej przecież wiemy. Niektórzy z powodów takich, że czekali na taki moment w historii. I jak wtedy patrzyliście na te rządy komunistyczne? Przecież z Krosna pochodził Gomułka. Tam wpływy komunistyczne były niemałe na Podkarpaciu. Mówię teraz o ludziach,

k którzy tworzyli struktury PRL-u, prawda? Jak wyście do tego podchodzili podczas dyskusji na posiedzeniach zarządu regionu?

- Głównie były omawiane sytuacje, wiesz, jak tworzenie tych struktur. Niejeden miał takie problemy, że mu przeszkadzali, bo różnie do tego podchodzili dyrektorzy. A tak, to wiesz, to głównie chodziło o to, żeby przeciwstawiać się komunistom. A to różnie wyglądało, bo też się pojawiali ludzie, którzy jakby łasili się trochę do tego komunizmu.

- Mieliście świadomość, że struktury związku są infiltrowane przez Służbę Bezpieczeństwa?

- Mieliśmy świadomość pełną, bo ja na przykład jak w 1981 w lipcu przyszedłem na etat, to mówiłem Zygmunutowi Zawojowskiemu o Aleksandrze Migo. A on mi mówi, że woli mieć jednego, o którym wie, jak iluś tam, o których nie będzie wiedział. Z resztą później okazało się, że rzeczywiście na ośmiu delegatów na zjazd krajowy z Podkarpacia, dwóch było współpracownikami SB.

- Czyli jedna czwarta można powiedzieć. Aleksander Migo to nie był tajny współpracownik, to był kadrowy oficer Służby Bezpieczeństwa.

- Tak, z Kędzierzyna Koźła. Nie wiem, jaki on tam był w tej swojej pracy, bo on był chyba w paszportówce. Wyczał go dobrze Romek Lonc, bo się z nim zetknął w Lublinie chyba. Porucznikiem był od paszportów.

- Teraz opowiedz o relacjach z kościołem rzymskokatolickim, zarówno na poziomie Krosna, miast w województwie krośnieńskim, czyli Sanoka, bo Jasło od początku było związane z Małopolską?

- Raczej tak. Już na początku mówili, że idą do Małopolski, bo historycznie są związani z Małopolską.

- Jasne. Czyli z miast ówczesnego województwa krośnieńskiego: Krosno, Sanok, Brzozów, Lesko i Ustrzyki Dolne były w Zarządzie Regionu Podkarpacie w Krośnie, bo rozmaite kontakty z Przemyślem czy z Rzeszowem w konsekwencji nie rozstrzygnęły o przynależności do tamtych regionów, tylko do tego. To jakie były kontakty z poszczególnymi dekanatami i przede wszystkim z kurią przemyską?

- Z kurią biskupią były bardzo dobre kontakty. Bywaliśmy często u biskupa Ignacego Tokarczuka. On zawsze łądował nam akumulatory. Bywałem u ks. Biskupa Ignacego w towarzystwie innych osób, jak i odwiedzałem go sam osobiście. Spotkania miały miejsce zarówno podczas działalności legalnej jak i podziemnej, po wprowadzeniu stanu wojennego jak i po wyjściu z internowania jako przewodniczący RKW. Podczas takiego spotkania chyba w 1983 lub 1984 r. biskup Ignacy wręczył mi kwotę 100 tysięcy złotych z przeznaczeniem na działalność. Po roku pojechałem złożyć sprawozdanie, na co te pieniądze wydałem i odniosłem wrażenie, że on mnie nie słucha. Wstał, poszedł do sypialni i przyniósł następne 100 tysięcy. Podziękowałem i wychodząc wstąpiłem do ks. Prałata S. Krzywińskiego, który prowadził referat duszpasterstwa świeckich, a był wielkim orędownikiem Solidarności.

Opowiadam mu o tych pieniądzach otrzymanych od ks. Biskupa, a on na to: „Masz Pan pewne zaufanie. Tylko go Pan nie zawieź”. I nie zawiodłem. To doświadczenie wpłynęło na moją późniejszą działalność jako wojewody krośnieńskiego i starosty brzozowskiego, bo obdarzałem pełnym zaufaniem osoby, którym powierzałem stanowiska. Bo z zaufaniem jest jak z ciążą: albo się jest albo nie. Tak samo z zaufaniem albo się go ma albo nie. Nie wierzę w ograniczone zaufanie, bo to brak zaufania. Księża, których pamiętam, to m. in. Bronisław Jastrzębski, był archiprezbiterem krośnieńskim. U franciszkanów był o. Tarczyński, bardzo przychylny. Jeszcze u kapucynów byli o. Bogusław Piechuta i o. Ryszard Śleboda, którzy chcieli radio zakładać. Również był tam bardzo aktywny brat Jakub, ale nie pamiętam nazwiska. On nawet jeździł na msze do Warszawy, do księdza Jerzego Popiełuszki. W Sanoku ksiądz Adam Sudół, archiprezbiter sanocki, bardzo aktywny. Był też franciszkanin o. Andrzej, ale nazwiska nie pamiętam. Był bardzo patriotyczny, odsiedział chyba osiem lat we Wronkach w 50-tych latach. W Jaśle też były kontakty z kościołem jasielskim, ale to już później, po internowaniu.

- Jak było w 80-tym i 81 roku w Brzozowie?

- W Brzozowie było dwóch księży, na pewno ksiądz infułat Julian Pudło. U Jezuitów chyba o. Stanisław w Starej Wsi. W Lesku nie pamiętam, ale był tam ksiądz Nawrocki, chyba.

- Nawrocki był chyba w Ustrzykach.

- Nie wiem, w Ustrzykach na pewno był później ks. Kołodziej. Ale to nie było w 1980 roku. Był jeszcze ksiądz Kazimierz Kaczor.

- On już w 1980 był w Haczowie? A chyba wcześniej był w Wojtkowej w Bieszczadach.

- Do Haczowa przyszedł w 80-tym czy w 79-tym nawet.

- A w Ustrzykach, pamiętasz, kto był wtedy? Nie pamiętasz. W Jasieniu, gdzie indziej jeszcze nad Soliną?

- Do Jasienia przyszedł ksiądz Antek Obrzut, ale później.

- Pamiętasz rozmowy z księdzem biskupem Tokarczukiem w tamtym czasie? Jakież rozmowy pamiętasz w jakiejś ważnej sprawie przed stanem wojennym?

- On zawsze mówił, że wschód się będzie otwierał, w związku z czym w seminariach chyba naukę języka rosyjskiego prowadził, jeżeli dobrze pamiętam.

- Czy w tych rozmowach formułował jakieś oczekiwania wobec was? Na przykład mówił, że dobrze by było, gdybyście zrobili to albo coś innego?

- Nie. Raczej to były kurtuazyjne spotkania. Myśmy oczekiwali od niego, żeby nam pobłogosławił albo po prostu powiedział parę słów takich krzepiących.

- Mamy rok 1981, dochodzimy do stanu wojennego. Myśleliście o tym, że coś takiego może nastąpić?

- Myśleliśmy, wprowadziliśmy dyżury nocne już od początku grudnia. Może wcześniej nawet. Pamiętam, że piątego grudnia byłem na takim nocnym dyżurze. Jak już towarzystwo się gdzieś poukładało i zaczęło spać, to wtedy z Romkiem Kaflem - był taki prawnik w regionie - wynieśliśmy z tego lokalu powielacz, dwadzieścia ryz papieru, dwa opakowania matryc białkowych i chyba pięć kilo farby drukarskiej. Zawieźliśmy to wszystko do mojego teścia Stanisława Ekierta i schowaliśmy w sianie. Spodziewaliśmy się, że coś może się dziać. Nas na dyżurze nocnym było pięciu, ale nikt tego nie widział, tylko ja i Kafel. Inni spali. Myśmy wyczekali, aż usną, a mój teść był o tym uprzedzony. Powiedziałem mu, że jeśli trzeba by było to wydać, to może tylko wydać księdzu Kazimierzowi Kaczorowi. Gdy już nas internowali, ks. Jastrzębski przyjechał gdzieś końcem grudnia 1981 roku chyba do Uherzec do więzienia. Ja byłem świeżo po spowiedzi i komunii, to nie musiałem do niego pójść, ale poszedłem i mówię, że to i to jest u Stanisława Ekierta, którego ksiądz dobrze znał, bo się z teściem trochę przyjaźnił. Poprosiłem, żeby przekazał ks. Kaczorowi, gdzie ma tego szukać. Bo teść wiedział, że ma dać wszystko ks. K. Kaczorowi, tylko trzeba mu było przekazać, że ma to wziąć. Ale ostatecznie nie skorzystali z tego. Wzięli, ale nie skorzystali. Nie miał kto się tym zająć.

- Już w nocy z dwunastego na trzynastego grudnia, zanim się rano okazało, że ogłoszono stan wojenny następowały aresztowania. Ciebie aresztowali - kiedy i gdzie?

- Trzynastego miała być na rynku msza polowa i wiec. Miała być też poświęcona tablica, żeby ją zainstalować koło bramy na stoczni. A ponieważ Zawojski był na Komisji Krajowej, to ja tam miałem mieć jakieś przemówienie. Siedziałem tu w domu i pisałem. Gdzieś po pierwszej w nocy patrzę, jedzie jakieś auto, jedno potem drugie. Oba milicyjne. Gazik tutaj z Haczowa z komendy i fiat z lotnej. No i weszło ich tu chyba z pięciu do chałupy. Jeden był chyba kapitan Wołczański. I on mówi, że był jakiś wypadek i że jestem potrzebny. Pomyślałem, że to bardzo prawdopodobne, bo ja Staszka Družbę wysłałem wieczorem do Sanoka, żeby zawiózł jakieś materiały. W każdym razie było to prawdopodobne. Zastanowiło mnie jednak, że przyjechaliśmy na tę komendę do Haczowa, wysiedliśmy, chwilę posiedzieliśmy, oni coś tam pogadali i znowu mnie zapakowali. I jedziemy do Krosna. Ale jak żeśmy dojeżdżali do Krosna, to już było wiadomo, o co chodzi. Z różnych stron miasta zjeżdżały samochody na kogutach, widać było jak migają. Jak przyjechaliśmy, to kapitan Wołczański odczytał mi dokument, że jestem internowany i strasznie niebezpieczny i tak dalej. Przestraszyłem się, że taki byłem strasznie niedobry! Rewizję mi zrobił dokładną, ale nie on, tylko chyba milicjant z Haczowa. I jeszcze powiedział coś takiego, że „mieliście wy nas, to my mamy teraz was”. A ja mówię, że to się jeszcze nic nie skończyło, to dopiero początek.

- Tak powiedziałeś?

- Powiedziałem. No to na dołek. A na dołku przerażony milicjant, chyba sierżant czy starszy sierżant, młody człowiek, tak jakby nas przeproszał, że nas musi tutaj... Tam była dość wesoła sytuacja. Na podłodze aresztu były tylko materace wojskowe, zwijane. Wchodzę, a tam Władek już jest i ktoś jeszcze. To taki dosyć charakterny facet. Trzeba było

tego materaca kawałek zwinąć, żeby mieć pod głowę, a on mówi: "Za krótkie te materace macie, bo tu wielcy ludzie leżą". I tak żeśmy posiedzieli do rana, chyba do piątej czy szóstej. No i znowu całe depozyty wydają i do szluchy to towarzystwo pakują. Był z nami Franek Trybuś z Kopytowej. Jego też wzięli w nocy, przyjechali tam pewnie w pięciu czy sześciu. On miał dwóch synów, takich już chłopaków pewnie po dwadzieścia lat i oni ojca bronili. Wiesz, przywieźli go w piżamie, w jakichś pantoflach. A tam zimno było, więc go czym mogli, to okrywali. No i jedziemy. Mniej więcej kontrolowałem gdzie jesteśmy, mijamy Sanok, wreszcie dojeżdżamy do Uherzec i podejrzewam, że komendant więzienia nie wiedział, że ma nas przyjąć. Dlatego żeśmy stali dwie godziny pod bramą. W tym czasie opróżniano pawilon trzeci więzienia. Były tam trzy takie pawilony: P1 to byli więźniowie, którzy mogli wychodzić na zewnątrz więzienia; P2 to ci, co pracowali tylko w więzieniu i P3, to takie wiesz, zamknięte, dla niedobrych. I tam nas umieścili, wymieniali pościelenie i wszystko przygotowywali.

- Jasne. Zawieśmy na chwilę tę rozmowę, w tym momencie. Interesuje mnie, co działo się w domu, była żona, miałeś już dwie córki? Żona była świadkiem tego wszystkiego?

- Nie, spała, proszę ciebie. Ja potem poszedłem do niej i mówię, że jadę, bo tam jakiś wypadek jest.

- Czyli ona nie wiedziała, że przyszło tylu ludzi i zabrali Cię? Nie wiedziała tego? A dziewczynki też nie wiedziały?

- Też nie wiedziały. Spało towarzystwo. Ja tylko wziąłem kożuch, miałem w kieszeni jakieś różne kartki, wiesz, z nazwiskami, adresami, to w łazience zostawiłem.

- Kiedy się dowiedziałeś, że został ogłoszony stan wojenny?

- Na komendzie.

- Mówili już stan wojenny?

- Tak. To słowo już padało. Został ogłoszony stan wojenny. To mogło paść dlatego, że to już było po pierwszej.

- Zostaliście ulokowani w pawilonie P3.

- Po jakichś dwóch godzinach czekania umieszczono nas w pawilonie P3 Zakładu Karnego w Uhercach. W najtrudniejszej sytuacji był Franek w tej piżamie. Później nas lokowali po celach. Wpierw nas posadzili w celi na końcu korytarza. Tam było potwornie zimno. Na drugi dzień przenieśli nas do celi, nie pamiętam numeru, już tam byliśmy we trzech: Władek Kinel, Romek Lonc i ja. Zaczęło się trochę takie wojowanie z klawiszami, bo oni chcieli, żebyśmy im na noc wystawiali kostkę z ubrania. A myśmy to bojkotowali. My mówimy, że to nasze ubrania, to co im mamy wystawiać? I zaczęli przyjeżdżać ze Służby Bezpieczeństwa. Przyjeżdżał chorąży Piechota z Krosna i porucznik Łopuszański. Też przyjeżdżali jacyś inni, których nie znam, bo jak mnie wzięli na przesłuchanie, to zaczęli mnie straszyć, że razem z Z. Zawojkim wzięliśmy pieniądze z kasy związku. Była to prawda, bo postanowiliśmy je

zabrać i ukryć u ks. Jastrzębskiego i ks. Kaczora. Te pieniądze miały być przeznaczone na działalność związkową. Ubecy we trójkę przyjechali i zaczęli mi opowiadać, że za coś takiego to dwadzieścia pięć lat więzienia. Patrzę na nich i wiem, że blefują. Udałem, że mi głowa leci, to oni doszli do wniosku, że i tak się niczego nie dowiedzą. I to tak potem trwało, że co chwilę o to pytali. Przyjeżdżali inni, jakiś Gorczyca, jakiś Stokłosa, ale wtedy już żądałem prawidłowo wypełnionego wezwania, czyli numer z pra-wej i w jakim charakterze. Ten numer był najprawdopodobniej fikcyjny a w charakterze świadka nie mogłem odmówić zeznań, tylko mogłem odmówić odpowiedzi na pytanie. Przyjechał ten Stokłosa, ja mówię, że odmawiam zeznań. To on napisał i pojechał. Przyjeżdża na drugi dzień, zadał mi ileś tych pytań. Na każde odmówiłem. Lepsza była Danką jeszcze, bo ją wezwali, z Czernichowa przyjechała do Krosna. I pyta ją o nazwisko, imię, a ona odmawiała odpowiedzi. No i dał jej tam z dziesięć pytań i dobra. „No to dziękuję pani”. A ona: „Chwileczkę, koszty podróży kto mi zwróci?”. „A to wie pani, ta kasa zamknięta, to ja pani z moich zwrócę”. „A mnie wszystko jedno. Dawaj pan”. 16 grudnia, to jest też ważne, bo zabili górników. Na znak żałoby zrobiliśmy sobie z czarnych wstążek pętelki, które przypięliśmy do ubrań. Ze smalcu co tam dostawaliśmy, tośmy robili jakieś takie świece. I się paliły na zewnątrz, bo tam nie było blend, tylko kraty i okna, to można było postawić je na parapecie. Wtedy były cele zamknięte jeszcze. Gdzieś w lutym chyba zostały otwarte. Wtedy o godz. 21.00 był Apel Jasnogórski i śpiewaliśmy różne patriotyczne pieśni. Matysik w chórze śpiewał, Rysiek dobrze śpiewał. To ludzie przychodzili słuchać pod więzienie. Ksiądz Głowacki ich zorganizował i chodzili słuchać. Dla nas doping. Część ludzi już wtedy zwolnili z tego więzienia. W lutym zwolnili Zawojewskiego. I nawet byłem ciekawy dlaczego. Szef regionu i nagle go zwalniają, ale może po to, żeby on coś zaczął robić, żeby go zwinęli? Aby można było go posadzić naprawdę albo zdyskredytować w oczach innych. Do dzisiaj nie wiadomo. Trzeba było sobie jakoś ten czas wypełnić. No to ja zacząłem robić różańce, no ale zapytasz, skąd miałem jakieś narzędzia? Więc w bucie, w którym mnie zamknęli pod wyściółką miałem brzeszczot od piłki do żelaza. Niecały, ale tak na miarę ucięty. I to tak mi się przydało, bo wycinałem jakiś kawałek szafy, jakieś tam kołki, które tam były. Ciąłem to. Obrabiałem nożykiem, który zaostrzyłem. I robiłem z tego koraliki do różańca.

- Czekał, ten brzeszczot to był z jakiego powodu? Myślałeś o tym, że może się kiedyś przydać w takiej sytuacji? Chodziłeś w tych butach cały czas?

- Cały czas, bo mi nie przeszkadzał. Miałem taką filcową wyściółkę, takie buty, w których na kopalnię jeździłem, na takim protektorze grubym. I to mi tam nie przeszkadzało w niczym. Wycinałem jakieś tam słupki. Potem to nożykiem obrabiałem. Potem jakiś klawisz papieru ściernego przyniósł. No i robiłem te koraliki, takie różne. Brakowało mi drutu, żeby zrobić do tego połączenie.

- Dziurki czym w tych koralikach robiłeś?

- Na świece i agrafkę. Drutu mi trzeba było, nie? Gienek Chytła i Olek Lipiński wymyślili, że oni muszą kryminala dewastować. No i mówię drutu by mi się przydało takiego cienkiego. No to oni mi przynoszą taką kulę drutu. Skąd? A wydarli instalację alarmową.

- Nie był za cieniutki ten drut?

- Cieniutki drut. Taki miedziany za miękki. Wiesz, potem to miałem tego drutu na pięć lat. Mam tam na górze taki krzyżyk, gdzieś tam jeszcze zrobiony dla mamy. No i tak to się działo. Orzełki takie też robiłem. Jedno skrzydło zwinięte, drugie rozwinięte. Jakies szczudła rzeźbiłem i rozdawałem. Bo to trzeba było mieć jakieś zajęcie. Jeszcze powiem jedną rzecz, że przeczytałem całego Wańkowicza. Dlaczego? Przecież więźniowie Wańkowicza nie czytali. I doszedłem do takiego wniosku, że jakiś nakład był tej książki jednej, drugiej i trzeciej, to oni to pchali właśnie w więzienia.

Do tej mojej trzyosobowej celi dołożyli jeszcze pięciu. Z tym, że dwóch było takich lumpów, tak zwany lumpenproletariat, co to nigdzie nie pracowali, a całkiem na jakimś poziomie żyli. I jednego ORMOWCA. I najciekawszy był właśnie ten ORMOWIEC, któremu, proszę ciebie, w wigilię obiecali, że go wypuszczą. Jest pierwsza, jego nie wypuszczają, druga, jego nie wypuszczają, trzecia dalej nie. To on rękami złapał się za głowę, skulił się, siedzi i mówi: „K... ch... swojego zamkli.” Sam się przyznał. Podejrzewaliśmy go o to, wzięli go od świniobicia, w gumofilcach, w jakichś tam portkach. A tych dwóch innych, to jeden był chyba Poszacki, drugi nie pamiętam jak się nazywał. Pewnie po to byli, żeby donosić, bo w każdej celi byli tacy. Nie wiem czy donosili, ale byli. Tam też siedział Migo, Staszek Druźba, Józek Szul.

- Ten Migo to do kiedy siedział?

- Dość wcześnie go wypuścili. Józek Szul też współpracownik. Był żonaty, a miał jakąś kobietę w Sanoku i tam do niej jeździł. I pewnie to było powodem.

- Jerzego Stabiszewskiego spotkałeś w więzieniu?

- Spotkałem. Nawet mu okno oblałem smalcem. Chodziło o jakieś lojalki. Bo SB-ecy przychodzili co jakiś czas i proponowali, żeby podpisać, że będziesz przestrzegał konstytucji i obowiązującego prawa, porządku prawnego. Ludzie zaczęli o tym dyskutować, że to przecież nie jest nic takiego strasznego. I w pewnym momencie Romek Lonc mówi: „Jak się chcecie obudzić ze smakiem gówna w ustach, to podpiszcie”. I to zadecydowało, że potem były tylko jakieś pojedyncze sytuacje z podpisywaniem. Adam Jaźwiecki, na przykład, podpisał na komendzie ten papier i mimo to go zamknęli. I tak było do 19 marca 1982, do św. Józefa. Przywieźli jeszcze wcześniej ludzi z Uniwersytetu Śląskiego, między innymi Bogusia Kopańskiego, bratanka generała. Boguś był specjalistą od Palestyny, od arabskich historii. Nawet żonę miał Arabkę i przeszedł na islam. Rozwijał dywanik i tam się modlił. Miał niesamowitą wiedzę.

- Ale co dalej ze Stabiszewskim?

- Stabiszewski siedział piętro niżej. Stąd żeśmy mu okno oblali, bo on coś mówił o tych lojalkach, że to nic takiego. Więcej kontaktu wtedy nie miałem. Dopiero później. Tam jeszcze siedział też z Jarosławia jakiś dentysta. Trochę było takich ludzi, ale nazwiska mi uciekły. Przywieźli tych Ślązaków, jak oni wysiadali z suki, no to myśmy ich śpiewem przywitali. To oni głowy do góry dopiero podnieśli, bo wiedzieli, że jadą cały czas na wschód, a nie wiedzieli gdzie. Umieścili ich w tym samym pawilonie. To była tam jakaś możliwość pogadania, bo i na naszym piętrze i na niższym piętrze ich tam poumieszczali.

- Z Opolszczyzny też tam byli ludzie? Mi się wydaje, że tu siedział taki Janusz Sanocki.

- Nie, może później, bo, wiesz, za mnie to był chyba ten Uniwersytet Śląski.

- Janusz Sanocki był burmistrzem później.

- Jakoś nie kojarzę tego nazwiska. Szymoński Rafał to on był chyba z telewizji Katowice. I jeszcze był jakiś gość z tego radia, ale tego nie pamiętam już. Pamiętam 19-ego. Był strajk. Jakiś chłopak ze Śląska miał klaustrofobię. Nie chcieli go wziąć do szpitala, więc zaczęliśmy bunt robić. Na spacerniaku była beczka z wodą. To zaczęliśmy walić w tę beczkę, zabarykowaliśmy klatkę schodową łózkami. Jeden z tych uczonych profesorów walił takim kółkiem w belkę. Materace z łóżek żeśmy podpálili i ognisko się zrobiło jak piernik. No i wtedy przyjechało dużo wojska i milicji. Według moich obliczeń około dwóch i pół tysiąca ludzi, po to żeby przebić osiemdziesięciu gości. Ale tu chodziło o demonstrację siły, żeby milicja i wojsko przejechali przez Sanok i Zagórz. A ty wiesz jaki ja się czułem ważny jak mnie prowadziło ze czterech?

- No!

- Rewizja, to tamto, do suki i wtedy do Łupkowa. A w Łupkowie mogliśmy się drzeć, jak tam tylko wilk mógł słuchać tego, co my tam śpiewamy. Tam już była zupełnie inna atmosfera w tym Łupkowie, bo już te cele były otwarte. Za oknami piękne krajobrazy! Za chwilę już się ciepło robiło, bo już przychodził kwiecień, potem maj. Tam żeśmy się natknęli na ludzi z Bielska - Mirka Stycznia i innych gości. Pewnego razu otwarliśmy kratę na korytarzu, na połówce korytarza była jedna krata, potem druga krata i klatka schodowa, trzecia. I tą kratę żeśmy zdjęli w ogóle z zawiasów. Ale jeden zawias był odwrotnie. Dwa w dół, a jeden do góry. No to żeśmy go odpiłowali brzeszczotem moim. A potem przyszedł taki ślusarz, co spawał w Uhercach jeszcze. I widzę, że pali cygary, to dałem mu paczkę sportów, a on mówi: - "To co chcesz za to?" - „Nie, nic, dobra jest”. Na drugi dzień przyniósł kombinerki. No i wtedy, jak żeśmy tą kratę zdjęli, to wyszliśmy na zewnątrz. Chcieliśmy chodzić i klawisze doszli do wniosku, że nie ma sensu nas zamykać, bo my przecież nic nie robimy. Wieczorem pójdziemy z powrotem spać. Pod wieczór puszczały psy między dwie siatki - drut kolczasty. Siedział tam Tadek Jedynak ze Śląska. A on się zajmował trochę hodowlą psów i wykombinował, żeby mu z domu przywieźli trochę sierści suki, która miała cieczkę i on to wrzucił między ogrodzenia. I ten pies szalał. Klawisz chce go wziąć, a on do niego, to czapą go wali po łbie. Ku radości gawiedzi. Co jeszcze robiliśmy z tymi kolegami z tego Bielska? Oni siedzą, opalają się na spacerniaku, przyszedł z darów gulasz wojskowy, chyba amerykański. Był w ciemnozielonych puszkach z napisem BT 110. No to do puszki przykleiliśmy kabelki i na słupie podłączyli. I jak klawisze to zobaczyli, to momentalnie zwiewali z krzykiem: „Piromani!”. No i wiesz, 3 maja w tym Łupkowie. Nigdzie w Polsce nie było takiego 3 maja. Msza była z orłem w koronie, polowa na placu. Był taki porucznik Kalinowski. To był świetny gość, pomagał, zastępował naczelnika. Przyjechał wtedy ksiądz Burek, na mszę. No i msza odprawiona. Przyszli więźniowie. Po tej mszy przyjechali do mnie na imieniny i coś tam przywieźli. Taką wódkę. Robi się to bardzo prosto. Trzeba wziąć kompot z truskawek, wylać kompot, wlać spirytus albo wódkę, troszkę zagrzać. Był z nami jeszcze Staszek Kusiński z Przemyśla, który się ożenił dzień wcześniej w kryminale, dlatego, że chciał im zrobić na złość. Na prezent mu dali koledzy Przemyślaczy kurę żywą. Jak ją

wypuścili, to goniła po tym kryminale, a klawisze za nią.

- Żona Cię odwiedzała?

- Żona mnie odwiedzała. Koledzy mnie odwiedzali. Raz przyjechali, ale ich nie wpuścili. I znowu pomógł nam Kalinowski. Poszli z drugiej strony przez siatki. Tam coś mi przerzucili przez górę i rozmawiamy. I właściwie nie wiem, dwadzieścia minut minęło, przychodzi Kalinowski, mówi: „Panowie, już dajcie spokój, idźcie, bo już zadzwonili do WOP-u i za chwilę przyjadą i was zwiną”. Czyli porządny mężczyzna.

- Kiedy wyszedłeś?

- Żona wystąpiła o przepustkę na dzień komunii Gosi i to było 7 czerwca 1982. Wyszedłem i już nie wróciłem.

- Wróciłeś w połowie 1982 roku do domu. Od razu jakoś z kolegami z zarządu regionu czy z innych komisji zakładowych uruchamialiście działalność podziemną, czy to była jakaś przerwa?

- Była przerwa, bo były różne przedziwne sytuacje. Na przykład duże spotkanie, które urządził Szul u siebie na działce. Między innymi zaprosił mnie i Zawojkiego. Ja mówię: - „Ja na to nie idę, a ty jak chcesz”. - „Ja też nie idę, bo jak tam będzie z pięćdziesiąt ludzi i będziemy musieli mówić, cośmy zrobili z tą forszą, to tylko możemy powiedzieć oficjalnie to, co oficjalnie mówimy”. A oficjalnie mówiliśmy, że to poszło na remizę, remont wieży w Farze. Przecież myśmy te pieniądze wzięli na działalność podziemną bez uchwały jakiegokolwiek zarządu. Wiedziała tylko księgowa i my. Nie poszliśmy i całe szczęście, bo się okazało, że pan Józef jest TW. Z resztą tam było wielu różnych ludzi, takich dziwnych. We wrześniu w trójkę żeśmy powołali RKW - Regionalny Komitet Wykonawczy - Jakubowski, Zawojski i ja. Później zaczęliśmy bywać u ks. Stanisława Bartmińskiego w Krasieczynie. Przyjeżdżali tam różni ludzie ciekawi z wykładami. Dwa, trzy razy tam pojechaliśmy i doszliśmy do wniosku, że dlaczego my mamy jeździć, skoro możemy zaprosić wykładowców. Ks. Kazimierz kończył budować dom parafialny, przerobiony ze stodoły plebańskiej. I udało się go namówić, żeby to spotkanie tu zrobić. I rzeczywiście przyjeżdżało około czterystu osób, raz w miesiącu. Ciekawi ludzie, bo Deptułowie byli z KUL-u, był profesor Stanowski, Stelmachowski, ksiądz Borcz - ten fajnie gadał, tak dynamicznie, Łukasz Czuma. Znane nazwiska. W każdym razie to się cieszyło dużym zainteresowaniem. I jak właśnie żeśmy wracali z tego Krasieczyna w tym autobusie Zawojski mi mówi, że on wyjeżdża do Stanów. To trochę mnie wkurzyło, ale przejąłem szefostwo RKW. I wtedy proszę ciebie, zaczęło się już coś tam trochę robić. Staszek Majerski, Jasiak Bałuka, Adam Oberc, Sławka Leśniak, Zbyszek Leśniak, Bogusław Gładysz. Myśmy tu w Haczowie wydali cztery numery na powielaczu. I ciekawa rzecz się stała. Było włamanie do nowego kościoła i zginęły wota, czyli korale. Nie wiem, jaka tam wartość była tych sznurów, ale chyba nie powalająca. Zakrystia też była otwarta, a nad nią jest takie pomieszczenie, w którym były elementy wystroju z tego zabytkowego kościoła. Nic nie zginęło, więc doszliśmy do wniosku, że mogli szukać powielacza. W związku z tym trzeba go było przenieść. Przenieśliśmy go do pewnego gościa w Iwoniczu. Potem często przenosiliśmy go do różnych miejscowości. Od pewnego momentu przyjeżdżał tutaj Norbert Pietrzyk

z Warszawy i uczył tych naszych sitodruku. Woziliśmy też z Krakowa pełne plecaki bibuły. Potem już przejął to Staszek Majerski z Jaśkiem Bałuką. Ten cały druk, to wszystko. Boguś robił zdjęcia, powiększał i tak dalej. Tego jakieś pięćset do tysiąca egzemplarzy się kolportowało na Sanok, Krosno, na różne miejscowości i to jakoś tam szło.

- Z tych Twoich kolegów z tego RKW nikt nie został aresztowany w tym czasie?

- Nie.

- Nie, czyli na tyle szczelne to było...

- To było hermetyczne. Chciałem to podkreślić, że to było szczelne. Nikt nie został aresztowany, chociaż przesłuchania, wezwania były. Czyli szukali, ale nie mogli trafić i nie mogli nikogo wmontować. Bo z tego, co wiem, to w Rzeszowie było jakieś montowanie, a u nas nie. Tylko wiesz, to byli ludzie sprawdzeni po wielu doświadczeniach. Staszek przecież pięć i pół roku, osiemnaście lat miał, jak dostał wyrok. Adam też z wyrokiem. Sławka też internowana. Jasiak tylko nie miał takiego doświadczenia. Józek Kinel niedługo siedział, bo miał cukrzycę. Przyszedł do mnie, mówi: "Słuchaj, mam cukrzycę" no to mówię: „Kurde, podpisz tę lojalkę i idź do chałupy, bo cię tu skończą”.

- Ile on miał lat jak zmarł?

- Gdzieś koło sześćdziesiątki. Miał jakiś udar chyba.

- No dobrze, dochodzimy do końcówki lat 80-tych. 1988 rok. Mówi się o okrągłym stole.

- W 88 roku, proszę Pana, myśmy ujawnili komisję wykonawczą. Był wrzesień albo październik. Wtedy zaczęliśmy dyżury już robić tam, gdzie apteka była.

- O tej aptece trzeba jeszcze powiedzieć, bo to jest ważne. Apteka tutaj w Krośnie, to było takie hasło rzeczywistej pomocy dla ludzi potrzebujących, a biednych czy niezamożnych. To były dary głównie amerykańskie, prawda?

- To była współpraca z Association de Soutien Solidarite. To była organizacja we Francji. Oni tu się zjawili, jakieś dary przywieźli i tak się zaczęło. Zapytali co nam było najbardziej potrzebne. Wiadomo, że maszyna drukarska. To ją przywieźli. Zresztą Staszek głupio zrobił, bo wysłał powielacz na adres parafii w Haczowie i paczkę kawy i coś tam jeszcze. I w takiej dużej skrzyni została tylko paczka kawy. Otwieramy paczkę, a reszta jest skonfiskowana, więc nie było szans. No to mówimy – leki. I oni zaczęli wśród ludzi zbierać po prostu leki. Voltaren wtedy niedostępny był w aptekach polskich czy też leki na reumatoidalne zapalenie stawów. Tego było dość dużo. I trzeba było zorganizować ludzi, farmaceutki. Przygotowywała to Sławka Leśniak ze Stasią Gładysz. Lepiej się znały jak te farmaceutki, ale nie miały papierów. I się udało znaleźć dziewczyny, które przychodziły na te dyżury i wydawały leki. Wreszcie znalazł się lekarz chętny na te leki. I wszystko by było fajnie, ale któryś z moich znajomych mówi, że był u takiego doktora, który takie fajne leki miał i mu je po prostu sprzedawał. Nie powiem za jakie pieniądze, ale skończyła się współpraca z panem doktorem, bo to już było chamstwo. Mógł sobie zgarnąć za usługę, a nie za leki. Tam też była

puszka, która wspomagała nas, bo jak ktoś chciał, to mógł tam wsadzić jakiś pieniążek. Od Francuzów czasami jakieś ciuchy przyszły. Zresztą ciuchy to wtedy też Staszek organizował. Ktoś mi opowiadał, że wśród tych darów był jakiś kozuch i przyszła pani doktorowa, bo jej się przyda. Wyobraź sobie, że tacy są ludzie. Ale też przykład taki, że poszli do babci, która nic nie miała. Żywiła się chlebem z cukrem pokropionym wodą i jej coś tam zanieśli z tych rzeczy. Ona mówi: „A może są biedniejsi ode mnie, bardziej potrzebujący?” Masz dwa obrazki. Jeden ta babcia i drugi - pani doktorowa.

- Teraz ujawnienie się zarządu regionu, bo tak trzeba to powiedzieć.

- To był tymczasowy zarząd. Wtedy zaczęliśmy dyżury. Wezwał mnie po jakimś czasie pan prokurator. W jego sekretariacie moja znajoma była, dojeżdżała autobusem do pracy i co się wokół mnie działo, to mi zaraz przekazywała. Mówi: „Słuchaj, chodzi już dwa tygodnie i nie wie, czy cię ma wezwać, czy nie”. A doniósł na mnie mój dyrektor. Czy musiał czy nie musiał - nie wiem. I ten prokurator zadaje takie pytanie: „Gdzie wy tę bibułę drukujecie?”. A ja mówię: „Pan przecież wie, że panu nie odpowiem na to pytanie”. On na to: „Ja wiem, że na to i na wiele innych”. I wiesz, wyczułem, że on już wie, co może się tam wydarzyć, że mnie instruuje: - „Nie gadaj nic, ja to muszę zaprotokołować, a tak, to skończymy na tym”. Dyrektor instytutu nazywał się Jan Subik. On jeszcze chwilę był, a potem go zastąpił Czesiek Jaracz. To był porządny człowiek. No i Czesiek mi mówi tak: „Słuchaj. Jak się uprą, żeby cię zwolnić, to ja cię nie wybronię. Ale żeby im utrudnić, to dam ci zadanie. I dał mi, proszę cię, taki temat: Intensyfikacja płytko zalegających złóż karpackich. To zacząłem to robić. Powiedział: „Jak to zaczniesz robić, to nikt nie będzie po tobie tego chciał przejąć, bo będą i te względy polityczne i różne”. Także otwarcie mi powiedział.

- Tymczasowy Zarząd Regionu. Kiedy zaczyna się działalność po ujawnieniu się jesienią?

- To zaczyna żyć własnym życiem. Przybywa zakładów. Nie pamiętam już, kto się pierwszy zgłosił, ale chyba jakaś fabryka mebli. I potem to już się rozrasta i tam coraz więcej ludzi przybywa. Już nie pamiętam, ilu było członków zarządu wtedy. I to od nowa zaczynamy tworzyć. Potem w Lniancu tośmy wystąpili o lokal. Na Słowackiego też był wcześniej, chyba na pierwszym piętrze. Widzisz, jak to się zaciera.

- Byłeś przewodniczącym tymczasowego zarządu?

- Tak.

- A jakich miałeś zastępców?

- Ciebie, Kozika. Nie wiem kogo jeszcze. Henryk Kozik był z Brzozowa. A Marian Matysik nie był w Tymczasowym Zarządzie Regionu, tylko w Komitecie Obywatelskim. Józek Kinel był sekretarzem. A to już nastąpiło po spotkaniu u Franciszkanów.

- I wtedy się poznaliśmy. Nie pamiętam, jaki to był miesiąc. Przyjechałem tu z ludźmi z Ustrzyk, właśnie tam reaktywowałem Solidarność. I powstała międzyzakładowa komisja koordynacyjna. Nie pamiętam chronologii, ale w każdym razie zapadła decyzja, że zastępcy będą z tych miejsc, żeby były zachowane jakieś proporcje. Dokładnie nie

pamiętam, jak się poznaliśmy. Szybko nastąpiła intensyfikacja działań tych struktur, które były skupione w Tymczasowym Zarządzie Regionu.

- O Jakubowskim też miałeś mówić.

- Ja dokładnie pamiętam konflikt, w którym on bardzo Cię atakował za rozmaite rzeczy. Już nie pamiętam, jakich słów używał. Była jakaś przerwa i myśmy zdecydowali, bo to były też jakieś proporcje głosów z tych poszczególnych miejsc, że poprzemy Ciebie. Ja nie znałem tego tła, byłem w Lublinie w tamtych czasach, a nie tutaj. I dla mnie na przykład przekonujący był głos Twój, pokazujący całą drogę do 1990 roku. Mi się wydaje, że to był marzec, ale może wcześniej. Ja wróciłem z Paryża. Wtedy byłem na stypendium i byłem taki nabuzowany, bo to spotkanie z emigracją naszą, z „Kulturą”, z Jerzym Giedroyciem, z całym środowiskiem Instytutu Literackiego. I wydawało mi się, że rozpoznaję kiedy ludzie są jakoś powodowani czy kierowani nawet przez służbę bezpieczeństwa. Ja uważałem, że ten Jakubowski to jest jakby taki odłam, którym bezpieczeństwa kieruje, ale tak chyba nie było. Nie wiem, mówię o odczuciach. Odczucia możesz mieć takie albo inne. Ja wiedziałem, że trzeba poprzeć Ciebie i tę grupę ludzi, która była z Tobą związana. To było dla mnie jasne.

- On knuł. On nawet potrafił, że tak powiem, przeinaczyć mecenasa Pawłowskiego.

- Jeszcze dokończę ten wątek, bo on jest moim zdaniem istotny, dlatego, że po 1988 i 89 roku sytuacja była inna niż na początku 80 roku, który prowadził do tych wielkich przemian. Dlatego, że część wyemigrowała, część się sprzedała, część poszła na współpracę. Zostało, jak wiadomo, stosunkowo niewielu, którzy trzymali pewien pion, linię, byli wierni tym wszystkim ważnym rzeczom, ważnym wartościom, które były u podłoża powstania Solidarności.

- Słuchaj, jeszcze z tej pomocy francuskiej kupiliśmy telewizor kolorowy.

- Tak, ja go pamiętam, bo nawet go wozilem.

- Magnetowid i filmy. W pewnym momencie poszedł do kapucynów. Ale po jakimś czasie ja chcę ten telewizor odebrać, a ten ojciec Piechuta mi go nie chce dać. Mówię mu, że właścicielem tego telewizora i magnetowidu jest RKW. A on pyta: - kto w nim jest? Ja mówię, że ja jestem przedstawicielem. - To Pan mi nie powie kto? - Nie, bo to jest zaprzeczenie zasadom konspiracji, jak będę wszystkich wymieniał. Po co jemu to wiedzieć? Zaangażowałem w to wtedy biskupa Ignacego i pomogło.

- Początek Tymczasowego Zarządu Regionu NSZZ Podkarpacie Solidarność w sposób taki integralny wiąże się z wyborami czerwcowymi, czyli ustaleniami Okrągłego Stołu, legalizacja Solidarności itd. To są zjawiska powszechnie znane i w naszym przypadku, tutaj w Krośnie, była taka sytuacja, że tak naprawdę tymczasowy zarząd regionu przekształcił się, tzn. z tych samych ludzi się składał Komitet Obywatelski - Unia personalna. Doszedł tutaj Marian Matysik, dlatego że tu ze względu na okręg wyborczy było województwo krośnieńskie jako całość i tu się już nie dało tak, że tak powiem, odwzorować tych struktur, jak w związku. Zapadła decyzja podczas tych naszych spotkań,

że posłuchamy przewodniczącego Solidarności Lecha Wałęsy i z naszego okręgu wyborczego będą kandydowali ludzie z Warszawy, tak naprawdę, z wyjątkiem Pawła Chrupka, który będzie kandydował do Sejmu jako reprezentant lokalny.

- Jedna rzecz była istotna, że trzeba było znaleźć kandydata takiego jak Chrupek, który w zasadzie poparcie miał i w Ustrzykach, i w Sanoku, i w Jaśle. Znaleźć takiego z naszej Solidarności byłoby trudniej, bo może by jakieś ambicje to rozwały.

- **Tak uznawaliśmy wtedy, a czy dobrze, to później zostało trochę zweryfikowane. Jerzy Osiatyński okazał się być bardzo przydatny, bo wszedł do rządu Mazowieckiego i później jeszcze był ministrem finansów. Gustaw Holoubek, który z racji swojego dorobku artystycznego, ale także i politycznego, bo przecież w końcu był posłem w PRLu i na pewno wstydu nam nie przyniósł.**

- Pamiętam takie zdarzenie, że otwieraliśmy na 11 listopada w gminie Bukowsko trzy domy kultury, które zostały wybudowane. Byłem wtedy z Guciem u Izy Cywińskiej, która pieniądze dała na te domy. Podobnie działał Osiatyński: odblokowali zablokowaną inwestycję - szpital wojewódzki. To była inwestycja centralna.

- **Podobna była historia ze szpitalem w Przemyślu. Jak byłem wojewodą przemyskim, on wtedy akurat był ministrem finansów w rządzie Hanny Suchockiej i też była taka analogiczna sytuacja jak w Krośnie.**

- To była seria tych szpitali: Tarnów, Krosno, Przemyśl, pewnie jeszcze gdzieś. Takie same projekty, podobne zupełnie.

- **Nieudaną, na pewno dziś z perspektywy czasu, kandydaturą była kandydatura Andrzeja Szczypiorskiego. Na fali tej książki „Początek”, ale nie tylko. To jednak była grubsza sprawa, bo jakby tak zacząć drążyć, to te wpływy rozmaitych środowisk były tak mocne, że nawet nie przeszkadzała tajna współpraca z bezpieką. Kandydaci oczywiście wszyscy zdobyli mandaty. Kampania była bardzo, że tak powiem, jednostronna, ale z kolei pokazująca ogromne zaangażowanie mnóstwa ludzi, bo przecież wszystko było za darmo robione.**

- W każdej wsi był ktoś - jedna osoba albo kilka osób, która się w to angażowała. Pamiętam, że w pewnym momencie w Jaśliskach nie było nikogo i wybrałem się do proboszcza, z którym się później zaprzyjaźniłem. Proboszczem tam był Jasiu Baran. Niesamowity człowiek. Jak do niego przyjechałem, zauważyłem zawiniętą za pas jego spodni sutannę, rękawy podwinięte, szczota ryżowa i myje podłogę, bo pewnie nie miał nikogo, kto by mu tę podłogę umył. Mówię mu, o co chodzi i znalazł mi ludzi. A poza tym, dlaczego niesamowity? Bo u niego na 15 sierpnia było tak około 60, 70 wieńców w kościele. Prawie każda rodzina tam robiła wieńce. I to przeróżne były. On jakoś nad tymi ludźmi panował trochę. Później poszedł na emeryturę i zamieszkał w domu rodzinnym. Zygmunt Nowak - burmistrz Dukli - mówi: „Wybralibyśmy się na imieniny do Jana, nie?”. No i pojechaliśmy. Duży dom, bo piętrowy. On nie mógł chodzić po tych schodach, bo miał nogi opuchnięte. W jednym pokoju jest, tak jakby po przekątnej, taka góra różnych ubrań. Z całego życia jego, a może i wcześniej. I to wszystko tak na kupę zwalone. Obok tego jest miska dla psa. Ja

mówię: "Kurde, Zygmunt, a tu nie znalazłbyś jakichś ludzi, żeby tu trochę porządek zrobili?" A on mówi: "No, chłopie, myśmy chcieli, ale on nie da niczego tknąć".

- Wybory 4 czerwca to była z jednej strony jakaś wielka radość, euforia, a z drugiej strony pewien rodzaj szoku, bo co z tym zwycięstwem zrobić? Jak to skonsumować?

Część naszego obozu uważała, że ponieważ ustalenia były takie, że 35% procent w Sejmie i 99% procent w Senacie, to nie jest coś, co pozwala rządzić samodzielnie, ale pozwala kontrolować komunistów. Pamiętam takie spotkanie, kiedy Andrzej Szczypiorski mówi, że jak się wygrało wybory, to trzeba brać władzę, trzeba tworzyć rząd. Inni uważali, że nie, może za jakiś czas, bo ci co zepsuli, niech najpierw naprawiają. No tak, tak to wyglądało. Po czym po wakacjach dochodzi do tego, że trzeba się podzielić władzą z komunistami. Adam Michnik, słynny „wasz prezydent, nasz premier”. No i doszło do tego, że powstaje rząd Tadeusza Mazowieckiego 12 września 1989 roku. Jaruzelski zostaje przez ten Sejm kontraktowy wybrany prezydentem. Jak wiadomo jednym głosem i to głosem naszego obozu.

- Nie pamiętasz czyj to był głos?

- Różnym się przypisywało. Nie jestem tego pewien. I powstaje rząd Mazowieckiego. Myśmy tutaj - przecież brałem udział we wszystkich wydarzeniach - czekali, kiedy nastąpi wymiana, to, co się nazywa do dzisiaj rządową administracją wojewódzką. Ludzie coraz bardziej sfrustrowani. Pamiętasz ten czas? Coraz większe oczekiwanie, że skoro powstał rząd, no to dlaczego nie jest lepiej? Mi się wydaje, że komuniści rozegrali to po mistrzowsku, nam zostawiając rolę odpowiedzialnego, a oni podejmowali decyzje, ale nie dla kraju dobre, tylko dla swoich funkcjonariuszy. Bo przecież jak pamiętasz, Ty zostałeś powołany na wojewodę krośnieńskiego 4 marca, czyli mamy tak: wrzesień, październik, listopad, grudzień, styczeń, luty, sześć miesięcy po utworzeniu rządu, a u nas Ty jako jeden z pierwszych zostałeś wojewodą w Polsce.

- Wiesz dlaczego? Dlatego, że w grudniu złożył rezygnację Kruk z funkcji wojewody. Złożył rezygnację i przyjechał minister Kołodziejski do Krosna, żeby tę rezygnację przyjąć. Chciał się również spotkać ze mną, żeby mnie poinformować, że premier chce mnie powołać na pełniącego obowiązki wojewody krośnieńskiego. Jak żeśmy weszli na salę, to od razu ci z PSL-u mówią: „Dawajcie kandydata, to was poprzemy”. Tylko, że w skład Wojewódzkiej Rady Narodowej, która miała opiniować kandydata na wojewodę wchodziło 100 członków, z czego tylko 30 było z innych partii i bezpartyjnych, niż PZPR, czy ZSL i SD, więc szanse marne na opinię pozytywną. W związku z tym była taka a nie inna decyzja premiera.

- Tak, to był czwartek. 7 kwietnia zostałem wicewojewodą. Później jeszcze był pułkownik Majewski i Ryszard Szypuła z ZSL-u.

- Pamiętasz, były takie odznaczenia dla żołnierzy, którzy byli gdzieś tam na tych formacjach na Zachodzie. Wysłałem tego Majewskiego, on przyjeżdża i mówi, że pierwszy raz w życiu takie odznaczenia wręcza. A Szypuła mówi: - „Boś ty innym szlakiem bojowym szedł”, a on mówi: „Rysiu, żebym sobie twojego szlaku nie przypomniał”. A ten się zrobił bordowy.

- Bordowy, bo był dowódcą kompanii ROMO w Krakowie czy w Nowej Hucie. Także oni sobie tak później zaczęli wypominać, ale przerwaliśmy tę ich radosną twórczość, bo został jeden wicewojewodą i zaczęliśmy wymieniać kadry w rozmaitych miejscach i w samym Urzędzie Wojewódzkim.

- W Urzędzie Wojewódzkim zrobiliśmy myk taki, że jednego dnia żeśmy urząd rozwiązali, a na drugi dzień na nowo zawiązali. Kołodziejski mówi: „Wybrałeś Pan najdroższe rozwiązanie, bo Pan będzie musiał wszystkim odprawę wypłacić. Ja mówię: „Ci, którzy dostali pracę, na pewno nie przyjdą ze skargą. Innym i tak trzeba było wypłacić”.

- Jadąc wtedy z Krosna do Ustrzyk odwoływałem naczelników miast i gmin, także do 26 maja 1990 roku chyba, kiedy były wybory samorządowe, najbardziej znani komunistyczni włodarze tych wszystkich gmin zostali już wywaleni i zostali powoływani pełniący obowiązki naczelników miast, miast i gmin albo gmin. To było istotne dlatego, że zwykle oni zostawali później wybierani na wójtów albo burmistrzów. Taki to początek był tej nowej władzy regionalnej czy wojewódzkiej. No i niestety zaczęły się poważne problemy: strajki w przedsiębiorstwach, blokady dróg, pauperyzacja całych grup społecznych, które były wynikiem nowej polityki państwa, rządu, czyli tak zwanego planu Balcerowicza. Mieliśmy z tym wielkie problemy. My i sami zainteresowani, bo zaczęło rosnać bezrobocie, inflacja ogromna. Nie było narzędzi do tego, żeby jakoś chronić pewne sektory. Nigdy nie miałem wątpliwości, że państwowe gospodarstwa rolne to nie jest polska tradycja i nie ma się czym przejmować specjalnie, oprócz tego, żeby znaleźć ludziom pracę czy pomóc ludziom odnaleźć się w nowej rzeczywistości. O tyle w pewnych branżach to czas pokazał, że ta polityka przyniosła więcej szkód niż pożytku. Za głęboka recesja poszła. Wydaje się, że na przykład to, co się nazywało przemysłem precyzyjnym, czyli lotnictwo, optyka, elektronika i tak dalej, to należało chronić, ale nie było na to sposobu. Ta polityka Balcerowicza zarówno za rządów Mazowieckiego, jak później Bieleckiego i Suchockiej, była bardzo restrykcyjna. Tu jakby specjalnie wyjątków nie było. Skutki są tego do dzisiaj. W jakimś sensie nas wtedy rządzących tutaj w województwie obciąża się za to, na pewno myśmy też osobistą cenę zapłacili wysoką w takich ocenach politycznych, bo byliśmy w tej ekipie przecież. Ale co było dalej? Nasza współpraca tutaj - moja jako wicewojewody zakończyła się w lutym 1993 roku. W międzyczasie premier Olszewski Cię odwołał z funkcji wojewody. Ile to było czasu pomiędzy tym, a ponownym powołaniem przez premier Suchocką?

- Trzy miesiące chyba... Nie pamiętam, ale tak mi się wydaje. Pojawił się Pawlak, ale był bardzo krótko.

- Właśnie! To było 33 dni, zanim powstał rząd Suchockiej, to on był wtedy. Tak. Bo to pamiętasz wtedy, jak Moczulski mówił: "Panie Waldku, to co, bierze pan?" To słynne takie twierdzenie, że policzmy się, ile mamy głosów, to, tamto... On nie sformował rządu i powstał później rząd Suchockiej.

- Wtedy znowu od nowa opinia sejmiku...

- Mi się wydaje, że to było dłużej, ale to sprawdzimy. Wróciłeś na urząd wojewody za zarządów Hanny Suchockiej. Szefem Urzędu Rady Ministrów był Jan Rokita. Zostałeś

odwołany później przez Pawlaka. Kiedy?

- W lutym 1994 na walentynki.

- W którym roku zostałeś starostą brzozowskim?



- W 2002.

- To co robiłeś przez te osiem lat?

- Robiłem różne rzeczy. Na przykład zatrudniłem się w instytucie na pół etatu w tym kierunku, co robiłem kiedyś, czyli intensyfikacja wydobywania, między innymi malowałem piasek. To nie takie proste, ale to kiedy indziej Ci mogę opowiedzieć. Potem jeszcze miałem przerwę, bo się zatrudniłem w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, ale to na chwilę tylko. Później założyłem firmę, która robiła meble laboratoryjne.

- Czyli w pierwszej kadencji samorządów powiatowych nie funkcjonowałeś, radnym też nie zostałeś?

- Starostą był wtedy Józef Rzepka i dopiero w 2002 wystartowałem do rady powiatu. Wcześniej jeszcze startowałem do sejmiku bez powodzenia i potem do rady powiatu. Zostałem radnym. Skład rady był taki dość ciekawy, bo było chyba SLD, PSL, od Leppera - Samoobrona. Platformy nie było, PiS-u też nie było. Były też dwa komitety obywatelskie, czyli razem sześć różnych podmiotów. Ale to nie było takie trudne do opanowania. Wtedy, w 2002, wybrano mnie na starostę. Byłem nim przez 16 lat, do 2018, 4 kadencje.

- Jeszcze chcę zapytać o to porozumienie organizacji Ugrupowanie Niepodległościowe Zamek, bo to jest ciekawe. To jest bardzo mało znane w historii.

- Bardzo mało i też nie było tam za wielu ludzi.

- **Nie, nie było za wielu ludzi. I ja wiem, na czym to polegało, bo na przykład nie było ustalonych żadnych zasad komunikacji pomiędzy tymi organizacjami.**

- Janusz Kamocki to budował na harcerstwie. Jakies obozy robił z dziećmi, z młodzieżą. Ja jakby coś trzeba było zrobić, to budowałbym to na Ochotniczych Strażach Pożarnych. Powiem ci, dlaczego. Ja tu miałem takiego fajnego naczelnika, Edwarda Matusza, świętej pamięci, to był syn przedwojennego posła z takim dobrym kręgosłupem. W Haczowie po wojnie była straż przy grobie zawsze. I nieraz z nimi rozmawiałem o takich różnych rzeczach. Członkowie Solidarności byli też ochotnikami, na tych swoich wioskach pracowali.

- **To prawda. Natomiast w różnych miejscach kraju bardzo to różnie wyglądało, dlatego że OSP to była też organizacja ZSL-owska, ale nie tylko, bo też komuniści wiedzieli, że to jest organizacja, która ma mundury, ma pewien dryl taki wojskowy i tak dalej. I oni bardzo tego pilnowali, więc zostawmy to. Zamek to była organizacja czy porozumienie tak naprawdę organizacji, która uznawała konstytucję kwietniową.**

- Tak jest.

- **Prezydenta na obczyźnie.**

- Tak jest.

- **Czyli krótko mówiąc radykalnie odmienna od nurtu głównego Solidarności. Bo nawet jeśli trwały prace nad nową konstytucją, to jednak nad nowelizacją konstytucji z 35 roku, a nie PRL-owskiej, prawda? Więc to wszystko poszło jakby dokładnie inaczej. Mówię teraz o tym, co się stało po 89 roku. Zostałeś przez prezydenta Kaczorowskiego odznaczony Złotym Krzyżem.**

- Tak. Złotym Krzyżem Zasługi.

- **Były jakieś spotkania i brałeś udział w takich spotkaniach? Prezydent Kaczorowski przed złożeniem Urzędu Prezydenta RP odznaczył wtedy dziesięciu działaczy, w tym Janusza Kamockiego i Franciszka Bachledę-Księżdzularza.**

- Nie. Jedyne spotkanie, gdzie zobaczyłem tych moich kolegów, to był moment wręczenia tych odznaczeń w Urzędzie Wojewódzkim w Krakowie u Tadeusza Piekarza.

- **Rozumiem. A wcześniej w jaki sposób?**

- Był u mnie chyba z dwa razy Janusz Kamocki, który był szefem tego Zamku z Jadzią Plucińską, która była niby jego adiutantem. I wiesz, pogadaliśmy trochę o wszystkim i o niczym, i na tym to polegało.

- **Z grubsza tyle...**

Rozmawiał Adam Peziot,



Adam Pęziół i Zygmunt Błąż. Fot. archiwum Zygmunta Błąża



Fot. archiwum Zygmunta Błąża



Zygmunt Błaż otrzymuje Medal „Pro Patria” przyznawany przez Kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Odznaczenie ustanowione zostało 1 września 2011 roku i mogą być nim wyróżnione osoby „za szczególne zasługi w kultywowaniu pamięci o walce o niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej”.

Źródło: <https://brzozowiana.pl/powiat/item/3403-pro-pataria-dla-brzozowskiego-starosty.html>



Fot. archiwum Zygmunta Błaża

BŁAŻEJ KRAJEWSKI



Fot. z archiwum Błażeja Krajewskiego

Wywiad z Błażem Krajewskim, byłym działaczem antykomunistycznym.

- Gratuluję Ci, Błażeju, odznaczenia za działalność antykomunistyczną „Krzyżem Wolności i Solidarności”. Powiedz, proszę, kilka słów o rodzinie, z jakiej się wywodzisz, bo pewnie swój patriotyzm wyniosłeś z domu rodzinnego?

- Pochodzę z Bodzechowa koło Ostrowca Świętokrzyskiego, a patriotyczne wychowanie odebrałem głównie od mojej mamy. Mogę powiedzieć, że zostałem przez mamę wychowany „na Sienkiewiczu”. Zresztą i nasze historie rodzinne zawierały wątki patriotyczne. Mój pradziadek, Ludwik Grochulski, brał udział w Powstaniu Styczniowym, gdzie podczas „Bitwy Bodzechowskiej” wyniósł z pola bitwy ранego właściciela Bodzechowa, młodego szlachcica hrabiego Jankowskiego. Jako ciekawostkę podam, że na dworze Jankowskich w Bodzechowie w latach dzieciństwa często bywał Witold Gombrowicz. Pradziadek Ludwik został później zesłany na Sybir. Po pewnym czasie, dzięki staraniom rodziny Jankowskich, został z tej zsyłki zwolniony, ale zarazem wcielony do armii carskiej, w której służba trwała wówczas aż 20 lat. Tu muszę wspomnieć, że jego syn, a mój dziadek Franciszek Grochulski, też został wcielony do armii carskiej gdzie odsłużył 20 lat. Warto tu też dodać, że ten mój kielecki okręg znany był z działalności partyzanckiej w Drugiej Wojnie Światowej. To były

różne formacje: od patriotycznej Armii Krajowej, po komunistyczną Armię Ludową czy też Brygadę Świętokrzyską. I te tradycje partyzanckie dotyczyły także naszej rodziny. Brat mojej mamy był egzekutorem w oddziale AK. Pewnego razu dostał rozkaz rozstrzelania swego szwagra, męża mojej ciotki, który był jeszcze przedwojennym członkiem Komunistycznej Partii Polski. Na szczęście dowódcą miejscowym Armii Krajowej był ksiądz proboszcz Nita, który zgodził się, aby darować szwagrowi życie pod warunkiem wyrzeczenia się przez niego jakiejkolwiek działalności politycznej. Wujek przeprowadził ze szwagrem poważną rozmowę i odebrał od niego przyrzeczenie, że nigdy nie będzie angażował się w jakąkolwiek działalność partyjną. No i wyrok nie został wykonany. Muszę przyznać, że gdy w czasach mojego dzieciństwa jeździłem na rowerze obok domu ciotki, to pamiętam tego jej męża, który po pracy siedział na przydomowych schodach i czytał „Trybunę Ludu”. Aż do emerytury pracował w hucie jako kowal i na pewno mógłby wyżej zajść, gdyby wstąpił do partii komunistycznej. Jednak nie zrobił tego dotrzymując danego memu wujkowi słowa.

- Może parę wspomnień o swoich nastoletnim buncie z długimi włosami?

- Moja młodość przypadła akurat na okres fascynacji hippisowskiej w Polsce. Mając 14 lat mieszkałem wtedy już z rodzicami w Ostrowcu Św. I uległem tej fascynacji. Urwałem się więc z domu i wraz z grupą znajomych stworzyliśmy jedną z komun hipisowskich w Solcu nad Wisłą. Trwało to przez pół roku. To był właśnie taki jakby protest przeciwko tej rzeczywistości peerelowskiej. To była taka chęć wolności, która wyrażała się m.in. w długich włosach i w tej muzyce płynącej z Radia Luksemburg, a później z programu trzeciego Polskiego Radia. To wszystko napawało nas takim optymizmem. Jednak po pół roku milicjanci rozwalili ten nasz hippisowski dom, a nas ostrzygli robiąc nam na głowie takiego „irokeza”, strzyżonego przez środek. To był rok chyba siedemdziesiąty czwarty czy piąty, no i mój pierwszy nieprzyjemny kontakt z peerelowską milicją.

- No i przymus powrotu do rodzinnego domu i szkolnego życia?

- Tak, wróciłem wówczas do Ostrowca. A że wywalili mnie z technikum, więc poszedłem do przyzakładowej zawodowej szkoły metalowej. Po jej skończeniu rozpocząłem pracę w hucie na wydziale stalowni oraz wróciłem do dalszego kształcenia w technikum hutniczo-mechanicznym, tylko już wieczorowym. Gdy jednak w 5 semestrze (przedostatnim) wymienili nam bardzo dobrą panią profesor od języka polskiego oraz historii na wyznaczący jedynie słusznej obowiązującej doktryny, to rzuciłem tę szkołę. Po prostu uważałem, że nie mam tam po co chodzić, ponieważ same przedmioty zawodowe nie interesowały mnie w ogóle.

- Rok 76-ty i koniec lat siedemdziesiątych to bunt robotników przeciwko podwyższaniu przez rząd cen żywności i jednocześnie sprzeciw intelektualistów przeciwko dyktaturze komunistycznej. Czy w jakiś sposób przyłączyłeś się do tego buntu?

- Ja nie brałem udziału w tych strajkach i nie angażowałem się jeszcze w żadną działalność tego typu, choć w domu słuchałem wraz z rodzicami audycji Radia Wolna Europa. Pamiętam jednak, że z naszej huty, gdzie wówczas pracowałem, pojechała delegacja aktywi-

stów partyjnych do Radomia aby potępić tamtą akcję protestacyjną w 76-ym roku. Huta w Ostrowcu była dużym zakładem zatrudniającym 23 tysiące pracowników. Mój wydział, czyli stalownia, zatrudniał 4 i pół tysiąca osób, a w moim dziale utrzymania ruchu – czyli elektrycy, mechanicy – byłem jednym z 900 zatrudnionych.

- A kiedy i jak dojrzał w Tobie bunt przeciwko komunistycznym władzom PRL-u?

- To było wiosną 80-go roku. Wtedy jeszcze nie było u nas w Ostrowcu żadnych strajków. Wracalem główną ulicą miasta, przy której mieściła się Komenda Milicji i na przeciwko Zakładowy Dom Kultury, gdzie w Klubie "Perspektywy" współorganizowałem dyskoteki. No i koło tego Domu Kultury wisiał na drzewie olbrzymi plakat, na którym widniał orzeł w koronie na tle symbolu "Polski Walczącej". Jak sobie to przypominam, to aż mi się łyzy do oczu cisną. Wówczas po prostu zamurowało mnie. Czułem się jakbym cud jakiś zobaczył. Znałem te symbole z historii, ale w PRL-u one były przecież czymś niemożliwym. A już zupełnie szokujące było to, że po drugiej stronie ulicy była Komenda Milicji. Plakat ten informował, że o godzinie 17-tej, czyli za dwie godziny, odbędzie się spotkanie z panią Moczulską na temat więźniów politycznych w PRL-u. Oczywiście poszedłem tam. No i od tego się wszystko zaczęło. To całkowicie zmieniło moje dalsze życie. Tam poznałem m.in. Sławka Kapustę, czy też Rokitę późniejszego przywódcę KPN w Ostrowcu. I po tym spotkaniu założyliśmy Komitet Obrony Więzionych Za Przekonania w Ostrowcu Świętokrzyskim. Pojechaliśmy też ze Sławkiem do Warszawy na spotkanie przy Wyższej Szkole Gospodarstwa Domowego. Byłem wtedy jakby oszołomiony. To był dla mnie zupełnie inny świat, inni ludzie, jakaś forma konspiracji.

- Jak spędziłeś ten okres od wiosny 80' - do pamiętnego sierpnia 80'?

- Od maja zaczął się ruch turystyczny, a ja bardzo byłem zaangażowany w PTTK. No więc uczestniczyłem w spływach, w wyprawach górskich. No i przyszedł sierpień i rozpoczęły się strajki w Gdańsku. A w ostatni tydzień sierpnia również i u nas Ostrowcu było podburzenie. Były próby strajku w hucie: raz, drugi, trzeci na poszczególnych wydziałach. Niestety – nieudane. Po 4, 5 godzinach zaprzestawali strajku.

Podczas dopołudniowej zmiany ja wraz z Ryśkiem Krakowiakiem i Pękalskim (oba młodzi inżynierowie świeżo po studiach) oraz Krzysztofem Bębenkiem – tak sobie rozmawiamy, że tam jakoś nie mogą się zdecydować: strajkują i zaraz przestają. No i właśnie ten Pękalski wpadł na pomysł i mówi: -Słuchaj, oni jakby nie wiedzą czego chcą, więc napiszmy postulaty o co w tym wszystkim chodzi. No bo przecież znamy te postulaty gdańskie, mniej więcej. No i napisaliśmy te postulaty na kartce, a moja koleżanka ze szkoły, Halina Szopa, sekretarka w gabinecie kierownika Wydziału, "wytlukła" to na maszynie w dwustu egzemplarzach, bo na maszynie pisała od razu w kilku kopiach. Te wydrukowane na maszynie postulaty poroznosiliśmy po wydziałach stalowni. A stalownia była potentatem w hucie, bo pracowało tu parę tysięcy osób.

- No i co tam było w tych postulatach?

- Oczywiście podwyżki płac i lepsze warunki socjalne, ale też wolne związki zawodowe

i możliwości decydowania o warunkach i jakości pracy. No i żeby te żądane zmiany odbywały się po rozmowach z załogą, tak abyśmy mieli udział w planowaniu i w zamierzeniach. Było to dosyć ambitne. No i ustaliliśmy, że ja mam to roznieść na poszczególne piece i oddziały stalowni, i też dać na inne oddziały nowego zakładu Huty Ostrowiec. Termin rozpoczęcia strajku był w tych ulotkach wyznaczony na następny dzień od godziny szóstej rano. Czyli pierwsza zmiana przychodzi do pracy i wstrzymuje produkcję. Wygaszanie pieca to był kosztowny biznes. Nie da się ot tak od razu wyłączyć pieca, bo stal by zastygła i "kaplica". Byłoby już po piecu. Ten proces musiał być zaplanowany tak, aby zakładowi strat nie przynosić. No, ale to było zaplanowane na następny dzień. Ja te ulotki poroznosiłem po piecach, a kolega Andrzej po innych wydziałach huty, no i tak sobie siedzimy. Około godziny trzynastej w stalowni zapanowała cisza. Wiesz, każdy piec to był jakby ryk startującego odrzutowca, a tu nagle cisza. Kolega mówi: -Słuchaj, oni kurwa chyba już dzisiaj zaczęli ten strajk! Poleciliśmy do tych pieców i rzeczywiście: oni już stanęli, już strajkują! Miało się to zacząć od jutra, ale oni nie czekali do następnego dnia, do szóstej rano.

- Czy pamiętasz dokładnie który to był dzień sierpnia?

- Nie pamiętam, ale to było na pewno gdzieś pod koniec sierpnia, przed podpisaniem porozumień w Gdańsku. Atmosfera w kraju była taka, że ludzie byli zdesperowani i czekali tylko na sygnał. No i w naszej hucie tym sygnałem były te rozniesione po wydziałach postulaty, które sformułowali dwaj inżynierowie: Pękalski i Krakowiak. A w tej grupie inicjatorów byli jeszcze: jeden brygadzysta, ja i dwóch kolegów elektryków, bo byliśmy akurat wtedy na dyżurce sterującej ruchem, czyli jakby w "sercu" całej stalowni.

- Jak długo trwał ten strajk?

- Niedługo, półtorej dnia. No bo przyjechali członkowie dyrekcji, odbyli spotkanie z załogą i zapewnili, że wezmą pod uwagę te nasze postulaty. Zapowiedzieli kolejne spotkanie za dwa tygodnie, na którym mieli przedstawić swoje propozycje co do tego jak to wszystko rozwiązać. Oczywiście, to już nie było potrzebne, bo w międzyczasie odbyło się w Gdańsku "Porozumienie Sierpniowe" z Rządem PRL, no i powstał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy "Solidarność".

- Czy wstąpiłeś wówczas do "Solidarności"?

- Otóż nie. Rozpoczął się okres górskich rajdów turystycznych oraz jesiennych spływów kajakowych i zajmowałem się w tym czasie ich współorganizacją, a tamte sprawy już się samoistnie kręciły, pojawili się inni aktywnie działający nowi związkowcy. Oczywiście cieszyłem się, że robotnicy zwyciężyli i uzyskali to co chcieli, no i że w jakimś niewielkim stopniu i ja się do tego przyczyniłem, ale już w tym momencie nie ciągnęło mnie ani do działalności związkowej, ani zresztą do partii politycznych. Jednocześnie nie odpuszczałem jednak swego zaangażowania w Ruch Obrony Więzionych za Przekonania. I tak pierwsze miesiące 81-go roku to były wyjazdy ze Sławkiem Kapustą do Warszawy na spotkania Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania. Uczestniczyłem też w organizowaniu Marszu

Gwieździstego na Warszawę. Ludzie z różnych miast, z całej Polski mieli demonstracyjnie z transparentami iść do Warszawy. To miała być taka patriotyczno-narodowa pielgrzymka w obronie więzionych za przekonania i w domaganiu się wolności. Ogólnopolskim organizatorem marszu była Konfederacja Polski Niepodległej. Rozmiar przygotowań tej inicjatywy był tak duży, że podobno na państwowe urzędy, na komunistów, padł błądy strach. Tak przynajmniej twierdzono w audycjach Radia "Wolna Europa". Jednak ani władze nie próbowały nas zastraszyć, ani nikt z nas nie czuł żadnego strachu przed komunistyczną władzą, przed milicją.

- Czy udał się ten "Marsz Gwiaździsty"?

- Niestety nie. Wszystko było już dograne, przygotowane, ale KPN w ostatniej chwili wycofał się i odwołał wyruszenie tego marszu. Zapewne powodem były bardzo silne naciski władz komunistycznych. Można sobie wyobrazić czego się one obawiały. Z Ostrowca miało uczestniczyć w Marszu ponad 50 osób – i to tylko z mego towarzyskiego kręgu. Ludzie byli wtedy bardzo zaangażowani. Z całej Polski mogłoby to być nawet kilkadziesiąt tysięcy. Niestety, KPN-owscy organizatorzy wycofali się z marszu, a ja w konsekwencji zająłem się swoimi sprawami i przez jakiś czas był spokój.



Błażej Krajewski, lata 80. Fot. archiwum własne

- Jak doszło do tego, że zostałeś internowany?

- Ten spokój w moim życiu trwał do 12 grudnia 81-go roku. Albowiem tegoż dnia około godziny 22-giej, gdy wróciłem z imienin kolegi i poszedłem spać, zbudziła mnie właścicielka domu, w którym wynajmowałem mieszkanie i mówi: -Panie Błażeju, panowie do pana przyszli. Wstałem z łóżka, zachodzę do kuchni, a tam stoi czterech milicjantów z "kałachami". Zdębiałem, a oni mówią: -Niech pan się ubierze. Pojedziemy, bo chcieliśmy z panem porozmawiać. Nie miałem pojęcia o co chodzi. Wyszliśmy z domu, mróz jak cholera, wszędzie zaspy śniegu. Przed domem dwa "gaziki". Władowali mnie do jednego z nich i zawieźli na komendę. Tam sprawdzili moje dane, dowód osobisty, no i dwaj milicjanci sprowadzili mnie na tak zwany "dołek". Nawiasem mówiąc to miejsce było już mi dawniej znane, bo ja nie zawsze bywałem grzeczny w swoim okresie hipisowsko-rozrywkowym. Tym razem po zejściu na "dołek" zbaraniałem: sześć pootwieranych cel i cały korytarz wypełniony ludźmi, a w dodatku prawie wszyscy znajomi - z Huty, z "Solidarności, z Ruchu Obrony Więzionych za Przekonania, z KPN-u, no i z Mszy św. za Ojczyznę, w których zawsze uczestniczyłem. W sumie było tam ze 40 osób. No i po czterech godzinach porozrzucali nas po celach i zaczęli po kolei z cel wywoływać po parę osób. Poczulem się trochę niepewnie, gdy wyprowadzili mnie z Leszkiem Kidoniem i zaprowadzili nas do jednego z ciężarowych "Starów" przerobionych na więźniarki. Do każdego pakowali po sześć osób, plus za kratą milicjant z bronią i drugi jako kierowca. Więźniarki ruszyły i gdy tak jechaliśmy przez ładnych parę godzin spytaliśmy milicjanta, gdzie nas wiezie, a on ani słowa, ale wygląd miał niepewny i nawet wystraszony. Tak samo zresztą jak i my. Mówiąc szczerze miałem "czarne" myśli i nawet szepnąłem do Leszka Kidonia, że po wyjściu z więźniarki trzeba się rzucić na jednego z milicjantów i zabrać mu karabin, „no bo i tak nas przecież zabiją”. Naprawdę baliśmy się, że wyprowadzą nas przed doły śmierci i dostaniemy w "czapę", albo że trafimy do Sowietów i skończymy w syberyjskich łagrach. Przecież nikt nie miał złudzeń, że Polska jest niepodległa i nie pod zaborem rosyjskim.

- Gdzie was ostatecznie zawieziono?

- Gdy więźniarka wreszcie stanęła usłyszeliśmy charakterystyczny dźwięk rozsuwanych bram więziennych, a gdy wyszliśmy, to dobiegły nas ludzkie głosy. No i odetchnęliśmy, bo to były głosy polskie. -A więc jesteśmy u naszych, a nie w Rosji! Okazało się, że nas przywieziono do aresztu śledczego w Kielcach, wcześniej przygotowanego jako więzienie. No i najpierw były cele zbiorowe, a potem już kilkuosobowe. Ja siedziałem w jednej celi z Wojtkiem Arczyńskim, sędzią z Kielc, z Leszkiem Kidoniem, ze ślusarzem Mundkiem ze Zwolenia oraz z nauczycielem historii, profesorem Miturą. Pamiętam, że ten 50-letni ślusarz Mundek (nazwiska nie pamiętam) tak się uskarżał: -Całe życie pracowałem uczciwie, nikt mnie niczego nigdy nie zarzucił, milicjant mówił mi na ulicy "dzień dobry", no a teraz mnie do „wiźnia” zamknęli.

- Więzienie nowe, ale rozumiem, że luksusów i specjalnego traktowania tam nie było?

- Tym się to od normalnego więzienia różniło, że my nie mieliśmy "wychowawcy", który resocjalizował więźniów, tylko mieliśmy "opiekuna", który pytał czy coś potrzebujemy.

W sumie niewiele mógł nam dostarczyć, ale odnosił się do nas przyjaźnie. Muszę też przyznać, że służba więzienna traktowała nas bardzo dobrze, na przykład pozwalała nam leżeć na łóżkach bez żadnych ograniczeń. Poza tym były normalne rygory więzienne, a więc byliśmy zamknięci w celi i tylko godzina dziennie spaceru na więziennym "spacerniaku".

- Pewnie poinformowano was z jakiego powodu tam się znaleźliście?

- Tak, na "dzień dobry" usłyszeliśmy przez więzienny radiowęzeł przemówienie Jaruzelskiego o wprowadzeniu Stanu Wojennego w całym kraju. Dwa dni później oznajmiono nam, że zostaliśmy internowani i mamy się podporządkować obowiązującym rygorom. Poza tym nic szczególnego się nie działo aż do świąt.

- No właśnie, jak wyglądało to więzienne Boże Narodzenie?

- 25 grudnia, przyjechali do nas biskupi, zarówno ten z naszej sandomierskiej diecezji, jak i z Kielc. Byli też księża, którzy odprawili parę Mszy świętych, bo było nas około sześćdziesięciu i w niewielkiej świetlicy więziennej wszyscy by się nie zmieścili. Później pojawili się księża ze świątecznymi paczkami z żywnością, no i zebrali nasze domowe adresy aby wspomóc rodziny paczkami żywnościowymi i poinformować je o miejscu naszego pobytu. Bo przez pierwszy tydzień nasze rodziny nie wiedziały gdzie jesteśmy i co się z nami dzieje. Milicja na ich zapytania odpowiadała, że nie ma w tej sprawie żadnych informacji. Rodziny były więc przerażone, tym bardziej że w niektórych zakładach wybuchły strajki okupacyjne, w tym także w Kopalni "Wujek", gdzie w wyniku brutalnej pacyfikacji od kul milicyjnych zginęło 9 górników, a wielu innych odniosło rany. Moi bliscy dowiedzieli się tylko, że prawdopodobnie wywieziono nas gdzieś do Kielc, ale nikt nie wiedział czy to prawda. No i dopiero po Świątach dotarła do nich oficjalna informacja o miejscu internowania i o zgodzie dla rodzin na "widzenie". No i zaczął się ten ruch związany z przyjazdem odwiedzających nas rodzin.

- Czy w tym ośrodku byli internowani jacyś znani działacze "Solidarności"?

- Tak, było tam trochę osób znaczących w skali kraju. W celi tuż obok naszej siedział Julek Braun (rodzina Grzegorza Brauna), późniejszy szef m.in. Telewizji Polskiej, a także dziennikarz w "Echu Dnia" i "Słowie Ludu". On zaczął redagować - a myśmy ręcznie przepisywali przez kalki - Tygodnik Więzienny "KRATA". Siedział też obok naszej celi (choć tylko przez pewien czas, bo co miesiąc przenosili nas do innych celi) sędzia Jerzy Stępień, późniejszy działacz w Platformie Obywatelskiej.

- Czy ubecy przesłuchiwali was w ośrodku internowania?

- Owszem, gdzieś po miesiącu zaczęły się takie "rozmowy". Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa wywoływali nas z cel na przesłuchania. Do tej pory funkcjonariusze odnosili się do nas raczej normalnie. A tym razem, gdy wymijająco odpowiadałem na pytania, to taki stary "ubek" chwycił za pałkę i - rzucając się na mnie jakby do bicia - wrzasnął: -Bo jak ci zaraz gówniarzu przypierdolę, to będziesz inaczej gadał! Ja miałem wówczas zaledwie 22

lata, ale dobrze wiedziałem od doświadczonych działaczy antyreżimowych, że na konkretne pytania należy odpowiadać: „nie wiem, nie pamiętam”, lub tylko ogólnikowo, unikając szczegółów, w tym zwłaszcza podawania faktycznych miejsc przebywania kolegów na wolności, czyli w tzw. „podziemiu”. Pomijam już taki szczegół, że gdy pozwolił mi podczas przesłuchania zapalić papierosa, to ostentacyjnie położyłem na stole pudełko zapalek z narysowanym symbolem „Polski Walczącej”. No i facet szczerwienił ze złości. Gdy zaczął mnie wypytывать o kolegów z celi, to odmówiłem odpowiedzi i na kolejne pytania odpowiadałem: nie wiem, nie pamiętam. No i wtedy pojawił się „dobry” ubek, który łagodnym głosem zauważył, że nie jestem w nastroju do dalszej rozmowy i zaproponował spotkanie z nim w innym dniu.

- A czy namawiali was do podpisania tzw. „lojalki”?

- Tak, zachęcali do podpisu takiego oświadczenia, że „jeżeli wyjdę na wolność to będę przestrzegał przepisów Stanu Wojennego”. Zacząłem się zastanawiać: podpisać, czy nie podpisać? No i wtedy prawnicy z celi, czyli Stępień i Arczyński stwierdzili, że w zasadzie ewentualny podpis niczego nie zmienia, bo jeśli mimo podpisu nie będziemy stosowali się do tych rygorów Stanu Wojennego i wpadniemy w łapy „ubecji”, to przecież i tak nas zamkną. Za dwa tygodnie, czyli gdzieś w połowie marca 82-go roku była kolejna rozmowa podczas której trzech nas z jednej celi podpisało to oświadczenie, no i na Święta Wielkanocne wyszliśmy na wolność: Leszek Kidoń, profesor Mitura i ja.

- A jak było z przestrzeganiem tej „lojalki”?

- Postanowiliśmy z Leszkiem, że przez dwa tygodnie dajemy sobie spokój, a później się spotkamy i porozmawiamy o tym, co dalej robić. No i spotykaliśmy się z Leszkiem, Sławkiem Kapustą i z takim starszym panem Zielińskim z „Solidarności”, a także z Robkiem Minkiną, który wyszedł z internowania w lipcu. Robek był założycielem i pierwszym szefem KPN-u w Ostrowcu. No i jesienią 82-go roku rozpoczęliśmy kolportowanie pism z regionu „Mazowsze” i z Krakowa. Tak więc w Ostrowcu, tu na terenie huty zaczął się pojawiać m.in. Tygodnik „Mazowsze”.

- Czy wróciłeś do pracy w hucie?

- Tak, wróciłem do huty. Zresztą dwukrotnie byłem wzywany do SB, gdzie musiałem udokumentować, że pracuję, no i byłem ostrzegany, że zamkną mnie znowu w razie nielegalnej działalności. Po okresie spokoju zacząłem oprócz tego kolportażu pism brać też aktywny udział w „Mszach za Ojczyznę”. W czytaniach „Módlmy się...” zawsze wspominałem o prześladowanych i uwięzionych działaczach niepodległościowych. Zawsze po skończonej Mszy któryś z nas dwóch, ja lub Leszek Janiszewski (elektronik i kierownik jednego z działów stalowni, a późniejszy wojewoda kielecki i prezydent Ostrowca) prowadziliśmy pogadanki i puszczaliśmy pieśni patriotyczne, takie jak np. „Ojczyzno ma”. Były momenty, że „szły ciarki po plecach”.

- A co na to „esbecja”?

- Właśnie wtedy zaczęły się moje „przygody” ze Służbą Bezpieczeństwa. To były „rozmowy ostrzegawcze” i zarazem próby dopytywania się kto jeszcze jest zaangażowany w organizowanie tych „Mszy za Ojczyznę”. Ja oczywiście „o niczym nie wiedziałem”, a na pytanie skąd czerpię informacje do pogadanek odpowiadałem, że z Radia „Wolna Europa”. Kończyło się to pobytem „na dołku”, czyli tymczasowym aresztem. Później represje były jeszcze ostrzejsze. Otóż w hucie pracowałem w systemie cztero-brygadowym. To znaczy przez cztery dni pracowałem od godziny 6-tej do 14-tej, a czwartego dnia po godzinie 14-tej miałem 48 godzin wolnego do następnej zmiany. No i gdy ja kończyłem ostatnią zmianę, to o 14-tej przed Hutą już czekało na mnie dwóch „esbeków”. Pakowali mnie do milicyjnej „suki” i przez 48 godzin wolny od pracy czas spędzałem na „dołku” w Komendzie Milicji. Ten areszt stał się jakby moim drugim domem. Gdy wychodziłem z aresztu, to szedłem wprost na kolejną zmianę do huty. Po czterech takich 48-godzinnych „ostrzeżeniach” zacząłem znikać po ostatniej zmianie. Jak się pojawiałem w domu po 22-giej, to już mnie nie ruszali. Te ucieczki nie były łatwe, bo legalne wyjścia z terenu huty były strzeżone przez uzbrojonych strażników, teren zakładu był ogrodzony i patrolowany przez strażników na przestrzeni kilkunastu kilometrów. Ale w tym ogrodzeniu były porobione „nielegalne przejścia” zamaskowane w różnoraki sposób, bo żeby jakoś przeżyć, to trzeba było coś z Huty wynieść i sprzedać na czarnym rynku. Czasem też wchodziło się do Huty przez te dziury, gdy na przykład spóźniło się do pracy, albo nie było się dostatecznie trzeźwym. Tak więc, żeby nie spotkać esbeków, to właśnie przez te dziury wykradałem się z terenu Huty. No i robiło się te ucieczki, ale trzeba było do 22-giej być poza domem, bo pod byle pretekstem esbecy nieraz szukali mnie w mieszkaniu.

- Zapewne na waszym wydziale Huty nie byłeś jedynym zatrzymywanym i zamykanym przez „esbecję” na 48 godzin?

- Oczywiście, więcej było takich. Nie wszyscy jednak byli dostatecznie odporni, żeby to wytrzymać. Na przykład był taki Henio Górecki (młodszy ode mnie, ale już niestety nie żyje), z którym się przyjaźniłem i który był niezwykle uczciwym człowiekiem. Otóż tego Henia też esbecy zamknęli na 48 godzin, żeby wydobyć od niego informacje o tym, jakie są nastroje na naszym wydziale w hucie i o czym pracownicy rozmawiają. Gdy wrócił z aresztu – do tej pory nie mogę tego zapomnieć – to spojrzał mi w oczy i rzekł: -Błazej, ja już nie chcę brać w tym udziału, bo mogę nie wytrzymać następnego przesłuchania. Proszę więc, odtąd nic już przy mnie nie mówcie o tych waszych sprawach! Rozumiałem go. Ja natomiast miałem taką luzacką postawę, że „jakoś to będzie”, no i to mi pozwalało w miarę lekko przechodzić te wszystkie zatrzymania i przesłuchania. A było tego naprawdę dużo.

- Skoro tak często Ciebie zatrzymywano, to musiałeś chyba jakoś „zasłużyć” na to? Czy to chodziło tylko o te Msze za Ojczyznę i pogadanki po nabożeństwach?

- Owszem, chodziło im o to, ale przede wszystkim mieli wobec mnie jakieś podejrzenia. Być może miało to jakiś związek z moim okresem „hippisowskim”, z moimi wyjazdami w Góry Świętokrzyskie na wiece patriotyczne pamięci powstańców Langiewicza i „Ponurego”, czy też z kursującą o mnie w środowisku opinią „wolnościowca” i przeciwnika opresyjnego państwa. Bo w istocie nie złapali mnie na kolportażu podziemnej prasy, którą zresztą otrzymywałem od solidarnościowego emeryta Leszka Zielińskiego i zostawiałem po kilka

egzemplarzy w szatniach wydziałów huty, a czasami większą ilość ulotek rzucało się z góry, spod dachu, na ogromną halę walcowni. Podejrzewali mnie o to. A może i o coś więcej? Tak, czy inaczej, ta moja „zabawa w kotka i myszkę” z esbekami trwała gdzieś do 84-go roku. W końcu dyscyplinarnie zwolniono mnie z huty za „działalność antykomunistyczną i przeciwstawianie się ustrojowi PRL”. Wcale mnie to nie zmartwiło, bo mogłem wreszcie zanurzyć się w to, co dawało mi ogromną radość, czyli w turystykę.

- A jak zarabiałeś na życie?

- Zarabiałem w różny sposób. Na przykład kupowałem z różnych źródeł płyty i kasety, które wyglądały jak oryginalne „zachodnie”, potem sam je pakowałem, zaklejałem w folię i wstawiałem do komisu. Po tygodniu odbierałem pieniądze i jechałem po następny transport kaset. Można było tak egzystować i wieść ciekawe życie. Niestety, po pół roku dostawałem nakaz powrotu do etatowej pracy, bo praca była wtedy obowiązkiem i za uchylenie się od tego groziło nawet więzienie.

- W pewnym momencie porzuciłeś rodzinne strony i zakotwaczyłeś się na dobre w Przemyślu.

-Tak, po rozpadzie małżeństwa w Ostrowcu wyjechałem do Katowic, do kopalni, a po roku przeniosłem się do Przemyśla, gdzie w końcu zakotwczyłem się. Tu założyłem rodzinę i wychowaliśmy dwoje dzieci. Początkowo zatrudniłem się jako elektryk w Rejonie Energetycznym, a od wielu już lat działam prywatnie jako operator kamery.

- Na koniec poprosiłbym Cię o ocenę tej zasadniczo zmienionej rzeczywistości, jaka nastąpiła po upadku komunizmu w Polsce – począwszy od wyborów czerwcowych w 89 roku.

- No cóż, początkowa euforia powoli przekształcała się w szarość i codzienność. Plan Balcerowicza, a w konsekwencji niesamowita drożyzna wymusiła na mnie podjęcie działań zapewniających jakiś tam dochód, za który można było w miarę spokojnie żyć i utrzymać rodzinę. Zwiększyła się liczba moich wyjazdów zagranicznych w celach handlowych. W międzyczasie też zostawiłem pracę w Zakładzie Energetycznym, gdyż obowiązki z niej wynikające kolidowały z moimi wyjazdami. Rozpocząłem też działalność gospodarczą w ramach usług filmowania i fotografii. W taki też sposób przeszedłem przez okres Balcerowicza. Z czasem pojawiały się coraz wyraźniejsze skazy i pęknięcia na postrzeganiu otaczającej mnie rzeczywistości polityczno-społecznej. Nie były to czasy Internetu, wobec czego wiedzę czerpaliśmy z telewizji i prasy będącej w przeważającym stopniu zależną od partii rządzących. Pierwszym wydarzeniem, jakie w radykalnym stopniu wpłynęło na moje postrzeganie rzeczywistości, było spotkanie z Robertem Majką oraz Andrzejem Gwiazdą. Pamiętam ciekawe dla mnie rozmowy z Andrzejem, między innymi o tak zwanym układzie z Magdalenki. Wspomnę tu również, że otrzymałem od Roberta film na „CD” o Lechu Wałęsie i jego współpracy z Urzędem Bezpieczeństwa. Wtedy też zacząłem ochoczo uczestniczyć w spotkaniach z Korwinem Mikke, z braćmi Kaczyńskimi, z Romualdem Szeremietiewem oraz innymi działaczami z obszaru polityki lub publicystyki, dziś postrzeganymi jako prawicowcy. Obecnie w wielu kręgach jestem postrzegany jako radykał i

skrajny konserwatysta. Natomiast mnie się wydaje, że mój światopogląd niewiele się zmienił od tego z lat 70-ych, natomiast zmieniła się rzeczywistość oraz idee panujące w niektórych środowiskach jako „jedynie słuszne”. Z wielką nadzieją patrzę na społeczeństwa wielu krajów, które zaczynają się budzić i wyrażać chęć powrotu do normalności. Dlatego też staram się - w miarę swoich możliwości - popierać i wspomagać tę „normalność” pożądaną dzisiaj chyba przez coraz większą część społeczeństwa.

- Dziękuję Ci za rozmowę.

Rozmawiał i opracował tekst Jacek Borzęcki



*Błażej Krajewski otrzymuje z rąk piosł RP Marka Kuchcinskiego medal oraz dyplom -
Zasłużony dla Europy Karpat, Cisowa, 9 sierpnia 2025 r. Fot. z archiwum PTK.*

**Przemyskie uroczystości
45. rocznicy
podpisania
Porozumień Sierpniowych
i powstania
NSZZ „Solidarność”.**

45. lat NSZZ "SOLIDARNOŚĆ"



Pomnik bł. ks. Jerzego Popiełuszki w Przemyślu w dniu uroczystości 45. lecia "Solidarności"
29 sierpnia 2025 r. (fot. IPN O. Rzeszów)

29 sierpnia 2025 roku w Przemyślu odbyły się uroczystości upamiętniające czterdziestą piątą rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych oraz powstania Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Było to wydarzenie o wyjątkowej randze, przywołujące pamięć o przełomowych chwilach w dziejach Polski oraz całego regionu Europy Środkowo-Wschodniej.

Obchody rozpoczęła uroczysta Msza Święta w Bazylice Archikatedralnej, celebrowana przez ks. abp. Józefa Michalika. Po nabożeństwie uczestnicy uroczystości złożyli kwiaty pod pomnikiem błogosławionego księdza Jerzego Popiełuszki – Patrona „Solidarności” i symbolu niezłomnej walki o wolność oraz godność człowieka.

Kolejna część uroczystości odbyła się w Przemyskiej Bibliotece Publicznej im. Ignacego Krasickiego, gdzie dr Artur Brożyniak z Instytutu Pamięci Narodowej wygłosił prelekcję poświęconą dziedzictwu „Solidarności” oraz jej roli w przemianach demokratycznych lat osiemdziesiątych.

W wydarzeniu uczestniczyli liczni goście, w tym także działacze i świadkowie tamtych wydarzeń, m.in. Marek Kamiński, szef podziemnych struktur "Solidarności" w regionie

przemyskim. Głos zabrali m.in. przedstawiciele władz państwowych i samorządowych - parlamentarzyści: Anna Schmidt, Marek Kuchcinski, Andrzej Zapałowski, wicemarszałek Województwa Podkarpackiego Piotr Pilch oraz dyrektor rzeszowskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej Dariusz Iwaneczko i Roman Jakim, szef "Solidarności" regionu rzeszowskiego.

Tego samego dnia otwarto wystawę „45 lat «Solidarności». Województwo przemyskie 1980–1990”, prezentującą bogaty materiał dokumentalny i fotograficzny dotyczący działalności „Solidarności” w województwie przemyskim. Ekspozycja, została udostępniona zwiedzającym w Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej do 16 września 2025 roku. Do wystawy przygotowano również katalog, którego przedruk został zamieszczony w dalszej części niniejszej publikacji.

Organizatorami uroczystości były: Przemyskie Towarzystwo Kulturalne, NSZZ „Solidarność” Region Ziemia Przemyska, Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej, Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Rzeszowie oraz Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie.



*Uroczystości 45. lecia podpisania Porozumień Sierpniowych i powstania NSZZ "Solidarność",
Przemyśl, 29 sierpnia 2025 r. (fot. ze zbiorów PTK)*

Fragmety wystąpień uczestników uroczystości

Szymon Wawrzyszko, Przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ "Solidarność" Ziemia Przemyska.

Drodzy Państwo, rozpoczęliśmy nasze uroczystości i wielkie wydarzenia mszą świętą. To nie tylko tradycja, ale to też nasze poczucie wartości. A teraz, poproszę pana dra Artura Brożyniaka z Instytutu Pamięci Narodowej, o wystąpienie nt historii powstania i działalności „Solidarności” w naszym regionie, a następnie wystąpią zaproszeni goście.

Artur Brożyniak. Chciałbym przedstawić swojego rodzaju autoreferat pracy doktorskiej pt. NSZZ „Solidarność” i inne ugrupowania niezależne w województwie przemyskim w latach 1977-1990, którą obroniłem na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Głównym celem prac badawczych były dzieje „Solidarności”, ale też i historia opozycji na terenie województwa przemyskiego. „Solidarność” jest najważniejszym ugrupowaniem, które doprowadziło do zmian w Polsce, do upadku komunizmu, upadku Związku Sowieckiego. Dzieje opozycji na tym terenie, rozpoczęły się w latach 70., kiedy powstał punkt Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Była to pierwsza organizacja opozycyjna działająca na tym terenie.

W latach 70. ta opozycja kształtowała się głównie w dużych ośrodkach miejskich, gdzie było dużo robotników i inteligentów. Województwo przemyskie miało charakter województwa rolniczo-przemysłowego, ale cechą wyjątkową na jego terenie była postać arcybiskupa Ignacego Tokarczuka, hierarchy kościelnego, który sprzyjał działaniom opozycyjnym, popierał je i dlatego każdy, szanujący się ruch opozycyjny chciał jakoś zaistnieć w Przemyśle. Pierwszym był Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Także na tym terenie działał później Przemyski Komitet Samoobrony Ludzi Wierzących, a także była próba utworzenia Konfederacji Polski Niepodległej, okręg przemysko-rzeszowski. Oczywiście działał też Komitet Samoobrony Społecznej KOR. Przed rokiem 80. opozycjonistów było zaledwie kilku i mniej więcej proporcje były takie, że na jednego opozycjonistę przypadało sześciu funkcjonariuszy SB. I taka opozycja nie stanowiła większego niebezpieczeństwa dla władz komunistycznych. Ale jak doszło do masowych protestów w lecie osiemdziesiątego roku, Służba Bezpieczeństwa już nie była w stanie tym protestom przeciwdziałać. Mogła oczywiście pojedynczych członków izolować, ale nie mogła przeciwdziałać tym wystąpieniom. Protesty doprowadziły do tego, że władza musiała ustąpić, podpisano porozumienia szczecińskie, gdańskie, jastrzębskie, katowickie. Musiała cofnąć się o krok i zezwolić na powstanie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Na różnych etapach próbowano przeciwdziałać jego rejestracji. Później podobnie przeciwdziałano rejestracji „Solidarności” Rolników Indywidualnych i w ogóle Solidarności Chłopskiej. Natomiast wokół „Solidarności” skupił się ruch społeczny. Była też i „Solidarność” rzemieślnicza.

W Polsce w całym ruchu, w „Solidarności” było około 10 milionów osób, była to spora siła i komuniści musieli się z nią liczyć. 7 października 1980 roku utworzono Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność” Regionu Południowo-Wschodniego z siedzibą w Przemyśle, który funkcjonował też pod nazwą MKZ Przemyśl.

Na terenie woj. przemyskiego ukształtowały się dwa ośrodki „Solidarności”, jeden w Przemyśle MKZ Przemyśl, drugi w Jarosławiu. Te ośrodki konkurowały ze sobą, doszło w pewnym momencie do rozłamu i przyłączenia się struktur z Jarosławia do Rzeszowa,

który był ośrodkiem większym. Ważną rzeczą był fakt, że NSZZ „Solidarność” przeprowadził wolne wybory w swoich strukturach. Władze związkowe pochodzące z tych wyborów miały pewnego rodzaju mandat społeczny na sprawowanie władzy, bo te wybory z 1981 roku były pierwszymi wolnymi przeprowadzonymi w Polsce od początku drugiej wojny światowej.

Na terenie województwa przemyskiego do „Solidarności” pracowniczej należało 74 tysiące ludzi, 32 tysiące do „Solidarności” jarosławsko-przeworskiej, 42 tysiące do „Solidarności” przemysko-lubaczowskiej. Było 6 tysięcy związkowców w „Solidarności” Rolników Indywidualnych i jeszcze była NSZZ „Solidarność” Rzemiosła Indywidualnego, której liczby członków nie zdołałem ustalić. Zarówno „Solidarność” Rolników Indywidualnych, jak i Rzemiosła Indywidualnego miała na terenie województwa bardzo silne struktury, które miały znaczenie w skali ogólnopolskiej. Jan Kułaj był liderem „Solidarności” Rolniczej, a Jan Zrajko był przewodniczącym Tymczasowej Krajowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” Indywidualnego Rzemiosła. W sumie członków skupionych w ruchu solidarnościowym było ponad osiemdziesiąt tysięcy na terenie województwa. W tym czasie struktury PZPR w województwie liczyły zaledwie 26 tysięcy członków, z czego część też była podwójnymi członkami, bo niektórzy należeli do „Solidarności”. W pewnym momencie z partii zaczęto wyrzucać za działania w „Solidarności”, ale też z „Solidarności” zaczęto wyrzucać za działalność z partii.

Władze nie mogąc kontrolować ruchu 13 grudnia 1981 roku wprowadziły stan wojenny. To oczywiście nie złamało „Solidarności”, która zeszła do podziemia. Na terenie Przemysła utworzono Tymczasową Komisję Regionalną, która później przekształciła się w Regionalną Komisję Wykonawczą. Autonomiczne grupy podziemnej „Solidarności” powstały w Jarosławiu, Przeworsku, Lubaczowie, które prowadziły walkę w konspiracji. Powstały też na terenie województwa struktury Ogólnopolskiego Komitetu Oporu Rolników.

Po roku władze zawiesiły stan wojenny, a później go oficjalnie zniosły. Jednak nie przywrócono całości swobód obywatelskich wywalczonych w porozumieniach z 1980 roku. Dlatego tajna działalność była kontynuowana, podziemna „Solidarność” poszukiwała nowych kierunków działań. Budowano społeczeństwo obywatelskie i przy kolejnym kryzysie w 1988 roku władze musiały pójść na kolejne ustępstwa. Działalność „Solidarności” została przywrócona oficjalnie na początku 1989 roku, choć jej struktury, jawne czy na wpół jawne, działania prowadziły już od września 1988. roku.

Władze komunistyczne musiały pójść na ustępstwa m.in. na częściowo wolne wybory z 1989. roku. W Sejmie o 35% miejsc wywalczyła „Solidarność”. W nowo utworzonym Senacie prawie 100% zostało przejęte przez ruch solidarnościowy. Lata 1989-1990 to okres tworzenia się nowych ugrupowań i rozwój wcześniejszych. Na terenie województwa działały: Konfederacja Polski Niepodległej, Polska Partia Socjalistyczna - Rewolucja Demokratyczna, Solidarność Walcząca. Powstały także nowe ugrupowania, między innymi Zjednoczenie Chryścijaństwo Narodowe, Porozumienie Centrum, Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna - przekształcony później w Unię Demokratyczną. Od września 1989 roku doszło do procesu przejmowania władzy przez ruch solidarnościowy, bo związek formalnie był poza tym. Tutaj na terenie województwa było trzech wicewojewodów wywodzących się z „Solidarności”. Jeden z „Solidarności” przemyskiej, jeden z jarosławskiej, no i jeden wywodzący się z „Solidarności” Rolniczej (Stanisław Żółkiewicz, Paweł Niemkiewicz, Wiesław Winiarz - red.).

Omówienie procesu z lat dziewięćdziesiątych jest dość skomplikowane i z reguły nie jest podejmowane w pracach dotyczących historii „Solidarności” czy historii opozycji.

Pomimo trudności, związanych ze sferą gospodarczą, rozpadem ruchu solidarnościowego, sam NSZZ „Solidarność” przetrwał i działa do dziś jako związek. Akcentuje on swoje, chrześcijańskie korzenie i jest swego rodzaju marką, więc jego działalność wykracza w znacznym stopniu poza działalność związkową.

Odtwarzanie historii opozycyjnej nie jest rzeczą łatwą i prostą. Część źródeł, szczególnie to, co wytworzyła Służba Bezpieczeństwa, jest mocno zdefragmentowane. Niektóre dokumenty i to kluczowe, zostały zniszczone. Niszczono całe teczki, ale niszczone też pojedyncze dokumenty, selektywnie wyciągane z akt SB. Dlatego też musiałem się posilić innymi źródłami, w tym tymi które wytworzył Komitet Wojewódzki PZPR w Przemyśle, prasą podziemną i oficjalną. Ale najważniejsze w procesie odtwarzania dziejów ruchu opozycyjnego okazały się relacje świadków, między innymi pana Marka Kamińskiego, ale też i nieżyjącego już pana Stanisława Żółkiewicza oraz innych osób. Niekiedy w odtwarzaniu historii „Solidarności” trzeba było się posługiwać specyficznymi metodami zarezerwowanymi dla bardzo odległych czasowo okresów. Jeżeli mamy historię nowożytną lub współczesną, to mamy dużo źródeł, z nich wyciągamy konkluzje. Natomiast jeżeli mamy historię średniowieczną czy pradziejów, to tych źródeł mamy stosunkowo niewiele. Czasami jedno zdanie, czasami dwa zdania i w oparciu o to próbujemy ułożyć narrację. Odnosząc się do przykładowej historii wyborów 1989 roku, to dla tego terenu zachowały się akta sprawy krypt. „Cratos”. Esbicy większość dokumentów z niej usunęli, co najmniej osiemdziesiąt procent lub więcej. Jednak pozostały pojedyncze dokumenty, w tym streszczenie podejmowanych działań w czasie wyborów z zakończenia sprawy i planu jej prowadzenia. Na podstawie tego materiału trzeba było wyciągnąć wnioski. Czy były one słuszne, to już Państwo ocenicie, po ukazaniu się w druku przedstawionej pracy doktorskiej. Pragnę nadmienić, że dla okresu 1986-1990 została zniszczona znaczna część dokumentacji.

Chciałbym dodać, że była ona recenzowana m.in. przez profesora Jana Drausa, który jest związany z Przemyślem i działalnością opozycyjną. Miał on cenne uwagi, które w większości zostały uwzględnione w przygotowanej do druku wersji. Planujemy wydanie książki w pierwszej połowie 2026 r. Bardzo dziękuję za uwagę.



Dr Artur Brożyniak (pierwszy z lewej) i Przedwodniczący Regionu Ziemia Przemyska NSZZ "Solidarność" Szymon Wawrzyszko, 29 sierpnia 2025 r. (fot. ze zbiorów PTK)

Marek Kuchciński. Szanowni Państwo! Dzisiaj obchodzimy rocznicę czterdziestopięciolecia Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, ale także całego ruchu społecznego, który przy tej okazji powstał. To wydarzenie należy do najważniejszych w dziejach Polski, a w pewnym kontekście także w dziejach świata z kilku względów. Ze względów społecznych „Solidarność” była pierwszym i chyba jak dotąd jedynym związkiem zawodowym, ogólnonarodowym, ogólnospołecznym, nie branżowym. Konsekwencje działania „Solidarności” widzieliśmy w latach dziewięćdziesiątych i nadal, w XXI wieku są obecne w całej Europie Środkowej i Wschodniej, w Azji Środkowej, w Azji Mniejszej, w Iraku i w Iranie. Wszędzie tam, gdzie działały stare związki zawodowe, organizowane w strukturach związków branżowych, powstawały nowe, na wzór Solidarności. A „Solidarność” była wielkim ruchem, który miał olbrzymi wpływ na organizowanie się wolnego społeczeństwa w tamtych postkomunistycznych krajach. Po drugie, z perspektywy narodowej, w naszej historii Polska miała wielkie sukcesy, z ponad tysiąca lat wyróżniamy wielki okres Rzeczypospolitej Obojga Narodów, której Unia Lubelska przetrwała 300 lat! 300 lat w porównaniu z dzisiejszym 35. leciem Unii Europejskiej targanej wewnętrznymi różnymi problemami! To proszę porównać, jakie to było wielkie dzieło naszej Polski! Potem były próby odbudowy państwa polskiego i znów wielkie efekty na skalę światową: Konstytucja 3 Maja, następnie walka o niepodległość, odzyskanie niepodległości i zwycięstwo nad bolszewikami w 1920 roku. Ale to były czasy, które minęły. Natomiast od 1980 roku z inspiracji między innymi Jana Pawła II, a wcześniej prymasa Tysiąclecia, mamy do czynienia z wielkim ruchem „Solidarności”, który spowodował, że wszystkie inne wydarzenia polityczne w naszej części Europy są efektem tego ruchu. I dlatego uważam, że ruch „Solidarności” i dzieło „Solidarności”, ludzi „Solidarności” należą do największych wydarzeń w dziejach Polski i świata. I dlatego też w tym miejscu chciałbym z okazji 45. rocznicy utworzenia „Solidarności” oddać cześć wszystkim działaczom i członkom „Solidarności”. Dziękuję bardzo.

Anna Schmidt. To już taka tradycja wszystkich osób, które zaangażowane są w życie społeczne, że jesteśmy w tym dniu z Państwem i co roku zbieramy się w naszych małych ojczyznach, także tu w Przemyślu, za chwilę w Jarosławiu i w innych miastach, żeby uhonorować związkowców i tych, których pamięć wspominamy i tych, którzy działają i funkcjonują na co dzień, żeby przypomnieć sobie czym jest, czym był fenomen największego zrywu społecznego, jakim było powstanie NSZZ „Solidarność”.

(...) Dzisiaj, kolejny raz obchodząc rocznicę powstania „Solidarności” patrzymy wstecz, przypominamy sobie historię, ale przede wszystkim, przed wami wielka odpowiedzialność na przyszłość, bo nastąpiły dziwne, ciężkie i trudne czasy, w których przyszło nam żyć. Czasy, w których nie ma jednoznacznej polaryzacji, jak dawniej: komuniści kontra reszta świata, ateści kontra Kościół w Polsce i na świecie. Wtedy świat był biało czarny. Wtedy było wiadomo, przeciwko komu walczyć, wróg był zmaterializowany, można było go nazwać. Dzisiaj w świecie, w którym różne grupy polityczne i społeczne starają się rozmyć wartości, w duchu których powstała, funkcjonowała „Solidarność”, przypada wam szczególna rola, jesteście potrzebni Polsce bardziej niż wtedy. Bo dzisiaj złe ruchy to zło, które dzieje się w naszym kraju, te złe trendy, które płyną do naszego kraju z Europy Zachodniej, są gorsze do stawienia oporu.

To jest walka nie ze zmaterializowaną komunistyczną władzą. To jest walka z niebez-

piecznymi prądami, ruchami antyspołecznymi, ruchami antykościelnymi, które w imię niewłaściwie i błędnie pojętej pseudo wolności człowieka tak naprawdę próbują nam mówić, w co mamy wierzyć, jak mamy żyć i jaka ma być przyszłość, jaki ma być kształt Polski, Europy i świata. Ten wróg jest mniej zmaterializowany, mniej konkretny, jest rozmyty, rozproszony i przez to bardziej niebezpieczny.

I dlatego drodzy jubilaci, działacze, związkowcy „Solidarności”, dziś przed Wami ważna do spełnienia misja. Podtrzymania związku, rozbudowy związku, obudzenia Polaków i bycia tą iskrą, którą byliście wtedy, aby obudzić Europę. Europę, która umiera, która chyli się upadkowi i Europę, która porzuca wartości, które stały się podwaliną jej istnienia. Między innymi chrześcijańskie wartości i faktyczne, prawdziwe, namacalne poszanowanie praw człowieka. Polska Was potrzebuje, bardzo potrzebują Was ludzie, którzy mają wpływ na sprawy polityczne, publiczne i społeczne, którzy, kształtują porządek prawny w Polsce, a z których wielu zapomniało, co powinno być istotą tej władzy i jak ona powinna być sprawowana i kto jest najwyższą władzą w Polsce, a jest nią suweren. I dziś ta rola po 45 latach funkcjonowania przypada „Solidarności”. Przypada związkowcom, którzy muszą upominać się o sprawy społeczne i mówić jeszcze głośniejszym głosem niż wtedy, aby ten głos był słyszany nie tylko w Polsce, ale także przeżywającej ogromny kryzys wartości w Europie.

Tego, moi drodzy, wam życzę. Siły, wytrwałości, niezłomności i przekonania, jak bardzo jesteście ważni, jak bardzo jesteście potrzebni jako ludzie, jako jednostki, jako wielki ruch społeczny Polsce, Europie i światu. Życzę Wam kolejnych jubileuszy. Życzę Wam kolejnych co najmniej 45 lat i nabrania sił i odnowy, która przygotuje związek na nowe wyzwania. A tych w tym przeciwnym świecie, w jakim żyjemy, na pewno nie zabraknie. Niech wam błogosławi wasz patron błogosławiony ksiądz Jerzy. Wszystkiego dobrego i dziękuję, że mogłam dzisiaj być z Państwem. Po prostu Szczęść Boże!

Andrzej Zapalowski. Dziś padło wiele słów o fenomenie „Solidarności” i bardzo dobrze. Ale chcę Państwu powiedzieć, że pod tym szerokim parasolem „Solidarności” żyło, działało wiele innych środowisk, które pracowały właśnie na to. To była Federacja Młodzieży Walczącej, to był Niezależny Ruch Harcerski, to była Liberalno-Demokratyczna Partia Niepodległości, to była Solidarność Walcząca, to była Konfederacja Polski Niepodległej. No i Wielki Ruch Niezależnego Zrzeszenia Studentów, z którym byłem związany. Wielu działaczy z Przemyśla, co najmniej kilkunastu w Krakowie, stanowiło na mojej uczelni trzon polskiego Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

Pamiętam, jak w 86. roku z Andrzejem Hukiem, byłem wójtem gminy Przemyśl, w drukarni na AGH drukowaliśmy podziemne materiały. Rok później już mieliśmy swoją. Ja do dzisiaj na pamiątkę mam, pierwszą ramkę, na której żeśmy pierwsze gazety własne drukowali. Potem była współpraca z „Solidarnością”. Jak na początku maja 88 roku stanęła Nowa Huta, rozbito kilka drukarni „Solidarności”, przyszli do nas i przez kilka dni i nocy drukowaliśmy dla hutników. Dzień i noc. W marcu, bo ja się w lutym 88 roku ujawniłem i przygotowaliśmy się do rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów w kilkusobowej grupie. Kiedy w maju postawiliśmy przed uczelnią stolik i zaczęli z imienia i nazwiska zapisywać do podziemnego NZS-u, to był to rok przed Okrągłym Stołem i ponad 1000 osób zapisało się z imienia, nazwiska. Później się okazało, że więcej niż na Uniwersytecie Warszawskim. Ja do dzisiaj ten rejestr mam. Tak więc później, jak przyszedł 89 rok, to działacze Niezależnego Zrzeszenia Studentów stanowili istotny trzon tego, co się działo

w Polsce. Kiedy tuż po Okrągłym Stole rektor się w końcu zgodził na uczelni, żebyśmy zrobili zebranie, to w auli głównej studenci nie zmieścili się, którzy przyszli do NZS-u.

To była fala, która wspomagała ten ruch wielki „Solidarności”. I dzisiaj, tak z perspektywy czasu też trzeba mówić o fenomenie Federacji Młodzieży Walczącej, Niezależnego Zrzeszenia Studentów, bo przewroty, to jest socjologicznie potwierdzone, robią ludzie do czterdziestego roku życia. I z Piotrkim (Pilchem) byliśmy wtedy jednymi z najmłodszych, którzy działali w opozycji, mając dwadzieścia dwa, trzy lata. No i dzisiaj dalej jesteśmy młodzi, ale ten czas leci. Chciałbym podziękować w tym miejscu wszystkim działaczom podziemia, bardzo szerokiego podziemia, bo podziemie wytworzyło jedną istotną rzecz. Mianowicie to nie była jedna struktura, to było dziesiątki struktur, z którymi komuniści nie byli w stanie sobie poradzić. Także bardzo serdecznie dziękuję za tą uroczystość i pod tym sztandarem „Solidarności” także ja się chowam jako nie członek wówczas „Solidarności”, tylko działacz studencki. Dziękuję bardzo.

Piotr Pilch. Jestem człowiekiem z „Solidarnością” związanym od roku 1990. Jak podjąłem pracę, od razu zapisałem się do „Solidarności”. To jest wielka działalność, o której my mówimy i też ślę pozdrowienia od marszałka Władysława Ortyła i od całego samorządu, który jest bardzo blisko związany z „Solidarnością”. Radni, radni Prawa i Sprawiedliwości nie tylko czują, że to jest wielka spuścizna, że niosą na sobie, na swoich ramionach wielką spuściznę „Solidarności”. Każdą sesję sejmiku zaczynamy od modlitwy. Bardzo są nam bliskie te ideały, które cały czas mamy w żywej pamięci.

Bardzo dużo się mówi i dobrze, o roli „Solidarności” z roku 80., 81., z okresu stanu wojennego. Tak, niewątpliwie bez „Solidarności” nie byłoby wolnej Polski, nie byłoby wolnej Europy i wolnego świata. To wszyscy wiemy, to każdy przyznaje. Ale dużo mniej się mówi o wielkiej roli „Solidarności” w tej chwili, jaką ona pełni. A warto przypomnieć pakt podpisane z prezydentem Andrzejem Dudą, teraz mamy pakt z prezydentem Karolem Nawrockim i efekty też działań i współpracy z rządem, rządem Prawa i Sprawiedliwości, była pani minister, był pan minister Marek Kuchciński. Przecież to, że są wolne niedziele, to że tak wysoko została podniesiona płaca minimalna, to że został obniżony wiek emerytalny, to że wiele tych zabezpieczeń socjalnych zostało zrobione, to jest niewątpliwie wielki sukces „Solidarności”, która w sposób pokojowy potrafiła dogadać się z władzą i potrafiła te wielkie osiągnięcia po prostu wywalczyć. Trochę się mało o tym mówi, trochę zapominamy. (...) Tych wielkich osiągnięć jest dużo. Trzeba o tym też mówić. Też o tej wielkiej roli „Solidarności”, którą w tej chwili pełni. Panie przewodniczący, 45 lat, kawał czasu służby dla polskiego związku zawodowego. No i kolejne lata przed nami. Na to liczy Polska. Na to liczą Polacy. Myślę, że będzie tak jak do tej pory, tak jak ksiądz arcybiskup powiedział, tym wielkim moralnym elementem całej tej polskiej rzeczywistości. Dziękuję bardzo.

Dariusz Iwaneczko. Kiedy przeglądam ten wspaniały katalog wystawy - przygotowany wspólnymi siłami, ale graficznie pani Anna Pragłowska jest za to odpowiedzialna - i porównuję nazwiska z Zarządu Regionu obecnego... - Witam Państwa wszystkich z Zarządu Regionu „Solidarności” na czele z Panem Przewodniczącym i Zarządu Regionu z osiemdziesiątego pierwszego roku - bo więcej osób znałem osobiście przez te 45 lat, z tamtego Zarządu Regionu, niż z obecnego. Uświadomiłem sobie, że ludzie starsi tak mają. Bardziej pamiętają to, co było dawniej, a mniej niż to, co jest teraz. I to jest taka pierwsza

refleksja.

Druga refleksja, proszę państwa, to jest refleksja historyka. Uświadamiam sobie, że 45 lat „Solidarność” to jest także 45 lat spośród mojego sześćdziesięcioletniego życia, co jest tak naprawdę świadomością istnienia „Solidarność” i dokonań ruchu związku zawodowego, to jest także większość świadomości świadomego mojego życia, od nastolatka do człowieka już dość mocno zaawansowanego wiekowo. Trzecia refleksja jest taka, że jak Państwo przyjrzenie się tej wystawie i temu katalogowi, to te zdjęcia są czarno białe, ale ci, którzy pamiętają tamten czas, pan Marek Kamiński, Marek Kuchciński, Henio Częstka, to był czas kolorowy, on był naprawdę kolorowy. On był czarno-biały do sierpnia 80. roku, ale w 80. roku w sierpniu stał się światem kolorowym, przynosząc nam wszystkim nadzieję. To jest część właśnie tego naszego życia i tej świadomości. Wczoraj z panem przewodniczącym Romanem Jakimem mówiliśmy o tym w telewizji, że każde pokolenie ma jakby swoją kotwicę. Pokolenie legionów, pokolenie żołnierzy Armii Krajowej, wcześniej pokolenie powstańców styczniowych. A nasze pokolenia, dla nas tą kotwicą jest ten 80. rok i „Solidarność”, która spowodowała niesamowitą przemianę naszego kraju. Spójrzcie państwo, 45 lat, zawsze porównujemy, ile pokoleń w II Rzeczypospolitej się przetoczyło przez 20 lat. To jest 45 lat. Jesteśmy zupełnie innym krajem. Niestety, też innymi ludźmi. Ludźmi, którzy też zapominają.

I na koniec ostatnia refleksja, kiedy też przeglądam ten katalog, wiele spośród tych osób, które znałem osobiście, już nie ma. Zobaczcie Państwo na Tymczasową Komisję Regionalną. Tylko pan Marek Kamiński, chwała Bogu, jest wśród nas. Jeżeli weźmiemy duszpasterstwo rolników, tu sytuacja wygląda trochę lepiej. A właściwie bardzo dobrze, bo wszyscy spośród utrwalonych na tych fotografiach, chwała Bogu, jeszcze żyją, są z nami. I za to dziękuję, że trwacie. I ta ostatnia refleksja wiąże się właśnie jako historyka z pamięcią. To są tylko drobne rzeczy, które mają utrwalić pamięć o tych ludziach, ale pamiętajmy o nich, bo to jest fundament naszej tożsamości. Gratuluję tego 45-lecia wszystkim. I trzymajcie się Państwo wspólnie, biorąc siłę z tej dawnej „Solidarność”, działajcie dzisiaj! Wszystkiego dobrego!

Szymon Wawrzyszko. Drodzy Państwo, dziękuję za te wszystkie życzenia. Przyjmuję je do serca, ale tak naprawdę do wszystkich członków Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Tu obok mnie powinien stanąć kolega Marek Kamiński i odbierać te życzenia w imieniu naszego związku. I również zechcieć powiedzieć dwa słowa. On również - swoje życie, napisał wielkimi literami.

Marek Kamiński. Szanowni Państwo, ja nie będę mówił o historii, to było. Ja chciałem powiedzieć, że przewagi takiej, jak kiedyś uzyskaliśmy już nie ma, skończyło się. Jest strasznie ciężko. Ja bym sobie życzył, żeby politycy nie uczestniczyli tylko w święta związku zawodowego, ale żeby działali w związkach zawodowych. Pomagali. Jeżeli wywodzimy się z tego samego gniazda, jak sami mówimy, to pomagajmy sobie wzajemnie, a nie zwalczajmy się. Ja chcę mówić o tym, jaka jest sytuacja w naszym kraju. Są tu politycy i niech się zajmują tymi sprawami, po to są wybrani, tak jak mówimy - suweren tego wymaga.

Szanowni Państwo! Rządzi taka formacja, która z narodem ma mało wspólnego, ma obywatelstwo nasze, ale nie rządzi w naszym interesie. Społeczeństwo chce zmian. Wygraliśmy wybory prezydenckie. Nie poprzestańmy na tym. Zaczniemy działać. Zaczniemy two-

rzyć komitety wyborcze i robić kampanię wyborczą. W tej chwili my musimy wygrać wybory następne, jeżeli do nich dojdzie, bo cholera wie co to będzie z tą Unią, pani poseł tu mówiła, że komuny nie ma - komuna jest jeszcze gorsza jak była! My zajmijmy się dziećmi. Nauczaniem. Co obecna minister edukacji wyprawia, to się pale nie mieści. Gdzie są rodzice?

My, jednak muszę wrócić do historii, nie korzystamy z mocy Kościoła. Stan wojenny? Co zrobiliśmy? Zwróciliśmy się do Kościoła i Kościół zdał egzamin. Pomógł nam się zorganizować, bo bez Kościoła wyłapałiby za nas jak psy. Kościół nam pozwolił stworzyć struktury, stworzyć możliwości działania i umożliwił kontakty ze wszystkimi. My pomóżmy teraz kościołowi, bo musimy trafiać do społeczeństwa, musimy! Mamy możliwość, w tej chwili możemy organizować spotkania, mityngi. Możemy wszystko. Tłumaczymy ludziom, co jest źle w naszym kraju, bo jest źle w każdej dziedzinie, wszyscy widzimy to na własne oczy. Zmieńmy to. Jest duża możliwość zmiany, tylko trzeba się zorganizować. Arcybiskup słusznie zauważył - „Solidarność” ma struktury, „Solidarność” to jest potęga. Współdziałajmy wszyscy razem, bo cel mamy chyba jeden, prawda? Życ w normalnym kraju. Nie podporządkowywać się Unii Europejskiej. To, co wyrabiają ci Europejczycy, mnie, prostemu człowiekowi to się w głowie nie mieści. I chyba nam wszystkim nie mieści się, co oni wymyślają. Europy nie ma, jest najazd Arabów, czarnych wszystkich, zalewają Europę, co będzie za czterdzieści lat? My chyba tego nie dożyjemy. Ja nie wiem, kto będzie mieszkał w naszym kraju, jeśli patrzymy na przyrost naturalny. No przecież na nasze miasto popatrzmy. Przecież w osiemdziesiątym roku Przemysł dobijał do sześćdziesięciu tysięcy. Ja dzisiaj nie wiem, czy pięćdziesiąt jest. Co się dzieje? Dziewczyny wolą pieska nosić, jak rodzić dzieci. To jest tragedia. Ale to od nas zależy. Trzeba działać w każdym wymiarze, żeby Polska nie zginęła. Niech żyje Polska! Dziękuję.

Szymon Wawrzyszko. Drodzy Państwo, kolego Marku, dziękuję Ci. Często do nas mówi się, że „Solidarność” jest aktywną częścią sumienia narodu, a częścią najaktywniejszą sumienia „Solidarność” jest kolega Marek, który zawsze ma odwagę powiedzieć prosto w twarz wszystkim, co w danym momencie jest najważniejsze. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” jest czymś więcej niż tylko związkiem zawodowym. U jego powstania leży fundamentalne wartości takie jak prawda, równość, sprawiedliwość, odwołanie się do Boga i katolickiej nauki. To w oparciu o to, „Solidarność” jako związek zawodowy, mogła odnieść swoje zwycięstwo, przetrwać represje i odrodzić się wraz z III Rzeczpospolitą. Dzisiejsze czterdziestopięciolecie to okazja, obowiązek „Solidarności”, aby przypominać o tych wydarzeniach, a przede wszystkim o ludziach, którzy je tworzyli. To dzięki Wam mamy niepodległą Polskę. Dzięki Wam możemy mówić o wolności i korzystać z niej.

Wyjątkowość roku 1980 przejdzie do historii naszego narodu jako rok wielki. Mieliśmy różne wydarzenia, ale to, co stało się w tym roku, jest bez precedensu. „...Oto naród obudził się skonsolidowany, zjednoczony. W tym narodzie pierwsze miejsce zajął świat pracy, zajęli robotnicy, a wokół nich skupiła się inteligencja, młodzież, wieś, wszystkie warstwy narodu. Obudził się naród, bo chce być podmiotem, nie przedmiotem manipulacji. Chce być gospodarzem we własnym domu, we własnej ojczyźnie”. To nie są moje słowa. Te słowa skierował biskup Ignacy Tokarczuk podczas mszy świętej 16 listopada 1980 roku w Archikatedrze Przemyskiej w intencji „Solidarność”, w trakcie której poświęcono krzyże do zakładów pracy.

Jedna z plansz dzisiejszej wystawy pokazuje zdjęcia z tej jakże wyjątkowej i dzisiaj możemy sobie uświadamiać wybiegającej w przyszłość mszy. Niezwykle prorocze, wyrażające duchowy stan narodu, będące przykładem poparcia nie tylko słowem, jakie okazywał „Solidarność” ksiądz biskup, ale wieloma czynami. Któż z was, koledzy założyciele „Solidarność”, miał wówczas taką świadomość, takie poczucie uczestnictwa w dziele, które obali system komunistyczny, tyrana połowy Europy, mocarstwo militarne, które wszelki opór łamało gąsienicami czołgów. Nieliczni, ale wśród nich był ksiądz arcybiskup Ignacy Tokarczuk. Bez jego charyzmy, wizji, odwagi i pomocy, jakiej udzielił, wielu by zwątpiło i się poddało. A i „Solidarność” nie byłaby tak silna. Znaczenie Kościoła katolickiego w sukcesie „Solidarność” i odrodzeniu demokracji jest ogromne. Nie wolno nam zapominać o kapłanach na czele z papieżem Janem Pawłem II, kardynałem Stefanem Wyszyńskim, wspomnianym biskupem Ignacym Tokarczukiem, naszym patronem księdzem Jerzym Popiełuszką i wielu, wielu innych kapłanów naszych diecezji, naszych proboszczów. Nie wypada mi tylko przez grzeczność, aby jakiegokolwiek nie pominąć, wymieniać z imienia i nazwiska. Dlatego należy o tym mówić, jak wspominał przed chwilą Marek Kamiński, gdyż to oni nie pozwolili, aby prawda i nadzieja w nas zgasły i w tym narodzie przetrwały. A wam, koleżanki i koledzy, nie brakło odwagi. Zbudowani poczuciem sprawiedliwości społecznej, prawdy w swojej determinacji po raz kolejny podjęliście ryzyko protestów, które tym razem wybuchły z taką skutecznością w całej Polsce, także tutaj, na ziemi przemyskiej i w każdym jej zakątku, których efektem po raz pierwszy w powojennej Polsce były ustępstwa władzy komunistycznej i podpisanie Porozumień Sierpniowych w Szczecinie, w Gdańsku, Jastrzębiu, w Katowicach. Pamiętajmy o tym. Na to się składa wiele porozumień, wiele oporów i mnóstwo ludzkiej pracy. Porozumienia, które zaowocowały utworzeniem pierwszego wolnego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” nie tylko w Polsce, ale w całym układzie ówczesnej komunistycznej, tak zwanej warszawskiej. Przez te czterdzieści pięć lat przeszliśmy wiele momenty nadziei i zwycięstwa, ale też rozczarowania i próby odebrania nam dziedzictwa. Ale nie ugięliśmy się i nie boimy się przeciwności ani trudnych wyzwań i nigdy nie przestaniemy walczyć o godność polskich pracowników, o godność człowieka. „Solidarność” to jedność, wspólne cele, zaangażowanie w sprawy społeczne. A czas poświęcony wsparciu drugiemu człowiekowi nigdy nie jest czasem zmarnowanym. Nie ma na świecie drugiego takiego związku zawodowego, z taką tradycją, osiągnięciami, którego nazwa jest znana i rozpoznawana w każdej części świata. Jedyny związek zawodowy, który ma własnego patrona, bł. księdza Jerzego Popiełuszkę i przede wszystkim z takimi cudownymi, zaangażowanymi ludźmi.

Droży Państwo! Wystawa, która się tutaj znajduje, to jej inauguracyjna uroczysta prezentacja na czterdziestopięciolecie powstania naszego związku. Stało się to po raz pierwszy okazją do zebrania wielu materiałów i ukazania ich w sposób scalony, przystępny. Dzięki współpracy wielu osób, w szczególności Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego, któremu przewodniczy pan Marek Kuchciński, Instytutu Pamięci Narodowej oddział w Rzeszowie, Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej, możemy dzisiaj tą wystawę zaprezentować. Dzięki panu Arturowi Brożyniakowi, dziękuję za wsparcie merytoryczne i opatrzenie wystawy wstępem. Szczególne podziękowania kieruję pani Annie Pragłowskiej, która dokonała opracowania tej wystawy i podjęła się trudu, którego nikt wcześniej nie dokonał, zatem tym bardziej zasłużone podziękowania za przebrnięcie przez materiały, dokonanie analizy i wyborów. To stanowi kompendium naszej historii i będzie punktem

wyjścia do szerszego odbiorcy, w szczególności młodego pokolenia. Zachęcam wszystkich do jej obejrzenia. Dla niektórych to przypomnienie, dla innych pogłębienie wiedzy. To historia, która działa się tu na ulicach Przemyśla, Jarosławia, Przeworska, Lubaczowa i miejscowości byłego województwa przemyskiego. Na tych zdjęciach zapewne wielu z Was znajdzie swoich znajomych, sąsiadów, a i być może swoje młodsze twarze. Pozwólcie, że zakończę również słowami księdza arcybiskupa Ignacego Tokarczuka, które są stale aktualne:

Życzę wam, abyście okrzepli, żebyście nabrawszy doświadczenia, byli coraz mocniejsi i coraz bardziej realizujący to wszystko, co dla całego narodu naszego jest tak istotne i potrzebne. Bo nikomu nie zagrażacie i przeciw nikomu nie występujecie. Chcecie tylko dom swój uporządkować i do tego nie tylko macie prawo, ale też i obowiązek, a my wszyscy, co będziemy mogli wam w tym pomożemy. Amen.

Tak zakończył tą mszę ksiądz arcybiskup. Dziękuję za te brawa, ale one należą się, Szanowni Państwo, Wam wszystkim. Za waszą pracę, za waszą codzienność, za waszą charyzmę, za odwagę i to wszystko w najdrobniejszym szczególe, co w swoim życiu zaświadczylście.

Drodzy Państwo, jest to okazja też do odznaczeń, podziękowań. Z tej okazji, pozwólcie, że Region przygotował i wybił medale okolicznościowe i w podziękowaniu dla zasłużonych działaczy „Solidarność”, ludzi, którzy walczyli o naszą przychylność, o naszą przyszłość, działaczy społecznych, wszystkich, których jednoczy praca na rzecz drugiego człowieka, starszych i młodszych. Chcielibyśmy za ten trud codziennej pracy uhonorować tymi medalami.



Uhonorowani medalami uczestnicy uroczystości, 29 sierpnia 2025 r. (fot. ze zbiorów PTK).

KATALOG WYSTAWY

Województwo przemyskie 1980-1990



1980 **45** Solidarność 2025





Przemyskie Towarzystwo Kulturalne
Wybrzeże Marszałka Józefa Piłsudskiego 1, 37-700 Przemyśl
email: towarzystwo.kulturalne@op.pl
<https://ptk-przemysl.pl/>
<https://archiwumwolnosci.pl/>



INSTYTUT PAMIĘCI
NARODOWEJ
Oddział w Rzeszowie



Muzeum Narodowe
Ziemi Przemyskiej



Tekst: dr Artur Brożyniak IPN O/Rzeszów

Współpraca merytoryczna: Marek Kamiński, Jan Musiał,
Marek Kuchciński, Szymon Wawrzyszko, Jan Jarosz, Waldemar Wigłusz

Opracowanie graficzne i skład:
Anna Pragłowska

Na okładce zdjęcia ze zbiorów Jana Jarosza: Manifestacja NSZZ "Solidarność"
w Przemyślu, 1 V 1988 r.

Druk:



ul. 17 Pułku Piechoty 7, 735-020 Rzeszów

Przemyśl 2025

Gdańsk 1980

W lipcu 1980 r., w związku ze znacznymi podwyżkami cen żywności wybuchły pierwsze protesty m.in. w Mielcu, Sanoku, Rzeszowie, Świdniku i Lublinie. Najważniejszy strajk, 14 sierpnia, rozpoczęli Działacze Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża w Stoczni Gdańskiej. Żądano m.in. przywrócenia do pracy, zwolnionych za działalność opozycyjną, Annę Walentynowicz i Lecha Wałęsę, podwyżek płac i postawienia pomnika ofiar Grudnia 70. W trakcie strajku prowadzono wspólne modlitwy, wywieszano symbole narodowe i portrety papieża Jana Pawła II. 18 sierpnia rozpoczął się protest w Stoczni Szczecińskiej.

Informacje o strajkach podawały media w Europie Zachodniej i USA. W ten sposób złamano blokadę informacyjną stosowaną przez komunistów. Protesty się rozszerzały i tworzone kolejne komitety strajkowe. Kulminacją protestów był ostatni tydzień sierpnia - 30 sierpnia strajkowało 700 tys. pracowników w 28 województwach.

Władze nie mogły ich opanować przy pomocy rozwiązania siłowego, dlatego podjęto rozmowy z protestującymi. Największe międzyzakładowe komitety strajkowe prowadziły negocjacje z delegacjami rządowymi, a robotnikom doradzali eksperci powiązani ze strukturami opozycji m.in. Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, Jan Olszewski, Lech Kaczyński i Bogdan Cywiński. Wynikiem dialogu było podpisanie czterech porozumień społecznych: 30 sierpnia 1980 r. w Szczecinie, 31 sierpnia w Gdańsku oraz 3 września w Jastrzębiu i 11 września w Katowicach. Podpisy złożyli m.in. Lech Wałęsa i Lech Kaczyński, a ze strony rządowej m.in. Mieczysław Jagielski i Kazimierz Barcikowski.

Gdańsk stał się liderem nowego ruchu związkowego, a działacze z całego kraju przybywali do miasta po instrukcje jak tworzyć struktury (oddolnie tworzone komitety założycielskie). 17 września 1980 r. w Gdańsku, przedstawiciele pracowników z 30 ośrodków miejskich z Polski powołali Niezależny Samorządny Związek Zawodowy (NSZZ) „Solidarność”. Nazwa odnosiła się do idei solidarności międzyludzkiej i wspólnego działania. Sąd Najwyższy 10 listopada 1980 r. dokonał oficjalnej rejestracji NSZZ „Solidarność”.

Solidarność



Strajkujący i strajkowe dekoracje murów Stoczni Gdańskiej (Leonard Szmaglik - <http://ecs.gda.pl/>)



Mieszkańcy Gdańska zgromadzeni przed Bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej w oczekiwaniu na ogłoszenie podpisania Porozumień Gdańskich (Krzysztof Korczyński - <http://archiwum.ecs.gda.pl>)



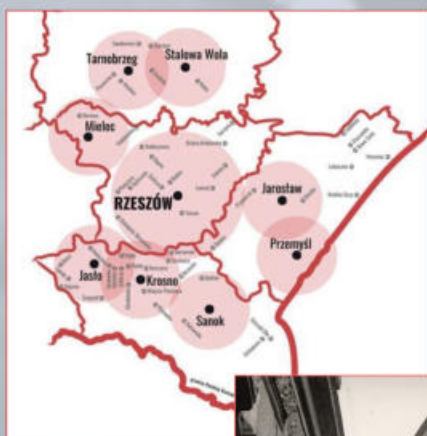
Podpisanie porozumień sierpniowych w Szczecinie, 30 VIII 1980 (Stefan Cieślak - arch. autora)
Zdjęcie w tle: Rodziny strajkujących przy bramie nr 2 Stoczni Gdańskiej (Leonard Szmaglik - <http://ecs.gda.pl/>)

Strajki i protesty w Ziemi Przemyskiej

Województwo przemyskie było jednym z regionów objętych falą strajków w Polsce w 1980 roku. Do części zakładów pracy docierała prasa opozycyjna i ulotki, pracownicy powracający z urlopów przywozili informacje o protestach w całej Polsce. Główna aktywizacja środowiska robotniczego w Przemysłu nastąpiła pod koniec sierpnia 1980 roku. Jako pierwsze przerwały pracę załogi PKS w Przemysłu i Jarosławiu - około 720 osób. SB odnotowała protesty w ponad 40 zakładach województwa; protestujący przedstawiali postulaty, głównie o charakterze socjalno-bytowym. Po podpisaniu porozumień gdańskich w zakładach pracy woj. przemyskiego tworzone grupy inicjatywne niezależnych związków zawodowych.



Strajk ostrzegawczy 27 marca 1981 r. w Zakładach Automatyki „Mera-Polna”. Stoją od lewej Zbigniew Łuszczyszyn, Janusz Kościółko, Andrzej Kucharski i (?) Wojtowicz (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemysłu, zesp. 886 syg. 227)



Mapka zasięgu strajków w lecie 1980 r. w Polsce południowo-wschodniej (oprac. graficzne K. Czechowicz, IPN O/Rzeszów)

Kryzys bydgoski

W całym kraju w okresie jawnej działalności NSZZ „Solidarność” w latach 1980-1981 dochodziło do wielu protestów i strajków. W marcu 1981 r. doszło do największego kryzysu. Powodem były ataki ze strony władz na „Solidarność”, w tym pobicie związkowców w Bydgoszczy i brak rejestracji NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych. 27 marca 1981 r. odbył się czterogodzinny strajk ostrzegawczy, w kraju stanęła większość zakładów i instytucji. Władze komunistyczne pod presją strajku generalnego zmuszone były do częściowych ustępstw i zawarcia kompromisu z „Solidarnością”.

Czarny protest przeciwko brakom w zaopatrzeniu sklepów, odbył się w listopadzie 1981 r. w Jarosławiu (zdjęcia ze zb. Archiwum Państwowego w Przemysłu, zesp. 886 syg. 227)



Protesty w woj. przemyskim sierpień-wrzesień 1980 r.

- **Przemysł**
Komunikacja miejska
PKS w Przemysłu
Spółdzielnia Transportu Wiejskiego
Woj.Przedsieb. Budownictwa Komunalnego
- **Jarosław**
Huta Szkła Opakowaniowego
Karpackie Zakłady Gazownictwa
Komunikacja miejska
PKS w Jarosławiu
Spółdzielnia Transportu Wiejskiego
Zakład Przemysłu Cukierniczego „San”
Zakłady Przemysłu Zbożowego
- **Lubaczów**
Spółdzielnia Kółek Rolniczych
Spółdzielnia Transportu Wiejskiego
Zakłady Wyrobów Galanterijnych
- **Przeworsk**
Baza Przedsiębiorstwa Obrotu Zwierzętami Hodowlanymi
Spółdzielnia Transportu Wiejskiego
Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Vistula”
- **Basznia Górna**
Kopalni Siarki „Basznia” w Smolince
- **Cieszanów**
GS w Cieszanowie
Zakład Rolny
- **Dynów**
Spółdzielnia Inwalidów
- **Horyniec**
Zakład Rolny
- **Lubliniec**
Mieszalnia Pasz i Suszarnia PGR
- **Nowe Sioło**
Zakład Budowlany PGR
- **Wielkie Oczy**
Zakład Usług Mechanicznych i Warsztaty SKR
- **Wietlin**
Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna

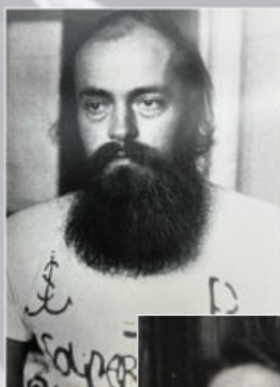
Komitet Założycielski NSZZ "Solidarność"

Konsekwencją porozumień władzy z protestującymi robotnikami z sierpnia i września 1980 r. było powstanie **Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”**. W województwie przemyskim duży wpływ na powstanie struktur „S” mieli działacze opozycji powiązani z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela, a następnie Komitetem Samoobrony Społecznej „KOR”, Wit Siwiec, Stanisław Sudół i Stanisław Kusiński.

W Przemyślu, 3 X 1980 r., z inicjatywy opozycjonisty Wita Siwca, powołano Tymczasową Międzyzakładową Komisję Koordynacyjną, która zrzeszała siedem zakładów z terenu miasta. Jej przewodniczącym wybrano Władysława Mazura z Zakładów Płyt Pilśniowych. 29 IX 1980 r. utworzono MKZ Jarosław.

7 X 1980 r. przedstawiciele 24 zakładów pracy z województwa przemyskiego, zebrani na obradach, podjęli uchwałę o powołaniu **Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” Regionu Południowo-Wschodniego** z siedzibą w Przemyślu. Przewodniczącym Prezydium Komitetu został Czesław Kijanka, wiceprzewodniczącymi: Kazimierz Ziobro (lider MKZ w Jarosławiu), Andrzej Kucharski i Eugeniusz Opacki.

Eugeniusz Opacki i Stanisław Baran (z lewej)
(ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyślu,
zesp. 886 syg. 227)



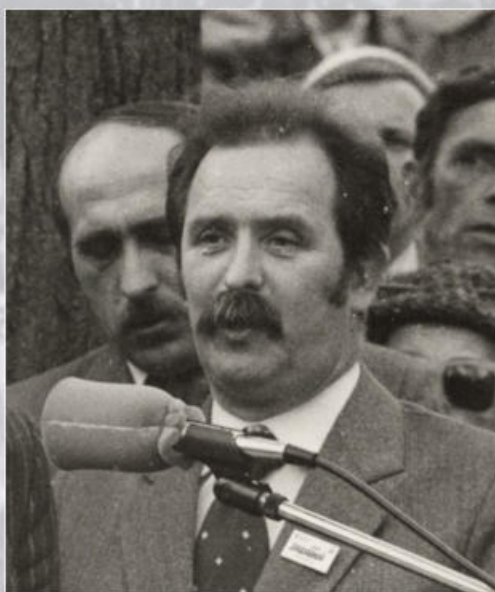
Wit Siwiec
(ze zbiorów
własnych)



Stanisław Sudół (Archiwum Państwowe P-śl,
zesp. 886 syg. 227)



Stanisław Kusiński
(zdj. Encyklopedia
"S" IPN)



Czesław Kijanka (zdj. ze zbiorów IPN O/Rzeszów)



Andrzej Kucharski (zdj. ze zbiorów IPN)

Przedstawiciele 24 zakładów pracy, zgłaszających akces przynależności do Komitetu Założycielskiego NSZZ "Solidarność" 7 X 1980 r.:

- Czesław Kijanka - Państwowy Ośrodek Maszynowy w Birczy
- Janusz Musz - ZWP „Sanwil” w Przemyślu
- Stanisław Baran - Lokomotywnia Żurawica
- Krzysztof Prokop - ZPA „Ponar – Plasomat” „Fanina” Przemyśl
- Włodzimierz Dudkiewicz - Zakłady Płyt Pilśniowych Przemyśl
- Kazimierz Bucior - Oddz. Spółdzielni Transportu Wiejskiego w Przemyślu
- Janusz Klisko - Karpackie Zakłady Gazownictwa Jarosław
- Zygmunt Majgier - Przemyska Spółdzielnia Mieszkaniowa w Przemyślu
- Zygmunt Pyś - Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne w Przemyślu
- Maria Pitach - Jarosławskie Zakłady Meblarskie
- Jadwiga Rusinowska - PKP DRS Żurawica
- Jerzy Jasina - Zakład Mleczarski Przemyśl
- Mieczysław Kramarz - Państwowa Komunikacja Samochodowa Przemyśl
- Tadeusz Wroński - Zakład Remontowo - Montażowy Jarosław
- Edward Zając - Spółdzielnia Inwalidów Niewidomych „Start” w Przemyślu
- Kazimierz Ziobro - Huta Szkła „Jarosław”
- Adam Szybiak - Cech Rzemiosł Różnych w Przemyślu
- Bogdan Dąbrowski - PKP Stacja Żurawica
- Adam Siwiec - Państwowy Ośrodek Maszynowy Przemyśl
- Eugeniusz Opacki - Dyrekcja Rejonowa Kolei Państwowych Przemyśl
- Andrzej Kucharski - Zakłady Automatyki „Mera – Polna” Przemyśl
- Henryk Rawicz - Woj. Dyr. Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich Przemyśl
- Wojciech Łukaszek - „PAX” Przemyśl
- Janusz Horodyłowski - Zakłady Dziewiarsko - Odzieżowe „Bistor” Przemyśl.

I Msza św. w intencji "Solidarności"

16 XI 1980 r. w przemyskiej katedrze odbyła się pierwsza msza święta w intencji **Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ "Solidarność"**, koncelebrowana przez ks. biskupa Ignacego Tokarczuka. Uroczystość odbyła się z udziałem Prezydium Komitetu oraz przedstawicieli komisji zakładowych.

Od prawej: Wit Siwiec, Stanisław Baran, Stanisław Sudol, Eugeniusz Opacki, Czesław Kijanka, Andrzej Kucharski, Stanisław Diabin. Bazylika katedralna w Przemyślu, 16 XI 1980 r. (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyślu, zesp. 886 syg. 227)



Msza święta w intencji MKZ NSZZ "Solidarność", koncelebrowana przez ks. bpa Ignacego Tokarczuka, 16 XI 1980 r. (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyślu, zesp. 886 syg. 227)



Bazylika katedralna w Przemyślu, 16 XI 1980 r., m.in. Czesław Kijanka, Eugeniusz Opacki (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyślu syg. zesp. 886 syg. 227)

Podczas mszy świętej, w intencji MKZ NSZZ "Solidarność", uroczystie poświęcono krzyże dla komisji zakładowych



Zdjęcie powyżej i dwa z lewej: uczestnicy mszy św. i uroczystości poświęcenia krzyży, Bazylika katedralna w Przemyślu, 16 XI 1980 r. (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyślu, zesp. 886 syg. 227)

Manifestacja 3.05.1981 r.

3 V 1981 roku na przemyskim Wzgórzu Zamkowym odbyła się manifestacja zorganizowana przez NSZZ „Solidarność” z okazji 190-tej rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Wydarzenie poprzedziła msza święta w Bazylice katedralnej, koncelebrowana przez ks. biskupa Ignacego Tokarczuka. Z kościoła, ludność przeszła uroczystym pochodem, ulicą Zamkową, pod pomnik poświęcony Twórcom Konstytucji 3 Maja. Zgromadzony tłum, na miejscu odśpiewał m.in. Hymn Polski; wygłoszono także okolicznościowe przemówienia. Głos zabrali: Czesław Kijanka, Adam Szostkiewicz, Eugeniusz Opacki i Stanisław Baran.



Tłumy wiernych na Placu Katedralnym podczas mszy świętej, 3 V 1981 r. (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyślu, zesp. 886 syg. 52)



Od prawej: Eugeniusz Opacki, Stanisław Baran, Czesław Kijanka, Janusz Młynarski (za Cz. Kijanką), Adam Szostkiewicz; Wzgórze Zamkowe, 3 V 1981 r., (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyślu, zesp. 886 syg. 227)



Uczestnicy manifestacji, Wzgórze Zamkowe, 3 V 1981 r., (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyślu, zesp. 886 syg. 52)



Uczestnicy manifestacji, Wzgórze Zamkowe, 3 V 1981 r. (ze zbiorów AP w Przemyślu, zesp. 886 syg. 227)

W 1951 r. władze komunistyczne zakazały czcić pamięć uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Przełomem okazało się, powstanie NSZZ „Solidarność”, dzięki której, 3 maja 1981 r. odbyły się obchody 190-tej rocznicy uchwalenia Konstytucji. Po wprowadzeniu stanu wojennego, przez kilka następnych lat, opozycja ponownie organizowała niezależne obchody. Jednak oficjalnie święto wróciło do kalendarza dopiero po 1989 r., a w 1990 r. Sejm ustanowił dzień 3 maja Świętem Narodowym.

Poświęcenie Sztandaru "S", 1981 r.

Sztandar NSZZ "Solidarność" Region Południowo-Wschodni Przemysł, został wykonany w 1981 roku przez Zgromadzenie Sióstr Felicjanek w Przemysłu. Uroczyste poświęcenie odbyło się **22 XI 1981 r.** w Bazylice katedralnej, przez ks. biskupa Tadeusza Błazkiewicza. Uroczystości towarzyszące miały miejsce na Kamiennym Moście przy siedzibie Zarządu. Od 13 XII 1981 r. (wprowadzenie stanu wojennego), Sztandar był ukrywany przez państwa Annę i Stanisława Sęków z Przemysłu. W listopadzie 1981 r. odbyło się poświęcenie Sztandarów MKZ NSZZ "Solidarność" w Jarosławiu i Lubaczowie.



Sztandar NSZZ "Solidarność" Region Południowo-Wschodni Przemysł, (ze zbiorów NSZZ "Solidarność" Ziemia Przemyska)



Uroczystości poświęcenia Sztandaru NSZZ "Solidarność", w Katedrze przemyskiej, 22 XI 1981 r., (zdjęcia z prawej i lewej ze zbiorów Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej)



W poczcie sztandarowej od lewej: Eugeniusz Opacki, N.N., Adam Kantor, 22 XI 1981 r. (ze zbiorów MNZP)



Msza św. koncelebrowana przez ks. bpa T. Błazkiewicza, 22 XI 1981 r., (ze zbiorów MNZP)

13 kwietnia 1989 r. podczas comiesięcznej mszy św. za Ojczyznę, w kościele Świętej Trójcy w Przemysłu nastąpiło uroczyste przekazanie sztandaru Regionu Południowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność” na ręce przewodniczącego RKW NSZZ „Solidarność” Marka Kamińskiego



Poczty sztandarowe, 22 XI 1981 r., (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemysłu, zesp. 886 syg. 227)



Uroczystości towarzyszące poświęceniu Sztandaru, Kamienny Most, 22 XI 1981 r., (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemysłu, zesp. 886 syg. 227, 2 zdjęcia)



I Walne Zebranie Delegatów "S", 1981 r.

17 VII 1981 r. w auli I LO w Przemyślu rozpoczęło się **I Walne Zebranie Delegatów NSZZ "Solidarność"** województwa przemyskiego, które miało na celu wyłonienie władz związkowych i ustanowienie założeń programowych związku. W zebraniu wzięło udział 139 uczestników. W pierwszym głosowaniu zaakceptowano propozycję utworzenia Regionu w granicach województwa, następnie przyjęto nazwę **Region Południowo-Wschodni** z siedzibą w Przemyślu. W trakcie obrad doszło do rozłamu między delegatami Przemyśla i Jarosławia, którego przyczyną był podział mandatów. Bez udziału delegatów z Jarosławia, podczas II tury, 24 VII, wyłoniono Zarząd Regionu Południowo-Wschodniego oraz wybrano czterech delegatów na Zjazd Krajowy.



Uczestnicy I WZD NSZZ "Solidarność", Przemyśl, lipiec 1981 r. (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyślu, zesp. 886 syg. 227)



Głosowanie podczas pierwszej tury I WZD woj. przemyskiego w auli I LO w Przemyślu; 17 VII 1981 r. Od lewej: Anna Maria Ojak, N.N. (z urną), Roman Zeman, Wacław Zeman, Adam Słomiany, Ryszard Buksa, N.N., Adam Kantor. Od lewej - tyłem: N.N., Krystyna Gładysz (tyłem), N.N.; (fot. Jacek Szwic, ze zbiorów AP w Przemyślu, zesp. 886 syg. 227)

Zasięg regionalnych struktur NSZZ „Solidarność” w Polsce południowo-wschodniej w latach 1980-1981. Linia czarna przerywana - granica regionu NSZZ „Solidarność”, nie pokrywająca się z granicami województwa (linia czerwona)
Wykonał: Karol Czechowicz
(IPN O/Rzeszów)



Solidarność

zebranie delegatów
przemyskiego



Obrady podczas I WZD NSZZ "Solidarność", Przemyśl, 17 lipca 1981 r. Od lewej: Roman Pomykalski, Kazimierz Studnicki, Waldemar Wiglus, N.N., Jerzy Miśkiewicz, Krzysztof Prokop, N.N., Czesław Kijanka, N.N., Ziemowit Ojak, Krystyna Osińska; (fot. Jacek Szwic, ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyślu, zesp. 886 syg. 227)



Obrady podczas I WZD NSZZ "Solidarność"; Przemyśl, lipiec 1981 r. Pierwszy z prawej Wojciech Kłyż (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyślu, zesp. 886 syg. 227)

Zarząd Regionu, 1981 r.

Zarząd Regionu Południowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność” wybrany podczas I Walnego Zebrania Delegatów w lipcu 1981 roku:



Czesław Kijanka
(zbiory Archiwum
Państwowego
w Przemyślu,
zesp. 886 syg. 227)



Marek Kamiński
(zb. IPN O/Rzeszów)



Ryszard Buksa
(zdj. Encyklopedia
Solidarności IPN)



Adam Majgier
(zbiory własne)

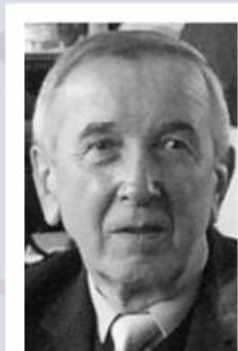


Waldemar Wigłusz
(zbiory własne)

1. Czesław Kijanka- przewodniczący
2. Henryk Baranowski
3. Ryszard Bukowski
4. Ryszard Buksa
5. Jerzy Czekalski
6. Andrzej Dolata
7. Zbigniew Duchniak
8. Krystyna Gładysz
9. Ryszard Głowacki
10. Marek Kamiński
11. Adam Kantor
12. Stanisław Kapuśniak
13. Wojciech Kłyż
14. Zbigniew Łuszczyszyn
15. Adam Majgier
16. Andrzej Makiel
17. Krystyna Osińska
18. Roman Pomykański
19. Krzysztof Prokop
20. Marek Pudliński
21. Zygmunt Pyś
22. Adam Słomiany
23. Adam Szostkiewicz
24. Waldemar Wigłusz



Andrzej Makiel (zdj. zb. IPN)



Krzysztof Prokop (zbiory NSZZ
"S" Region Ziemia Przemyska)



Wojciech Kłyż
(zdj. Encyklopedia
Solidarności IPN)



Marek Pudliński
(zdj. Encyklopedia
Solidarności IPN)



Adam
Szostkiewicz
(zb. AP w P-ślu,
zesp. 886 syg. 227)



Adam Kantor
(zbiory Andrzeja
Wyczawskiego)



Jerzy Czekalski
(zbiory własne)

Solidarność Rolników



W 1980 r., na fali "Solidarności", powstały załóżki struktur niezależnego związku rolników. Przełomowym momentem walki chłopów o podstawowe prawa polskiej wsi były strajki w Rzeszowie i Ustrzykach Dolnych na przełomie 1980 i 1981 r. Strajkującym udało się doprowadzić do podpisania 18 i 20 II 1981 r. tzw. porozumień rzeszowsko-ustrzyckich. Ukoronowaniem konsolidacji środowisk chłopskich było zarejestrowanie 12 V 1981 r. NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych.



Przed budynkiem WRZZ w Rzeszowie w czasie strajku rolników; luty 1981, fot. Janusz Witowicz (zdj. z broszury IPN "Tu rodziła się Solidarność Rolników")

STARAJKOWE ŚLUBOWANIE

Korzymy się przed Tobą Jasnogórska Pani
My Polscy ludzie pracy i Polscy rolnicy
Tobie od dawna w opiekę oddani
Strudzeni pracą udręką z troskami
U stóp Królowej Bogurodzicy
Chłop był potęgą Twoich dróg nie minął
Tobie polecał swe troski
Pod Twym sztandarem zwyciężał lub ginał
Pod Warną, Wiedniem, pod Monte Casino
Za wolność Kościoła jak i Polski
Chłop jest potęgą i zawsze nią będzie
Wierny swej Królowej Marji
Przyszliśmy Twoje wysłuchać orędzie
Pod Twym sztandarem stanąć w pierwszym rzędzie
Z rengrafem Twym na szyi.
Jak praojcowie i ojcowie nasi
Pałali wielką miłością ku Tobie
Tak my również pałamy i młodszy i starsi
I żadna ludzka siła w nas tego nie zgasi
Póki nie złożą nas w grobie.
Król Polski Jan Kazimierz złożył Ci koronę
Oddając Polskę Tobie a nie złemu światu
I my Ci też składamy serca strapione
I serca naszych dzieci pod Twą obronę
Błagając Mario – ratuj!

U góry, z lewej:
fragment
"Strajkowego
ślubowania",
spisanego w nocy 5/6
I 1981, podczas
strajku
okupacyjnego w
WRZZ w Rzeszowie,
aut. Władysław
Szypuła - rolnik,
poeta i działacz
niezależnego ruchu
ludowego
(ze zbiorów Danuty
Waszczak)



Ks. bp. T. Błaszkiewicz w bryczce i asyście rolników, 7 VI 1981 r. (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyślu zesp. 886 s. 227)



Tabliczka na krzyżu, upamiętniającym powstanie "S" RI, w tle: poświęcenie krzyża (zb. AP w P-ślu, zesp. 886 s. 227)

Czołowymi uczestnikami strajków i wydarzeń "Solidarności" RI byli: Jan Kułaj, póź. przew. Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego „S” RI oraz Jan Karuś, póź. przew. Zarządu Regionu Związku Zawodowego „S” RI w województwie przemyskim.



Jan Karuś, podczas mszy polowej, 7 VI 1981 r., Chłopice (ze zb. Parafii w Chłopicach, <https://chlopice.przemyska.pl/>)

7 VI 1981 r., w Chłopicach, w Zesłanie Ducha Św., odbyła się msza polowa w intencji powstającej "Solidarności" Rolników Indywidualnych. Uroczystość była także Świętem Ludowym i uczczeniem 190. rocznicy Konstytucji 3-go Maja. Upamiętnieniem tego wydarzenia było postawienie i poświęcenie "Krzyża Solidarności".



Ks. bp. T. Błaszkiewicz, wspierający "Solidarność" RI, podczas mszy św. w jej intencji (ze zb. AP w Przemyślu, zesp. 886 syg. 227)

NSZZ RI
Solidarność

Z prawej: organizator duszpasterstwa rolników w Krasiczynie, ks. proboszcz Stanisław Bartmiński (fot. Wikipedia/CC BY-SA 3.0/Tomasz Bienias)



Jan Karuś (zdj. Encyklopedia
Solidarności IPN)



Henryk Czastka (zdj.
Encyklop. Solidarności IPN)



Jarosław Śliwiński (zdj.
Encyklop. Solidarności IPN)



Kościół pw. św. Marcina w Krasiczynie
(<https://commons.wikimedia.org>, Taichman-praca własna)



Marek Kuchciński (zdj.
Encyklop. Solidarności IPN)



Augustyn Czubocha (zdj.
Encyklop. Solidarności IPN)



Izydor Miara (fot. Marek Kuchciński)

Jednym z wykładowców uniwersytetu był Jan Musiał, późniejszy senator wybrany w wyborach 89' (ze zbiorów J. Musiała). Wykłady prowadzili także Jan Draus i Tadeusz Ulma)

[illegible]

Apostolstwo zorganizowanych grup zawodowych
(problematyka duszpasterstw chłopskich)
konwersatorium II wg projektu Jana Musiała (ze
zbiorów autora)

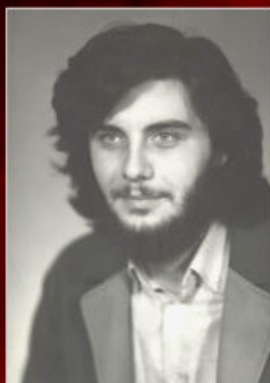
Internowania - Uherce

Naród Zwycięży

O północy z 12 na 13 grudnia 1981 r., Milicja Obywatelska i Służba Bezpieczeństwa rozpoczęły masowe zatrzymania działaczy NSZZ „Solidarność” oraz innych środowisk opozycyjnych. Wiele opozycjonistów z Przemyśla, Przeworska, Jarosławia i Lubaczowa trafiło do Ośrodka Odosobnienia w Uhercach (Nowa Wieś). Wśród osadzonych tam działaczy, znaleźli się między innymi: Henryk Cząstka, Andrzej Wyczawski, Waldemar Mikołowicz, Jan Karuś, Wit Siwiec, Jerzy Czekalski, Stanisław Kusiński.



Waldemar Mikołowicz - m.in. współorganizator i członek Zarządu MKZ NSZZ „Solidarność” w Jarosławiu (zbiory IPN O/Rzeszów)



Andrzej Wyczawski - działacz NSZZ „Solidarność” w Zakładach „San” w Jarosławiu, 1982 r. (ze zbiorów A. Wyczawskiego)

Z lewej: transparent „Naród Zwycięży” w oknie Ośrodka w Uhercach



Powyżej: internowani przed pawilonem Zakładu Karnego w Uhercach w czasie protestu. Poniżej: pacyfikacja protestu internowanych, 19 kwietnia 1982 r. (zbiory IPN O/Rzeszów)



DECYZJA NR 57/81
o internowaniu

Uwaga, że postawienie na wolności obywatela
nazwisko i imię WYCZAWSKI Andrzej
imięna rodziców Wacław, Aleksandra i J. Ciemie
data i miejsce urodzenia 05.10.1959 r., Jarosław
stan (sąjcie) i miejsce pracy
miejscie zamieszkania Jarosław ul. 11 Armii LWP 7/7
sugratyby bezpieczeństwa Państwa i porządku publicznego prosz to, że
nawizyt do niepokojów społecznych

na zasadzie art. 42 dekretu z dnia 12.12.1981 r. o ochronie bezpieczeństwa
Państwa i porządku publicznego w czasie obowiązywania stanu wojennego

postanowiła się:

- internować ob. WYCZAWSKI Andrzej
- umieścić go w ośrodku odosobnienia w Nowej Wi
- wykonanie decyzji skier. Grupie Dłedziej KMO w Przemyśle

KOMENDANT WOJEWÓDZKI MO

Decyzja o internowaniu Andrzeja Wyczawskiego, odebrana 22 grudnia 1981 roku (ze zbiorów A. Wyczawskiego)



Pocztą obozową
(ze zbiorów Zygmunta Kozickiego)



Ks. bp. T. Błaszkiewicz i ks. S. Czenczek
(ze zbiorów Archiwum Państwowego
w Przemyśle, zesp. 886 syg. 52)

Internowani byli kilkakrotnie odwiedzani przez ks.bpa Tadeusza Błaszkiewicza, ks. Stanisława Czenczka i innych kapłanów, którzy świadczyli wielkie wsparcie, nie tylko poprzez posługę duchową, ale organizując i dostarczając paczki żywnościowe, korespondencję od rodzin, a także przewożąc grypsy od uwięzionych.

Tymczasowa Komisja Regionalna

Pod koniec grudnia 1981 roku powstał tajny Zarząd Regionu Południowo-Wschodniego w składzie: Ryszard Bukowski, Marek Kamiński, Zygmunt Majgier, Stanisław Trybalski, Jan Zrajko i Stanisław Żółkiewicz. Od wiosny, konspiracyjny Zarząd Regionu używał nazwy **Tymczasowa Komisja Regionalna**. TKR nie miała formalnego przewodniczącego, decyzje podejmowano kolegiąlnie, a liderami byli Stanisław Żółkiewicz i Marek Kamiński.



Marek Kamiński (ze zbiorów Jana Jarosza)



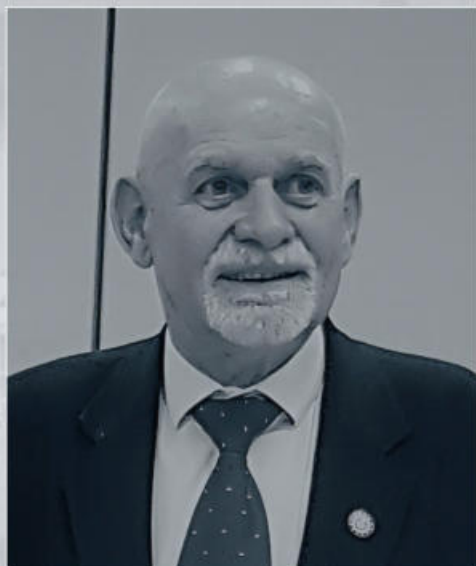
Stanisław Żółkiewicz (ze zbiorów IPN O/Rzeszów)



Zygmunt Majgier (ze zbiorów M. Kamińskiego)

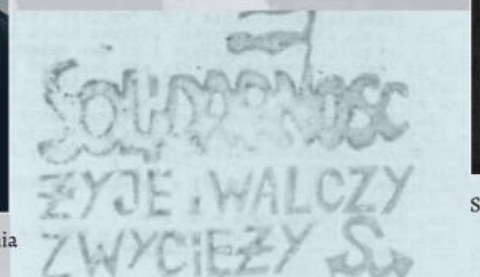
ZADANIA CZŁONKÓW TKR:

- Stanisław Żółkiewicz** - opracowywanie strategii działań
- Marek Kamiński** - propaganda i poligrafia
- Zygmunt Majgier** - kontakty z tajnymi KZ i kolportaż
- Ryszard Bukowski** - pomoc dla represjonowanych
- Jan Zrajko** - organizacja zbiórek wśród rzemieślników
- Stanisław Trybalski** - transport i opracowanie taktyki działań



Jan Zrajko (zdjęcie ze strony Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków)

TKR o swoim powstaniu i formach działalności poinformowała ks. bp. Ignacego Tokarczuka. Ordynariusz przemyski uznał TKR za Zarząd Regionu w konspiracji, obiecał pomoc Kościoła i wyznaczył ks. prałata Stanisława Krzywińskiego jako swojego przedstawiciela.

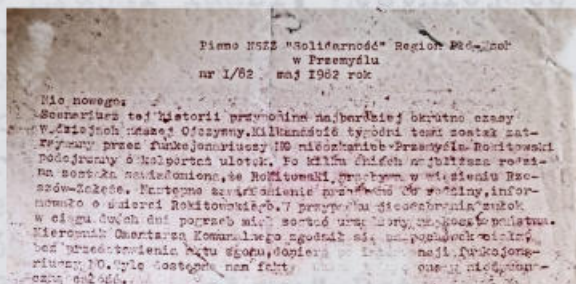


Stanisław Trybalski (ze zbiorów M. Kamińskiego)

Regionalna Komisja Wykonawcza 1982-88

Po zawieszeniu stanu wojennego w działalności konspiracyjnej pozostali Marek Kamiński, Zygmunt Majgier, Stanisław Trybalski i Stanisław Żółkiewicz; dołączyli Jan Musiał, Stanisław Baran i Ryszard Buksa. TKR zmieniła nazwę na **Regionalną Komisję Wykonawczą Regionu Południowo-Wschodniego**.

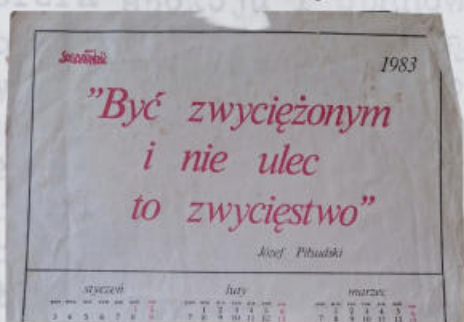
RKW kontynuowała model działalności podziemnej wypracowany przez TKR. Wspólnie z OKOR i Wydawnictwem CDN prowadziła działalność wydawniczą, wydawała m.in. podziemne pismo „Busola”. Dzięki kolejarzom przetrzymywano literaturę religijną i związkową do ZSRR. Starano się tworzyć struktury „S” w konspiracji i szkolić kadry, co realizowano m.in. przez działalność Duszpasterstw Ludzi Pracy. Gospodarką finansami podziemnego Zarządu Regionu i przechowywaniem pieniędzy zajmował się ks. Stanisław Czenczek.



RKW wydawała
pisma
podziemne,
m.in. "NIE" i "Busołę"



(ze zbiorów M. Kamińskiego)



Wiosną 1984 r. RKW nawiązało współpracę z "Solidarnością" jarosławską: Waldemarem Mikołowiczem i Andrzejem Wyczawskim, a także z "Solidarnością" RI: Janem Karusiem, Henrykiem Cząstką i Markiem Kuchcińskim. Przy pomocy Marka Kuchcińskiego, z przemyskiego Podzamcza, nadano audycję **Radia "Solidarność"**, w której nawoływano m.in. do zbojkotowania komunistycznych wyborów.

Działalność podziemna łączyła się z represjami ze strony UB, MO i władz. Zygmunt Majgier, Marek Kamiński, Stanisław Żółkiewicz i Marek Kuchciński byli inwigilowani, zatrzymywani na 48 godzin i poddawani innym represjom (brak awansu, zwolnienia z pracy). We wrześniu 1985 r. Kamiński i Kuchciński zostają aresztowani, z zarzutami m.in. posiadania ulotek, szerzenia zamętu i rozpowszechniania nieprawdziwych informacji. Kuchciński zostaje zwolniony w wyniku amnestii, w listopadzie 1985 r.; Kamiński wychodzi na wolność warunkowo, za poręczeniem zakładu pracy, w grudniu tego samego roku.



Spotkanie RKW z przedstawicielami włoskich związków zawodowych. Trzeci z lewej Marek Kamiński, obok Stanisław Żółkiewicz. Rzeszów 1988r. (ze zbiorów Marka Kamińskiego)

Jesienią 1988 r. Marek Kamiński razem z Zygmuntem Majgierem ujawniają działalność "Solidarności".

Oficjalnie wydają „Uchwałę nr 1” o reaktywacji Związku i udają się do wojewody Wojciechowskiego. Głównym celem staje reaktywacja i rejestracja Komisji Zakładowych oraz doprowadzenie do formalnych wyborów władz Regionu NSZZ „Solidarność”.

Manifestacja 31.08.1982 r.

Największą uliczną manifestację, przemyska podziemna „Solidarność” zorganizowała **31 VIII 1982 r.** pod dawną siedzibą Zarządu Regionu Południowo-Wschodniego przy ul. Kamienny Most w Przemyślu.

Na kilka dni przed rocznicą podpisania porozumień gdańskich, w mieście pojawiły się ulotki nawołujące do przyjścia zwartymi grupami z zakładów pracy, pod siedzibę Zarządu Regionu.



Kamienny Most, Przemyśl, 31.08.1982 r.,
fot. Mirosław Bar (IPN O/Rzeszów)



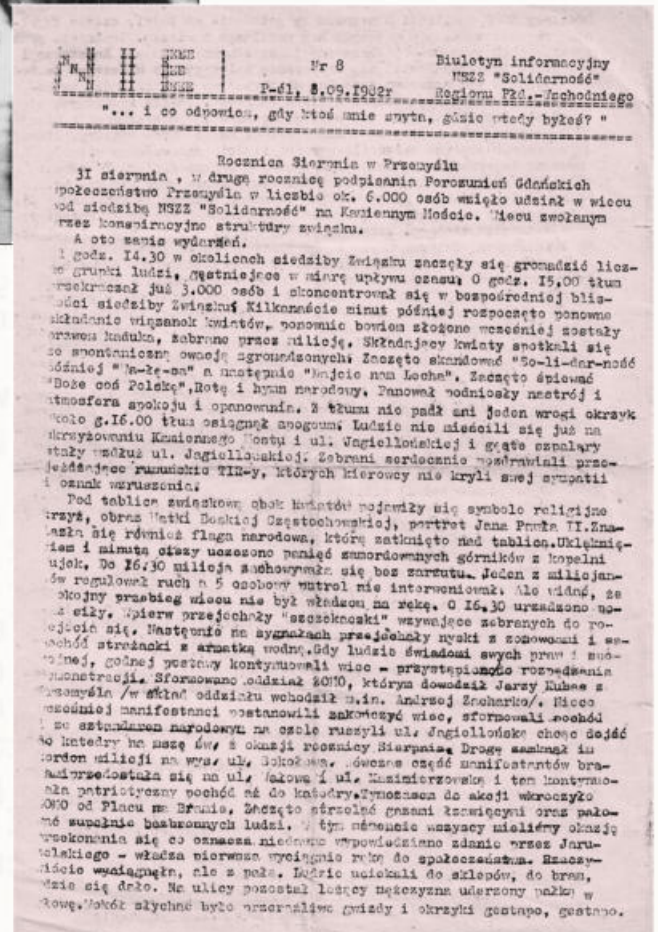
Kamienny Most, Przemyśl, 31.08.1982 r., fot. Mirosław Bar (IPN O/Rzeszów)

ZOMO użyło gazów łzawiących i pałek, aby rozproszyć tłum zgromadzony w rejonie Kamiennego Mostu. Manifestanci obrzucili milicjantów kamieniami.



Oddział milicji (zbiory Marka Kamińskiego)

Tytułowa strona pisma „Nie” wydawanego przez podziemną „Solidarność”. Nr 8 z 8 września 1982 r. zawierał artykuł o stłumieniu manifestacji (zbiory Marka Kamińskiego)

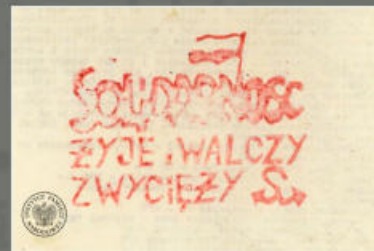
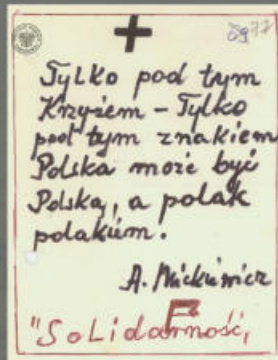


"Busola"
(ze zbiorów
Iana Musiała)

Druki ulotne i kolportaż

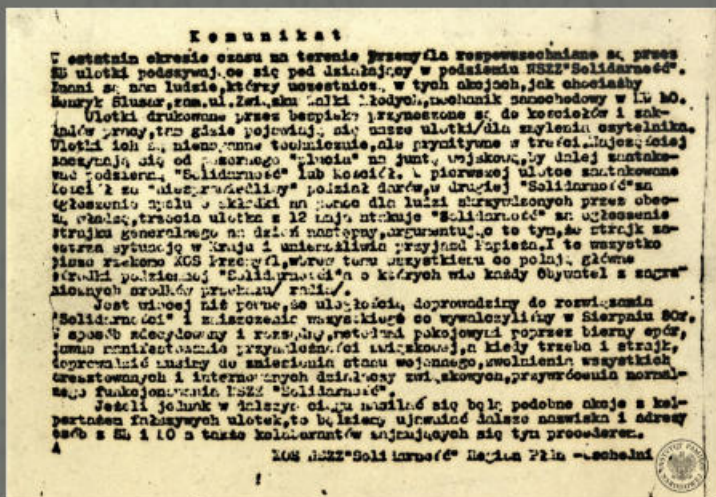
Jednym ze sposobów komunikowania swoich poglądów przez podziemną "Solidarność" był druk i kolportaż ulotek podziemnych. Komentowano w nich sytuację polityczną i bieżące wydarzenia, namawiano do podejmowania lub zarzucania konkretnych działań, informowano o swojej działalności lub o posunięciach władz. Regionalna Komisja Wykonawcza posiadała dwa duże lokale powielaczowe i drukarnię, skąd wychodziły ulotki, odezwy, gazetki - w tym "Nie" i "Busola".

Za druk i kolportaż groziły poważne represje i areszt.

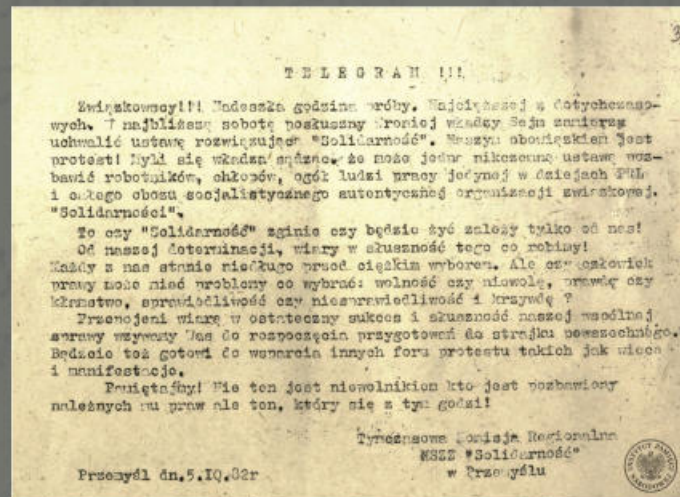


Druki ulotne, Jarosław 1983 r. (IPN O/Rzeszów)

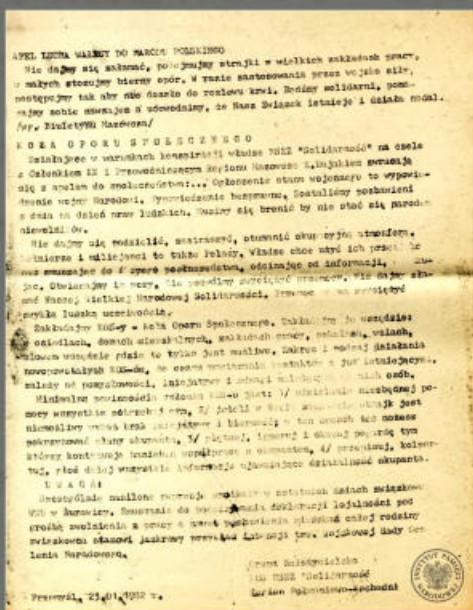
"Solidarność"



Komunikat KOS NSZZ "Solidarność" z ostrzeżeniem o fałszywych ulotkach rozprowadzanych przez bezpiekę (IPN O/Rzeszów)



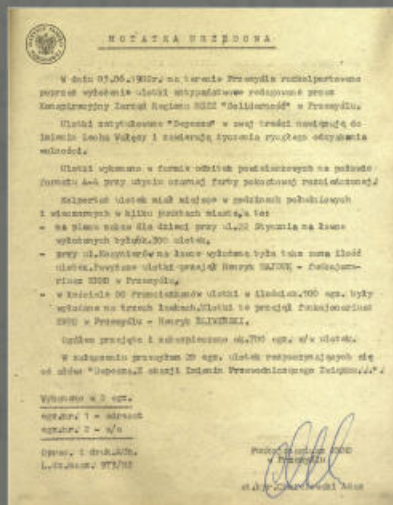
Ulotka "Telegram" nawołująca do strajku powszechnego, wsparcia wieców i manifestacji (IPN O/Rzeszów)



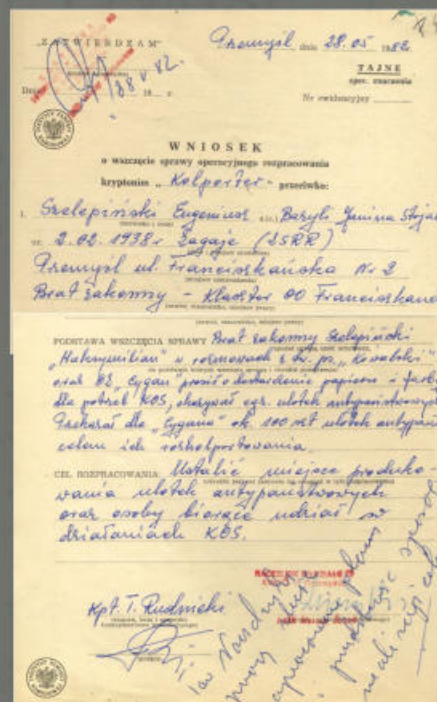
Apel Lecha Wałęsy dotyczący "Kół Oporu Społecznego" (IPN O/Rzeszów)

"Solidarność"

Notatka urzędowa KWMO dotycząca przejęcia ulotek rozłożonych na terenie Przemysła (IPN O/Rzeszów)



W druk i kolportaż podziemnych ulotek był zaangażowany m.in. przemyski franciszkanin, brat Maksymilian (Eugeniusz Szelepiński), który otrzymywał zlecenia od Stanisława Żółkiewicza, członka RKW



Wniosek KW MO o wszczęcie sprawy rozpracowania brata Maksymiliana, pod kryptonimem "Kolporter" (IPN O/Rzeszów)

KRAJOWA
 PRACOWNIA REKONSTRUKCJI
 W DOKUMENTACH
 WŁ. J. KRAJOWA W W. 10
 50-002, Warszawa.
 Licencja nr 100/100

Sygn. akt _____
 Pg. SL. 74/82

Umorzono
 AKTA
 DO ARCHIWUM
 10.12.1982

sprawie: cygi: Mieczysław ROKITONSKI i Rodzina
o przebiegu i sad. 68 ust. 1. w zw. z art. 68
ust. 2. Kodeksu i dnia 22.12.1981. o zmianie
ustaw

15.490 / 397
 Kategoria H-25

Rozprawy: 23.03.1982
 Zakazanie: 0.04.1982.
 Kart. 55

Sygn. akt _____
 1PN-Rx-287/83

INSTYTUT PAŃSTWOWY
 REKONSTRUKCJI

[illegible][illegible][illegible]

Notatka urzędowa
dotycząca
przeszukania
M. Rokitowskiego
(IPN O/Rzeszów)

Duchowi przewodnicy "Solidarności"

"Solidarność to jeden i drugi. Nigdy jeden przeciw drugiemu" – Jan Paweł II

"Solidarność" czerpała siłę nie tylko z odważnych działań ludzi opozycji ale także z niezłomnej postawy Kościoła i jego największych autorytetów: Ojca Świętego Jana Pawła II, prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego, ks. Jerzego Popiełuszki i ks. bp. Ignacego Tokarczuka.



Największym autorytetem duchowym tamtych lat był papież Jan Paweł II. Jego nauczanie o wolności, solidarności i godności człowieka dawało nadzieję całemu narodowi. Tłumy działaczy opozycji uczestniczyły w papieskich pielgrzymkach w różnych częściach Polski.

Papież Jan Paweł II przy grobie ks. Jerzego Popiełuszki podczas III pielgrzymki do Polski w 1987 r. (zbiory Marka Kamińskiego)

Ks. biskup Ignacy Tokarczuk, ordynariusz diecezji przemyskiej (1965–1993), był niekwestionowanym duchowym przywódcą regionu, nieugiętym obrońcą Kościoła i praw człowieka. Wspierał opozycję demokratyczną, chronił represjonowanych działaczy "Solidarności", a Kościół pod jego przewodnictwem stał się bezpieczną przestrzenią wolności sumienia.



ks. bp. Ignacy Tokarczuk (zbiory Archiwum Państwowego w Przemyśle, zesp. 886 syg. 52)



Prymas kard. Stefan Wyszyński (zdj. domena publiczna)

Nauczanie i postawa prymasa kard. Stefana Wyszyńskiego kształtowała myślenie wielu działaczy „Solidarności” – wspierał jej dążenie do godności i wolności, ale jednocześnie nawoływał do spokoju i unikania przemocy, by chronić Polaków przed represjami i rozlewem krwi.

Motto „zło dobrem zwyciężaj” ks. Jerzego Popiełuszki – kapelana "Solidarności", rozbrzmiewało także w sercach ludzi Podkarpacia. Przemyskie środowiska opozycyjne słuchały jego kazań na kasetach, które rozprowadzał Kościół i działacze podziemia. Po męczeńskiej śmierci księdza w 1984 r., w kościołach diecezji przemyskiej organizowano msze św. i modlitwy w jego intencji.



ks. Jerzy Popiełuszko (zbiory Marka Kamińskiego)

Duszpasterstwo Ludzi Pracy

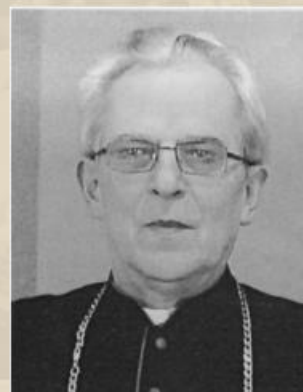
Jedną z form wsparcia "Solidarności" ze strony Kościoła, było utworzenie **Duszpasterstwa Ludzi Pracy**. Duszpasterstwo dawało możliwość organizowania spotkań pracowników z różnych zakładów pracy oraz uczestniczenia w wykładach i szkoleniach. W ramach animowania niezależnej kultury odtwarzano z kaset wideo zagraniczne filmy niedostępne w reżimowej telewizji, 13-go dnia każdego miesiąca, a także w dni patriotycznych rocznic, odprawiane były msze św. za Ojczyznę. W ramach działalności, organizowano wyjazdy na spotkanie z papieżem Janem Pawłem II, na Jasną Górę lub do grobu ks. Jerzego Popiełuszki, które również stanowiły okazję do spotkań związkowców z całego kraju.



"Solidarność" Ziemi Przemyskiej z transparentem, podczas III pielgrzymki Jana Pawła II do Polski, Tarnów 1987 rok (zbiory Adama Majgiera)



Duszpasterze "Solidarności" - ks. Jan Pępek z lewej (zdj. Kolbuszowskie Korso) i ks. Eugeniusz Dryniak (zdj. wikicommons, CC-BY-SA 3.0)



Opozycjoniści z Przemysła z transparentem "Pan da siłę swojemu ludowi", podczas III pielgrzymki Jana Pawła II do Polski, Tarnów 1987 rok (zbiory Marka Kamińskiego)



"Solidarność" Ziemi Przemyskiej podczas pielgrzymki Jana Pawła II do Polski, Tarnów 1987 r. (zbiory Marka Kamińskiego- pierwszy z prawej)



Ks. bp. Ignacy Tokarczuk podczas spotkania Klubu Inteligencji Katolickiej, współpracującej z Duszpasterstwem "Solidarności" (zbiory Archiwum Państwowego w Przemysku, zesp. 886 syg. 52)



Przedstawiciele przemyskiej „Solidarności” z wieńcem w hołdzie ks. Jerzemu Popiełuszcze. Warszawa, 25 maja 1986 r. Na zdjęciu od prawej działacze opozycji: Zygmunt Majgier, Barbara Kamińska i Stanisław Trybański (zbiory Marka Kamińskiego)

Manifestacje majowe 1988 i 1989 r.

W dniu **1 V 1988 r.** w ramach alternatywnych obchodów „Święta Pracy” ulicami Przemysła przeszła manifestacja „Solidarności”. Pochód sformowano przed kościołem Salezjanów. Niesiono transparent „Wolności dla Solidarności”. W czasie wiecu na placu przed świątynią przemawiał Jan Ekiert, który skrytykował „drugi etap reformy gospodarczej”, potępił politykę rządu Wojciecha Jaruzelskiego oraz wyraził poparcie dla strajkujących hutników. Na wiecu przemawiał również członek Regionalnej Komisji Wykonawczej Zygmunt Majgier. Rok później, odbyła się kolejna manifestacja, która zgromadziła równie duży tłum mieszkańców Przemysła.



Manifestanci pod kościołem Salezjanów, 1 maja 1988 r. Wieniec w kształcie litery "V" niosą: Marek Kamiński, Robert Majka, N.N. (ze zbiorów Jana Jarosza)

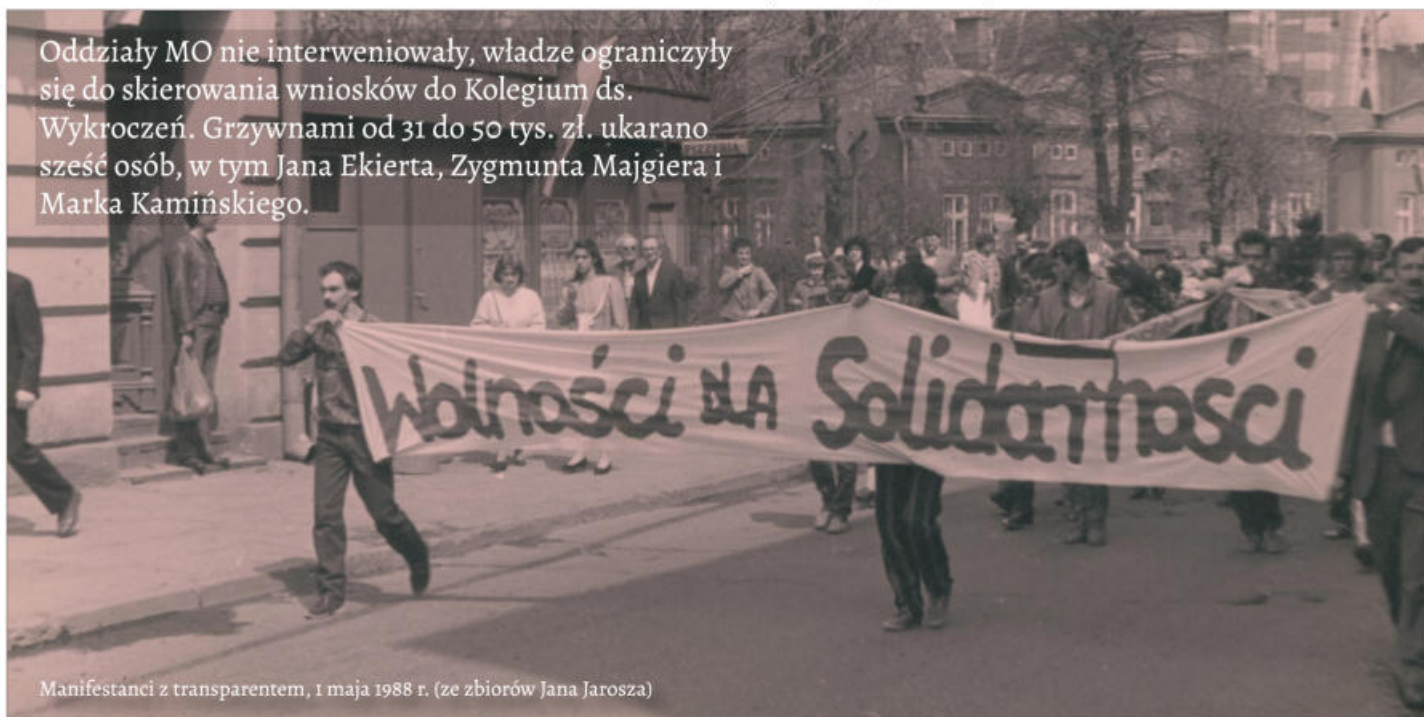


Na placu Kościoła Św. Trójcy, maj 1988 r. (ze zbiorów Jana Jarosza)



Manifestacja majowa 1989 r., uczestnicy pochodu przed Kościołem Św. Trójcy (ze zbiorów Jana Musiała)

Oddziały MO nie interweniowały, władze ograniczyły się do skierowania wniosków do Kolegium ds. Wykroczeń. Grzywnami od 31 do 50 tys. zł. ukarano sześć osób, w tym Jana Ekierta, Zygmunta Majgiera i Marka Kamińskiego.



Manifestanci z transparentem, 1 maja 1988 r. (ze zbiorów Jana Jarosza)

Komitety Obywatelskie - Wybory 89'

Marek Kamiński, przewodniczący Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność” w Przemyślu, został zobowiązany przez Krajową Komisję Wykonawczą, by wspólnie z miejscową „Solidarnością” RI, na czele z Janem Karusiem, powołać Komitet Obywatelski „Solidarność” województwa przemyskiego. Na szefa Komitetu powołano Stanisława Żółkiewicza, następnie Zbigniewa Bortnika. Głównym celem komitetu było przygotowanie i poprowadzenie kampanii wyborczej do Sejmu i Senatu przed częściowo wolnymi wyborami parlamentarnymi.

Kandydatami do Sejmu i Senatu z ramienia KO „S” zostali: Jan Musiał, Tadeusz Trelka, Tadeusz Ulma i Janusz Onyszkiewicz



Spotkanie wyborcze w Jarosławiu. Od lewej: Andrzej Wyczawski, Bronisław Niemkiewicz, Jan Musiał, Tadeusz Ulma, Janusz Onyszkiewicz, Tadeusz Trelka (ze zbiorów Andrzeja Wyczawskiego)



Organizatorzy kampanii wyborczej 1989 r. - sztab przy Pl. Legionów. Od lewej: Renata Staś, Jolanta Żółkiewicz, Waldemar Wiglus, Marek Kuchciński, Jadwiga Janik, Janusz Obląk (ze zbiorów PTK)



Kampania wyborcza 1989. Tablice wyborcze przed kościołem oo. Franciszkanów w Przemyślu (ze zbiorów Jana Jarosza)



4 VI 1989 r., po raz pierwszy w powojennej Polsce odbyły się pierwsze częściowo wolne wybory parlamentarne. Z listy KO „Solidarność” posłami zostali Janusz Onyszkiewicz i Tadeusz Trelka, senatorami Jan Musiał i Tadeusz Ulma. Ogólnopolski sukces Komitetów Obywatelskich „Solidarność” w czerwcowych wyborach był przełomowym momentem w historii Polski i początkiem upadku komunizmu w Europie Środkowo-Wschodniej.



Organizatorzy kampanii wyborczej w województwie przemyskim w 1989 r. W górnym rzędzie od lewej: Mieczysław Mirowski, Helena Chudzio, Edward Opaliński, poseł RP Tadeusz Trelka, Klementyna Pyra, Jan Szot, Edward Banicki, Tadeusz Sopol, Jan Solec, senator RP Tadeusz Ulma, Zbigniew Bortnik, Zygmunt Majgier, Jan Jarosz, Alicja Kuźmiek, Adam Piecuch, poseł RP Janusz Onyszkiewicz, Waldemar Wiglus, Zbigniew Broda, Maria Wojciechowska-Podhalicz, Jan Pisz, Adam Kantor, senator RP Jan Musiał. W dolnym rzędzie od lewej: Klaudiusz Dobrowolski, Tomasz Chomiszczak, Przemysław Chmielewski, Renata Staś, Joanna Pieniążek, Adrian Klarenbach, Janusz Obląk, Andrzej Koperski (fot. Jacek Szewc, zbiory PTK)



Podsumowanie kampanii wyborczej na rynku w Przemyślu, 4 VI 1989 r., od lewej: poseł Janusz Onyszkiewicz, senatorowie Tadeusz Ulma i Jan Musiał, Marek Kuchciński - rzecznik KO, Andrzej Koperski - członek KO (ze zbiorów J. Jarosza)

II Walny Zjazd Delegatów, 1990 r.

Po wyborach 1989 roku i powołaniu pierwszego niekomunistycznego rządu Tadeusza Mazowieckiego, NSZZ „Solidarność” zaczęła odbudowywać demokratyczne struktury regionalne. W regionach całej Polski odbywały się walne zjazdy delegatów, które miały na celu wyłonienie nowych władz związku oraz delegatów na II Krajowy Zjazd NSZZ „Solidarność” w Gdańsku.

27 I 1990 r. w sali widowiskowej Zakładów Płyt Piłśniowych w Przemyśle odbył się **II Walny Zjazd Delegatów**, na który przybyło 189 uczestników z 226 uprawnionych.



Obrady podczas II Walnego Zjazdu Delegatów. Wśród uczestników m.in.: Dorota Mech, Jadwiga Janik, Marek Zazula, Adam Łoziński, Kazimierz Żurawski, Ziemowit Ojak, Ryszard Buksa, Adam Kantor, Jan Kowal, Wiesław Bek, Jan Pisz. Przemyśl, 27 I 1990 r. (ze zbiorów Adama Łozińskiego)

Poniżej: uczestnicy II WZD NSZZ „Solidarność”. Wśród delegatów m.in.: Adam Łoziński, Krzysztof Kłak, Franciszek Łuc, Marek Kamiński, Andrzej Wyczawski, Zdzisław Chwasta, Adam Kantor, Ryszard Buksa, Stanisław Baran, Józef Miciak; Przemyśl, 27 I 1990 r. (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyśle, zesp. 2264 syg. 46)

SOLIDARNOŚĆ



Uczestnicy II WZD (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyśle, zesp. 2264 syg. 46)



Podczas przemyskiego Zjazdu, zmieniono nazwę na **Region Ziemia Przemyska** oraz wybrano Zarząd Regionu: przewodniczącego Marka Kamińskiego, wiceprzewodniczących: Józefa Miciaka i Franciszka Łuca, wybrano także czterech delegatów na **II Krajowy Zjazd w Gdańsku**: Adama Kantora, Andrzeja Wyczawskiego, Stanisława Barana i Zdzisława Chwastę.



Przedstawiciele Regionu Przemyskiego na II Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” (od lewej: Adam Kantor, Andrzej Wyczawski, Stanisław Baran, Zdzisław Chwasta), Gdańsk- Oliwa, 19-25 IV 1990 roku (ze zbiorów Andrzeja Wyczawskiego)



Od lewej: Zdzisław Chwasta, Andrzej Wyczawski podczas obrad II Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”, Gdańsk- Oliwa, 19-25 IV 1990 roku (ze zbiorów Andrzeja Wyczawskiego)

"Solidarność" o Nich nie zapomni

"Solidarność" w województwie przemyskim mogła funkcjonować dzięki tym niezłomnym kapłanom - ks. bp. Ignacemu Tokarczukowi, ks. bp. Tadeuszowi Błazkiewiczowi, ks. bp. Edwardowi Frankowskiemu, ks. Stanisławowi Krzywińskiemu, ks. Stanisławowi Zarychowi, ks. Stanisławowi Czenczkowi, ks. Janowi Pępkowi, ks. Kazimierzowi Kaczorowi, ks. Eugeniuszowi Dryniakowi, ks. Marianowi Rajchelowi, ks. Władysławowi Drewniakowi.



ks. bp. Tadeusz Błazkiewicz
(zdj. Archiwum P. w P-ślu)



ks. bp. Edward Frankowski
fot. Jarosław Kruk (Jrkruk)



Arcybiskup Ignacy Tokarczuk
(1918-2012)



ks. Stanisław Krzywiński
(zdj. Encykl. Solidarności IPN)



ks. Stanisław Zarych (zdj. zbiory PTK)



ks. Stanisław Czenczek (zdj. Encyklopedia Solidarności IPN)



ks. Władysław Drewniak
(zdj. IPN O/Rzeszów)



ks. Marian Rajchel
(zdj. Radio Fara)



ks. Kazimierz Kaczor
(fot. E. Bartkiewicz / episkopat.pl)



ks. Eugeniusz Dryniak
(zdj. Wikicommons / Lowdown)



ks. Jan Pępek (zdj. Korso Kolbuszowskie)

Bezcenny wkład w działalność podziemnej "Solidarności" także mieli:



- **Państwo Andrzejczyk**, profesorowie - przechowywali duże zapasy papieru do tajnej działalności RKW
- **Stefania Czaplińska**, żołnierz AK - łączniczka, koordynatorka funkcjonowania i wynajmowania lokali na drukarnię i działalność opozycyjną
- **Irena Czernowska** - jej mieszkanie służyło jako punkt kontaktowy podziemnej RI i OKOR
- **Eugenia Kamińska** - ul. Długosza w Przemyślu - przez tydzień czasu przebywał u niej, ukrywający się członek Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, Tadeusz Jedynak
- **Siostry Kiczán** - trzy siostry mieszkające w Przemyślu przy ul. Żeromskiego - przez trzy lata, od początku stanu wojennego do chwili wyjazdu zagranicę, ukrywały Piotra Kaczmarczyka, wiceprzewodniczącego "Stomilu" w Sanoku. W ich domu znajdowała się drukarnia, zajmowały się przygotowaniem paczek do kolportażu
- **Helena Kubin** - inżynier geodezji - łączniczka z RKW Rzeszów
- **Państwo Opalińscy** - małżeństwo lekarzy medycyny świadczących pomoc medyczną rodzinom internowanych i potrzebującym
- **Jerzy Stabiszewski** - lekarz medycyny świadczący pomoc medyczną rodzinom internowanych i potrzebującym
- **Ludmiła Wasiewicz** z Sufczyzny, dyrektor szkoły - zajmowała się kolportowaniem ulotek i organizacją wakacji dla dzieci ukrywających się osób
- **Maria Wojciechowska-Podhalec** - jej mieszkanie służyło jako punkt kontaktowy podziemnej RI i OKOR
- **Maria Worotyłko** - ul. Rogozińskiego w Przemyślu, jej mieszkanie służyło do spotkań konspiracyjnych
- **Krystyna Zajac** - w mieszkaniu przy ul. Rogozińskiego w Przemyślu przez tydzień czasu ukrywała Jana Musiała
- **Jadwiga Żółkiewicz** - ul. Opalińskiego w Przemyślu - ukrywała Jana Musiała do chwili aresztowania.

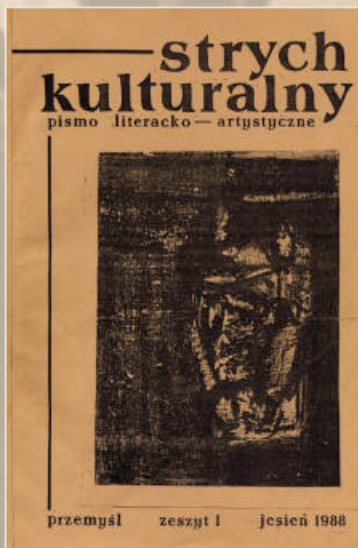
Kultura Niezależna

Duchowe Twierdze Polaków

Sprzeciw wobec władzy komunistycznej przybierał różne formy. Jedną z nich była kultura niezależna - wolna od cenzury i wytycznych płynących z KC PZPR. Za aprobatą i pod patronatem "niezłomnego pasterza" ks. bp. Ignacego Tokarczuka zostały zainicjowane **Dni Kultury Chrześcijańskiej**. W 1983 roku odbyły się pod hasłem: Duchowe Twierdze Polaków.

Inną inicjatywą kultury niezależnej był **"Strych kulturalny"** - pismo literacko-artystyczne dokumentujące spotkania, dyskusje i wydarzenia tworzone poza cenzurą.

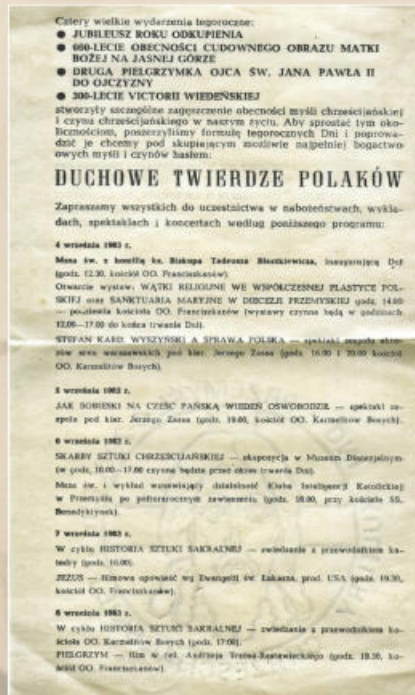
"Strych kulturalny" był także miejscem spotkań grupy przyjaciół w domu Marka Kuchcińskiego w Ostrowie. Gośćmi "Strychu" byli artyści i intelektualiści z Polski i Europy Zachodniej.



"Strych Kulturalny" był wydawany w Przemyślu od 1988 roku, w wydawnictwie domowym Marka Kuchcińskiego (zbiory PTK)



Spotkanie „strychow” z Markiem Lillą (Uniwersytet Harvardzki), 7 X 1989 r. Na zdjęciu od lewej: Zbigniew Blukacz (malarz z grupy Łódź Fabryczna), „ciocia” Moira Piekalkiewicz (Amnesty International), Roger Perkins, Jerzy „Kozia” Cepiński, Lucyna Hałasik, Zofia Broniek (Komitet Kultury Niezależnej)



Program "Duchowe Twierdze Polaków", 1983r.
(zbiory Janusza i Lucyny Czarskich)



Program jednej z cyklicznych wystaw plastyki "Człowiek-Bóg-Swiat" organizowanych w ramach Dni Kultury Chrześcijańskiej (zbiory Grażyny Niezgody)



I Wystawa „Człowiek-Bóg-Swiat” w podziemiach franciszkańskich, Przemyśl, 1986 r. Na zdjęciu od prawej: Edward Korzeniowski, Jan Musiał (stoi tyłem), Krzysztof Kaniewski, Barbara Kaniewska z synem (zbiory PTK)



III Wystawa „Człowiek-Bóg-Swiat” w 1988 r. Na zdjęciu od lewej: Jan Jarosz, Grażyna Niezgoda, Janusz Eysmont, Henryk Waniek, Jan Musiał. Na pierwszym planie ks. Stanisław Zarych (zbiory PTK)

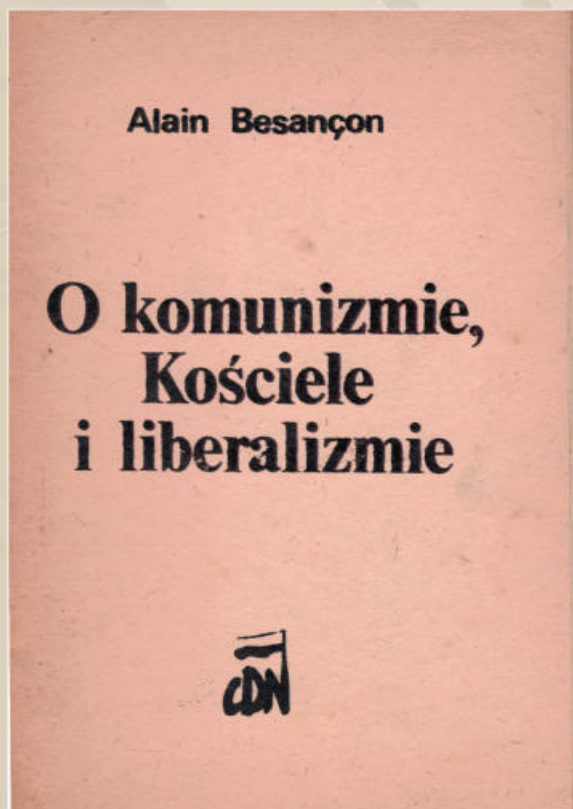


Przed kościołem OO. Franciszkanów podczas Dni Kultury Chrześcijańskiej w 1988 r. Od lewej stoją: Marek Kuchciński, Grażyna Niezgoda, Janusz Eysmont, Henryk Waniek, Margaret Hunter z partnerem Joachimem (zbiory PTK)

Kultura Niezależna



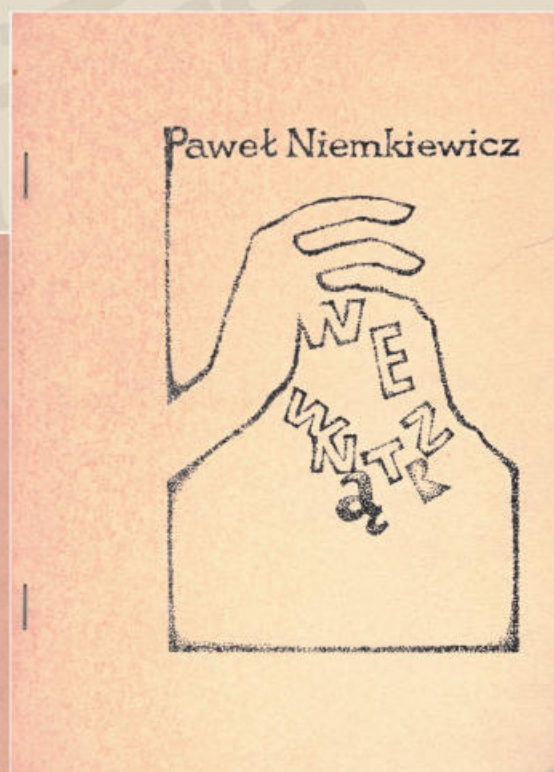
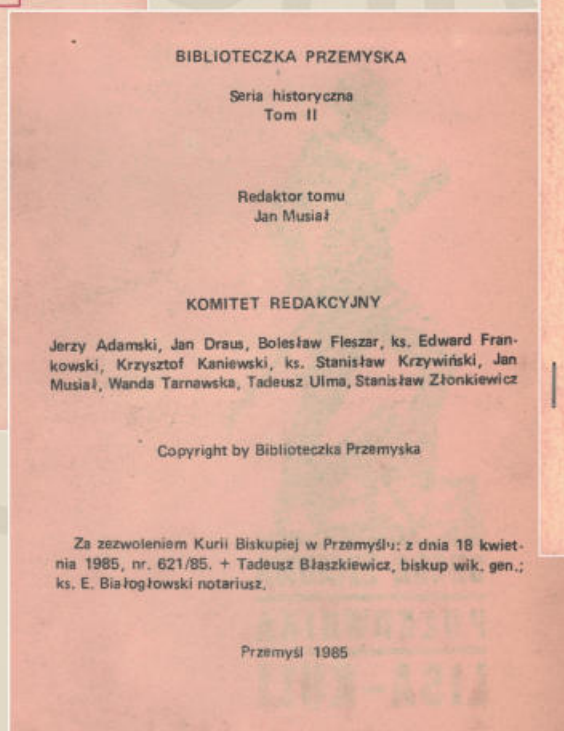
Plakat zapowiadający pierwsze Dni Kultury Chrześcijańskiej w 1983 r. (ze zbiorów Marka Kuchcińskiego)



CDN - wydawnictwo podziemnej "Solidarności", 1984 r., (ze zbiorów Jana Musiała)



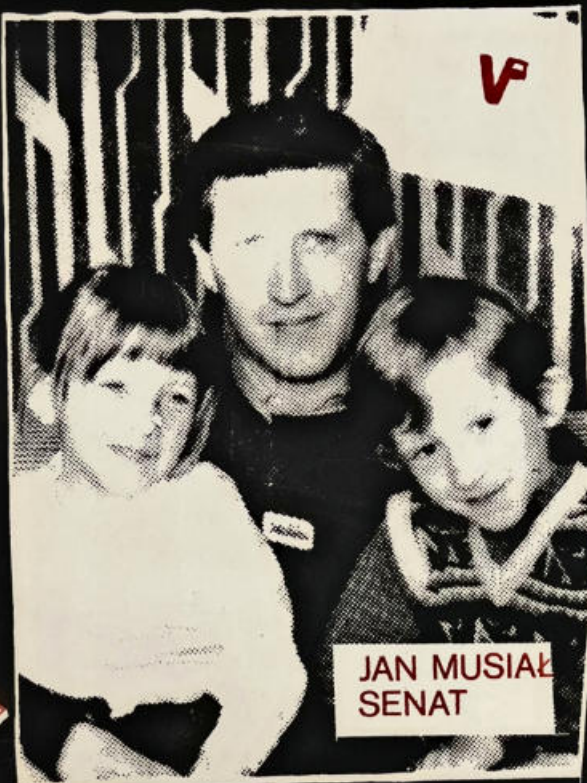
Wydawnictwo podziemne "Biblioteczka Przemyska" 1985 r., okładka i strona redakcyjna (ze zbiorów Jana Musiała)



Tomik poezji Pawła Niemkiewicza, wydawnictwo podziemne, 1984 r., (ze zbiorów Jana Musiała)

kandydaci

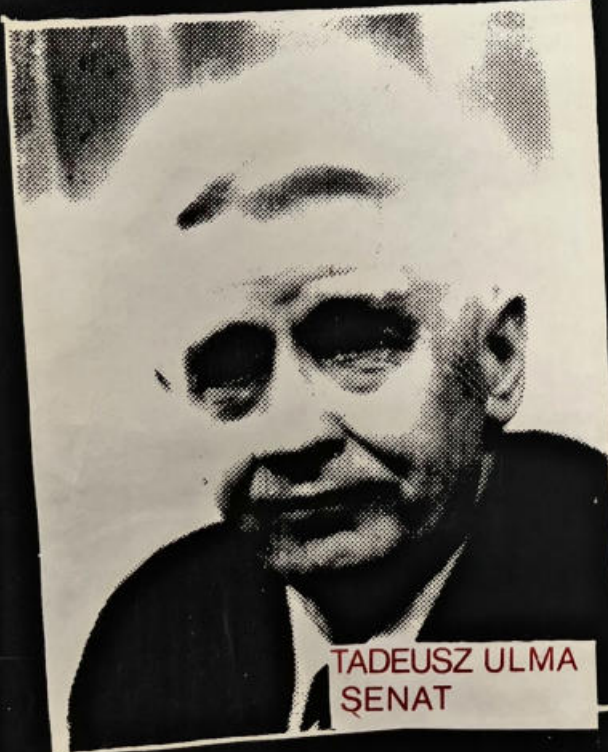
SOLIDARNOŚCI



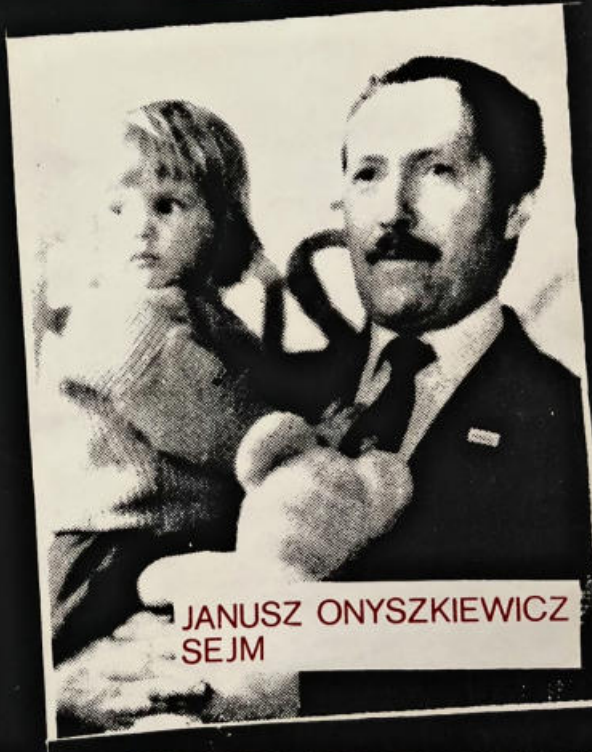
JAN MUSIAK
SENAT



TADEUSZ TRELKA
SEJM



TADEUSZ ULMA
SENAT



JANUSZ ONYSZKIEWICZ
SEJM

głosuj na nich



Pełniący funkcję Przewodniczącego Zarządu Regionu Południowo-Wschodniego
(od 1990 Regionu Ziemia Przemyska NSZZ „Solidarność”)
w latach 1980 -2025:

Czesław Kijanka 1980-1981

Tymczasowa Komisja Regionalna 1982-1988:

Marek Kamiński, Zygmunt Majgier, Stanisław Trybalski, Stanisław Żółkiewicz

Marek Kamiński 1988 -1992

Krzysztof Kłak 1992–1998

Andrzej Buczek 1998-2012

Szymon Wawrzyszko od 2013

Zarząd Regionu Ziemia Przemyska NSZZ „Solidarność”
Kadencja 2023 -2028

Wawrzyszko Szymon - Przewodniczący Zarządu Regionu
Krzysik Donald - Zastępca Przewodniczącego Zarządu Regionu
Piątek Jadwiga - Zastępca Przewodniczącego Zarządu Regionu
Stańczyk Małgorzata - Skarbnik Zarządu Regionu
Tancer Edyta - Sekretarz Zarządu Regionu
Gałęza Marek - Członek Prezydium Zarządu Regionu
Korneluk Marian - Członek Prezydium Zarządu Regionu
Rokosz Edward - Członek Prezydium Zarządu Regionu
Szklarek Aleksander - Członek Prezydium Zarządu Regionu
Bajda Tomasz
Blok Janusz
Giżycka Beata
Gomułczak Antoni
Kalnicki Maciej
Łaba Jerzy
Maksymowicz Anna
Pest Maria
Poliszak Artur
Ryzner Bogusław
Szewczyk Katarzyna
Tama Halina
Wawrzaszek-Łuc Anna

**Delegaci na Krajowy Zjazd Delegatów
NSZZ „Solidarność”**

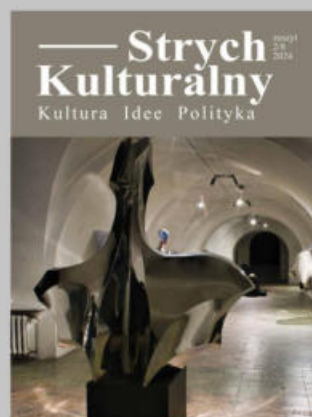
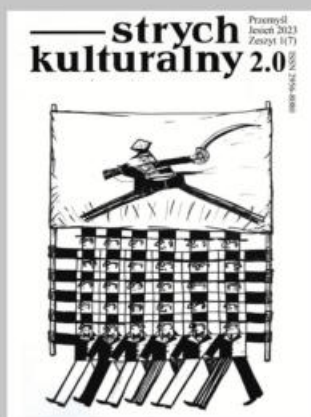
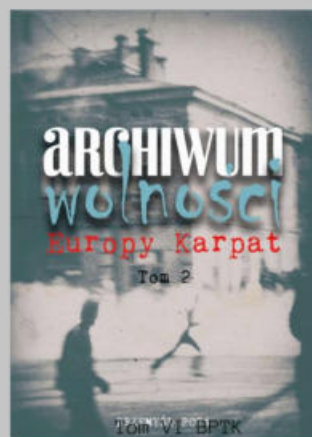
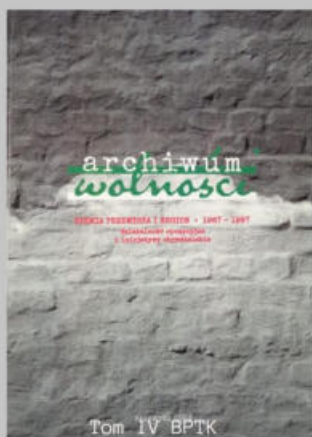
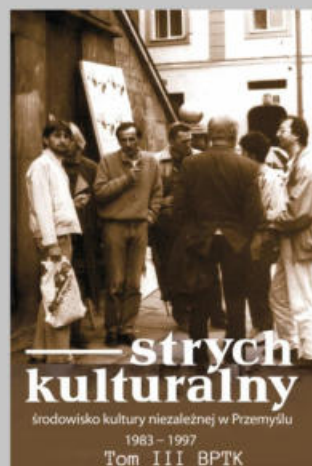
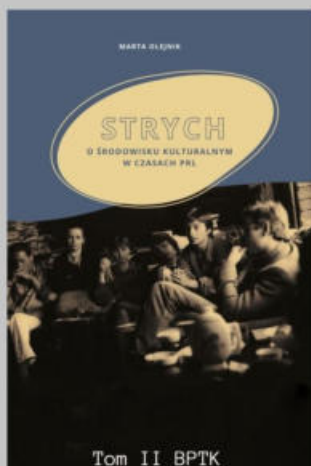
Szymon Wawrzyszko
Edward Rokosz
Marian Korneluk

Regionalna Komisja Rewizyjna NSZZ „Solidarność”

Wysocka Anna - Przewodniczący RKR
Halwa Elżbieta - Zastępca Przewodniczącego
Duda Janina - Sekretarz RKR
Wojtowicz Joanna - Członek RKR
Szarek Janusz - Członek RKR



Z serii
Biblioteka Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego
ukazały się:



ISBN 978-83-964565-7-1